MIŁOSNE TAJEMNICE

BRIDGERTONOWIE

JULIA QUINN

JULIA QUINN

BRIDGERTONOWIE

MIŁOSNE TAJEMNICE

Przekład:
Aleksandra Jagiełowicz

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Julia Quinn
Miłosne tajemnice

Tytuł oryginału
Romancing Mister Bridgerton

ISBN 978-83-8202-461-6

Copyright © 2002 by Julie Cotler Pottinger
„Romancing Mister Bridgerton: The 2nd Epilogue” copyright © 2007 by Julie Cotler Pottinger
Published by arrangement with HarperCollins Publishers.
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2021

Wykorzystanie przekładu za zgodą Wydawnictwa AMBER Sp. z o.o.

Miłosne tajemnice: Drugi epilog przełożyła Katarzyna Krawczyk

Redaktor prowadzący
Dariusz Wojtczak

Cover photo © Lee Avison/Trevillion Images

Wydanie I w tej edycji

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Dla koleżanek z Avonloop oraz wszystkich znajomych i przyjaciół — dziękuję za to, że przez cały dzień mam z kim pogadać. Wasze wsparcie i przyjaźń znaczą dla mnie więcej, niż potrafię wyrazić.
I dla Paula, chociaż w jego dziedzinie najbliżej romansu jest wykład pod tytułem „Pocałunek śmierci”.

Podziękowania

Z gorącymi podziękowaniami dla Lisy Kleypas i Stephanie Laurens za ich wspaniałomyślność.

Prolog

Szóstego kwietnia roku 1812 — dokładnie na dwa dni przed swymi szesnastymi urodzinami — Penelopa Featherington straciła głowę z miłości.

Cudowne uczucie. Ziemia zatrzęsła się jej pod stopami. Serce wywinęło koziołka. Z wrażenia aż zaparło jej dech w piersi. A, jak nie bez drobnej satysfakcji zdołała zauważyć, sprawca całego zamieszania — niejaki Colin Bridgerton — poczuł się dokładnie tak samo.

O nie, nie w sensie zakochania. Nie zakochał się w niej wtedy, w 1812, ani w 1813, 1814, 1815, ani… do licha, nie w latach 1816–1822, i bez wątpienia również nie w 1823, gdyż przez cały czas przebywał poza granicami kraju. Jednak tamtego dnia i jego świat zadrżał w posadach, serce wywinęło koziołka, a on sam — o czym Penelopa mogła zaświadczyć — stracił oddech, i to na dobre dziesięć sekund.

Zwykle tak się dzieje, kiedy człowiek spadnie z konia. A było to tak.

Wybrała się z matką i dwiema starszymi siostrami na spacer do Hyde Parku, kiedy pod stopami poczuła drżenie (patrz wyżej, fragment na temat trzęsienia ziemi). Matka nie zwracała na nią większej uwagi (rzadko bywało inaczej), bez przeszkód więc Penelopa oddaliła się, aby sprawdzić, co się dzieje. Pozostałe trzy panie Featherington kontynuowały rozmowę z wicehrabiną Bridgerton i jej córką Daphne, rozpoczynającą właśnie drugi sezon w Londynie, i udawały, że nie słyszą grzmotu. Bridgertonowie byli zbyt ważnymi osobistościami, żeby byle co mogło zakłócić konwersację z tą rodziną. Penelopa wychyliła się zza grubego pnia i ujrzała dwóch jeźdźców pędzących na złamanie karku — właściwie pasowało tu dowolne

określenie, jakiego używają ludzie, opisując mężczyzn galopujących bez troski o własne zdrowie i życie. Poczuła, jak jej serce zaczyna szybciej bić (trudno byłoby mu utrzymać miarowy rytm na taki widok, a poza tym zawsze mogła twierdzić, że serce zabiło jej mocniej z miłości). I wówczas, jakimś niewytłumaczalnym zrządzeniem losu, nagły podmuch wiatru zerwał jej z głowy czepek (którego, ku wielkiej irytacji matki, nie zawiązała rano dość starannie, gdyż wstążka uwierała ją w szyję), uniósł w powietrze i rzucił wprost w twarz jednego z jeźdźców.

Panna Featherington krzyknęła cicho (zaparło jej dech w piersi!), mężczyzna zaś spadł z konia, lądując bardzo nieelegancko w najbliższej błotnistej kałuży.

Bez chwili namysłu Penelopa rzuciła się ku jeźdźcowi, wydając piskliwe okrzyki, które miały wyrażać troskę o jego zdrowie i dobre samopoczucie, ostatecznie jednak brzmiały jak zdławiony skrzek. Oczywiście miał pełne prawo być wściekły — przecież to właściwie ona zrzuciła go z konia i do tego wprost w błoto, a były to dwie rzeczy, które wyprowadziłyby z równowagi każdego dżentelmena. Jednak kiedy mężczyzna stanął na nogi, otrzepując się z błota, z dość marnym skutkiem zresztą, nie rzucił się ku niej z krzykiem. Nie cisnął jej w twarz kąśliwej uwagi, nie spiorunował nawet wzrokiem.

Śmiał się.

Śmiał się.

Penelopa nie miała zbyt wiele okazji, by słuchać męskiego śmiechu, a to, co o nim wiedziała, nie było przyjemne. Tymczasem oczy tego mężczyzny — o dość intensywnym odcieniu zieleni — błyszczały wesołością. Nieznajomy starł z policzka plamę błota i rzekł:

— Chyba się nie popisałem, co?

W tym momencie Penelopa zakochała się w nim. Kiedy była już w stanie

przemówić — ze wstydem musiała przyznać, że nastąpiło to całe trzy sekundy później niż u osoby obdarzonej przeciętną inteligencją — odparła:

— O nie, to ja powinnam przeprosić! Wiatr zerwał mi czepek i… — urwała, kiedy zorientowała się, że on przecież wcale nie przepraszał, wobec czego nie ma sensu protestować.

— Nic się nie stało — odparł mężczyzna rozbawionym głosem, obdarzając ją uśmiechem. — Nie… Och, witaj, Daphne, nie wiedziałem, że jesteś w parku!

Penelopa odwróciła się na pięcie i ujrzała Daphne Bridgerton, stojącą obok jej matki, która syknęła:

— I cóżeś najlepszego narobiła, Penelopo Featherington?

Penelopa nie mogła nawet odpowiedzieć „nic”, gdyż w istocie ponosiła całkowitą winę za wypadek. W ten oto sposób skompromitowała się przed dżentelmenem, który wedle wszelkich oznak był doprawdy znakomitą partią.

Oczywiście matka nigdy by nie pomyślała, że Penelopa może mieć u niego jakiekolwiek szanse, gdyż wszelkie matrymonialne nadzieje pokładała raczej w starszych córkach. Poza tym Penelopa nie została jeszcze nawet „wprowadzona na salony”.

Pani Featherington nie mogła jednak dłużej łajać córki, gdyż tym samym zaniedbałaby najważniejszych na świecie Bridgertonów. Jak się wkrótce miała przekonać, ubłocony mężczyzna również się do nich zaliczał.

— Mam nadzieję, że pani syn nie doznał szwanku — zwróciła się do lady Bridgerton.

— Nic mi nie jest — wtrącił Colin, zgrabnie odstępując na bok, zanim lady Bridgerton zdążyła dotknąć go z macierzyńską troską.

Dokonano wzajemnej prezentacji, lecz rozmowa stała się błaha, głównie dlatego, że Colin szybko i celnie rozpoznał w pani Featherington matkę

polującą na męża dla swych córek. Penelopy nie zdziwiło, kiedy się pospiesznie wycofał. Później, wieczorem, kiedy po raz tysięczny wspominała spotkanie i analizowała je w myślach, przyszło jej do głowy, że właściwie miło by było, gdyby mogła powiedzieć, że zakochała się w Colinie w chwili, kiedy poprosił ją do tańca, szatańsko błyskając zielonymi oczami i ściskając jej paluszki nieco mocniej, niż wypada… A może to powinno się stać, kiedy jechał przez smagane wiatrem wrzosowiska, nie dbając o (wyżej wspomniany) wiatr i śmiało galopując (a raczej jego koń), marząc jedynie (Colin, a nie koń), by znaleźć się u jej boku. Nie, ona musiała zakochać się w Colinie Bridgertonie, kiedy spadł z konia i wylądował na siedzeniu pośrodku błotnistej kałuży. Bardzo niewłaściwe i wysoce nieromantyczne, acz niepozbawione pewnej dozy sprawiedliwości, jako że nigdy nic z tego nie wyniknie.

Po co marnować czas na nieodwzajemnioną miłość? Czy nie lepiej zachować wiatr na wrzosowisku dla ludzi, którzy istotnie mają przed sobą wspólną przyszłość?

Na dwa dni przed swymi szesnastymi urodzinami Penelopa wiedziała, że przyszłość nie przewiduje Colina Bridgertona w roli jej męża. Nie była dziewczyną, która mogłaby przyciągnąć jego uwagę, i wiedziała, że to się nigdy nie zmieni.

Dziesiątego kwietnia roku 1813 — dokładnie w dwa dni po swych siedemnastych urodzinach — Penelopa Featherington została wprowadzona na londyńskie salony. Nie chciała tego. Błagała matkę, aby pozwoliła jej zaczekać jeszcze rok. Była o co najmniej dwadzieścia funtów cięższa, niż powinna, a jej twarz w chwilach zdenerwowania pokrywała się czerwonymi plamami, co oznaczało, że widniały one tam zawsze, ponieważ nic tak nie wprawiało jej w konsternację jak londyńskie bale.

Daremnie wmawiała sobie, że uroda to jedynie powierzchowność. Nie

znajdowała również żadnego usprawiedliwienia wobec ludzi, przed którymi kompromitowała się, nieustannie zapominając języka w ustach. Nie ma chyba nic bardziej przygnębiającego niż brzydka dziewczyna bez osobowości. A taka właśnie czuła się Penelopa na salonach: brzydka i całkowicie — no nie, nie można się przecież zupełnie pognębić — prawie pozbawiona osobowości.

W głębi ducha wiedziała, że potrafi być wesoła, dowcipna i miła, jednak przymioty te zawsze gdzieś się zapodziewały, gdy ich potrzebowała.

Co gorsza, matka nie pozwalała jej ubierać się zgodnie z upodobaniami. Jeśli nie odziewała dziewczyny w obowiązkową dla wszystkich młodych panien biel (która wcale nie pasowała do jej karnacji), nakazywała jej nosić szpecącą żółć, czerwień i oranż. Tylko raz Penelopa odważyła się zasugerować zieleń, na co rodzicielka wsparła dłonie na rozłożystych biodrach i oświadczyła, że zielony jest zbyt melancholijny. Pani Featherington uważała, że żółty jest kolorem radości, a radosna dziewczyna bez trudu znajdzie sobie męża.

Ostatecznie Penelopa uznała, że najlepiej nie zastanawiać się nad rozumowaniem matki. Pokornie pozwalała odziewać się w żółć, oranż, a czasem czerwień, choć barwy te w połączeniu z jej brązowymi oczami i rudawymi włosami sprawiały, że wyglądała wręcz smutno, żeby nie powiedzieć żałośnie. Ponieważ nie mogła nic na to poradzić, postanowiła, że przyjmie to brzemię z uśmiechem, a jeśli nie zdoła wygiąć ust w uśmiechu, przynajmniej nie będzie publicznie ronić łez.

Z dumą konstatowała, że nigdy jeszcze jej się to nie zdarzyło.

Jakby nie dość było tego wszystkiego, w tym samym roku 1813 pewna tajemnicza (i fikcyjna) lady Whistledown zaczęła publikować trzy razy w tygodniu „Kronikę Towarzyską”. Jednostronicowe gazetki błyskawicznie stały się sensacją. Nikt nie wiedział, kim naprawdę jest lady Whistledown,

lecz każdy zdawał się mieć swoją teorię. Przez wiele tygodni — a właściwie miesięcy — w Londynie nie mówiło się o niczym innym. Przez pierwsze trzy tygodnie gazetkę rozdawano za darmo — akurat tyle czasu, aby towarzystwo się do niej przyzwyczaiło, po czym nagle dostawy się urwały, a gazeciarze zaczęli sprzedawać pisemko po niebotycznej cenie pięciu centów za egzemplarz. Wtedy jednak nikt już nie umiał żyć bez codziennej dawki ploteczek i każdy chętnie za nie płacił. A pewna kobieta (choć niektórzy sądzili, że raczej mężczyzna) z dnia na dzień stawała się coraz bogatsza. Główną cechą różniącą „Kronikę Towarzyską Lady Whistledown" od innych czasopism było to, że autorka — w przeciwieństwie do plotkarskiej konkurencji — nigdy nie używała skrótów, takich jak lord P. czy lady B., lecz wymieniała bohaterów z nazwiska.

Jeśli więc chciała napisać o pannie Featherington, nie krępowała się. Pierwszy występ Penelopy w „Kronice Towarzyskiej Lady Whistledown" wyglądał następująco:

Nieszczęsna suknia panny Penelopy Featherington sprawiła, że biedna dziewczyna przypominała ni mniej, ni więcej tylko przejrzały owoc cytrusa.

Cios dość bolesny, lecz niestety była to szczera prawda.

Następna opinia wcale nie była lepsza:

Nie słyszano, aby Penelopa Featherington w ogóle się odezwała i nic dziwnego! Biedna dziewczyna zapewne utonęła w falbankach swej sukni.

Penelopa mogła być pewna, że nie zyska na popularności dzięki takim komentarzom.

Sezon jednak nie zamienił się w całkowitą katastrofę. Okazało się, że jest kilkoro ludzi, z którymi panna Featherington nie obawia się rozmawiać.

Zdumiewające było to, jak bardzo polubiły się z lady Bridgerton. Penelopa z zaskoczeniem stwierdziła, że zwierza się uroczej wicehrabinie ze spraw, o jakich nigdy nie wspomniałaby własnej matce. W tym czasie poznała też Eloise, młodszą siostrę jej ukochanego Colina. Dziewczyna właśnie skończyła siedemnaście lat, lecz matka rozsądnie pozwoliła jej zaczekać z debiutem towarzyskim jeszcze rok, choć Eloise nie brakowało ani urody, ani czaru Bridgertonów.

Spędzając popołudnia w zielono-kremowym salonie rezydencji Bridgertonów, od czasu do czasu Penelopa spotykała Colina, który w wieku dwudziestu dwóch lat wciąż jeszcze mieszkał z rodziną. A im lepiej go poznawała, tym głębszym uczuciem go darzyła.

Colin był inteligentny, śmiały, obdarzony specyficznym, nieco szalonym poczuciem humoru, które sprawiało, że kobiety mdlały na jego widok, ale przede wszystkim…

Był miły.

Miły. Głupie określenie. Powinno brzmieć banalnie, ale do niego pasowało znakomicie.

Zawsze miał Penelopie coś miłego do powiedzenia, a kiedy i ona wreszcie zebrała się na odwagę, żeby odpowiedzieć (nie licząc zwyczajowych powitań i pożegnań), słuchał jej bardzo uważnie, co ułatwiało kolejną rozmowę.

Pod koniec sezonu Penelopa stwierdziła, że Colin Bridgerton to jedyny mężczyzna, z którym udało jej się normalnie porozmawiać.

To była miłość. Miłość, miłość, miłość, miłość, miłość. Głupie gryzmoły na nieprzyzwoicie drogim papierze listowym „Pani Colinowa Bridgerton”, „Penelopa Bridgerton”,

„Colin Colin Colin”. Papier ten oczywiście wędrował do ognia, gdy tylko Penelopa usłyszała kroki na korytarzu.

Cudownie było kochać… nawet jednostronnie… tak miłą osobę. Przynajmniej czuła się naprawdę rozsądna.

I doprawdy nie miało znaczenia, że przy tym wszystkim Colin był bajecznie przystojny. Miał słynne kasztanowe włosy Bridgertonów, pełne i uśmiechnięte usta Bridgertonów, szerokie ramiona, sześć stóp wzrostu i dodatkowo parę najbardziej zabójczo zielonych oczu, jakie kiedykolwiek ozdabiały ludzką twarz.

Oczu, o jakich śnią dziewczęta. Więc Penelopa śniła, śniła i śniła…

Kwiecień 1814 roku Penelopa spędzała w Londynie, a choć nadal przyciągała dokładnie tę samą liczbę adoratorów (czyli zero), ostatecznie jej drugi sezon nie okazał się całkiem stracony. Zgubiwszy zbędne dwadzieścia funtów, wreszcie mogła określić swą figurę jako „ładnie zaokrągloną”, a nie „obrzydliwie tłustą”. Oczywiście daleko jej było do smukłości, która wówczas królowała w modzie, ale przynajmniej schudła na tyle, że cała jej garderoba nadawała się do wymiany. Niestety matka w dalszym ciągu nalegała na żółć bądź oranż z okazjonalną odrobiną czerwieni. W konsekwencji lady Whistledown napisała:

Panna Penelopa Featherington, najmniej próżna z sióstr Featherington, miała na sobie suknię barwy cytryny, od której patrzącym robiło się kwaśno w ustach.

Tym razem przynajmniej można się było domyślić, że Penelopa była najbardziej inteligentną przedstawicielką swojej rodziny, choć doprawdy marna to była pociecha.

Penelopa nie była jednakowoż jedyną panną zaszczyconą komentarzem przez złośliwą felietonistkę. Ciemnowłosa Kate Sheffield w swej żółtej

sukni została porównana do przywiędłej dalii, a mimo to wyszła za mąż za Anthony’ego Bridgertona, starszego brata Colina i do tego wicehrabiego!

Więc Penelopa również nie traciła nadziei.

Wiedziała wprawdzie, że Colin się z nią nie ożeni, ale przynajmniej tańczył z nią na każdym balu, zabawiał rozmową, a czasem nawet śmiał się z jej dowcipów. I to jej musiało wystarczyć.

Tak minął Penelopie trzeci, a potem czwarty sezon. Jej starsze siostry, Prudencja i Philipa, znalazły sobie wreszcie mężów i wyprowadziły się z domu. Pani Featherington nie traciła nadziei, gdyż każda z jej córek potrzebowała pięciu sezonów, aby złapać męża, lecz Penelopa wiedziała, że jej przeznaczeniem jest staropanieństwo. Nieuczciwie byłoby wychodzić za kogoś, kiedy tak szaleńczym uczuciem darzyła Colina. Zwłaszcza że gdzieś w zakamarkach mózgu, głęboko pomiędzy koniugacją francuską, której nigdy nie opanowała, a arytmetyką, która nigdy nie była jej potrzebna — wciąż skrywała cień nadziei.

Aż do tamtego dnia.

Nawet teraz, w siedem lat później, określała ów dzień mianem „tamtego”.

Jak to miała już w zwyczaju, wypiła herbatę z Eloise Bridgerton. Było to na krótko przed ślubem jej brata Benedicta z Sophie. Benedict nie wiedział wówczas, kim ona jest, co zresztą nie miało znaczenia poza tym, że był to chyba jedyny sekret ostatniej dekady, którego lady Whistledown nie zdołała odkryć.

Pożegnawszy się z przyjaciółką, Penelopa szła przez hol, wsłuchując się w odgłos własnych kroków, i poprawiała płaszcz, przygotowując się do przebycia pieszo krótkiej drogi dzielącej ją od własnego domu, kiedy usłyszała głosy. Męskie głosy.

Byli to trzej starsi bracia Bridgertonowie: Anthony, Benedict i Colin.

Prowadzili tak zwaną „męską rozmowę”, śmiejąc się i trącając łokciami. Lubiła na nich patrzeć — byli sobie tacy oddani.

Widziała ich przez uchylone drzwi frontowe, ale nie słyszała, o czym mówią, dopóki nie dotarła do progu. Pierwsze słowa, jakie usłyszała, zostały wypowiedziane przez Colina. Przykre słowa.

— …i z pewnością nie zamierzam ożenić się z Penelopą Featherington!

— Och! — krzyknęła mimowolnie i o wiele za głośno. Cała trójka obejrzała się na nią z identycznym przerażeniem na twarzach, zaś dla Penelopy wybiła pierwsza z pięciu najstraszliwszych minut jej życia.

Milczała przez chwilę, która jej samej wydawała się wiecznością, a potem z godnością, o jaką nigdy by się nie podejrzewała, spojrzała wprost na Colina.

— Nigdy nie prosiłam, żebyś się ze mną ożenił.

Poczerwieniał ze wstydu, otworzył usta, ale nie wydał żadnego dźwięku. Penelopa pomyślała z ponurą satysfakcją, że chyba po raz pierwszy w życiu zabrakło mu słów.

— I nigdy… — przełknęła z trudem ślinę — …nigdy nie twierdziłam, że chciałeś mi się oświadczyć.

— Penelopo — wykrztusił wreszcie — przepraszam.

— Nie masz za co przepraszać — odparła.

— Nie — zaprzeczył. — Zraniłem twoje uczucia i…

— Nie wiedziałeś, że mogę to usłyszeć.

— Ale…

— Nie ożenisz się ze mną — powiedziała dziwnie głucho i spokojnie. — I nie ma w tym nic złego. Ja też nie wyjdę za twojego brata Benedicta.

Benedict wyraźnie starał się unikać jej wzroku, ale drgnął na dźwięk swego imienia.

Penelopa zacisnęła pięści.

— Chyba to nie rani jego uczuć, gdy mówię, że za niego nie wyjdę. — Zwróciła się do Benedicta, ze wszystkich sił starając się wytrzymać jego spojrzenie. — Czy mam rację, panie Bridgerton?

— Oczywiście — odparł szybko Benedict.

— No to sprawa załatwiona — rzekła z wysiłkiem i zdziwiła się, że choć raz mówi dokładnie to, co trzeba. — Nikogo nie zraniono. A teraz, panowie, jeśli pozwolicie, oddalę się do domu.

Cała trójka rozstąpiła się natychmiast, robiąc jej przejście. Prawdopodobnie udałoby się jej odejść bez przeszkód, gdyby nie Colin.

— Nie masz służącej? — zapytał nagle. Pokręciła głową.

— Mieszkam tuż za rogiem.

— Wiem, ale…

— Odprowadzę panią — zaoferował się Anthony.

— To doprawdy niepotrzebne, mój panie.

— Proszę mi pozwolić — rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Skinęła głową i ruszyli w drogę. Po kilku chwilach Anthony odezwał się głosem pełnym szacunku:

— On nie wiedział, że pani go słyszy.

Penelopa zacisnęła usta — nawet nie z gniewu, raczej z powodu dziwnego uczucia rezygnacji.

— Wiem — odparła. — Nie jest złym człowiekiem. Podejrzewam, że wasza matka próbuje go skłonić do małżeństwa.

Wicehrabia skinął głową. Lady Bridgerton słynna była ze starań, aby szczęśliwie ożenić każdą ze swych ośmiorga latorośli.

— Lubi mnie — dodała Penelopa. — Pańska matka, oczywiście. Obawiam się, że nie umie myśleć inaczej. Ale prawdę mówiąc, to chyba nie ma znaczenia, czy spodoba jej się narzeczona Colina.

— Cóż, nie wyraziłbym się tak — rzekł z zadumą Anthony. Nie

zachowywał się teraz jak szacowny wicehrabia, ale raczej jak dobrze wychowany syn. — Nie chciałbym się ożenić z kimś, kogo moja matka nie akceptuje. — Pokręcił głową z podziwem. — To prawdziwy żywioł.

— Pańska matka czy żona?

Zastanowił się przez ułamek sekundy.

— Obie.

Przez chwilę szli w milczeniu. Pierwsza przerwała je Penelopa.

— Colin powinien wyjechać.

Anthony spojrzał na nią z uwagą.

— Słucham?

— Wyjechać. Podróżować. Nie jest gotów do małżeństwa, a pańska matka nie zrezygnuje z nalegań. Chce dobrze, ale… — Penelopa ze zgrozą zagryzła wargi. Miała nadzieję, że wicehrabia nie odczyta jej słów jako krytyki lady Bridgerton. Sama uważała ją za największą damę w Anglii.

— Moja matka zawsze chce dobrze — odparł Anthony z pobłażliwym uśmiechem. — Ale może ma pani rację. Powinien wyjechać. Colin lubi podróżować. Właśnie wrócił z Walii.

— Doprawdy? — zapytała uprzejmie, jakby nie wiedziała doskonale, że był w Walii.

— Jesteśmy na miejscu — stwierdził wicehrabia, kiwając głową. — To pani dom, prawda?

— Tak. Dziękuję za odprowadzenie.

— Cała przyjemność po mojej stronie, zapewniam panią.

Penelopa spoglądała w ślad za nim, po czym wbiegła do domu i rozpłakała się.

Następnego dnia w „Kronice Towarzyskiej Lady Whistledown” pojawiła się następująca relacja:

Cóż za zamieszanie na schodach rezydencji lady Bridgerton na Bruton

Street!

Najpierw Penelopa Featherington widziana była w towarzystwie nie jednego, nie dwóch, lecz TRZECH braci Bridgertonów, co do tej pory było absolutnie nieosiągalnym wyczynem dla tej biednej dziewczyny, znanej głównie z podpierania ścian na balach. Niestety (lecz było to raczej do przewidzenia) kiedy panna Featherington udała się w kierunku domu, wspierała się na ramieniu wicehrabiego, jedynego żonatego spośród trzech braci.

Gdyby wszakże panna Featherington zdołała zaciągnąć do ołtarza któregokolwiek z braci Bridgertonów, byłby to koniec znanego nam i przyjaznego świata, a Autorka, która przyznaje szczerze, że w takim świecie nie umiałaby się odnaleźć, musiałaby natychmiast zrezygnować ze swego stanowiska.

Zdaje się, że nawet lady Whistledown dostrzegła beznadziejność uczuć Penelopy.

Mijały lata, a Penelopa nawet nie zauważyła, jak przestała być debiutantką i zajęła miejsce w szeregach przyzwoitek, obserwując młodszą siostrę Felicytę — zapewne jedyną spośród panien Featherington obdarzoną naturalną urodą i wdziękiem — wkraczającą na londyńskie salony.

Colin polubił podróże i coraz więcej czasu spędzał poza Londynem. Wracał z jednych wojaży i wyruszał na następne. Kiedy jednak przebywał w mieście, zawsze miał taniec i uśmiech dla Penelopy, a ona udawała, że między nimi nigdy nic nie zaszło, że nigdy nie przyznał się do niechęci do niej, a jej marzenia nigdy nie legły w gruzach.

W czasie jego nieczęstych przerw w podróżach utrzymywali niezobowiązujące, przyjazne stosunki. Czegóż więcej zresztą mogła oczekiwać dwudziestoośmioletnia prawie stara panna?

Nieodwzajemniona miłość nie jest łatwa, ale przynajmniej Penelopa

Featherington przyzwyczaiła się do niej.

1

Mamy córek na wydaniu promienieją — Colin Bridgerton powrócił z Grecji!

Dla informacji wszystkich szacownych (i niczego nieświadomych) czytelników, którzy dopiero w tym roku zawitali do miasta, pan Bridgerton jest trzecim w legendarnym rzędzie ośmiorga latorośli Bridgertonów (stąd imię Colin, zaczynające się na C; przed nim byli Anthony i Benedict, a po nim Daphne, Eloise, Francesca, Gregory i Hiacynta).

Wprawdzie pan Bridgerton nie posiada szlacheckiego tytułu i prawdopodobnie nigdy nie będzie go miał (jest siódmy w kolejce do tytułu wicehrabiego Bridgertona, za dwoma synami obecnego wicehrabiego, swym starszym bratem Benedictem i jego trójką synów), mimo to uważany jest za jedną z najlepszych partii sezonu, a to z powodu jego fortuny, twarzy, postaci, a przede wszystkim uroku. Trudno jednak przewidzieć, czy pan Bridgerton w tym sezonie ulegnie małżeńskim pokusom; z pewnością jest już w odpowiednim wieku (trzydzieści trzy lata), lecz nigdy dotąd nie okazał zdecydowanego zainteresowania żadną damą o stosownym pochodzeniu, a co jeszcze bardziej komplikuje sprawę, ma przykrą skłonność do nagłego opuszczania Londynu i kierowania się w różne egzotyczne miejsca.

„Kronika Towarzyska Lady Whistledown”,

2 kwietnia 1824

Popatrz tylko! — wykrzyknęła Portia Featherington. — Colin Bridgerton wrócił!

Penelopa podniosła wzrok znad robótki. Jej matka ściskała w garści najnowszy numer „Kroniki Towarzyskiej Lady Whistledown” tak, jak ona mogłaby ściskać w rękach linę ratunkową.

— Wiem — mruknęła.

Portia zmarszczyła brwi. Nie lubiła, kiedy ktoś znał plotki wcześniej od niej.

— Skąd wzięłaś „Whistledown” przede mną? Powiedziałam Briarly’emu, że ma mi ją odłożyć i nikomu nie wolno jej dotykać…

— Nie przeczytałam tego w „Whistledown” — wtrąciła Penelopa, zanim matka zaczęła łajać nieszczęsnego, zahukanego lokaja. — Felicyta mi powiedziała. Wczoraj wieczorem. A jej powiedziała to Hiacynta Bridgerton.

— Twoja siostra spędza dużo czasu w domu Bridgertonów.

— Ja też — zauważyła Penelopa, zastanawiając się, do czego ta dyskusja ma doprowadzić.

Pani Featherington postukała palcem w podbródek, jak zawsze, kiedy coś planowała albo snuła intrygę.

— Colin Bridgerton jest już w odpowiednim wieku, aby rozejrzeć się za żoną.

Penelopa zdążyła jeszcze zamrugać, zanim oczy wyszły jej z orbit.

— Colin Bridgerton nie ożeni się przecież z Felicytą!

Matka lekko wzruszyła ramionami.

— Widywałam już dziwniejsze rzeczy.

— A ja nie — wymamrotała Penelopa.

— Anthony Bridgerton ożenił się z tą Kate Sheffield, a ona była jeszcze

mniej popularna niż ty.

Nie było to do końca prawdą. Penelopa uważała, że znajdowały się mniej więcej na tym samym niziutkim szczeblu drabiny społecznej. Nie zamierzała tego jednak komunikować rodzicielce, która zapewne była przekonana, iż właśnie powiedziała jej komplement.

Zacisnęła lekko usta. „Komplementy” matki miały żądła jak osy.

— Nie sądź, że krytykuję — rzuciła Portia z nagłą troską. — W sumie cieszę się nawet, że zostałaś starą panną. Jestem sama na świecie, dobrze wiedzieć, że mam kogoś, kto zaopiekuje się mną na stare lata.

Penelopa ujrzała nagle oczami wyobraźni przyszłość opisywaną przez matkę i nabrała dziwnej ochoty, żeby uciec i wyjść za mąż za kominiarza. Dawno już pogodziła się z myślą o staropanieństwie, ale do tej pory wyobrażała sobie, że przeżyje je we własnym uroczym domku z tarasem albo w chatce na brzegu morza.

Pani Featherington ostatnimi czasy często wspominała swój podeszły wiek i potrzebę opieki Penelopy. Nieważne było, że obie jej starsze córki wyszły dobrze za mąż i mogły zadbać o matkę, zresztą ona sama nie była uboga — jedna czwarta jej posagu została przeznaczona na osobiste konto.

Nie, kiedy Portia mówiła o „opiece”, nie miała na myśli pieniędzy. Potrzebowała niewolnicy.

Penelopa westchnęła. Nie była sprawiedliwa wobec matki, choć tylko w duchu. Zbyt często jej się to ostatnio zdarzało. Matka przecież ją kocha. Penelopa była tego pewna. Ona też ją kochała. Czasami po prostu jej nie lubiła.

Miała nadzieję, że to nie czyniło z niej złego człowieka. Zachowanie matki wystawiłoby jednak na próbę najłagodniejszą, najczulszą córkę, jaką Penelopa nie zawsze się czuła.

— Dlaczego uważasz, że Colin nie ożeni się z Felicytą? — zapytała pani

Featherington.

Penelopa zaskoczona podniosła głowę. Myślała, że temat już jest zakończony. Niestety powinna była przewidzieć, że tak nie jest.

— No cóż — zaczęła powoli. — Po pierwsze, jest młodsza od niego o dwanaście lat.

— Phi — odparła matka z lekceważącym machnięciem ręki. — To nic takiego i dobrze o tym wiesz.

Penelopa zmarszczyła brwi i pisnęła, bo niechcący ukłuła się igłą w palec.

— Poza tym — ciągnęła Portia w rozkosznej nieświadomości — on ma… — spojrzała na gazetę i sprawdziła wiek Colina — on ma trzydzieści trzy lata. Jak miałby uniknąć co najmniej dwunastu lat różnicy między sobą a żoną? Przecież nie ożeni się z kimś w twoim wieku.

Penelopa ssała skaleczony palec, choć wiedziała, że to bardzo nieelegancko. Musiała jednak zająć czymś usta, żeby nie wypowiedzieć czegoś strasznego i złośliwego. Nie była jednak w stanie ukryć niesmaku.

— Jest dla niego jak siostra. Młodsza siostra.

— Doprawdy, Penelopo, nie sądzę…

— To trąci kazirodztwem — mruknęła Penelopa.

— Co powiedziałaś?

Penelopa chwyciła szybko robótkę.

— Nic.

— Jestem pewna, że coś powiedziałaś.

Penelopa pokręciła głową.

— Odchrząknęłam. Nic więcej.

— Słyszałam, że coś mówiłaś. Jestem pewna!

Penelopa jęknęła. Czekało ją długie i ciężkie życie.

— Mamo — rzekła z cierpliwością jeśli nie świętej, to przynajmniej

bardzo pobożnej mniszki — Felicyta jest właściwie zaręczona z panem Albansdale’em.

Pani Featherigton zaczęła nerwowo zacierać dłonie.

— Nie będzie już z nim zaręczona, jeśli złapie Colina Bridgertona.

— Felicyta raczej umrze, niż będzie gonić za Colinem.

— Ale skąd! To mądra dziewczyna. Każdy widzi przecież, że Colin Bridgerton jest lepszą partią.

— Ale Felicyta kocha pana Albansdale’a!

Matka osunęła się na pięknie obity fotel.

— Jeszcze i to.

— I — dodała Penelopa znacząco — pan Albansdale jest w posiadaniu doprawdy przyzwoitej fortunki.

Portia postukała się palcem wskazującym w policzek.

— Prawda. Nie aż tak przyzwoitej, jak część Bridgertona — dodała ostro — ale chyba rzeczywiście nie można tym pogardzić.

Penelopa wiedziała, że czas już zmienić temat, ale nie mogła powstrzymać się przed wypowiedzeniem ostatniego zdania.

— Szczerze mówiąc, mamo, to doskonała partia dla Felicyty. Powinniśmy być zachwyceni.

— Wiem, wiem — burknęła Portia. — Chciałam po prostu, aby jedna z moich córek wyszła za Bridgertona. W Londynie mówiłoby się o tym przez wiele tygodni. Może nawet miesięcy.

Penelopa wbiła igłę w poduszeczkę. Był to dość niemądry sposób wyładowania gniewu, ale nie chciała po prostu zerwać się na nogi i wrzasnąć: A co ze mną?! Matka zdawała się sądzić, że po wydaniu za mąż Felicyty jej marzenia o połączeniu się z Bridgertonami przepadają na zawsze. A przecież Penelopa wciąż pozostawała niezamężna — czy to nie miało znaczenia?

Czy pragnęła zbyt wiele, chcąc, aby matka myślała o niej z taką samą dumą, jak o pozostałych córkach? Penelopa wiedziała, że Colin nie poprosi jej o rękę, lecz czy matka nie mogłaby stać się choć trochę ślepa na wady swych dzieci? Ani Prudencja, ani Philipa, ani nawet Felicyta nie miały szansy na zdobycie Bridgertona. Dlaczego matka uważała mimo to, że są ładniejsze od Penelopy?

Oczywiście Penelopa musiała przyznać, że Felicyta cieszyła się popularnością, o jakiej jej trzy siostry razem wzięte mogłyby jedynie pomarzyć. Prudencja i Philipa jednak nigdy nie zasłużyły sobie na miano „Niezrównanych". Zajmowały miejsca pod ścianami sal balowych tak samo jak Penelopa.

Tyle tylko, że w tej chwili były już zamężne. Ona nie spojrzałaby nawet na mężczyzn, których poślubiły, ale przynajmniej nazywały się żonami.

Na szczęście myśli matki powędrowały już ku bardziej zielonym pastwiskom.

— Muszę złożyć wizytę Violetcie — oznajmiła. — Będzie zadowolona, że Colin wrócił.

— Jestem pewna, że lady Bridgerton będzie tą wizytą zachwycona — odparła Penelopa.

— Biedna kobieta — dramatycznie westchnęła Portia. — Martwi się o niego, wiesz.

— Wiem.

— Doprawdy, sądzę, że to więcej, niż matka powinna znieść. Kręci się po całym świecie, Bóg jeden wie gdzie, jeździ do krajów, które nawet nie znają Boga…

— Wydawało mi się, że w Grecji praktykują chrześcijaństwo — zauważyła Penelopa, wbijając wzrok w robótkę. — To greccy ortodoksi.

— Tak, ale nie należą do angielskiego Kościoła — odparła pani Feat-

herington, pociągając nosem.

— Cóż, skoro są Grekami, chyba ich to zbytnio nie martwi.

Portia zmrużyła oczy z wyraźnym zgorszeniem.

— A skąd ty w ogóle wiesz cokolwiek na temat greckiej religii? Nie, nie mów mi. — Powstrzymała córkę dramatycznym ruchem dłoni. — Gdzieś wyczytałaś.

Penelopa zamrugała tylko, usiłując wymyślić właściwą odpowiedź.

— Wolałabym, abyś tak wiele nie czytała — westchnęła matka. — Pewnie wydałabym cię za mąż wiele lat temu, gdybyś więcej poświęcała się towarzystwu, a mniej… mniej…

— Mniej czemu? — nie zdołała się powstrzymać Penelopa.

— Nie wiem. Nie wiem, co robisz, kiedy wpatrujesz się nieruchomo w przestrzeń i marzysz.

— Tylko myślę — cicho odparła jej córka. — Czasem po prostu lubię zatrzymać się i pomyśleć.

— Gdzie się zatrzymać? — dopytywała się Portia.

Penelopa uśmiechnęła się mimo woli. Zadane pytanie dobitnie unaoczniało różnice, jakie dzieliły matkę i córkę.

— To nic, mamo — odpowiedziała. — Naprawdę nic.

Pani Featherington wyglądała tak, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zmieniła zdanie. Może po prostu była głodna. Wzięła z tacy biskwita i wsunęła do ust. Penelopa wyciągnęła rękę, żeby wziąć ostatnie ciasteczko, ale zdecydowała, że zostawi je dla matki. Przynajmniej będzie miała zajęte usta. Nie chciała wdawać się w kolejną rozmowę na temat Colina Bridgertona.

— Colin wrócił!

Penelopa podniosła wzrok znad *Krótkiej historii Grecji* i ujrzała w drzwiach pokoju Eloise Bridgerton. Nikt jej nie anonsował. Kamerdyner

Featheringtonów był już tak przyzwyczajony do jej częstych wizyt, że traktował ją jak członka rodziny.

— Doprawdy? — spytała Penelopa z udaną (lecz w jej mniemaniu bardzo realistyczną) obojętnością. Ukryła natychmiast *Krótką historię Grecji* za tomem *Matyldy*, szalenie modnej w zeszłym roku powieści S.R. Fieldinga. Książka ta gościła na wszystkich stolikach nocnych i była dość gruba, aby zasłonić *Krótką historię Grecji*.

Panna Bridgerton usiadła przy biurku Penelopy.

— Doprawdy, a przy tym jaki opalony! Zdaje się, że przez cały czas przebywał na słońcu.

— Był w Grecji, nieprawdaż?

Eloise pokręciła głową.

— Powiedział, że wojna przybrała na sile i dalszy pobyt stał się zbyt niebezpieczny. Dlatego wyjechał na Cypr.

— No, no — uśmiechnęła się Penelopa. — Lady Whistledown coś pomyliła.

Eloise obdarzyła ją słynnym, bezczelnym uśmiechem Bridgertonów, a ona po raz kolejny pomyślała, jakie to szczęście, że ma przyjaciółkę. Od siedemnastego roku życia właściwie się z Eloise nie rozstawały. Razem spędzały w Londynie kolejne sezony, razem dojrzewały i, ku wielkiej rozpaczy swych matek, razem weszły w staropanieństwo.

Eloise twierdziła, że do tej pory nie spotkała jeszcze odpowiedniego mężczyzny.

Penelopy oczywiście nikt nie pytał.

— Czy podobało mu się na Cyprze? — zapytała.

Eloise westchnęła.

— Twierdzi, że było wspaniale. Jakże chciałabym tam pojechać. Wydaje mi się, że wszyscy już tam byli z wyjątkiem mnie.

— I mnie — przypomniała jej Penelopa.

— I ciebie — zgodziła się przyjaciółka. — Dzięki losowi za ciebie.

— Eloise! — wykrzyknęła panna Featherington, rzucając w nią poduszką. W istocie sama dziękowała losowi za Eloise. Codziennie. Wiele kobiet nigdy w życiu nie poznało przyjaźni, tymczasem ona miała kogoś, komu mogła wyznać wszystko. No, prawie wszystko. Nigdy nie opowiedziała o swych uczuciach do Colina, choć przypuszczała, że Eloise domyśla się prawdy. Przyjaciółka była jednak zbyt taktowna, aby o tym wspominać, co tylko utwierdzało Penelopę w przekonaniu, że Colin nigdy jej nie pokocha. Gdyby jego siostra choć przez moment sądziła, że ich związek jest możliwy, swatałaby ich z konsekwencją i uporem, który zaimponowałby każdemu generałowi. W takich przypadkach panna Bridgerton okazywała się raczej władczą osóbką.

— …opowiadał mi, że morze było tak wzburzone, iż zwrócił cały posiłek za burtę, a potem… — Eloise skrzywiła się lekko. — Nie słuchasz mnie.

— Nie — przyznała Penelopa. — A właściwie jednym uchem. Nie mogę uwierzyć, że Colin opowiadał ci, jak wymiotował.

— Jestem w końcu jego siostrą.

— Byłby wściekły, gdyby się dowiedział, że mi to powtórzyłaś.

Eloise machnęła lekceważąco ręką.

— Mama spytała go, naturalnie, czy zamierza pozostać w domu przez cały sezon — ciągnęła — a on, jak zwykle, wymigał się od odpowiedzi. Wtedy postanowiłam wybadać go sama…

— Wyjątkowo sprytne z twojej strony — mruknęła Penelopa.

Przyjaciółka odrzuciła jej poduszkę.

— Wydobyłam z niego wreszcie, że zostanie przynajmniej kilka miesięcy. Kazał mi jednak obiecać, że nie powiem mamie.

— Ależ to nie jest… — Penelopa odchrząknęła — …szczególnie

roztropne z jego strony. Jeśli wasza matka będzie myślała, że zostanie krócej, zdwoi wysiłki, aby go jak najszybciej ożenić, a wydaje mi się, że tego właśnie chciał uniknąć.

— Zdaje się, że robi to przez całe życie — zgodziła się Eloise.

— Gdyby uśpił jej czujność, udając, że donikąd się nie spieszy, być może nie nękałaby go tak bardzo.

— Interesujący pomysł — mruknęła panna Bridgerton. — Jednak tylko jako teoria, a nie praktyka. Moja matka tak bardzo pragnie ujrzeć go na ślubnym kobiercu, że doprawdy nie sprawi to najmniejszej różnicy, jeśli zdwoi wysiłki. To, co robi w tej chwili, wystarczy, aby doprowadzić go do szału.

— A czy można doprowadzić kogoś do podwójnego szału? — zadumała się Penelopa.

Eloise przechyliła głowę.

— Nie wiem — odparła. — Nie jestem pewna nawet, czy chcę wiedzieć.

Przez chwilę milczały obie (rzadkie zjawisko w ich przypadku), gdy niespodzianie panna Bridgerton zerwała się z miejsca.

— Muszę już iść — zawołała.

Eloise często i nagle zmieniała zdanie, lecz Penelopa wiedziała, że tym razem chodzi o coś innego. Kiedy jej przyjaciółka coś sobie umyśliła, nic nie było w stanie jej od tego odwieść. A zatem, jeśli nagle zapragnęła wyjść, musiało to mieć coś wspólnego z ich rozmową i…

— Colin powinien wrócić na herbatę — wyjaśniła Eloise. Panna Featherington uśmiechnęła się. Lubiła mieć rację. — Powinnaś pójść ze mną — dodała przyjaciółka.

Penelopa pokręciła głową.

— To spotkanie rodzinne.

— Właściwie masz rację — zgodziła się Eloise, lekko kiwając głową. —

No cóż, przykro mi niezmiernie, że muszę skrócić tak miłą wizytę, ale chciałam tylko, abyś wiedziała, że Colin jest już w domu.

— „Whistledown” — przypomniała jej Penelopa.

— Racja. Ciekawe, skąd ta kobieta czerpie informacje? — mruknęła Eloise, kręcąc głową z podziwem. — Przysięgam, nieraz wydaje mi się, że wie o mojej rodzinie tak wiele… zastanawiam się, czy nie powinnam się bać.

— To przecież nie będzie trwało wiecznie — odparła Penelopa, wstając, aby odprowadzić gościa. — Ktoś wreszcie domyśli się, kim ona jest, nie sądzisz?

— Nie wiem. — Panna Bridgerton położyła dłoń na klamce. — Kiedyś też tak sądziłam, ale to trwa już dziesięć lat. Właściwie więcej. Gdyby ktoś miał ją rozszyfrować, myślę, że już to by się stało.

Penelopa ruszyła za Eloise na dół.

— Kiedyś wreszcie popełni błąd. Musi. Jest tylko człowiekiem.

Jej przyjaciółka zaśmiała się.

— Proszę, a ja myślałam, że to pośledniejsza bogini.

Penelopa uśmiechnęła się tylko.

Eloise zatrzymała się i okręciła na pięcie tak nagle, że Penelopa wpadła na nią, co omal nie skończyło się upadkiem obu ze schodów.

— Wiesz co? — zapytała.

— Nawet się nie domyślam.

Eloise nie miała najmniejszego zamiaru się obrażać.

— Założę się, że już popełniła błąd.

— Słucham?

— Sama to powiedziałaś. Przez ponad dziesięć lat wypisuje te swoje pamflety. Może to ona, a może on. Tak czy inaczej nikt nie mógłby tego robić tak długo, nie popełniając błędu. Wiesz, co myślę?

Penelopa rozłożyła tylko ręce z lekkim zniecierpliwieniem.

— Sądzę, że jesteśmy zbyt głupie, aby zauważyć jej pomyłki.

Penelopa wytrzeszczyła na nią oczy, po czym parsknęła śmiechem.

— Och, Eloise — zawołała, ocierając łzy. — Kocham cię, naprawdę.

Przyjaciółka zachichotała.

— Bardzo to miłe z twojej strony, że kochasz taką starą pannę. Kiedy skończymy trzydziestkę i staniemy się prawdziwymi starymi wiedźmami, powinnyśmy zamieszkać razem.

Panna Featherington chwyciła się tej myśli jak ostatniej deski ratunku.

— Myślisz, że naprawdę mogłybyśmy? — zawołała, po czym rozejrzała się wokół i ściszyła nagle głos: — Mama coraz częściej zaczyna wspominać o swoim podeszłym wieku. To niepokojące.

— A co w tym niepokojącego?

— Zajmuję poczesne miejsce w jej wizjach jako służąca do wszystkiego.

— O nie…

— Mnie przyszedł do głowy okrzyk znacznie mniej subtelny.

— Penelopo! — zawołała Eloise, ale roześmiała się.

— Kocham moją matkę — dodała Penelopa.

— Wiem o tym — odparła Eloise uspokajającym tonem.

— Naprawdę.

Lewy kącik ust panny Bridgerton zaczął drgać lekko.

— Ależ wiem, że ją kochasz. Naprawdę.

— Chodzi tylko o to, że…

Przyjaciółka uniosła dłoń.

— Nie musisz mówić już nic więcej. Doskonale cię rozumiem. I… Och, witam panią, pani Featherington!

— Eloise — zawołała Portia, kierując się w ich stronę. — Nie wiedziałam, że tu jesteś.

— Wśliznęłam się ukradkiem, jak zwykle — odparła Eloise. — Wręcz bezczelnie.

Pani domu obdarzyła ją pobłażliwym uśmiechem.

— Słyszałam, że twój brat wrócił już do miasta.

— Tak, wszyscy nie posiadamy się z radości.

— Z pewnością, zwłaszcza twoja matka.

— W istocie. Jest niezmiernie podniecona. Sądzę, że już przygotowuje listę.

Pani Featherington ożywiła się nagle, jak zwykle na wzmiankę o czymś, co można było uznać za plotkę.

— Listę? Jaką listę?

— Och, wie pani, taką samą, jaką robiła dla wszystkich swoich dorosłych dzieci. Potencjalne kandydatki na małżonki, takie tam.

— Zaczynam się zastanawiać — odparła Portia oschle — co może oznaczać „takie tam”.

— Nieraz dołącza jedną lub dwie osoby, które uważa za kompletnie nieodpowiednie, aby podkreślić zalety tych prawdziwych kandydatek.

Portia zaśmiała się.

— Penelopo, może i ciebie wprowadzi na listę dla Colina!

Jej córka nie podzielała tej wesołości. Eloise także nie. Pani Featherington wydawała się jednak tego nie zauważać.

— Lepiej już pójdę — rzekła Eloise, odchrząkując z lekka, aby przerwać krępującą ciszę. — Colin powinien zjawić się na herbacie i mama chce, aby cała rodzina była obecna.

— Zmieścicie się wszyscy? — zapytała Penelopa. Dom lady Violetty był duży, ale dzieci, małżonkowie i wnukowie Bridgertonów stanowili aż dwudziestodwuosobową grupę.

— Pojedziemy do Bridgerton House — wyjaśniła Eloise.

Jej matka wyprowadziła się z oficjalnej londyńskiej rezydencji Bridgertonów po ślubie najstarszego syna. Anthony, który był wicehrabią od osiemnastego roku życia, próbował nakłonić ją, aby została, lecz ona uparła się, że młodzi potrzebują prywatności. Ostatecznie Anthony i Kate pozostali w Bridgerton House wraz z trójką dzieci, a Violetta, wraz z resztą potomstwa (z wyjątkiem Colina, który miał własne apartamenty), zamieszkała opodal, na Bruton Street 5. Po prawie roku daremnych prób nadania nazwy nowemu domowi rodzina zaczęła mówić o nim po prostu Numer Piąty.

— Miłej zabawy — rzekła Portia. — Muszę znaleźć Felicytę, spóźnimy się do modystki.

Eloise spoglądała w ślad za nią, po czym mruknęła do Penelopy:

— Twoja siostra wydaje się spędzać u modystki bardzo dużo czasu.

Penelopa wzruszyła ramionami.

— Felicyta dostaje szału od tych przymiarek, ale jest ostatnią nadzieją mamy na prawdziwie dobrą partię. Obawiam się, że mama wierzy, iż Felicyta ma szansę poślubić księcia, byle tylko miała na sobie odpowiednią suknię.

— Czy ona nie jest zaręczona z panem Albansdale’em?

— Przypuszczam, że w przyszłym tygodniu on oficjalnie się oświadczy, ale do tej pory mama woli mieć wolną rękę. — Wzniosła oczy ku niebu. — Lepiej ostrzeż brata, żeby się trzymał z daleka.

— Gregory? — z niedowierzaniem spytała Eloise. — Przecież on jeszcze nie skończył szkół!

— Colin.

— Colin? — Eloise parsknęła śmiechem. — A to paradne!

— To samo jej powiedziałam, ale wiesz, jaka ona jest, kiedy już coś sobie wbije do głowy.

Panna Bridgerton zachichotała.

— Zdaje się, że jest w tym podobna do mnie.

— Nie ustąpi do samego końca.

— Nieustępliwość to niekiedy dobra rzecz — przypomniała jej Eloise. — Byle w odpowiednim czasie.

— O tak — odparła Penelopa z sarkastycznym uśmieszkiem. — W nieodpowiednim czasie może być prawdziwym koszmarem.

Eloise roześmiała się.

— Uśmiechnij się, przyjaciółko. Przynajmniej pozwoliła ci pozbyć się tych strasznych żółtych sukienek.

Penelopa spojrzała na swój poranny strój w przyjemnym i twarzowym odcieniu błękitu.

— Przestała wybierać mi ubrania, kiedy ostatecznie zrozumiała, że wyszłam z obiegu. Dziewczyna bez szans na zamążpójście nie jest warta takiego zachodu. Już od roku nie bywa ze mną u modystki, cóż za błogosławieństwo!

Panna Bridgerton uśmiechnęła się do przyjaciółki, której karnacja nabierała natychmiast uroczych brzoskwiniowo-śmietankowych odcieni, skoro tylko znalazła się w oprawie chłodnych barw.

— Wszyscy to zauważyli już od chwili, kiedy pozwolono ci samej wybierać stroje. Nawet lady Whistledown musiała to skomentować!

— Ukryłam przed mamą ten artykuł — wyznała Penelopa. — Nie chciałam, aby poczuła się zraniona.

Eloise zamrugała.

— To bardzo ładnie z twojej strony.

— Niekiedy stać mnie na odruch miłosierdzia i łaski.

— Można by pomyśleć — prychnęła Eloise — że miłosierdzie i łaskę wypada posiadać, lecz nie wypada ich okazywać.

Penelopa zasznurowała usta i popchnęła swego gościa w kierunku drzwi.

— Czy nie oczekują cię w domu?

— Idę, już idę!

Colin Bridgerton pociągnął łyk doskonałej brandy i pomyślał, że raczej przyjemnie jest być znowu w Anglii.

Dziwiło go to niezmiernie, lecz lubił powroty prawie tak samo jak wyjazdy. Za kilka miesięcy — sześć, nie więcej — znowu będzie marzył o wyjeździe, lecz na razie Anglia była dla niego cudownym miejscem.

— Dobra, nieprawdaż?

Colin podniósł wzrok. Jego brat Anthony stał oparty o blat potężnego mahoniowego biurka i wskazywał na własną szklankę.

Colin skinął głową.

— Nie miałem pojęcia, jak mi tego brakowało… aż do teraz. Ouzo ma swoje uroki, ale… — spojrzał na złocisty płyn — ale to jest raj.

Anthony uśmiechnął się smutno.

— Jak długo zamierzasz pozostać tym razem?

Colin podszedł do okna, udając, że wygląda na zewnątrz. Starszy brat z wielkim trudem ukrywał zniecierpliwienie. Właściwie nie dziwił mu się. Listy dochodziły rzadko i z opóźnieniem. Rodzina musiała czekać na wieści od niego nieraz cały miesiąc, a nawet dwa. Nie chciałby być na ich miejscu — zamartwiać się, czy ukochana osoba żyje, czy jest zdrowa, nieustannie czekać na przybycie posłańca. Współczuł im, lecz to nie wystarczało, aby zatrzymać go w Anglii.

Od czasu do czasu musiał po prostu uciec. Inaczej nie potrafił tego określić.

Uciec od towarzystwa, które uważało go za czarującego łobuza i nic więcej, uciec od Anglii, która zachęcała młodzieńców jedynie do kariery

wojskowej lub duchownej. Od rodziny, która kochała go bez zastrzeżeń, lecz nie miała pojęcia o tym, że w głębi serca po prostu chciał coś robić.

Jego brat Anthony był wicehrabią, z czym wiązały się liczne obowiązki. Prowadzenie majątku, zarządzanie rodzinnymi finansami, dbanie o dobrobyt licznych dzierżawców i służby. Benedict, starszy od Colina o cztery lata, zdobył sobie uznanie jako artysta. Zaczął od ołówka i papieru, ale za namową żony spróbował swoich sił w oleju. Jeden z jego pejzaży zdobił teraz Galerię Narodową.

Anthony zawsze znajdzie swoje miejsce w rodzinnych drzewach genealogicznych jako siódmy wicehrabia Bridgerton, Benedict przetrwa w pamięci potomnych dzięki swoim obrazom.

A Colin nie miał nic. Zarządzał niewielkim majątkiem podarowanym mu przez rodzinę i chadzał na przyjęcia. Nie mógł powiedzieć, że się nie bawi, ale czasem chciał czegoś więcej niż tylko zabawy.

Pragnął celu w życiu.

Pragnął pozostawić jakąś spuściznę.

Pragnął wiedzieć, a przynajmniej mieć nadzieję, że kiedy umrze, wspomnienie o nim zachowa się nie tylko w „Kronice Towarzyskiej Lady Whistledown”.

Westchnął. Nic dziwnego, że spędzał tyle czasu w podróży.

— Colin?

Spojrzał na brata i zamrugał. Był pewien, że Anthony zadał mu jakieś pytanie, ale chyba go nie usłyszał.

— Och, racja — odchrząknął. — No cóż, zostanę z pewnością do końca sezonu.

Anthony nic nie odpowiedział, ale nie sposób było nie dostrzec satysfakcji, jaka odmalowała się na jego twarzy.

— Choćby tylko po to, żeby porozpieszczać twoje dzieciaki — dodał

Colin, ozdabiając twarz słynnym, krzywym uśmieszkiem. — Uważam, że Charlotta ma stanowczo zbyt mało lalek.

— Tylko około pięćdziesięciu — zgodził się Anthony śmiertelnie poważnym tonem. — Biedne dziecko jest straszliwie zaniedbane.

— Ma urodziny pod koniec miesiąca, prawda? Muszę jeszcze ją trochę zaniedbać, jak sądzę.

— A skoro już mowa o urodzinach — wtrącił Anthony, rozsiadając się w fotelu za biurkiem. — Od niedzieli za tydzień są urodziny mamy.

— A jak sądzisz, dlaczego tak spieszyłem się z powrotem?

Brat uniósł brew i Colin miał niejasne wrażenie, że zastanawia się, czy istotnie chodziło tu o urodziny matki, czy też był to jedynie szczęśliwy zbieg okoliczności.

— Zamierzamy wydać przyjęcie na jej cześć — wyjaśnił Anthony.

— Pozwoli ci? — Colin z doświadczenia wiedział, że od pewnego wieku damy niechętnie świętują urodziny. A choć ich matka była wciąż bardzo piękną kobietą, bez wątpienia osiągnęła już pewien wiek.

— Musieliśmy uciec się do szantażu — przyznał Anthony. — Albo przyjęcie urodzinowe, albo ujawnimy jej prawdziwy wiek.

Colin nie powinien był akurat w tym momencie brać do ust brandy. Zakrztusił się i omal nie obryzgał nią brata.

— Chciałbym to widzieć — wyznał.

Wicehrabia uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją.

— To było z mojej strony genialne posunięcie.

Colin szybko dopił drinka.

— Jak sądzisz, istnieje jakaś nadzieja, że nie wykorzysta tego przyjęcia, aby znaleźć mi żonę?

— Niewielka, naprawdę niewielka.

— Tak myślałem.

Anthony odchylił się w fotelu.

— Wiesz, bracie, ostatecznie jednak masz już trzydzieści trzy lata.

Colin spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— Bogowie, przynajmniej ty nie zaczynaj…

— Ani mi się śni! Chciałem jedynie zasugerować, żebyś tym razem miał oczy otwarte. Nie musisz szukać żony, ale nic by się nie stało, gdybyś choć liczył się z taką możliwością.

Colin ujrzał drogę ucieczki i postanowił z niej czym prędzej skorzystać.

— Zapewniam cię, że myśl o małżeństwie bynajmniej nie jest mi wstrętna.

— Nigdy tak nie uważałem — zaprzeczył Anthony.

— Jednak nie widzę powodu do pośpiechu.

— Nigdy nie ma powodu do pośpiechu — zgodził się brat. — A w każdym razie nieczęsto. Ale zrób mamie przyjemność, dobrze?

Colin nie zdawał sobie sprawy, że wciąż trzyma w palcach pustą szklankę, dopóki nie wyśliznęła mu się z ręki i nie wylądowała z głuchym stukiem na dywanie.

— Boże… — wyszeptał. — Czy mama jest chora?

— Nie — odparł Anthony, podnosząc głos z zaskoczenia. — Przeżyje nas wszystkich, zapewniam cię.

— Więc o co chodzi?

Wicehrabia westchnął.

— Chciałbym tylko, żebyś był szczęśliwy.

— Ależ jestem — zapewnił go Colin.

— Na pewno?

— Do licha, jestem najszczęśliwszym człowiekiem w Londynie. Poczytaj sobie lady Whistledown. Powie ci to samo.

Anthony spojrzał na papiery na biurku.

— Może nie w tym wydaniu, ale weź jakiekolwiek inne z zeszłego roku. Nazwała mnie czarującym więcej razy niż lady Danbury stronniczą, a obaj wiemy, co to za osiągnięcie.

— Czarujący to nie to samo, co szczęśliwy — cicho zauważył Anthony.

— Nie mam na to czasu — mruknął Colin. Nigdy bardziej niż w tej chwili nie pragnął znaleźć się po drugiej stronie drzwi.

— Gdybyś był naprawdę szczęśliwy, nie wyjeżdżałbyś tak często — upierał się brat.

Colin zatrzymał się z ręką na klamce.

— Ale ja lubię podróżować.

— Nieustannie?

— Widocznie tak, inaczej bym tego nie robił.

— Jeśli kiedykolwiek słyszałem bardziej wymijającą odpowiedź…

— Tak, a to jest unik. — Colin uśmiechnął się złośliwie.

— Colinie!

Drzwi zamknęły się lekko.

2

W towarzystwie zawsze modne było uskarżanie się na nudę, lecz w tym sezonie wydaje się, że pojęcie to zostało wyniesione do rangi sztuki samej w sobie. Nie ma takiego wydarzenia towarzyskiego, którego ktoś nie określiłby natychmiast „straszliwie monotonnym” lub „beznadziejnie banalnym”. Istotnie. Autorka została poinformowana nawet, że Cressida Twombley oznajmiła niedawno, iż umrze z nudów, jeśli zmuszą ją do uczestniczenia w kolejnym fałszywie odśpiewanym amatorskim koncercie.

(I tu Autorka musi się zgodzić z lady Twombley w tym względzie: tegoroczne debiutantki stanowią miły dla oka obrazek, ale żadna z nich nie potrafi przyzwoicie śpiewać). Wydaje się, że jedynym antidotum na ten atak melancholii może być niedzielne przyjęcie w Bridgerton House. Cała rodzina i jakaś setka najbliższych przyjaciół zbierze się, aby uczcić urodziny wicehrabiny.

Podobno wspominanie wieku damy jest uznawane za gafę, więc Autorka nie wyjawi, które urodziny obchodzi lady Bridgerton.

Ale nie obawiajcie się! Autorka wie!

„Kronika Towarzyska Lady Whistledown”,
9 kwietnia 1824

Staropanieństwo to słowo, które wzbudza albo panikę, albo litość, ale Penelopa powoli zdawała sobie sprawę z tego, że wolny stan ma również swoje zalety.

Po pierwsze, od starej panny nikt naprawdę nie oczekiwał udziału

w tańcach, więc nie musiała nieustannie krążyć wokół sali tanecznej, rzucając spojrzenia to tu, to tam i udając, że właściwie nie chce tańczyć. Teraz mogła spokojnie usiąść z boku wśród innych starych panien i przyzwoitek. Oczywiście, chciała, lubiła i umiała tańczyć — co zdawało się umykać uwadze towarzystwa, lecz o ileż łatwiej było udawać brak zainteresowania w pewnej odległości od walcujących par.

Po drugie, znacznie zmalała ilość czasu spędzanego na nudnych konwersacjach. Odkąd pani Featherington oficjalnie porzuciła nadzieję, że córka złapie męża, przestała podtykać ją pod nos każdemu trzeciorzędnemu kawalerowi. Portia nigdy nie podejrzewała Penelopy o chęć przyciągnięcia uwagi najlepszych albo tych nieco gorszych partii i zapewne miała rację, jednak większość młodzieńców zyskała opinię „trzeciorzędnych” ze względu na osobowość lub zgoła jej brak. A to z kolei w połączeniu z wrodzoną nieśmiałością Penelopy wobec obcych sprawiało, że konwersacja daleka była od błyskotliwej.

Mogła też znowu zacząć jeść. Biorąc pod uwagę ilość i jakość potraw serwowanych na balach w „towarzystwie”, zawsze doprowadzało ją do szału przekonanie, że kobieta polująca na męża powinna mieć apetyt jak ptaszek. Teraz wbijała zęby w najpyszniejszego eklera po tej stronie kanału La Manche, z ogromną satysfakcją myśląc o tej najwspanialszej z zalet staropanieństwa.

— Bogowie — jęknęła. Gdyby grzech mógł przybrać materialną postać, z pewnością przybrałby formę ciastka. Najlepiej w czekoladzie.

— Dobre, co?

Panna Featherington zakrztusila się eklerem i odkaszlnęła. Drobniutka fontanna kremu poszybowała w powietrze.

— Colin — jęknęła Penelopa, modląc się gorączkowo, aby największa z kropel wyminęła jego ucho.

— Penelopa — uśmiechnął się ciepło. — Jak miło cię widzieć.

— Ciebie też.

Zakołysal się na piętach — raz, drugi, trzeci — wreszcie rzekł:

— Świetnie wyglądasz.

— Ty również — odparła, zastanawiając się, gdzie i jak odłożyć eklera, żeby nieco ożywić konwersację.

— Ładna sukienka — pochwalił, wskazując gestem jej zieloną, jedwabną kreację.

Uśmiechnęła się smutno.

— Nie jest żółta — wyjaśniła.

— Nie jest — zaśmiał się i lody pękły. Było to dziwne zjawisko, Penelopa zawsze sądziła, że w towarzystwie mężczyzny, którego kocha bez wzajemności, nie będzie w stanie wykrztusić ani słowa. W zachowaniu Colina było jednak coś, co ułatwiało rozmowę.

Może właśnie dlatego, że go kochała, czuła się przy nim tak dobrze i swobodnie.

— Eloise mówiła, że świetnie się bawiłeś na Cyprze — zaczęła.

Uśmiechnął się.

— Nie mogłem się oprzeć urokowi kolebki Afrodyty.

Penelopa mimowolnie odpowiedziała mu uśmiechem.

Jego dobry nastrój był zaraźliwy, choć nie miała najmniejszego zamiaru podejmować dyskusji na temat bogini miłości.

— Czy tam jest tak słonecznie, jak powiadają? — zapytała. — Nie, cofam pytanie. Widzę po twojej twarzy, że tak.

— Rzeczywiście, opaliłem się trochę — odparł z lekkim ukłonem. — Mama omal nie zemdlała, kiedy mnie zobaczyła.

— Zapewne z zachwytu — z emfazą odparła Penelopa. — Strasznie za tobą tęskni, kiedy podróżujesz.

Pochylił się nad nią.

— Penelopo, daj spokój, choć ty nie zaczynaj, dobrze? Najpierw mama, potem Anthony, Eloise i Daphne… umrę w końcu z poczucia winy.

— A Benedict nie? — Nie mogła się powstrzymać od lekkiej drwiny.

Rzucił jej odrobinę zachmurzone spojrzenie.

— Wyjechał z miasta.

— Ach, to wyjaśnia jego milczenie.

Spojrzenie Colina spod przymrużonych powiek doskonale podkreślało wymowę skrzyżowanych ramion.

— Zawsze byłaś impertynencka, wiesz o tym?

— Doskonale się z tym kryję — odparła skromnie.

— Teraz rozumiem, czemu się tak przyjaźnicie z moją siostrą — dodał oschłym tonem.

— Domyślam się, że to miał być komplement?

— Z pewnością narażałbym na szwank swoje zdrowie, gdybym miał inny zamiar.

Penelopa stała przez chwilę w nadziei, że wymyśli jakąś inteligentną odpowiedź, kiedy usłyszała dziwny odgłos. Spojrzała w dół i z przerażeniem stwierdziła, że z nadgryzionego eklera wydostała się wielka, żółtawa kropla kremu, która wylądowała właśnie na nieskazitelnie czystej drewnianej podłodze.

Podniosła wzrok na Colina. Jego nieprzyzwoicie zielone oczy błyszczały śmiechem, choć usta zachowywały poważny wyraz.

— Cóż za wstyd — mruknęła, czując, że nazwanie sprawy po imieniu to jedyne, co może uczynić przed zapadnięciem się pod ziemię.

— Proponuję — podsunął Colin, unosząc brew z absolutną powagą — abyśmy umknęli z miejsca zbrodni.

Penelopa spojrzała na puste ciastko, które wciąż trzymała w palcach.

Colin odpowiedział jej skinieniem głowy w kierunku najbliższej rośliny w doniczce.

— Nie! — szepnęła, wytrzeszczając oczy.

Pochylił się bliżej.

— To wyzwanie.

Nerwowo spoglądała to na eklera, to na roślinę, po czym znów w twarz Colina.

— Nie mogę — rzekła wreszcie.

— Jest tyle innych brzydkich rzeczy, a to nic szczególnego — zauważył.

Było to wyraźne wyzwanie. Penelopa zwykle nie była wrażliwa na takie dziecinne wybiegi, ale półuśmieszkowi Colina trudno się było oprzeć.

— Doskonale — rzekła, prostując ramiona, i rzuciła ciastko do doniczki. Odstąpiła na krok, przyjrzała się swemu dziełu, zerknęła wokół, czy nikt oprócz Colina jej nie obserwuje, po czym pochyliła się i obróciła doniczkę tak, aby liściasta gałąź skryła dowód jej winy.

— Nie przypuszczałem, że się na to zdobędziesz.

— Sam powiedziałeś, że to nic takiego.

— Nie, ale to ulubiona palma mojej matki.

— Colinie! — Penelopa okręciła się na pięcie, gotowa zanurzyć dłoń w doniczce, aby wydobyć ciastko. — Jak mogłeś mi… czekaj chwilę! — Wyprostowała się, mrużąc oczy. — To nie jest palma.

— Nie? — Spojrzał na nią jak wcielenie niewinności.

— To miniaturowe drzewko pomarańczowe.

Zamrugał.

— Naprawdę?

Nadąsała się. Miała nadzieję, że jej się udało. Trudno było się dąsać na Colina Bridgertona. Nawet jego własna matka przyznała kiedyś, że nie potrafi go złajać.

Uśmiechał się wtedy ze skruszoną miną, bąkał coś zabawnego i człowiek po prostu nie miał serca dłużej się gniewać. Po prostu nie miał serca.

— Próbujesz wzbudzić we mnie poczucie winy — zauważyła.

— Każdemu może się zdarzyć, że pomyli palmę z drzewkiem pomarańczowym.

Z trudem powstrzymała się przed wzniesieniem oczu ku niebu.

— Oczywiście, jeśli nie liczyć pomarańczy.

Zagryzł dolną wargę z zadumą w oczach.

— Tak, hm… pomarańcze trochę by ją zdradzały…

— Jesteś strasznie nędznym kłamcą, wiedziałeś o tym?

Wyprostował się, lekko obciągając kamizelkę, i wysunął w przód podbródek.

— Doprawdy, jestem znakomitym kłamcą. Ale jeszcze lepiej umiem przybrać odpowiednio pokorną i uroczą minę, kiedy mnie przyłapią.

Penelopa przez chwilę zastanawiała się, co powinna odpowiedzieć. Z pewnością nie było drugiego człowieka równie uroczo pokornego (czy pokornie uroczego?) jak Colin Bridgerton, stojący teraz z rękami założonymi za plecy i wzrokiem niewinnie omiatającym sufit.

— Czy kiedykolwiek cię karano, gdy byłeś dzieckiem? — zapytała, nagle zmieniając temat.

Colin natychmiast stanął na baczność.

— Słucham?

— Czy w dzieciństwie kiedykolwiek cię karano? — powtórzyła. — A teraz bywasz kiedykolwiek karany?

Colin wpatrywał się w nią, zastanawiając się, czy wie, o co właściwie jej chodzi. Prawdopodobnie nie.

— Eee… — mruknął po to tylko, żeby powiedzieć cokolwiek.

Westchnęła nieco protekcjonalnie.

— Tak właśnie myślałam, że nie.

Gdyby był mniej pobłażliwy, gdyby to był ktokolwiek inny niż Penelopa Featherington, o której wiedział, że nie ma w sobie ani krzty złośliwości, byłby się obraził. Ale był człowiekiem wyjątkowo łagodnego usposobienia, a to była Penelopa Featherington, wierna przyjaciółka jego siostry od Bóg jeden wie ilu lat. Zamiast zatem objąć ją twardym, cynicznym spojrzeniem (musiał przyznać, że ten wyraz twarzy nie wychodził mu najlepiej), uśmiechnął się tylko i mruknął:

— A o co chodzi?

— Nie sądź, że zamierzam krytykować twoich rodziców — odparła z niewinnym, lecz zarazem przebiegłym wyrazem twarzy. — Nigdy nie odważyłabym się sugerować, że jesteś rozpieszczony…

Skinął głową z wdziękiem.

— Chodzi tylko o to… — Pochyliła się ku niemu, jakby chcąc podzielić się sekretem. — Wydaje mi się, że gdybyś chciał, nawet morderstwo uszłoby ci na sucho.

Odkaszlnął, nie, nie po to, żeby odzyskać głos, ani też nie dlatego, żeby źle się poczuł, lecz raczej z wielkiego zaskoczenia. Penelopa była dziwną osóbką. Nie, to nie to słowo. Była… zaskakująca. Tak, to właściwe określenie. Niewiele osób znało ją naprawdę. Z pewnością nigdy nie cieszyła się opinią błyskotliwej rozmówczyni. Był pewien, że nawet na najdłuższych przyjęciach rzadko używała innych słów niż jednosylabowe.

Kiedy jednak znajdowała się w towarzystwie kogoś, z kim czuła się dobrze — a Colin zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie jako jedyny może się cieszyć tym przywilejem — ujawniała błyskotliwy dowcip, na jej twarzy pojawiał się przekorny uśmiech i wszelkie inne dowody wielkiej inteligencji.

Nie był zdziwiony, że nigdy nie miała prawdziwych konkurentów. Nie

była żadną pięknością, choć po bliższym przyjrzeniu się znalazł ją dzisiaj o wiele ładniejszą, niż podpowiadała mu pamięć. Jej kasztanowe włosy miały rudy odcień, podkreślony migoczącym blaskiem świec. Miała też piękną cerę — doskonały melanż brzoskwini i śmietanki, który inne damy daremnie próbowały uzyskać za pomocą arszeniku.

Uroda Penelopy nie należała do tych, które przyciągają męskie spojrzenia, a nieśmiałe zachowanie nie ujawniało interesującej osobowości. Szkoda, że była tak mało popularna. Mogłaby stać się dla kogoś wspaniałą żoną.

— Twierdzisz zatem — rzekł w zadumie, kierując myśli z powrotem na temat rozmowy — że powinienem rozważyć karierę przestępcy?

— Nic podobnego — odparła z pełnym godności uśmiechem — ale podejrzewam, że wywinąłbyś się z każdej opresji. — I nagle, nieoczekiwanie spoważniała, dodając cicho: — Zazdroszczę ci tego.

Colin sam się zdziwił, kiedy stwierdził, że wyciąga ku niej rękę.

— Penelopo Featherington, sądzę, że powinniśmy zatańczyć.

A wtedy Penelopa zdumiała go jeszcze bardziej, kiedy roześmiała się i odparła:

— To uroczo z twojej strony, ale już nie musisz mnie zapraszać do tańca.

Poczuł się dziwnie urażony tymi słowami.

— Co, u licha, masz na myśli?

Wzruszyła ramionami.

— Teraz już oficjalnie jestem starą panną. Nie musisz tańczyć ze mną tylko po to, żebym nie czuła się osamotniona.

— Nie dlatego prosiłem cię do tańca — zaprotestował, ale wiedział, że Penelopa ma rację. A do tego zdawał sobie sprawę, że w pięciu przypadkach na dziesięć zapomniałby o tym, gdyby matka nie trąciła go — mocno! — w plecy.

Obrzuciła go wzrokiem pełnym politowania, co go zirytowało. Nie przypuszczał, że będzie się nad nim litowała Penelopa Featherington.

— Jeśli sądzisz, że pozwolę, abyś teraz wywinęła się od tańca — rzekł, sztywniejąc — to żywisz niepotrzebne złudzenia.

— Nie musisz tańczyć ze mną tylko po to, aby mi udowodnić, że to nie sprawia ci przykrości — odparła.

— Chcę z tobą zatańczyć — rzekł niemal groźnie.

— Doskonale — odparła po dłuższej chwili. — Odmawiając, okazałabym chyba grubiaństwo.

— Grubiaństwem z twojej strony było już zwątpienie w moje intencje — odparł, biorąc ją pod ramię. — Ale chętnie ci wybaczę, jeśli i ty potrafisz wybaczyć sobie.

Potknęła się, co wywołało na jego twarzy lekki uśmiech.

— Sądzę, że dam radę — wykrztusiła.

— Doskonale — uśmiechnął się uprzejmie. — Nie chciałbym, żebyś żyła w poczuciu winy.

Muzyka właśnie zaczęła grać. Penelopa ujęła jego dłoń i dygnęła. Ruszyli do menueta. Trudno było rozmawiać w trakcie tańca, dzięki czemu Penelopa miała kilka chwil, aby odetchnąć i pozbierać myśli.

Może postąpiła z Colinem zbyt ostro. Nie powinna była ganić go za zaproszenie, skoro tańce z nim należały do najmilszych wspomnień. Jakie to miało znaczenie, jeśli nawet tańczył z nią z litości? Byłoby chyba gorzej, gdyby nigdy jej nie poprosił.

Skrzywiła się. Co gorsza, to by oznaczało, że powinna przeprosić.

— Czy to ciastko było nieświeże? — zapytał Colin, kiedy w kolejnej figurze tańca znaleźli się blisko siebie.

Minęło pełne dziesięć sekund, zanim mogła mu odpowiedzieć:

— Słucham?

— Wyglądasz, jakbyś połknęła coś niesmacznego — zauważył, tym razem na głos. Widocznie stracił cierpliwość i nie miał zamiaru czekać, aż taniec ponownie umożliwi im rozmowę.

Kilkoro tancerzy obejrzało się na nich i dyskretnie rozstąpiło się, jakby Penelopa rzeczywiście mogła rozchorować się pośrodku sali balowej.

— Musisz o tym oznajmiać całemu światu? — syknęła.

— Wiesz — odparł w zadumie, składając jej elegancki ukłon. Taniec dobiegał końca, rozbrzmiewały ostatnie takty. — To był najgłośniejszy szept, jaki słyszałem.

Był nieznośny, ale Penelopa nie miała zamiaru mu tego mówić, bo zabrzmiałoby to niczym kwestia postaci z bardzo tandetnej i bardzo romantycznej powieści. Właśnie skończyła nowelę, której bohaterka powtarzała to słowo (lub jeden z jego synonimów) co drugą stronicę.

— Dziękuję za taniec — rzekła, kiedy zeszli z parkietu. Omal nie dodała: Możesz już zameldować mamie, że wypełniłeś obowiązek towarzyski, ale natychmiast pożałowała swej porywczości. Colin nie uczynił nic, aby zasłużyć sobie na taki sarkazm. To nie jego wina, że mężczyźni zwykle tańczą z kobietami wyłącznie zmuszeni przez swoje matki. Przynajmniej wypełniał obowiązek z uśmiechem, a to było więcej, niż można powiedzieć o większości męskiej populacji.

Skinął głową uprzejmie i wymamrotał jakieś podziękowanie. Mieli właśnie pójść każde w swoją stronę, kiedy usłyszeli za plecami donośny głos kobiecy:

— Panie Bridgerton!

Zamarli oboje. Poznali ten głos. Wszyscy go znali.

— Ratunku! — jęknął Colin.

Penelopa spojrzała przez ramię i spostrzegła sławetną lady Danbury,

która przeciskała się przez tłum w ich kierunku. Skrzywiła się, widząc, jak laska damy wbija się w stopę jakiejś nieszczęśnicy.

— Może chodzi jej o innego pana Bridgertona — podsunęła. — W końcu jest was paru, to możliwe…

— Dostaniesz dziesięć funtów, jeśli mnie teraz nie opuścisz — wypalił Colin.

Penelopa zachłysnęła się z wrażenia.

— Nie bądź głupi…

— Dwadzieścia.

— Załatwione! — odparła z uśmiechem, nie dlatego, żeby szczególnie potrzebowała pieniędzy, lecz wyciąganie ich od Colina wydało jej się dziwnie przyjemne.

— Lady Danbury! — zawołała, podbiegając do staruszki. — Jak miło panią widzieć!

— Nikomu nie jest miło mnie widzieć — ostro odparła lady. — Może z wyjątkiem mego siostrzeńca, ale i za niego raczej nie ręczę. Ale dzięki za sympatyczne kłamstwo.

Colin się nie odzywał, lecz ona i tak zwróciła się w jego stronę, uderzając go laską po nodze.

— Dobry wybór tancerki — rzekła. — Zawsze lubiłam tę dziewuchę. Więcej rozumu niż cała reszta jej rodziny razem wzięta.

Penelopa otwarła usta, żeby bronić przynajmniej młodszej siostry, kiedy lady Danbury wykrzyknęła:

— Ha! — i zaraz dodała: — Widzę, że żadne z was nawet nie próbuje mi zaprzeczyć.

— Zawsze miło panią widzieć, lady Danbury — odezwał się Colin, obdarzając ją uśmiechem, który sprawiłby przyjemność nawet śpiewaczce operowej.

— Spryciarz z niego — zawołała lady Danbury do Penelopy. — Będziesz musiała na niego uważać.

— Nieczęsto będę miała ku temu okazję — odparła Penelopa. — Zwykle pozostaje za granicą.

— Widzieliście! — zagruchała lady Danbury. — Mówiłam ci, że to mądra dziewczyna.

— I zapewne zauważy pani — rzekł Colin swobodnie — że znowu nie zaprzeczyłem.

Staruszka uśmiechnęła się z aprobatą.

— Rzeczywiście. Na starość zmądrzałeś, panie Bridgerton.

— Kiedy byłem młody, również od czasu do czasu mówiono mi, że jestem dość inteligentny.

— Hm… Ważnym słowem w tym zdaniu jest „dość”, jak sądzę.

Colin spojrzał na Penelopę przez zmrużone powieki. Wydawało mu się, że młoda kobieta dławi się ze śmiechu.

— My, kobiety, musimy się sobą opiekować — zauważyła lady Danbury, nie zwracając się do nikogo konkretnego. — Widać, że nikt za nas tego nie zrobi.

Colin uznał, że nadszedł czas rejterady.

— Muszę zobaczyć się z matką — rzekł.

— Nie ma ucieczki — zakrakała lady Danbury. — Nawet nie próbuj. Poza tym doskonale wiem, że nie znajdziesz swojej matki. W tej chwili zajmuje się jakąś niezdarą, która podarła sobie obręb sukni. — Spojrzała na Penelopę, która tak dzielnie walczyła z ogarniającym ją atakiem śmiechu, że oczy miała pełne łez. — Ile ci zapłacił, żebyś nie zostawiała go ze mną sam na sam?

Penelopa po prostu wybuchnęła śmiechem.

— Słucham? — jęknęła po chwili z przerażeniem, zakrywając usta

dłonią.

— O nie, mów śmiało — zawołał Colin. — I tak bardzo mi już pomogłaś.

— Nie musisz mi dawać tych dwudziestu funtów — odparła.

— Nawet nie miałem zamiaru.

— Tylko dwadzieścia funtów? — zapytała lady Danbury. — Proszę, a ja myślałam, że jestem warta co najmniej dwadzieścia pięć.

Colin wzruszył ramionami.

— Jestem trzecim synem. Wiecznie bez pieniędzy.

— Ha! Masz portfel gruby jak co najmniej trzech hrabiów razem wziętych — odparła lady Danbury. — No dobrze, może nie hrabiów — dodała po chwili namysłu. — Ale kilku wicehrabiów i większość baronów na pewno.

Colin uśmiechnął się beznamiętnie.

— Czy mówienie o pieniądzach w mieszanym towarzystwie nie jest uważane za nietakt?

Lady Danbury wydała odgłos, który był czymś pośrednim pomiędzy świstem a chichotem — Colin nie był całkiem pewien, co to było — i odparła:

— Mówienie o pieniądzach nigdy nie jest grzeczne ani w mieszanym, ani w żadnym innym towarzystwie, ale w moim wieku można robić niemal wszystko, co się chce.

— Zastanawiam się — mruknęła Penelopa — czego nie można robić w pani wieku.

Lady Danbury zwróciła się w jej stronę.

— Słucham?

— Powiedziała pani, że w jej wieku można robić „niemal” wszystko, co się chce…

Staruszka przez chwilę przyglądała się jej z niedowierzaniem, po czym uśmiechnęła się lekko. Colin też się uśmiechnął.

— Ona mi się podoba — stwierdziła lady Danbury, wskazując na Penelopę, jakby to był posążek na sprzedaż. — Mówiłam ci, że ona mi się podoba?

— Chyba tak — mruknął.

Lady Danbury spojrzała na Penelopę i przybrała śmiertelnie poważny wyraz twarzy.

— Myślę, że nie wywinęłabym się z morderstwa, ale to chyba wszystko.

Penelopa i Colin jednocześnie parsknęli serdecznym śmiechem.

— Ech? — zawołała starsza dama. — A co w tym takiego wesołego?

— Nic — zachichotała Penelopa.

Colin nie był w stanie wykrztusić nawet tyle.

— To nie jest nic — upierała się lady Danbury — Będę tu tak długo stać i was męczyć, aż powiecie, o co chodzi. Choćby całą noc. Wierzcie mi na słowo, kiedy wam powiem, że nie będziecie zachwyceni takim obrotem sprawy.

Penelopa otarła łzę z oka.

— Właśnie mu mówiłam — wyjaśniła, wskazując głową na Colina — że prawdopodobnie nawet morderstwo uszłoby mu na sucho.

— Naprawdę? — zadumała się lady Danbury, lekko postukując laseczką o podłogę, jakby roztrząsała jakieś ważne zagadnienie. — Wiesz, może nawet masz rację. Londyn chyba nie widział jeszcze drugiego tak czarującego mężczyzny.

Colin uniósł brew.

— Hm, czemu mi się wydaje, że to nie miał być komplement, lady Danbury?

— Oczywiście, że to komplement, ty durniu!

Colin spojrzał na Penelopę.

— W przeciwieństwie do tego określenia, które na pewno nie jest komplementem.

Lady Danbury rozpromieniła się.

— Stwierdzam — rzekła (a właściwie istotnie stwierdziła) — że w całym sezonie tak się nie ubawiłam.

— Cieszę się, że mogłem się do tego przyczynić. — Colin skłonił się z uśmiechem.

— Ten rok był szczególnie nudny, nie sądzisz? — Lady Danbury zwróciła się do Penelopy.

Zapytana skinęła głową,

— Zeszły rok też nie należał do najciekawszych.

— Ale nie był tak tragiczny jak ten — upierała się staruszka.

— Mnie nie pytajcie — zastrzegł się Colin uprzejmie. — Nie było mnie w kraju.

— Hm… podejrzewam, że zaraz powiesz, iż wszyscy nudziliśmy się tak strasznie z powodu twojej nieobecności.

— Nigdy bym się nie odważył — odparł z rozbrajającym uśmiechem. — Ale doprawdy, jeśli taka myśl przyszła pani do głowy, coś w niej musi być.

— Hm… Nieważne, i tak się nudzę.

Colin spojrzał na Penelopę, która nagle podejrzanie znieruchomiała… jakby pilnując się, by znów nie wybuchnąć śmiechem.

— Haywood! — wykrzyknęła nagle lady Danbury, machając do znajomego dżentelmena w średnim wieku. — Zgodzisz się ze mną?

Na twarzy lorda Haywooda pojawił się wyraz lekkiej paniki, lecz kiedy stało się jasne, że nie zdoła się wywinąć, rzekł:

— Staram się zawsze z panią zgadzać, moja droga.

Lady Danbury odwróciła się do Penelopy i upewniła się:

— Czy to wyobraźnia płata mi figle, czy mężczyźni jakby zmądrzeli?

Jedyną odpowiedzią Penelopy było niezobowiązujące wzruszenie ramion. Colin uznał, że to naprawdę mądra dziewczyna.

Haywood odchrząknął. Niebieskie oczy w tłustej twarzy mrugały szybko i gniewnie.

— Eee… a właściwie z czym miałem się zgodzić?

— Że ten sezon jest nudny — podsunęła usłużnie Penelopa.

— Ach, panna Featherington — zawołał lord Haywood. — Nie zauważyłem pani.

Colin zerknął na Penelopę i zauważył, że jej usta zacisnęły się lekko, udając uśmiech.

— Jestem tu przez cały czas — wymamrotała.

— Tak, rzeczywiście — jowialnie odparł Haywood. — I tak, sezon jest straszliwie nudny.

— Czy ktoś powiedział, że sezon jest nudny?

Colin spojrzał w prawo. Do grupki dołączył kolejny gość z dwiema paniami, skwapliwie przytakując przedmówcy.

— Monotonny — powiedziała jedna z nich. — Rozpaczliwie monotonny.

— Nigdy do tej pory nie bywałam na banalnych przyjęciach — oznajmiła jedna z pań z afektowanym westchnieniem.

— Będę musiał poinformować o tym mamę — zauważył cierpko Colin. Był doprawdy dobrotliwego usposobienia, ale istniały pewne obelgi, których nie mógł znieść.

— O nie, nie to spotkanie — pospiesznie dodała dama. — Ten bal doprawdy lśni jak pochodnia wśród mrocznego i posępnego korowodu wydarzeń towarzyskich. Właśnie mówiłam…

— Przestań już — rozkazała jej lady Danbury — zanim odgryziesz sobie język.

Lady czym prędzej zamilkła.

— Dziwne — mruknęła Penelopa.

— Och, panna Featherington — odezwała się lady, która wcześniej mówiła o mrocznym i posępnym korowodzie. — Nie zauważyłam pani.

— Co jest takiego dziwnego? — spytał Colin, zanim ktokolwiek jeszcze zdążył powiedzieć Penelopie, że jest praktycznie niezauważalna.

Uśmiechnęła się do niego leciutko i z wdzięcznością.

— Dziwne, jak towarzystwo świetnie się bawi, opowiadając, jak fatalnie się bawi.

— Słucham? — Haywood wyglądał na zdezorientowanego.

Penelopa wzruszyła ramionami.

— Myślę, że bawicie się całkiem dobrze, opowiadając, jak strasznie się nudzicie, to wszystko.

Po jej słowach zapadło milczenie. Lord Haywood w dalszym ciągu wydawał się zdezorientowany, zaś jednej z pań musiało coś wpaść do oka, bo mrugała gorączkowo.

Colin nie mógł powstrzymać uśmiechu. Nie przypuszczał, że stwierdzenie Penelopy jest aż tak trudne do zrozumienia.

— Jedyną interesującą rzeczą jest czytanie „Whistledown” — zauważyła ta dama, która nie mrugała, jakby Penelopa w ogóle się nie odezwała.

Dżentelmen obok niej mruknął coś twierdząco. A wtedy lady Danbury zaczęła się uśmiechać.

Colina ogarnął nagły niepokój. Staruszka miała coś dziwnego w spojrzeniu. Coś przerażającego.

— Mam pomysł — oznajmiła. Ktoś jęknął. Ktoś inny stęknął. — Doskonały pomysł.

— Cóż, wszystkie pani pomysły są takie — stwierdził Colin bardzo uprzejmym tonem.

Lady Danbury uciszyła go machnięciem ręki.

— Ile wielkich tajemnic jest w życiu? Tak naprawdę?

Nikt nie odpowiedział, więc Colin rzucił na chybił trafił:

— Czterdzieści dwie?

Nawet nie zaszczyciła go oburzonym spojrzeniem.

— Powiem wam wszystkim tu i teraz…

Wszyscy pochylili się ku niej. Nawet Colin. Trudno było nie poddać się dramatyzmowi tej chwili.

— Wszystkich was biorę na świadków…

Colinowi wydało się, że słyszy głos Penelopy:

— Dobrze, co dalej…

— Tysiąc funtów — powiedziała lady Danbury. Tłum otaczający ich zagęścił się nagle. — Tysiąc funtów — powtórzyła, podnosząc głos. Doprawdy, można by pomyśleć, że urodziła się na scenie. — Tysiąc funtów…

Zdawało się, że cała sala balowa ucichła w pełnym szacunku oczekiwaniu.

— …dla osoby, która zdemaskuje lady Whistledown!

3

Autorka nie czułaby się sobą, gdyby nie wspomniała o najszerzej komentowanym wydarzeniu urodzinowego balu w Bridgerton House, którym nie był wszakże porywający toast na cześć lady Bridgerton (nie wspominamy tu o wieku), lecz ufundowanie przez lady Danbury nagrody w wysokości tysiąca funtów za zdemaskowanie… Mnie!

Róbcie, co chcecie, panie i panowie z towarzystwa. Nie macie szans, aby rozwiązać tę zagadkę.

„Kronika Towarzyska Lady Whistledown”,
12 kwietnia 1824

Trzeba było dokładnie trzech minut, aby wieści o wstrząsającym wyzwaniu lady Danbury dotarły do najdalszych zakątków sali balowej.

Penelopa wiedziała, że to prawda, ponieważ w chwili, gdy starsza dama wygłaszała bulwersującą kwestię, przypadkiem stała naprzeciwko wielkiego (a według Kate Bridgerton również nadzwyczaj dokładnego) zegara. Przy słowach „Tysiąc funtów dla tego, kto zdemaskuje lady Whistledown” zegar wskazywał dwudziestą drugą czterdzieści cztery. Długa wskazówka nie minęła czterdziestej siódmej minuty, kiedy w otaczający lady Danbury coraz gęstszy tłum wtoczył się Nigel Berbrooke i nazwał jej pomysł „cholernie dobrą zabawą!”

Skoro wiedział o tym Nigel, znaczyło to, że wiedzieli wszyscy, ponieważ szwagier Penelopy nie mógł poszczycić się szczególną inteligencją, spostrzegawczością czy umiejętnością słuchania.

Ani słownictwem, pomyślała smętnie. Cholernie, rzeczywiście.

— A pan jak sądzi, kto jest lady Whistledown? — zapytała Berbrooke'a lady Danbury.

— Nie mam zielonego pojęcia — przyznał. — Nie ja i tylko tyle wiem!

— Sądzę, że akurat to wiemy wszyscy — odparła starsza dama.

— A ty co o tym myślisz? — zapytała Penelopa Colina.

Wzruszył ramionami.

— Zbyt często bywam poza krajem, żeby się zastanawiać.

— Nie pleć głupstw — ofuknęła go Penelopa. — Wziąwszy pod uwagę wszystkie londyńskie rauty i przyjęcia, w których uczestniczyłeś, z pewnością miałeś dość czasu, aby wyrobić sobie zdanie.

Bridgerton pokręcił głową.

— Naprawdę nie wiem.

Penelopa przyglądała mu się nieco dłużej, niż trzeba, a szczerze mówiąc, również nieco dłużej, niż wypadało. W oczach Colina było coś dziwnego. Coś ulotnego, nieuchwytnego. Towarzystwo uważało go za beztroskiego bawidamka, lecz on był o wiele inteligentniejszy, niż po sobie pokazywał, a ona gotowa byłaby założyć się o własną głowę, że kogoś podejrzewał. Z jakiejś przyczyny jednak nie chciał się tym z nią podzielić.

— A ty jak sądzisz? — spytał. — Pojawiłaś się na salonach mniej więcej w tym samym czasie, kiedy lady Whistledown. Z pewnością myślałaś o tym.

Panna Featherington rozejrzała się po sali, zatrzymując wzrok na niektórych osobach.

— Mogłaby to być lady Danbury — odparła. — Czyż to nie byłby doskonały żart?

Colin spojrzał na starszą panią, która znakomicie się bawiła. Uderzała laską w podłogę, trajkocząc z ożywieniem o swym nowym pomyśle,

uradowana niczym kot na widok śmietanki, ryby i całego pieczonego indyka.

— To ma nawet sens… — dodała Penelopa. — Bardzo przewrotne. — Popatrzyła na Colina, który jeszcze przez kilka sekund przyglądał się milady, i mruknęła: — Ale ty wcale nie uważasz, że to ona.

Bridgerton powoli odwrócił głowę i spojrzał na nią, unosząc w zapytaniu brew.

— Poznaję to z twojego wyrazu twarzy — wyjaśniła Penelopa.

Uśmiechnął się lekko.

— A ja myślałem, że jestem nieprzenikniony.

— Raczej nie — odparła. — Przynajmniej nie dla mnie.

Colin westchnął.

— Obawiam się, że wizerunek mrocznego, zadumanego bohatera nigdy nie będzie do mnie pasował.

— Możesz stać się czyimś bohaterem — pocieszyła go Penelopa. — Na to jeszcze masz czas. Ale mrocznym i zadumanym? — uśmiechnęła się. — Raczej nie.

— Szkoda — odparł żartobliwie, obdarzając ją jeszcze jednym ze swych sławetnych uśmiechów, tym chłopięcym, z uniesionym kącikiem ust. — Mroczne, zadumane typy dostają wszystkie kobiety.

Penelopa dyskretnie odchrząknęła, nieco zaskoczona, że Colin Bridgerton rozmawia z nią o takich sprawach. On z pewnością nigdy nie miał problemów ze zjednywaniem sobie kobiet. Teraz przyglądał się jej, oczekując odpowiedzi, a ona zastanawiała się, czy bardziej właściwe będzie okazanie dziewiczego oburzenia, czy też śmiech i zachowanie dobrej miny. Nie zdążyła podjąć decyzji, gdy pomiędzy nich wpadła rozpędzona Eloise.

— Słyszeliście nowinę? — zapytała bez tchu.

— Czyżbyś biegła? — odpowiedziała Penelopa pytaniem na pytanie.

W zatłoczonej sali balowej był to istotnie nie lada wyczyn.

— Lady Danbury obiecała tysiąc funtów temu, kto zdemaskuje lady Whistledown!

— Wiemy — odparł Colin tonem wyższości, charakterystycznym dla starszych braci.

Eloise westchnęła, wyraźnie rozczarowana.

— Naprawdę?

Jej brat wskazał na lady Danbury, która wciąż stała zaledwie o kilka jardów od nich.

— Byliśmy w pobliżu, kiedy to się stało.

Panna Bridgerton wyglądała na mocno poirytowaną i Penelopa domyślała się, o czym teraz myśli (i zapewne opowie nazajutrz). Nie dość, że przegapiła tak istotny moment, to jeszcze traf chciał, że starszy brat wszystko widział.

— Cóż, ludzie już o tym mówią — relacjonowała Eloise. — Właściwie aż się zachłystują. Takiego zamieszania nie było tu już od lat.

Colin spojrzał na Penelopę i mruknął:

— Dlatego tak często stąd wyjeżdżam.

Z trudem powstrzymała uśmiech.

— Wiem, że mnie obmawiacie, i nic mnie to nie obchodzi — ciągnęła Eloise, ledwie chwytając oddech. — Mówię wam, towarzystwo oszalało. Wszyscy, dosłownie wszyscy, spekulują na temat jej tożsamości, choć ci najsprytniejsi ani słówkiem nie pisną. Nie chcą, aby inni zwyciężyli, korzystając z ich instynktu.

— Aż tak nie potrzebuję tego tysiąca funtów i nie zamierzam zawracać sobie tym głowy — oznajmił Colin.

— To dużo pieniędzy — w zadumie rzekła Penelopa.

Bridgerton spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Nie powiesz mi chyba, że przyłączysz się do tej groteskowej gry?

Panna Featherington przechyliła głowę na bok i uniosła podbródek.

— Nie jestem tak bogata, aby udawać, że nie interesuje mnie tysiąc funtów — odparła.

— Może jeśli zajmiemy się tym razem… — zasugerowała Eloise.

— Niech mnie Bóg broni — rzucił Colin.

Siostra zignorowała go i zwróciła się do przyjaciółki.

— Mogłybyśmy podzielić się nagrodą.

Penelopa już miała odpowiedzieć, kiedy nagle tuż pod nosem zobaczyła laskę lady Danbury. Laska wywijała takie harce, że Penelopa musiała odskoczyć, aby nie ścięła jej ucha.

— Panno Featherington! — wykrzyknęła starsza dama. — Nie powiedziałaś mi, kogo ty podejrzewasz!

— W istocie — zgodził się Colin z dość przebiegłym uśmieszkiem. — Nie powiedziałaś.

W pierwszej chwili Penelopa zamierzała wymamrotać coś pod nosem w nadziei, że lady Danbury złoży niezrozumienie jej słów na karb podeszłego wieku i słabego słuchu. Wtedy jednak, nawet nie oglądając się na boki, wyczuła przy sobie obecność Colina i ujrzała jego złośliwy, pyszałkowaty uśmieszek, którym wzywał ją do działania. Wyprostowała się lekko i odrobinę uniosła głowę.

Sprawiał, że czuła się pewniejsza siebie i odważniejsza. Sprawiał, że czuła się bardziej… sobą. A przynajmniej taką Penelopą, jaką zawsze chciała być.

— Właściwie — rzekła, spoglądając lady Danbury niemal prosto w oczy — sądzę, że to pani.

Wokół rozległ się chóralny okrzyk zdumienia.

Po raz pierwszy w życiu Penelopa Featherington poczuła, że znajduje się

w centrum uwagi.

Lady Danbury obrzuciła ją taksującym spojrzeniem niebieskich oczu. A potem zdarzyła się najbardziej zdumiewająca rzecz na świecie — kąciki ust starszej damy zaczęły drgać, a po chwili uniosły się w szerokim uśmiechu.

— Lubię cię, Penelopo Featherington — oznajmiła milady, lekko wbijając laskę w jej palec u nogi. — Założę się, że połowa gości na tej sali wpadła na ten sam pomysł, ale nikt nie miał dość odwagi, żeby mi to powiedzieć.

— Właściwie ja też nie mam — wykrztusiła Penelopa, przy czym Colin obdarował ją lekkim kuksańcem w bok.

— A ja widzę — odrzekła lady Danbury z dziwnym błyskiem w oku — że jednak masz.

Penelopa nie wiedziała, co odpowiedzieć. Spojrzała na Colina, który uśmiechnął się zachęcająco, a potem na lady Danbury, która przyglądała się jej niemal z … macierzyńską czułością na twarzy. To już było naprawdę zaskakujące. Penelopa wątpiła, czy lady Danbury patrzy z macierzyńską czułością nawet na własne dzieci.

— Czy to nie przyjemne — spytała staruszka, pochylając się ku niej tak, że tylko Penelopa mogła słyszeć jej słowa — odkryć, że nie jesteśmy całkiem tacy, jak o sobie myśleliśmy?

Po tych słowach odeszła, pozostawiając Penelopę w zadumie. Może rzeczywiście nie była taka, jak jej się wydawało? Może… tylko może… była czymś więcej.

Następnego dnia był poniedziałek, czyli dzień wizyty Penelopy pod Numerem Piątym.

Nie wiedziała, kiedy nabrała tego zwyczaju, ale trwało to już od ponad

dziesięciu lat, więc należało się spodziewać, że gdyby akurat dziś nie przyszła, lady Bridgerton posłałaby po nią.

Penelopa lubiła te popołudniowe herbatki. Nie był to popularny rytuał: w istocie nie znała nikogo poza lady Bridgerton, kto uczyniłby z nich codzienny zwyczaj. Wicehrabina twierdziła, że nie jest w stanie wytrwać od obiadu do kolacji, zwłaszcza kiedy dostosowywała się do miejskich godzin życia i spożywała ją w późnych godzinach nocnych. Z tego powodu każdego popołudnia o szesnastej zasiadała z dziećmi, a czasem i z przyjaciółmi, do przekąski, którą podawano w małym, nieformalnym saloniku na piętrze.

Dzień wydawał się dość ciepły, lecz był dżdżysty, dlatego Penelopa wzięła ze sobą czarny parasol. Drogę do Numeru Piątego przemierzała setki razy — najpierw do skrzyżowania ulic Mount i Davies, potem wzdłuż Berkeley Square do Bruton Street. Tego popołudnia jednak opanował ją dziwny nastrój, radosny, może odrobinę swawolny, postanowiła więc skrócić sobie drogę i przejść przez Berkeley Square jedynie po to, aby usłyszeć chrzęst wilgotnej trawy pod stopami.

Wszystko to wina lady Danbury. Na pewno. Od spotkania z nią zeszłego wieczoru Penelopa była jak uskrzydlona.

— Nie. Tym. Czym. Sądziłam — podśpiewywała pod nosem, dodając kolejne słowo za każdym razem, kiedy stawiała stopę na ziemi. — Czymś więcej. Czymś więcej.

Dotarła do szczególnie mokrego miejsca i nie przestając nucić (cichutko, nie zmieniła się od zeszłej nocy tak bardzo, żeby pozwolić sobie na śpiew w miejscu publicznym), zaczęła się ślizgać po trawie jak po lodzie.

I oczywiście w tej właśnie chwili (przecież zostało już raz na zawsze ustalone, przynajmniej w jej mniemaniu, że wszystko robiła nie tak jak trzeba i nie w porę) usłyszała męski głos wołający ją po imieniu.

Z trudem przyhamowała, gorąco dziękując opatrzności, że zdołała utrzymać się na nogach i nie klapnęła z rozmachem na mokrą trawę.

Oczywiście, to on.

— Colinie! — zawołała z lekka zakłopotana, czekając, aż ją dogoni. — Cóż za niespodzianka!

Wyglądał, jakby chciał się uśmiechnąć.

— Tańczyłaś?

— Tańczyłam? — powtórzyła.

— Wyglądało, jakbyś tańczyła.

— Och, nie. — Przełknęła ślinę, bo choć właściwie nie kłamała, czuła, że jest wręcz odwrotnie. — Oczywiście, że nie.

W kącikach oczu Bridgertona pojawiły się delikatne zmarszczki.

— Szkoda. Z przyjemnością byłbym twoim partnerem, zwłaszcza że nigdy dotąd nie miałem okazji tańczyć na Berkeley Square.

Gdyby powiedział to dwa dni temu, Penelopa uznałaby jego słowa za świetny żart i pozwoliła mu odgrywać rolę czarującego i dowcipnego. Obecnie jednak chyba w głowie wciąż rozbrzmiewał jej głos lady Danbury, bo nagle stwierdziła, że nie chce być już dawną panną Featherington.

Postanowiła przyłączyć się do zabawy.

Uśmiechnęła się. Nawet nie wiedziała, że potrafi przywołać na twarz taki uśmiech.

Przekorny, tajemniczy… czuła, że jest taki nie tylko w jej wyobraźni, bo Colin nieznacznie wytrzeszczył oczy.

— Wielka szkoda — wymamrotała. — To przecież takie przyjemne.

— Penelopo Featherington — odezwał się, lekko przeciągając sylaby — zdawało mi się, iż mówiłaś, że nie tańczysz.

Wzruszyła ramionami.

— Skłamałam.

— Skoro tak — orzekł — ten taniec należy do mnie.

Penelopa poczuła nagle dziwny ucisk w piersi. Nie powinna była dopuścić, aby szepciki lady Danbury namieszały jej w głowie. Przez chwilę mogła wytrzymać w roli czarującej i odważnej, ale nie wiedziała jak długo.

Tymczasem Bridgerton z szatańskim uśmiechem wyciągnął ramiona, zapraszając ją do walca.

— Ależ, Colinie — szepnęła — jesteśmy na Berkeley Square!

— Wiem. Właśnie ci powiedziałem, że nigdy tu nie tańczyłem. Nie pamiętasz?

— Ale…

Colin skrzyżował ramiona.

— Ktoś nas może zobaczyć — mruknęła Penelopa niecierpliwie.

Bridgerton wzruszył ramionami, usiłując ukryć, jak bardzo bawi go jej reakcja.

— Mnie to nie martwi, a ciebie?

Zaróżowiła się lekko, potem spąsowiała i z wielkim trudem wykrztusiła:

— Ludzie pomyślą, że się do mnie zalecasz.

Colin przyjrzał się Penelopie uważnie, nie rozumiejąc jej niepokoju. I co z tego, że ludzie tak pomyślą? Plotki wkrótce okażą się bezpodstawne, a oni świetnie się przy tym ubawią. Miał już na końcu języka: „Niech się towarzystwo powiesi”, ale przemilczał. W brązowych czeluściach oczu panny Featherington czaiło się coś, jakieś uczucie, którego nie umiał nazwać.

Uczucie, którego sam zapewne nigdy nie doznał. Wtedy nagle zrozumiał, że za żadne skarby nie chciałby skrzywdzić Penelopy. Była najlepszą przyjaciółką jego siostry, a poza tym najzwyczajniej w świecie była przemiłą dziewczyną.

Zmarszczył brwi. Chyba już nie powinien nazywać jej dziewczyną.

Licząc sobie dwadzieścia osiem wiosen, nie była bardziej dziewczyną niż on chłopcem, skończywszy trzydzieści trzy lata.

Ostatecznie bardzo ostrożnie, z nadzieją, że jej nie urazi, zapytał:

— Czy jest jakiś powód, dla którego mielibyśmy się martwić, że ludzie uznają to za zaloty?

Penelopa przymknęła oczy i Colin przez chwilę sądził, że coś ją rzeczywiście zabolało. Ale kiedy je otwarła, jej spojrzenie miało słodko-gorzki wyraz.

— Właściwie to byłoby nawet całkiem zabawne — rzekła. — Z początku.

Milczał, czekając na jej dalsze słowa.

— Potem jednak okazałoby się, że tak naprawdę nie zalecamy się do siebie, a wtedy… — urwała, przełknęła ślinę i Colin pojął, że w istocie nie jest tak spokojna i opanowana, jak mu się początkowo wydawało. — Potem ludzie sądziliby, że ze mną zerwałeś — ciągnęła — ponieważ… no po prostu tak będzie…

Nie sprzeczał się z nią. Wiedział, że ma rację.

Westchnęła głęboko.

— Nie chciałabym się na to narażać. Nawet lady Whistledown napisałaby o tym. Jakżeby nie? Zbyt soczysta i smakowita plotka, żeby ją zignorować.

— Przepraszam, Penelopo. — Nie był pewien, za co ją przeprasza, ale w obecnym momencie wydawało mu się to najwłaściwsze.

Lekko skinęła głową.

— Wiem, że nie powinnam się przejmować tym, co mówią ludzie, ale nie potrafię.

Bridgerton odwrócił się nieco, zastanawiając się nad jej słowami. A może nad tonem jej głosu. A może nad jednym i drugim.

Zawsze myślał, że znajduje się ponad społeczeństwem. Nie całkiem poza nim, ponieważ niewątpliwie poruszał się w nim i zupełnie nieźle bawił, lecz zawsze uważał, że jego szczęście nie ma nic wspólnego z opinią innych.

Może jednak nie miał racji. Łatwo było twierdzić, że nie liczy się z opinią społeczeństwa, kiedy opinia ta była nieustannie i niezmiennie pochlebna. Ciekawe, czy tak szybko zignorowałby otoczenie, gdyby zaczęło go traktować tak jak Penelopę?

Nigdy jej nie odrzucano, nigdy nie była przedmiotem skandalu. Po prostu nie była… popularna.

Och, ludzie potrafili być naprawdę uprzejmi. Bridgertonowie przyjaźnili się z nią, ale Colin pamiętał Penelopę głównie z jej stałego miejsca pod ścianą sali balowej, udającą, że wcale nie chce tańczyć. Zwykle podchodził i sam ją prosił. Zawsze wydawała się wdzięczna, ale i nieco zakłopotana, ponieważ oboje wiedzieli, że robił to — przynajmniej w drobnej części — z litości.

Próbował postawić się na jej miejscu. Niełatwo mu to przyszło. Zawsze cieszył się sporą popularnością: koledzy w szkole traktowali go z wielkim szacunkiem, kobiety tłoczyły się wokół niego, gdy tylko się pojawił. Przypuszczał, że nie obchodzi go, co ludzie mówią, ale teraz, kiedy zaczął o tym myśleć…

Lubił być lubiany.

Nagle zabrakło mu słów. Nigdy dotąd mu się to nie zdarzyło. Był znany z tego, że zawsze wie, co powiedzieć. Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że chyba dlatego właśnie jest taki lubiany.

Podejrzewał, że uczucia Penelopy zależeć będą od jego następnych słów, a w ciągu kilku ostatnich minut stały się one dla niego bardzo ważne.

— Masz słuszność — rzekł, uznając, że przyznanie drugiej osobie racji

nigdy jeszcze nie zaszkodziło. — Byłem bezmyślny. Może powinniśmy zacząć od początku?

Panna Featherington zamrugała.

— Słucham?

Colin machnął ręką, jakby ten ruch mógł wszystko wyjaśnić.

— Wszystko zacząć od nowa.

Wyglądała na uroczo zmieszaną, przez co i on poczuł zakłopotanie, ponieważ nigdy nie pomyślał, że Penelopa może wyglądać uroczo.

— Ale my się znamy od ponad dwunastu lat — zaprotestowała.

— Czy doprawdy aż tyle? — zdziwił się. Przez chwilę grzebał w pamięci, jednak za żadne skarby świata nie mógł sobie przypomnieć pierwszego spotkania. — Nieważne. Chodzi mi tylko o to popołudnie, głuptasku.

Uśmiechnęła się, wyraźnie wbrew sobie, a on wiedział, że dobrze zrobił, nazywając ją głuptaskiem, choć nie miał pojęcia dlaczego.

— Znakomicie — rzekł, podkreślając słowa wytwornym gestem dłoni. — Idziesz sobie przez Berkeley Square i widzisz mnie z daleka. Wołam cię, a ty odpowiadasz…

Penelopa przygryzła wargę, z niewiadomej przyczyny usiłując powstrzymać uśmiech. Pod jaką magiczną gwiazdą urodził się Colin, że zawsze wiedział, co powiedzieć? Był jak czarodziej, który pozostawia po sobie tylko uśmiechnięte twarze i rozradowane serca. Postawiłaby wszystkie swoje pieniądze — a miała ich nieco więcej niż zaoferowane przez lady Danbury tysiąc funtów — że nie była jedyną kobietą w Londynie zakochaną na śmierć i życie w trzecim Bridgertonie.

Przechylił głowę na bok i skinął nią zachęcająco.

— A ja odpowiadam… — powoli zaczęła Penelopa — …odpowiadam…

Colin odczekał dwie sekundy, po czym zapewnił:

— Naprawdę, każda odpowiedź będzie dobra.

Penelopa planowała, że uśmiechnie się promiennie, ale stwierdziła, że śmieje się całkiem szczerze.

— Colin! — zawołała, udając, że jego widok ją zaskoczył. — Co ty tu robisz?

— Doskonała odpowiedź — pochwalił.

Pogroziła mu palcem.

— Wychodzisz z roli.

— Tak, tak, oczywiście. Przepraszam — urwał, zamrugał i rzekł: — Proszę bardzo. Może tak: sądzę, że to samo, co ty. Wybieram się pod Numer Piąty na herbatkę.

— Mówisz, jakbyś szedł z wizytą. Myślałam, że tam mieszkasz.

Colin skrzywił się.

— Mam nadzieję, że tylko przez następny tydzień. Najwyżej dwa. Szukam sobie nowego mieszkania. Musiałem pozbyć się starego, kiedy wyjeżdżałem na Cypr, i do tej pory nie znalazłem niczego odpowiedniego. Miałem coś do załatwienia na Piccadilly i pomyślałem sobie, że wrócę pieszo.

— W deszczu?

Bridgerton wzruszył ramionami.

— Kiedy wychodziłem rano, jeszcze nie padało. A teraz to też tylko mżawka.

Tylko mżawka, pomyślała Penelopa. Mżawka, która oblepiała jego nieprzyzwoicie długie rzęsy, okalające oczy tak czystej zielonej barwy, że niejedna młoda dama napisała już o nich całe stronice (przerażającej zresztą) poezji. Nawet Penelopa, uważająca się za zrównoważoną, spędziła w łóżku wiele bezsennych nocy, wpatrując się w sufit i myśląc tylko o tych oczach.

Rzeczywiście, tylko mżawka.

— Penelopo? — Ocknęła się z zadumy.

— Racja. Tak, rzeczywiście, ja też idę na herbatkę do twojej mamy. Jak w każdy poniedziałek. A często i w inne dni — przyznała. — Kiedy w moim domu nie dzieje się nic eee… ciekawego.

— Nie musisz się czuć winna z tego powodu. Moja matka to cudowna kobieta, jeśli chce cię widzieć na herbatce, powinnaś iść.

Penelopa miała zwyczaj wsłuchiwania się w to, co ludzie mówią między wierszami. Wyglądało jednak na to, że Colin naprawdę uważa, że nie ma w tym nic złego, jeśli czasem próbuje się uciec od własnej matki. Z jakiegoś powodu ogarnął ją jednak smutek.

Bridgerton przez chwilę kołysał się na piętach, po czym stwierdził:

— No cóż, nie powinienem zatrzymywać cię podczas deszczu.

Penelopa uśmiechnęła się, ponieważ stali tak już około piętnastu minut. Skoro jednak chciał nadal prowadzić tę grę, mogła się do niej przyłączyć.

— Mam parasol — zauważyła.

Jego usta wygięły się lekko.

— Rzeczywiście, ale nie byłbym prawdziwym dżentelmenem, gdybym nie zaprowadził cię w przyjemniejsze miejsce. A skoro już o tym mowa… — Zmarszczył brwi i rozejrzał się wokół.

— O czym?

— O byciu dżentelmenem. Sądzę, że oczekuje się od nas, abyśmy opiekowali się damami.

— I co?

— Nie powinna ci towarzyszyć pokojówka?

— Mieszkam tuż za rogiem — odparła nieco zawiedziona, że tego nie pamiętał. Ona i jej siostry przyjaźniły się z jego siostrami. Nieraz nawet

odprowadzał ją do domu. — Na Mount Street — dodała, kiedy nie zmienił wyrazu twarzy.

Zmrużył oczy i spojrzał w tamtą stronę, choć nie miała pojęcia, co chce przez to osiągnąć.

— Na litość boską, Colinie! To prawie na rogu Davies Street. Przecież to nie więcej niż pięć minut drogi od domu twojej matki. Cztery, jeśli idę szybciej.

— Przyglądałem się tylko, czy nie ma tam żadnych ciemnych bram i zaułków — odparł i spojrzał na nią. — Gdzie mógłby się ukrywać przestępca.

— W Mayfair?

— W Mayfair — odparł ponuro. — Naprawdę, uważam, że powinna ci towarzyszyć pokojówka. Nie chciałbym, aby coś ci się przydarzyło.

Szczerze ją wzruszyła ta troska, choć zdawała sobie sprawę, że równie troskliwie zaopiekowałby się każdą ze znajomych mu pań. Po prostu był takim typem mężczyzny.

— Zapewniam cię, że przestrzegam wszelkich zasad przy pokonywaniu większych odległości — odparła. — Ale tu jest naprawdę blisko. Kilka przecznic. Nawet mojej mamie to nie wadzi.

Bridgerton zacisnął szczęki.

— Nie wspominając już o tym — dodała — że mam dwadzieścia osiem lat.

— A co to ma do rzeczy? Ja mam trzydzieści trzy, jeśli chcesz wiedzieć.

Nie było to dla niej żadną nowością, wiedziała o wielu sprawach, które go dotyczyły.

— Colinie — odezwała się z lekką irytacją.

— Penelopo — odparł dokładnie tym samym tonem.

Odetchnęła głęboko.

— Uwierz mi, ja już naprawdę dość pewnie siedzę w tej szufladzie. Nie muszę martwić się tym wszystkim, co mnie obchodziło w wieku siedemnastu lat.

— Nie przypuszczam…

Penelopa wsparła dłoń na biodrze.

— Spytaj siostry, jeśli mi nie wierzysz.

Spojrzał na nią i nagle spoważniał. Jeszcze nigdy nie widziała go tak poważnym.

— Staram się nigdy nie pytać mojej siostry o sprawy, które wymagają zdrowego rozsądku.

— Colinie! — wykrzyknęła Penelopa. — Cóż za straszne rzeczy mówisz!

— Nie powiedziałem, że jej nie kocham. Nie powiedziałem nawet, że jej nie lubię. Wiesz dobrze, że uwielbiam Eloise. Jednak…

— Wszystko, co zaczyna się od „jednak”, musi być nieprzyjemne — mruknęła Penelopa.

— Eloise — odparł z charakterystyczną dla siebie wyniosłością — powinna już dawno wyjść za mąż.

No tak, tym razem naprawdę przeholował, zwłaszcza jeśli chodzi o ton głosu.

— Ktoś mógłby powiedzieć — odparowała Penelopa, lekko unosząc podbródek — że i ty także dawno powinieneś być żonaty.

— Och, pr…

— Jak sam mnie o tym dumnie poinformowałeś, masz już trzydzieści trzy lata.

Pod lekkim rozbawieniem dostrzegła na jego twarzy cień irytacji, co sugerowało, że wkrótce Colinowi zmieni się humor.

— Penelopo, nawet…

— Starzec! — syknęła.

Zaklął pod nosem, co już samo w sobie było niezwykłe, bo nigdy dotąd nie czynił tego w obecności dam. Powinna była chyba odebrać to jako ostrzeżenie, ale była zbyt zirytowana. Przypuszczała, że stare powiedzenie mówi prawdę: z odwagi rodzi się odwaga.

A może raczej brak rozsądku rodzi brak rozsądku, ponieważ spojrzała na swego rozmówcę wyniośle i zapytała:

— Czy obaj twoi bracia nie byli już przypadkiem żonaci w wieku trzydziestu lat?

Ku jej zdumieniu Colin uśmiechnął się tylko i skrzyżował ramiona na piersi, opierając się barkiem o drzewo, pod którym stali.

— Moi bracia i ja to całkiem odmienne typy.

Penelopa uznała, że to stwierdzenie wiele o nim mówi, ponieważ większość towarzystwa, wliczając w to także lady Whistledown, uważała, że bracia Bridgertonowie są do siebie bardzo podobni. Niektórzy posuwali się jeszcze dalej, twierdząc, że panowie mogliby wymieniać się między sobą.

Penelopa nie przypuszczała, żeby którykolwiek z nich miał o to pretensje — wszyscy wydawali się usatysfakcjonowani takim porównaniem, tym bardziej że lubili się wzajemnie. Może jednak się myliła.

Albo nigdy zbyt dokładnie się im nie przyjrzała. Byłoby to cokolwiek dziwne, miała bowiem wrażenie, iż pół życia spędziła na obserwowaniu Colina Bridgertona.

Powinna była jednak pamiętać, że jeśli nawet Colin miał humory, nigdy nie dopuścił, aby była tego świadkiem. Pochlebiała sobie, sądząc, że ten przytyk o żonatych braciach dotknął go w jakikolwiek sposób.

Nie, jego ripostą był beztroski uśmiech, stosowny żart.

Gdyby kiedykolwiek stracił panowanie nad sobą… Penelopa lekko pokręciła głową. Nie mogła tego pojąć.

Colin nigdy się nie denerwował, a przynajmniej nie przy niej. Musiałby być rzeczywiście głęboko poruszony, żeby się z tym zdradzić. Jednak do takiego stanu mógłby go doprowadzić tylko ktoś, na kim mu naprawdę zależało.

Colin bardzo ją lubił… może nawet bardziej niż innych, ale nie zależało mu na niej. Nie w ten sposób.

— Może zgódźmy się, że się nie zgadzamy — zaproponowała.

— Na jaki temat?

— Eee… Na temat tego, co może, a czego nie może stara panna.

Wydawał się rozbawiony jej wahaniem.

— Ale to zmusiłoby mnie do tego, abym zwrócił się do mojej siostry o radę. Jak zapewne rozumiesz, byłoby to dla mnie niezmiernie trudne.

— Ale jakoś nie obawiasz się zwrócić o radę do mnie?

Colin uśmiechnął się z przekorą.

— Nie, jeśli przysięgniesz, że nie piśniesz ani słowa.

Oczywiście nie mówił poważnie. A ona wiedziała, że on wie, że ona o tym wie. Ale taki już był. Żart i uśmiech wygładzą każdą ścieżkę. Do licha, dobrze mu to wychodziło. Westchnęła, uśmiechnęła się i zanim się obejrzała, wypaliła:

— Dość. Ruszamy do domu twojej mamy.

Colin zaśmiał się.

— Myślisz, że będzie miała herbatniczki?

Penelopa wzniosła oczy ku niebu.

— Oczywiście, że będzie miała herbatniczki.

— Zgoda — rzekł, ruszając szybkim krokiem i pociągając ją za sobą. —

Kocham moją rodzinę, ale tak naprawdę chodzę tam wyłącznie z powodu jedzenia.

4

Trudno byłoby sobie wyobrazić ważniejszą wieść z balu Bridgertonów od tej mówiącej o determinacji lady Danbury, aby odkryć tożsamość Autorki, wypada jednakże odnotować także następujące wydarzenia:

Pan Geoffrey Albansdale widziany był, jak tańczył z panną Felicytą Featherington.

Panna Felicyta Featherington była z kolei widziana, jak tańczyła z panem Lucasem Hotchkissem.

Pan Lucas Hotchkiss widziany był, jak tańczył z panną Hiacyntą Bridgerton.

Panna Hiacynta Bridgerton widziana była, jak tańczyła z wicehrabią Burwickiem.

Wicehrabia Burwick widziany był, jak tańczył z panną Jane Hotchkiss.

Panna Jane Hotchkiss widziana była z kolei, jak tańczyła z panem Colinem Bridgertonem.

Pan Colin Bridgerton widziany był również, jak tańczył z panną Penelopą Featherington.

I aby zamknąć to kazirodcze kółko graniaste, panna Penelopa Featherington widziana była ponadto, jak rozmawiała z panem Geoffreyem Albansdale'em. (Gdyby z nim jeszcze zatańczyła, toby chyba było zbyt pięknie, nieprawdaż, drogi czytelniku?)

„Kronika Towarzyska Lady Whistledown",

12 kwietnia 1824

Kiedy Penelopa i Colin weszli do salonu, Eloise i Hiacynta popijały już herbatę w towarzystwie obu pań Bridgerton. Violetta, seniorka, siedziała u szczytu stołu, zaś Kate, jej synowa i żona Anthony'ego, obecnego wicehrabiego, bez większego powodzenia próbowała opanować harce swej dwuletniej córeczki Charlotty.

— Patrzcie, na kogo wpadłem na Berkeley Square — zawołał Colin.

— Penelopa! — Lady Bridgerton powitała ją ciepłym uśmiechem. — Usiądź. Herbata jeszcze nie wystygła, a kucharka upiekła swoje słynne maślane ciasteczka.

Colin wprost rzucił się w kierunku patery, zaledwie pozdrawiając siostry w biegu.

Penelopa podeszła do najbliższego krzesła i usiadła.

— Ciasteczka są pyszne — rzekła Hiacynta, popychając paterę w jej kierunku.

— Hiacynto — odezwała się lady Violetta z lekką dezaprobatą — postaraj się mówić pełnymi zdaniami.

Córka spojrzała na matkę z niejakim zdziwieniem.

— Ciasteczka. Są. Pyszne. — Przechyliła głowę na bok. — Rzeczownik. Czasownik. Przymiotnik.

— Hiacynto!

Strofując córkę, lady Bridgerton usiłowała przybrać surową minę, ale — jak zaobserwowała Penelopa — nie całkiem jej się to udało.

— Rzeczownik. Czasownik. Przymiotnik — powtórzył Colin, ocierając okruchy z uśmiechniętych ust. — Zdanie. Jest. Prawidłowe.

— Jeśli jesteś kimś nieco więcej niż analfabetą — wtrąciła Kate, sięgając

po ciastko. — Naprawdę są pyszne, to już moje czwarte — przyznała się Penelopie z uśmiechem.

— Kocham cię, Colinie — rzekła Hiacynta, ignorując komentarz bratowej.

— Oczywiście — mruknął.

— Osobiście — oznajmiła wyniośle Eloise — w moich zapisach wolę umieszczać przedimki przed rzeczownikami.

Hiacynta prychnęła.

— W zapisach?

— Napisałam dużo listów — wyjaśniła Eloise, pociągając nosem. — I prowadzę pamiętnik, a to naprawdę pożyteczny zwyczaj.

— Pomaga zachować dyscyplinę — zauważyła Penelopa, biorąc filiżankę i spodeczek z wyciągniętych rąk lady Violetty.

— A ty prowadzisz pamiętnik? — zapytała Kate.

Przypuszczalnie nie patrzyła na rozmówczynię, skoro zdążyła skoczyć i złapać córeczkę, zanim ta wdrapała się na serwantkę.

— Nie — odparła Penelopa, kręcąc głową. — To wymaga zbyt dużej dyscypliny.

— Nie sądzę, żeby umieszczanie przedimka przed rzeczownikiem było zawsze konieczne — upierała się Hiacynta, jak zwykle obstając przy swoim.

Nieszczęściem dla reszty zebranych Eloise była równie nieustępliwa.

— Możesz opuścić przedimek, jeśli chcesz nadać słowu znaczenie ogólne — rzekła, sznurując usta w dość wymowny sposób. — A w tym przypadku miałaś na myśli konkretne ciastka…

Penelopa nie była pewna, ale wydawało jej się, że słyszy jęk lady Bridgerton.

— …to znaczy, że konkretnie rzecz biorąc — podsumowała Eloise,

unosząc brwi — nie masz racji.

Hiacynta poszukała pomocy u Penelopy.

— Jestem pewna, że słowo „konkretnie” w ostatnim zdaniu nie zostało użyte poprawnie.

Panna Featherington sięgnęła po kolejne ciasteczko.

— Odmawiam udziału w tej rozmowie — oświadczyła.

— Tchórz — mruknął Colin.

— Nie, jestem tylko głodna. — Zwróciła się do Kate. — Rzeczywiście, są pyszne.

Wicehrabina skinęła głową.

— Słyszałam plotki — rzekła — że twoja siostra może się zaręczyć.

Penelopa zamrugała ze zdumienia. Nie wiedziała, że ktokolwiek słyszał o związku Felicyty z panem Albansdale’em.

— A od kogo słyszałaś takie plotki?

— Od Eloise, oczywiście — rzeczowo stwierdziła Kate. — Ona zawsze wie o wszystkim.

— A to, czego nie wiem ja — wtrąciła Eloise ze śmiechem — wie zwykle Hiacynta. To bardzo wygodne.

— Jesteście pewne, że żadna z was nie jest lady Whistledown? — zażartował Colin.

— Colinie! — wykrzyknęła jego matka. — Jak mogłeś nawet pomyśleć coś takiego.

Wzruszył ramionami.

— Obie są dość inteligentne, żeby sobie poradzić z takim zadaniem.

Jego siostry rozpromieniły się.

Nawet lady Bridgerton nie mogła zignorować komplementu.

— No tak. — Odchrząknęła. — Hiacynta jest o wiele za młoda,

a Eloise… — Spojrzała na córkę, która obserwowała ją z rozbawioną miną. — Cóż, Eloise nie jest lady Whistledown. Jestem tego pewna.

Eloise spojrzała na brata.

— Nie jestem lady Whistledown.

— Szkoda — odparł. — Teraz byłabyś już obrzydliwie bogata.

— Wiecie co? — mruknęła w zadumie Penelopa. — To całkiem niezły sposób, aby odkryć tożsamość lady Whistledown.

Pięć par oczu skierowało się w jej stronę.

— Musi to być ktoś, kto ma więcej pieniędzy, niż powinien — wyjaśniła.

— Racja! — wykrzyknęła Hiacynta. — Ale ja nie mam przecież pojęcia, kto ile pieniędzy powinien mieć.

— Ja też nie, oczywiście — przyznała Penelopa. — Ale zwykle ma się przynajmniej ogólne pojęcie. — Na widok tępego spojrzenia panny Bridgerton dodała: — Na przykład, gdybym teraz wyszła i kupiła sobie diamentowy naszyjnik, byłoby to raczej podejrzane.

Kate trąciła ją łokciem.

— Kupiłaś ostatnio jakiś diamentowy naszyjnik, co? Przydałby mi się tysiąc funtów.

Panna Featherington wzniosła oczy ku niebu, zanim odpowiedziała. Jako wicehrabina Bridgerton Kate z pewnością nie potrzebowała tysiąca funtów.

— Mogę cię zapewnić — oznajmiła — że nie mam ani jednego diamentu. Nawet pierścionka.

Kate stęknęła, udając wielkie rozczarowanie.

— No cóż, nie przydasz się na nic.

— Nie chodzi o pieniądze — wyjaśniła Hiacynta. — Chodzi o sławę.

Lady Bridgerton zakrztusiła się herbatą.

— Słucham, Hiacynto? Co mówiłaś?

— Pomyśl o popularności, jaką będzie cieszyła się osoba, która

ostatecznie zdemaskuje lady Whistledown. To będzie przepyszne.

— Chcesz powiedzieć — wtrącił Colin z fałszywie niewinnym wyrazem twarzy — że nie interesują cię pieniądze?

— Tego nigdy bym nie powiedziała — odparła jego siostra z bezczelnym uśmiechem.

Penelopie przyszło do głowy, że z wszystkich Bridgertonów Hiacynta i Colin są najbardziej do siebie podobni. Prawdopodobnie częste wyjazdy Colina były korzystne dla wszystkich. Gdyby to rodzeństwo połączyło kiedyś siły, podbiliby razem cały świat.

— Hiacynto — stanowczo odezwała się jej matka — nie wyruszysz na poszukiwanie dzieła życia lady Whistledown.

— Ale…

— Nie twierdzę, że nie możesz zastanowić się nad problemem i nie zadać kilku pytań — pospiesznie dodała lady Bridgerton, unosząc dłoń, żeby oddalić wszelkie dalsze sprzeciwy. — Bogowie, po prawie czterdziestu latach macierzyństwa powinnam wiedzieć, że nie mam szans cię powstrzymać. Jeśli się na coś uprzesz, nonsens czy nie…

Penelopa uniosła filiżankę do ust, żeby ukryć uśmiech.

— Chodzi o to, że jesteś znana z pewnego… — Wicehrabina lekko odchrząknęła — …uporu… czasami…

— Matko!

Lady Bridgerton ciągnęła, jakby córka nigdy się nie odezwała.

— …a ja nie chciałabym, abyś zapomniała, że twoim głównym celem powinno być teraz szukanie męża.

Hiacynta jeszcze raz wykrztusiła „Matko”, ale był to już bardziej jęk niż okrzyk.

Penelopa zerknęła na Eloise, która wbiła wzrok w sufit i walczyła z atakiem śmiechu. Eloise przetrwała całe lata prób wyswatania i nie miała

nic przeciwko temu, by matka zmieniła obiekt swoich męczących zabiegów.

Szczerze mówiąc, Penelopa była zdumiona, że lady Bridgerton pogodziła się z wolnym stanem Eloise. Nigdy nie ukrywała, że jej nadrzędnym celem w życiu było szczęśliwe pożenienie wszystkich ośmiorga dzieci. Na razie udało jej się z czworgiem. Najpierw Daphne wyszła za Simona i została księżną Hastings. W kolejnym roku Anthony ożenił się z Kate. Potem nastąpił pewien przestój, ale ostatecznie Benedict i Francesca wstąpili w związki małżeńskie w ciągu jednego roku. Benedict ożenił się z Sophie, a Francesca wyszła za szkockiego hrabiego Kilmartin.

Francesca owdowiała w dwa lata po ślubie. Teraz dzieliła swoje życie pomiędzy rodzinę zmarłego męża w Szkocji i własną w Londynie. Przebywając w stolicy, upierała się jednak, aby mieszkać w Kilmartin House zamiast w Bridgerton House czy pod Numerem Piątym. Penelopa nie winiła jej. Gdyby była wdową, też cieszyłaby się pełnią niezależności. Hiacynta znosiła swatanie dzielnie i z dobrym humorem, jak wyznała kiedyś Penelopie, w końcu i tak zapewne sama chciałaby wyjść za mąż. Pozwalała zatem, aby matka wykonała najcięższą część zadania, a sama czekała jedynie na właściwego człowieka.

Teraz też wstała, cmoknęła matkę w policzek i grzecznie obiecała, że głównym celem jej życia będzie znalezienie męża… przy czym posłała rodzeństwu przewrotny uśmieszek. Zaledwie jednak wróciła na miejsce, rzuciła:

— Myślicie, że da się złapać?

— Czy wciąż mówimy o tej Whistledown? — jęknęła lady Bridgerton.

— Nie słyszała pani teorii Eloise? — zapytała Penelopa. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią, a potem na Eloise.

— A… jaka była ta moja teoria? — niepewnie spytała panna Bridgerton.

— Nie pamiętam dokładnie, ale to było jakiś tydzień temu — odparła Penelopa. — Rozmawiałyśmy o lady Whistledown. Powiedziałam wówczas, że to nie może dłużej tak trwać, że w końcu musi popełnić jakiś błąd. Na co Eloise powiedziała, że nie jest wcale taka pewna, bo w końcu trwa to ponad dziesięć lat i gdyby ta kobieta miała popełnić jakiś błąd, już dawno by się to stało. Zwróciłam jej wtedy uwagę, że przecież to tylko człowiek. W końcu musi jej się noga powinąć, nikt nie może tak długo…

— O tak, teraz pamiętam! — weszła jej w słowo Eloise. — Byłyśmy w twoim pokoju. Miałam niesamowity pomysł! Powiedziałam Penelopie, że założyłabym się, iż lady Whistledown popełniła już niejeden błąd, tylko my byliśmy zbyt głupi, żeby to zauważyć…

— Niezbyt pochlebna dla nas opinia — mruknął Colin.

— „My” w tym przypadku miało oznaczać całe towarzystwo, nie tylko Bridgertonów — wyjaśniła mu siostra.

— Może zatem — głośno rozważała Hiacynta — żeby zdemaskować lady Whistledown, wystarczy poczytać stare pamflety.

Oczy lady Violetty wypełniły się paniką.

— Hiacynto Bridgerton, nie podoba mi się wyraz twojej twarzy.

Jej córka uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

— Nieźle bym się zabawiła, mając do dyspozycji tysiąc funtów.

— Niech nas ręka boska broni! — brzmiała odpowiedź wicehrabiny.

— Penelopo — nagle odezwał się Colin — nie skończyłaś opowiadać nam o Felicycie. Czy to prawda, że ma się zaręczyć?

Penelopa przełknęła szybko herbatę. Colin miał taki sposób spoglądania na rozmówcę, że ten odnosił wrażenie, jakby byli jedynymi istotami we wszechświecie. Nieszczęściem dla Penelopy spojrzenie takie zmieniało ją w jąkającą się kretynkę. O ile uczestnicząc w rozmowie, zwykle szybko

dochodziła do siebie, o tyle wzięta z zaskoczenia, kiedy była już pewna, że doskonale wkomponowała się w tapetę, całkowicie traciła głowę.

— Taaak, to całkiem możliwe — rzekła. — Pan Albansdale wspominał coś o swoich zamiarach. Jeśli jednak zdecyduje się oświadczyć, sądzę, że pojedzie do wschodniej Anglii prosić o jej rękę mego wujka.

— Twojego wujka? — zdziwiła się Kate.

— Wujka Geoffreya. Mieszka w okolicach Norwich. Jest naszym najbliższym krewnym płci męskiej, choć prawdę mówiąc, rzadko go widujemy. Pan Albansdale jest jednak tradycjonalistą. Nie sądzę, aby czuł się dobrze, gdyby poprosił jedynie mamę.

— Mam nadzieję, że spyta również samą Felicytę — wtrąciła Eloise. — Często myślałam, jakie to niemądre prosić o rękę kobiety najpierw jej ojca, a potem dopiero ją samą. Ojciec nie będzie musiał z nim mieszkać.

— Ta opinia — rzekł Colin z uśmiechem, który tylko częściowo skrywał za filiżanką — może wyjaśniać, dlaczego wciąż pozostajesz niezamężna.

Lady Bridgerton zgromiła go wzrokiem.

— O nie, mamo — uspokoiła ją Eloise. — To nic takiego. Doskonale się czuję jako stara panna. — Spojrzała na brata z niejaką wyższością. — Wolę być starą panną niż żoną nudziarza. Podobnie — dodała — jak Penelopa.

Wywołana raptownie po imieniu Penelopa wyprostowała się odruchowo.

— Co? A, tak. Oczywiście.

Czuła jednak, że nie jest tak mocno przekonana jak przyjaciółka. W przeciwieństwie do Eloise nie dała kosza sześciu konkurentom. Nie dała kosza nawet jednemu — bo nigdy nie otrzymała propozycji małżeństwa.

Powtarzała sobie, że i tak nie zgodziłaby się wyjść za nikogo innego, skoro jej serce należy do Colina. Czy była to jednak prawda, czy tylko próbowała sobie wmówić, że nie poniosła aż tak spektakularnej klęski?

Gdyby ktoś teraz poprosił ją o rękę — ktoś całkiem miły i sympatyczny,

kogo zapewne nigdy by nie pokochała, lecz mogłaby serdecznie polubić — czy powiedziałaby „tak”?

Prawdopodobnie.

Ogarnęła ją melancholia, ponieważ w chwili, gdy się do tego przyznała, zrozumiała, iż całkowicie pogrzebała swoje nadzieje na poślubienie Colina. A to oznaczało, że wcale nie jest w zgodzie ze swoimi zasadami, jak jej się wydawało. Oznaczało to, że jest gotowa zgodzić się na nie całkiem doskonałego męża, aby mieć własny dom i rodzinę.

Setki kobiet co roku podejmowały taką samą decyzję, lecz nie sądziła, że i ona jest do tego zdolna.

— Spoważniałaś nagle — zauważył Colin.

Drgnęła, wyrwana z zadumy.

— Ja? Nie, nic podobnego. Zamyśliłam się tylko.

Colin przyjął jej wyjaśnienie i sięgnął po kolejne ciastko.

— Nie ma nic konkretniejszego? — zapytał, marszcząc nos.

— Gdybym wiedziała, że przyjdziesz — oschle odparła lady Violetta — podałabym dwa razy więcej jedzenia.

Jej syn wstał i podszedł do sznura od dzwonka.

— Każę przynieść więcej — rzekł i zadzwonił, po czym wrócił na miejsce. — Słyszałyście teorię Penelopy na temat lady Whistledown?

— Nie — odparła wicehrabina.

— W istocie to bardzo sprytne — rzekł, przerywając na chwilę, aby poprosić służącą o kanapki. — Ona uważa, że to sama lady Danbury.

— Ooo! — Hiacynta nie kryła zaskoczenia. — Faktycznie bardzo sprytne.

Panna Featherington podziękowała skinieniem głowy.

— To rzeczywiście coś, do czego lady Danbury byłaby zdolna — kontynuowała Hiacynta.

— Mówisz o gazetce czy o wyzwaniu? — zapytała Kate, w ostatniej chwili chwytając koniec szarfy córeczki, zanim ta uciekła poza zasięg jej rąk.

— Jedno i drugie — odparła Hiacynta.

— I Penelopa powiedziała jej to — wtrąciła Eloise. — Prościutko w twarz.

Hiacynta aż otwarła usta. Jej ocena Penelopy wyraźnie wzrosła o kilka punktów.

— Żałuję, że tego nie widziałam! — zawołała lady Bridgerton z szerokim, pełnym dumy uśmiechem. — Dziwne, że nie wspomniano o tym w dzisiejszej „Kronice”.

— Nie sądzę, aby lady Whistledown chciała komentować teorie dotyczące jej tożsamości — odparła Penelopa.

— Czemu nie? — zdziwiła się Hiacynta. — Przecież to doskonała okazja, żeby wypuścić kilka nowych fałszywych tropów. Na przykład — dramatycznym gestem wyciągnęła dłoń w kierunku siostry — ja myślę, że to Eloise.

— Ale to nie Eloise! — wykrzyknęła lady Bridgerton.

— To nie ja — zaśmiała się Eloise.

— Ale przecież powiedziałam, że ja tylko myślę, iż to ty — wykrzyknęła jej siostra wojowniczo. — I powiedziałam to publicznie!

— Czego oczywiście nigdy nie uczynisz — surowo zapowiedziała jej matka.

— Czego oczywiście nigdy nie uczynię — przedrzeźniała ją Hiacynta. — Ale dla czysto akademickich celów przyjmijmy, że jednak to zrobię. Powiem, że to Eloise jest lady Whistledown. Chociaż nie jest — dodała szybko, zanim matka zdążyła znów zaprotestować.

Lady Bridgerton podniosła ręce w geście kapitulacji.

— Czy istnieje lepszy sposób oszukania nas — ciągnęła Hiacynta — niż wyśmiać mnie w swojej gazetce?

— Oczywiście, gdyby lady Whistledown istotnie była Eloise… — zgodziła się Penelopa.

— Ale nie jest! — wtrąciła lady Bridgerton.

Panna Penelopa Featherington nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Ale gdyby była…

— Wiecie co? — rzuciła Eloise. — W sumie teraz chciałabym nią być.

— Jakżebyś z nas sobie zakpiła! — ciągnęła Penelopa. — Oczywiście w środę nie mogłabyś wyśmiewać się z Hiacynty, ponieważ wtedy wszyscy wiedzielibyśmy, że to ty.

— Chyba że to ty — zaśmiała się Kate, spoglądając na Penelopę. — To dopiero byłaby przewrotna sztuczka.

— Poczekajcie, czy ja dobrze zrozumiałam? — zawołała Eloise ze śmiechem. — Penelopa jest lady Whistledown i w środę wydrwi teorię Hiacynty, że to ja jestem lady Whistledown, tylko po to, żebyście pomyśleli, że ja naprawdę jestem lady Whistledown, ponieważ Hiacynta doszła do wniosku, że to będzie sprytne posunięcie.

— Całkiem się zgubiłem — rzekł Colin, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

— Chyba że to Colin jest lady Whistledown… — mruknęła Hiacynta z diabelskim błyskiem w oku.

— Przestań! — zawołała lady Bridgerton. — Proszę.

Hiacynta i tak nie mogłaby powiedzieć nic więcej, bo wszyscy parsknęli głośnym śmiechem.

— Możliwości są nieskończone — zauważyła Hiacynta, ocierając łzy z oczu.

— Może powinniśmy po prostu popatrzyć w lewo — zaproponował

Colin, siadając przy stole. — Kto wie, może to właśnie jest nasza osławiona lady Whistledown.

Wszyscy spojrzeli w lewo, z wyjątkiem Eloise, która spoglądała w prawo… wprost na brata.

— Czyżbyś próbował mi coś zasugerować, siadając po mojej prawej stronie? — zapytała z rozbawieniem.

— Nic a nic — mruknął, sięgając w kierunku patery. Jego ręka zawisła w powietrzu, gdy stwierdził, że patera jest pusta.

Ale nie spojrzał Eloise prosto w oczy.

Jeśli nawet ktokolwiek oprócz Penelopy zauważył ten unik, nikt nie zdążył go skomentować, ponieważ właśnie w tym momencie pojawiły się kanapki, co całkowicie wyłączyło Colina z wszelkiej konwersacji.

5

Autorka dowiedziała się, że z początkiem tygodnia lady Blackwood skręciła kostkę, goniąc dostawcę Niniejszej Skromnej Gazetki.

Tysiąc funtów to rzeczywiście sporo pieniędzy, ale lady Blackwood raczej ich nie potrzebuje, a poza tym sytuacja staje się absurdalna. Zapewne londyńczycy mają ciekawsze rzeczy do roboty, aniżeli gonić biednych, przerażonych gazeciarzy w bezowocnych wysiłkach odkrycia tożsamości Autorki.

A może nie.

Autorka opisywała życie towarzystwa londyńskiego przez całe dziesięciolecie i istotnie nie znalazła dowodów na to, że mają co robić ze swoim wolnym czasem.

„Kronika Towarzyska Lady Whistledown”,
12 kwietnia 1824

W dwa dni później Penelopa znów przemierzała Berkeley Square, zdążając pod Numer Piąty. Tym razem jednak było wczesne przedpołudnie, świeciło słońce i nie spotkała po drodze Colina.

Nie była pewna, czy to dobrze, czy źle.

W zeszłym tygodniu zaplanowały z Eloise, że wybiorą się na zakupy. Miały spotkać się u Bridgertonów, żeby jechać razem, już bez towarzystwa pokojówek. Dzień był cudowny, bardziej czerwcowy niż kwietniowy, i Penelopa bardzo się cieszyła na krótki spacer po Oxford Street.

Kiedy jednak dotarła do Numeru Piątego, powitała ją zdumiona mina kamerdynera.

— Panna Featherington — rzekł, mrugając kilka razy z rzędu, zanim zdołał wykrztusić całe zdanie. — Obawiam się, że panienka Eloise jest nieobecna.

Penelopa otworzyła usta ze zdziwienia.

— Dokąd poszła? Przecież byłyśmy umówione.

Wickham pokręcił głową.

— Nie wiem. Ale wyjechała z matką i panną Hiacyntą dwie godziny temu.

— Rozumiem. — Penelopa zmarszczyła brwi, usiłując zdecydować, co robić. — Czy mogę poczekać? Może po prostu coś je zatrzymało? To niepodobne do Eloise, żeby zapomnieć o umówionym spotkaniu.

Służący skinął uprzejmie i wprowadził Penelopę po schodach do niewielkiego salonu, obiecując przynieść tacę z napojami i podając ostatnie wydanie „Whistledown” dla umilenia czasu oczekiwania.

Penelopa oczywiście już gazetkę czytała, dostarczano ją bardzo wcześnie rano, a ona nabrała zwyczaju przeglądać ją przy śniadaniu. Dla zabicia czasu podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Tam jednak również nie zobaczyła nic nowego — te same budynki, które widziała już tysiąc razy, nawet ci sami ludzie przemierzający ulicę.

Kiedy tak zastanawiała się nad jednostajnością swego życia, nagle dostrzegła otwartą książkę na stole. Nawet z daleka poznała, że nie jest to drukowana książka, jej stronice bowiem wypełniały wersy zapisane ręcznie.

Zaintrygowana podeszła do stołu i nie dotykając stronic, przebiegła je wzrokiem. Wyglądało na to, że był to dziennik, pośrodku prawej stronicy umieszczono bowiem datę, a kilka wierszy poniżej widniał tekst.

22 lutego 1824, góry Troodos, Cypr

Penelopa podniosła dłoń do ust. To pisał Colin! Mówił jej przecież, że

zamiast do Grecji pojechał na Cypr. Nie miała jednak pojęcia, że prowadził dziennik.

Podniosła stopę, aby odejść, ale jej ciało nie chciało słuchać. Pomyślała sobie, że nie powinna tego czytać. To prywatne zapiski. Powinna odejść.

— Odejść — mruknęła, spoglądając w dół, na swe niesforne stopy. — Odejść.

Stopy ani drgnęły.

Może jednak nie ma w tym nic złego. W końcu, czy istotnie naruszy prywatność Bridgertona, jeśli przeczyta tylko te strony, które są widoczne, nie odwracając kartek? Pozostawił przecież dziennik otwarty, cały świat mógł go sobie obejrzeć.

Colin miał jednak wszelkie powody, aby sądzić, że nikt nie zajrzy do jego dziennika, nawet jeśli pozostawi go na kilka chwil. Prawdopodobnie wiedział, że matka i siostry wyjechały na pół dnia. Większość gości przyjmowano w dużym salonie na parterze, o ile Penelopa wiedziała, tylko ona i Felicyta były tutaj wprowadzane. A skoro Colin się jej nie spodziewał (a właściwie w ogóle o niej nie myślał), nie przyszło mu do głowy, że nie powinien pozostawiać zeszytu na stole.

Z drugiej strony nie zamknął go.

Nie zamknął, do licha! Gdyby ten dziennik skrywał jakieś ważne tajemnice, Colin chowałby go z większą troską, wychodząc z domu. W końcu nie był głupcem.

Penelopa pochyliła się w przód.

O, do licha! Z tej odległości nie mogła odczytać słów. Nagłówek był czytelny, ponieważ wokół niego było pusto, właściwy tekst natomiast był zbyt mocno zbity. Uznała, że nie będzie czuła się tak winna, jeśli nie podejdzie już ani kroku bliżej. Oczywiście to, że przebyła już cały pokój,

aby znaleźć się w miejscu, w którym teraz stała, nie miało żadnego znaczenia.

Postukała się palcem w policzek. No tak, co racja, to racja. Już dość dawno przeszła przez pokój, co oznaczało, że największy grzech już popełniła. Jeszcze jeden mały kroczek w porównaniu z całą szerokością salonu to nic, zupełnie nic. Przesunęła się nieco bliżej, powtarzając sobie, że to się liczy jako pół kroku. Potem jeszcze jeden kroczek, pochyliła się i zaczęła czytanie od połowy zdania.

…w Anglii. Tu piasek zmienia barwę od brązowej do białej, a jego ziarenka są tak małe, że muska nagą stopę jak najdelikatniejszy jedwab. Woda ma kolor błękitu, o jakim Anglia nawet nie słyszała, akwamaryny z błyskiem słońca, i głębokiego kobaltu, gdy chmury przesłaniają niebo. Jest ciepła — zaskakująco, zdumiewająco ciepła — jak kąpiel, która jeszcze pół godziny temu była gorąca. Delikatne fale liżą brzeg z cichym pluskiem piany, łaskocząc skórę i zmieniając doskonały piasek w rozkoszną maź, która przelewa się i ślizga między palcami, aż kolejna fala znów ją zmyje.

Łatwo zrozumieć, czemu mówi się o tym miejscu jako o kolebce Afrodyty. Z każdym krokiem wydaje mi się, że za chwilę ją ujrzę, jak z obrazu Botticellego: wyłaniającą się z morza, unoszącą w doskonałej równowadze na olbrzymiej muszli, z długimi, tycjanowskimi włosami tańczącymi wokół jej głowy.

Gdyby miała urodzić się kobieta doskonała, z pewnością stałoby się to tutaj. Jestem w raju. A jednak…

A jednak z każdym ciepłym powiewem czy spojrzeniem w bezchmurne niebo przypominam sobie, że to nie jest mój dom, że urodziłem się, żeby żyć gdzie indziej. To nie gasi żądzy… nie, przymusu! — podróżowania, oglądania, poznawania… Ale budzi dziwne pragnienie dotknięcia mokrego

od rosy trawnika, poczucia chłodnej mgły na twarzy, a nawet wspomnienie radości, jaką przynosi pierwszy słoneczny dzień po tygodniu deszczu.

Tutejsi ludzie nie znają tej radości. Ich dni zawsze są piękne. Czy można docenić piękno, jeśli jest ono stale obecne w czyimś życiu?

22 lutego 1824, góry Troodos, Cypr

Dziwne, ale jest mi zimno. Oczywiście, jest luty, a ja jako Anglik jestem przyzwyczajony do lutowego chłodu (podobnie jak do chłodu paru innych miesięcy), lecz przecież nie jestem w Anglii. Jestem na Cyprze, w sercu Morza Śródziemnego, a dwa dni temu byłem w Pafos, na południowo-zachodnim brzegu wyspy, gdzie słońce świeci mocno, a woda jest słona i ciepła. Stąd widzę szczyt Olimpu, pokryty śniegiem tak białym, że patrząc nań, można na chwilę oślepnąć.

Wspinaczka na tę wysokość była niebezpieczna, za każdym niemal zakrętem czaiło się niebezpieczeństwo. Droga jest prymitywna, spotkaliśmy na niej…

Penelopa wydała cichy jęk protestu, kiedy stwierdziła, że stronica kończy się w połowie zdania. Kogo spotkali? Co się wydarzyło? Jakie niebezpieczeństwo?

Wpatrywała się w zapiski, umierając z pragnienia, aby odwrócić kartkę i dowiedzieć się, co się stało dalej. Zaczynała jednak czytać z przekonaniem, że nie narusza prywatności Colina, gdyż pozostawił dziennik otwarty. A ona tylko popatrzyła na to, co i tak było widać…

Odwrócenie kartki to jednak całkiem co innego.

Wyciągnęła rękę i cofnęła ją szybko. To nie było uczciwe.

Nie mogła czytać dziennika. Nic poza tym, co już przeczytała.

Z drugiej strony widać było, że ten tekst wart jest przeczytania. To

zbrodnia, że Colin chowa go dla siebie. Słowa powinny być szanowane, udostępniane. Powinny być…

— O, do licha! — mruknęła do siebie. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć strony.

— Co ty tu robisz?

Penelopa obróciła się na pięcie.

— Colin!

— Rzeczywiście — warknął.

Odskoczyła. Po raz pierwszy użył przy niej takiego tonu.

Nie sądziła nawet, że jest do niego zdolny.

Wielkimi krokami podszedł do stolika, chwycił dziennik i zatrzasnął.

— Co tu robisz? — zapytał.

— Czekam na Eloise — wykrztusiła, czując, że nagle zaschło jej w gardle.

— W saloniku na piętrze?

— Wickham zawsze mnie tu przyprowadza. Twoja matka kazała mu traktować mnie jak członka rodziny. I… eee… on… eee… — Zauważyła, że zaczyna wykręcać sobie palce, i zmusiła się, żeby przestać. — To samo z moją siostrą Felicytą. Ona i Hiacynta są tak dobrymi przyjaciółkami… Przykro mi… myślałam, że wiesz.

Bridgerton beztrosko odrzucił oprawny w skórę dziennik na najbliższy fotel i skrzyżował ramiona.

— A ty masz zwyczaj czytać osobiste zapiski innych ludzi?

— Nie, oczywiście, że nie. Ale był otwarty i… — Przełknęła ślinę, uświadamiając sobie, jak głupio brzmi ta wymówka. — I to jest pokój dostępny dla wszystkich — wymamrotała, czując, że powinna zamilknąć. — Trzeba było zabrać go ze sobą.

— Tam, dokąd się udałem — wycedził Colin, wyraźnie nadal

wściekły — człowiek zwykle nie zabiera książek.

— Ten notes nie jest taki duży — odparła, zastanawiając się, dlaczego wciąż jeszcze coś mówi.

— Na miłość boską! Czy koniecznie chcesz, żebym wymówił w twojej obecności słowo „wygódka”?

Penelopa poczuła, że oblewa się rumieńcem.

— Chyba już pójdę — rzekła. — Powiedz Eloise…

— To ja pójdę — warknął Colin. — I tak się dzisiaj wyprowadzam. Równie dobrze mogę zrobić to teraz, skoro już prawie tu zamieszkałaś.

Penelopa nie sądziła, że słowa mogą sprawić fizyczny ból, ale w tej chwili przysięgłaby, że poczuła, jak ostrze noża wbija jej się w pierś. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, ile to dla niej znaczyło, że lady Bridgerton otwarła dla niej swój dom.

Ani jak bardzo zaboli ją, kiedy się dowie, że Colinowi nie podoba się jej obecność.

— Dlaczego tak utrudniasz mi przeprosiny? — wybuchnęła, biegnąc za nim, kiedy ruszył ku drzwiom.

— A powiedz mi, dlaczego właściwie miałbym ci je ułatwiać? — odparował, nie patrząc na nią. Nawet się nie zatrzymał.

— Ponieważ to byłoby miłe z twojej strony — wykrztusiła.

Obejrzał się z tak gniewnym błyskiem w oku, że Penelopa odskoczyła w tył. Colin był miły, sympatyczny. Nie wybuchał złością.

Do tej pory.

— Ponieważ to byłoby miłe?! — zagrzmiał. — To właśnie myślałaś, czytając mój dziennik? Że miło będzie poczytać cudze prywatne zapiski?

— Nie, Colinie, ja…

— Nie ma takich słów… — rzekł, dźgając ją palcem wskazującym w ramię.

— Colinie! Ty…

Obrócił się tyłem, grubiańsko pokazując jej plecy.

— Nic nie usprawiedliwia twojego zachowania.

— Nie, oczywiście, że nie, ale…

— Au!

Penelopa poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Krzyk Colina był prawdziwym krzykiem bólu. Podbiegła do niego.

— Co… o mój Boże!

Z rany na dłoni, w której Colin trzymał nóż do otwierania korespondencji, wypływała strużka krwi.

Penelopa nigdy nie była zbyt wymowna w chwilach zdenerwowania, teraz też zdołała tylko wyjąkać: „O rany, dywan!”, po czym chwyciła kawałek papieru listowego, który leżał na pobliskim sekretarzyku. Podsunęła arkusik pod skaleczoną dłoń, żeby krew nie splamiła bezcennego dywanu.

— Doprawdy, cóż za troskliwa pielęgniarka — wyszeptał Bridgerton drżącym głosem.

— Możesz być spokojny, od tego się nie umiera — zapewniła go. — A dywan…

— Nic się nie stanie — odrzekł. — Próbowałem zażartować.

Penelopa spojrzała Colinowi w twarz. Po bokach jego ust pojawiły się głębokie bruzdy.

Policzki miał bardzo blade.

— Chyba powinieneś usiąść — mruknęła.

Skinął ponuro głową i opadł na fotel.

Żołądek Penelopy zaczął o sobie przypominać. Nigdy zbyt dobrze nie znosiła widoku krwi.

— Chyba ja też usiądę — wymamrotała, opadając na niski stołek.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Colin.

Skinęła głową, próbując zignorować wzbierającą falę mdłości.

— Musimy coś znaleźć, żeby cię opatrzyć — rzekła, krzywiąc się na widok prowizorycznego zabezpieczenia. Papier nie był chłonny i krew spływała po nim, co chwila niebezpiecznie zbliżając się do krawędzi.

— Mam w kieszeni chusteczkę — podpowiedział Colin.

Penelopa ostrożnie odłożyła papier i wyjęła chusteczkę z kieszeni na piersi Colina, usiłując nie zwracać uwagi na ciepło skóry, które czuła pod palcami, kiedy chwytała delikatny, kremowy materiał.

— Boli? — spytała, owijając dłoń. — Nie, nie odpowiadaj.

Oczywiście, że boli.

Bridgerton uśmiechnął się niepewnie.

— Boli.

Zerknęła na rozcięcie, zmuszając się, aby przyjrzeć mu się dokładniej, choć na widok krwi jej żołądek ścisnął się nieprzyjemnie.

— Chyba nie trzeba będzie szyć.

— Wiesz coś na temat ran?

Pokręciła głową.

— Nie. Ale to nie wygląda źle. Tyle tylko, że… ta krew.

— Rana wygląda lepiej, niż ja się czuję — rzucił Colin.

Penelopa z przerażeniem spojrzała mu w twarz.

— Jeszcze jeden żart — zapewnił ją. — Nie, nie całkiem. Naprawdę boli bardziej, niż na to wygląda, ale zapewniam cię, że to do zniesienia.

— Przykro mi — odparła, uciskając ranę, żeby zmniejszyć wypływ krwi. — To wszystko moja wina.

— Że sobie rozciąłem rękę?

— Gdybyś nie był taki wściekły…

— Nie bądź niemądra, Penelopo. Gdybym nie wściekł się na ciebie,

rozgniewałbym się kiedy indziej i na kogo innego.

— I oczywiście miałbyś pod ręką nóż do otwierania listów — mruknęła, spoglądając na niego spod rzęs, zanim znów pochyliła się nad skaleczoną dłonią.

W oczach Colina ujrzała wesołość, a może nawet odrobinę podziwu.

I coś jeszcze, czego nigdy nie spodziewała się zobaczyć — wahanie, a nawet bezbronność. Zdumiało ją to. On najwyraźniej nie wiedział, jak pięknie pisze. Nie miał o tym pojęcia i był naprawdę zakłopotany, że przeczytała jego gryzmoły.

— Colinie — zaczęła, instynktownie zwiększając ucisk i pochylając się w przód — muszę ci powiedzieć. To… — urwała, słysząc odgłos rytmicznych kroków zbliżających się korytarzem. — To pewnie Wickham — mruknęła, oglądając się na drzwi. — Nalegał, aby przynieść mi coś do picia. Możesz teraz sam przytrzymać opatrunek?

Bridgerton skinął głową.

— Nie chcę, żeby zauważył, że się zraniłem. Powie mamie, a ona zamęczy mnie na śmierć.

— Dobrze. — Penelopa wstała i rzuciła mu dziennik. — Udawaj, że czytasz.

Colin zaledwie miał czas otworzyć zeszyt i przykryć nim zranioną dłoń, gdy do salonu wszedł kamerdyner z wielką tacą.

— Wickham! — zawołała Penelopa, zrywając się na nogi, jakby jego widok ją zaskoczył. — Jak zwykle, znowu przyniosłeś więcej, niż jestem w stanie zjeść. Na szczęście pan Bridgerton dotrzymuje mi towarzystwa. Jestem pewna, że z jego pomocą będę w stanie oddać honor zawartości tej tacy…

Służący skinął głową i zdjął pokrywy z półmisków, odsłaniając plastry mięsa, sera, owoców. Obok postawił wysoki dzbanek lemoniady.

Penelopa uśmiechnęła się wesoło.

— Mam nadzieję, że nie sądziłeś, iż wszystko to sama zjem!

— Spodziewamy się wkrótce przybycia lady Bridgerton i panienek. Sądzę, że i one będą głodne.

— Jeśli ja się tym zajmę, nie zostaną nawet okruszki — ostrzegł Colin z jowialnym uśmiechem.

Wickham skłonił się lekko w jego stronę.

— Gdybym wiedział, że pan tu jest, paniczu, potroiłbym porcje. Czy mam przygotować panu półmisek?

— Nie, nie. — Colin machnął zdrową ręką. — Zaraz wstanę, tylko… skończę czytać rozdział.

— Proszę dzwonić, gdyby panicz potrzebował pomocy — rzekł kamerdyner i opuścił salon.

— Ach! — jęknął Colin w tej samej chwili, kiedy za Wickhamem zamknęły się drzwi. — Cholera… to znaczy szlag… ta rana boli.

Penelopa wzięła serwetkę z tacy.

— Masz, zastąp nią chusteczkę. — Ostrożnie oderwała mokry materiał od skóry, starając się patrzeć raczej na chusteczkę niż na ranę. Nie wiedzieć czemu, jej żołądek znosił to nieco lepiej. — Obawiam się, że nadaje się tylko do wyrzucenia.

Colin przymknął oczy i pokręcił głową. Penelopa była wystarczająco domyślna, aby zinterpretować ten gest jako „Nie szkodzi”. I dość wrażliwa, żeby już nic więcej nie mówić. Nie ma nic gorszego niż kobieta, która nieustannie paple bez sensu.

Colin zawsze lubił Penelopę, lecz aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jaka jest bystra. O tak, gdyby ktoś go zapytał, z pewnością powiedziałby, że jest błyskotliwa, ale nie zatrzymałby się przy tym stwierdzeniu ani przez chwilę. Teraz jednak dochodził do wniosku, że jest

naprawdę bardzo inteligentną osobą. Wydawało mu się też, że któraś z sióstr wspominała o niej jako o zagorzałej czytelniczce.

I pewnie bardzo wybrednej.

— Chyba krwawienie ustaje — powiedziała, owijając mu dłoń czystą serwetką. — Właściwie jestem pewna, że tak jest, bo nie czuję się już tak słabo za każdym razem, kiedy spoglądam na ranę.

Żałował, że przeczytała jego dziennik, ale skoro już tak się stało…

— Wiesz, Penelopo — rzekł, zdumiony wahaniem w swoim głosie.

Podniosła wzrok.

— Przepraszam, uciskam za mocno?

Przez chwilę Colin nic nie mówił, tylko mrugał. Jak do tej pory mógł nie zauważyć, że ona ma takie wielkie oczy? Wiedział, oczywiście, że są brązowe i… Nie, jeśli się dobrze zastanowić, jeśli chciałby być wobec siebie szczery, musiałby przyznać, że gdyby jeszcze dzisiaj rano ktoś go o to zapytał, nie byłby w stanie odpowiedzieć.

Teraz jednak czuł, że zapamięta ich kolor na zawsze. Penelopa zwolniła nieco ucisk.

— Teraz lepiej?

Skinął głową.

— Dziękuję. Sam bym sobie poradził, ale to prawa dłoń i…

— Nic nie mów. Choć tyle mogę zrobić po… po… — Odwróciła wzrok, a Colin wiedział, że znów zamierza go przepraszać.

— Daj spokój — upomniał ją.

— Nie, czekaj! — krzyknęła z oczami błyszczącymi… czym?

Czyżby namiętnością? Z pewnością nie taką, jaką znał najlepiej, ale… są przecież inne rodzaje namiętności? Namiętność do wiedzy. Namiętność do… literatury?

— Muszę ci to powiedzieć — rzekła spiesznie. — Wiem, że to było

z mojej strony niewybaczalne wścibstwo, że nie powinnam była czytać twojego dziennika, ale… byłam znudzona… czekaniem… nie miałam nic do roboty… zobaczyłam go i…

Bridgerton otwarł usta, żeby jej przerwać, powiedzieć, że już stało się, ale słowa wypływały z jej ust wartkim strumieniem, a on nagle zapragnął ich wysłuchać.

— Powinnam była odejść, skoro tylko stwierdziłam, co to takiego — ciągnęła. — Ale kiedy przeczytałam pierwsze zdanie, musiałam przeczytać kolejne! Colinie, to coś cudownego! Czułam się tak, jakbym tam była! Czułam dotyk wody… wiedziałam dokładnie, jaką ma temperaturę. Tak pięknie i mądrze to opisałeś! Wszyscy dokładnie wiedzą, jaką temperaturę ma woda po półgodzinie…

Przez chwilę Colin nie mógł wykrztusić słowa. Nigdy nie widział Penelopy tak ożywionej, to było niezwykłe i… przyjemne, że owo podniecenie związane było z jego dziennikiem.

— Podobało ci się? — zapytał wreszcie.

— Ależ to zachwycające!

— Au!

W uniesieniu ścisnęła jego dłoń zbyt mocno.

— O, przepraszam — rzekła niedbale. — Colinie, musisz mi powiedzieć. Co to było za niebezpieczeństwo? Nie mogę znieść, że tego nie wiem!

— Nic takiego — odparł skromnie — ta strona, którą przeczytałaś, nie była zbyt ciekawa.

— Nie, to był głównie opis — zgodziła się — ale bardzo obrazowy i przyjemny w lekturze. Wszystko mogłam zobaczyć w wyobraźni. Ale to nie było… do licha, jak mam to wyjaśnić?

Colin stwierdził, że z niecierpliwością czeka na jej słowa.

— Nieraz — ciągnęła — kiedy czytasz opis, jest on taki… nie wiem, jak

to określić… obojętny. Nawet kliniczny. Ty ożywiłeś tę wyspę. Inni ludzie mogli nazwać wodę ciepłą, ale ty powiązałeś ją z czymś, co wszyscy znają i rozumieją. Poczułam się tak, jakbym stała tam obok ciebie, zanurzając w niej stopę, tak jak ty.

Bridgerton uśmiechnął się, dziwnie zadowolony z jej pochwał.

— Ach! I chciałam coś jeszcze powiedzieć… to było naprawdę doskonałe…

Wiedział, że szczerzy zęby jak idiota. Doskonałe. Doskonałe. Doskonałe. Piękne słowo.

Penelopa pochyliła się lekko, mówiąc:

— Pokazałeś czytelnikowi, jaki masz stosunek do tej sceny i jak ona cię porusza. Dzięki temu, że wiemy, jak ją odbierasz, staje się ona czymś więcej niż tylko opisem.

Colin wiedział, że doszukuje się w jej słowach komplementów, ale nie dbał o to, zadając kolejne pytanie.

— Co masz na myśli?

— Cóż, jeśli spojrzysz… mogę dostać dziennik na chwilę, żeby odświeżyć sobie pamięć?

— Oczywiście — odrzekł i podał jej zeszyt.

— Poczekaj, znajdę właściwą linijkę. — Przebiegła wzrokiem otwartą stronicę. — Tutaj. Popatrz na ten fragment, gdzie przypominasz sobie, że Anglia jest twoim domem.

— Dziwne, co z człowiekiem robią podróże.

— Co robią z człowiekiem? — zapytała Penelopa, lekko rozszerzając oczy.

— Doceniasz dom — odpowiedział łagodnie.

Ich spojrzenia się spotkały. Penelopa patrzyła na niego poważnie.

— A jednak wciąż wyjeżdżasz.

Skinął głową.

— Nic na to nie poradzę. To jak choroba.

Zaśmiała się. Jej śmiech był nieoczekiwanie melodyjny.

— Nie żartuj — odparła. — Choroba jest szkodliwa. A widać, że podróże są pokarmem dla twojej duszy. — Spojrzała na jego dłoń, ostrożnie zdejmując serwetkę, żeby przyjrzeć się ranie. — Wygląda o wiele lepiej — stwierdziła.

— Lepiej — zgodził się. Właściwie był pewien, że krwawienie już ustało, ale nie chciał, aby rozmowa dobiegła końca. Wiedział, że kiedy już nie będzie potrzebował pomocy, Penelopa odejdzie. Nie przypuszczał, aby chciała odchodzić, lecz przeczuwał, że to zrobi. Sądziła, że tak trzeba, a także, że on tego chce.

A to, jak stwierdził ze zdumieniem, było bardzo, bardzo dalekie od prawdy.

I chyba nic nie mogłoby go bardziej przerazić.

6

Każdy ma tajemnice. Zwłaszcza ja.

„Kronika Towarzyska Lady Whistledown”,
14 kwietnia 1824

Żałuję, że nie wiedziałam o twoim pamiętniku — rzekła Penelopa, znów uciskając jego dłoń.

— Dlaczego?

— Nie jestem pewna — odparła, wzruszając ramionami. — To zawsze interesujące, kiedy dostrzegasz w kimś coś więcej aniżeli tylko to, co widać na pierwszy rzut oka, nie sądzisz?

Colin przez dłuższą chwilę nic nie mówił, po czym nagle wypalił:

— Naprawdę ci się podobało?

Wydawała się rozbawiona. On — przerażony. Oto jeden z najbardziej popularnych i wytwornych mężczyzn z towarzystwa zachowuje się jak uczniak, chłonący każde słowo Penelopy Featherington w poszukiwaniu bodaj cienia pochwały.

Penelopy Featherington. Na litość boską!

Nie, oczywiście to nie miało znaczenia, że chodzi akurat o nią — upomniał się w duchu. Tyle tylko że to była po prostu… Penelopa.

— Oczywiście, że mi się podobało — odparła z łagodnym uśmiechem. — Właśnie ci to powiedziałam.

— A co było pierwszą rzeczą, jaka cię w tym tekście uderzyła? — zapytał, uznając, że równie dobrze może zachować się całkiem jak głupiec, skoro już znajduje się w pół drogi.

Penelopa uśmiechnęła się złośliwie.

— Przede wszystkim uderzyło mnie, że twój charakter pisma jest znacznie porządniejszy, niż sądziłam.

Zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem…

— Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie, siedzącego przy biurku i ćwiczącego zawijasy — odparła, zaciskając usta, żeby się nie uśmiechnąć.

Colin uznał, że przyszedł czas, aby się oburzyć.

— Spędziłem wiele godzin w sali szkolnej, siedząc przy biurku, jak to delikatnie ujęłaś.

— Jestem tego pewna — odparła.

— Hm…

Spuściła wzrok, wyraźnie ukrywając uśmiech.

— Dobrze sobie radzę z zawijasami — dodał. Teraz była to już tylko gra, ale miło było wejść na chwilę w rolę zbuntowanego uczniaka.

— Oczywiście najładniej wychodzą ci przy H. Doskonale zrobione. Bardzo… zawijasowate.

— Rzeczywiście.

Penelopa bez trudu przybrała równie poważną minę.

— Rzeczywiście.

Colin odwrócił na chwilę wzrok — z niewiadomej przyczyny ogarnęła go nieśmiałość.

— Cieszę się, że dziennik ci się spodobał — rzekł.

— Był ładny — odparła miękkim, zadumanym głosem. — Bardzo ładny i… — Spuściła oczy i zarumieniła się. — Pomyślisz, że jestem głupia.

— Nigdy w życiu — obiecał.

— No cóż, myślę, że czytałam go z taką przyjemnością, gdyż czułam, iż pisanie go tobie również sprawiło przyjemność.

Colin milczał przez dłuższą chwilę. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że lubi pisać; on to po prostu robił. Pisał, ponieważ nie wyobrażał sobie, że mógłby tego nie robić. Jak mógłby wędrować do dalekich ziem i nie spisywać wszystkiego, co widział, czego doświadczył, a szczególnie tego, co czuł?

Kiedy jednak teraz o tym myślał, zdał sobie sprawę, że istotnie odczuwał przypływ satysfakcji za każdym razem, kiedy udało mu się napisać właściwe zdanie, frazę, która doskonale pasowała do rzeczywistości. Siadywał na plaży o zmierzchu, czując na skórze ciepło ostatnich promieni słońca, a pod stopami piasek, niby tak szorstki, a jednak zadziwiająco gładki. Były to niebiańskie chwile — pełne absolutnego spokoju, który człowiek odczuwa jedynie u schyłku lata (lub na wspaniałych plażach Morza Śródziemnego). Siedział i myślał, jak opisać wodę.

Siedział tak całe wieki — pewnie pełne pół godziny — z piórem wiszącym nad kartką, czekając na natchnienie. I nagle zrozumiał, że jej temperatura jest dokładnie taka sama jak nieco wystygłej kąpieli… i jego twarz rozjaśniła się szerokim uśmiechem.

Tak, lubił pisać. Dziwne, że nigdy wcześniej sam na to nie wpadł.

— Dobrze jest mieć coś takiego w życiu — odezwała się cicho Penelopa. — Coś przynoszącego zadowolenie… co wypełni godziny poczuciem celu. — Splotła dłonie na kolanach, pozornie pochłonięta oglądaniem kostek palców. — Nigdy nie rozumiałam osławionych rozkoszy lenistwa.

Colin zapragnął nagle dotknąć końcami palców jej podbródka, zobaczyć jej oczy, kiedy zapyta: „A co ty robisz, aby wypełnić godziny poczuciem celu?”. Ale nie zrobił tego. Byłoby to stanowczo zbyt śmiałe, a dla niego oznaczałoby przyznanie się, jak bardzo zależy mu na odpowiedzi.

Zadał to pytanie, pilnując, aby dłonie pozostały nieruchome.

— Właściwie nic — odparła, wciąż przyglądając się paznokciom. Nagle podniosła wzrok. — Lubię czytać — rzekła. — Czytam nawet bardzo dużo. Czasem coś haftuję, ale nie jestem w tym bardzo dobra. Chciałabym robić coś więcej, lecz…

— Co? — dopytywał się Colin.

Penelopa pokręciła głową.

— Nic takiego. Powinieneś być wdzięczny losowi za te podróże. Zazdroszczę ci.

Zapadło długie milczenie. Nie było ono niezręczne, lecz dziwne. Wreszcie Colin przerwał je raptownie.

— To nie wystarczy.

Ton jego głosu tak bardzo nie pasował do ich rozmowy, że Penelopa wytrzeszczyła oczy.

— Co masz na myśli? — zapytała. Beztrosko wzruszył ramionami.

— Człowiek nie może wiecznie podróżować. Wtedy straciłoby to cały swój urok.

Penelopa zaśmiała się, ale potem spojrzała na niego i zrozumiała, że mówi poważnie.

— Przepraszam — szepnęła. — Nie chciałam być grubiańska.

— Nie byłaś grubiańska — odparł, pociągając łyk lemoniady. Część płynu rozlała się na stół, kiedy odstawiał szklankę. Widać było, że nie jest przyzwyczajony do używania lewej dłoni. — Dwie najprzyjemniejsze części podróży — wyjaśnił, ocierając usta czystą serwetką — to wyjazd i powrót do domu, a poza tym, gdybym miał podróżować zbyt długo, zatęskniłbym za rodziną.

Penelopa nie wiedziała, co odpowiedzieć — nie przychodziło jej do głowy nic, co nie zabrzmiałoby banalnie.

Bridgerton również przez chwilę milczał, po czym głośno zamknął

dziennik.

— Dobrze i przyjemnie jest prowadzić dziennik, kiedy się podróżuje — rzekł. — Ale kiedy jestem w domu, wciąż nie mam co ze sobą zrobić.

— Trudno mi w to uwierzyć.

Nie odpowiedział, tylko sięgnął po kawałek sera. Penelopa obserwowała, jak je, a potem, kiedy popił lemoniadą, zauważyła, że jego nastrój nagle się zmienił. Wydał jej się spięty, bardziej nerwowy.

— Czytałaś ostatnie wydanie „Whistledown”?

Penelopa zamrugała, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

— Tak, oczywiście, dlaczego pytasz? Czy nie czytają jej wszyscy?

Machnął ręką, zbywając pytanie.

— Zauważyłaś, jak mnie opisuje?

— Hm, prawie zawsze w bardzo korzystnym świetle, nieprawdaż?

Znów uniósł dłoń, jakby chciał jej przerwać, tym razem z wyraźną wzgardą.

— Tak, nie o to mi chodzi — rzucił z lekkim roztargnieniem.

— Może uważałbyś, że o to chodzi — nerwowo odparła Penelopa — gdyby przyrównano cię do przejrzałego cytrusa.

Colin skrzywił się, dwukrotnie otworzył i zamknął usta, zanim powiedział:

— Jeśli poczujesz się od tego lepiej, to ci powiem, że nie pamiętałem tego określenia do tej pory. — Urwał, zamyślił się na chwilę, po czym dodał: — Właściwie nadal go nie pamiętam.

— Nie szkodzi — odparła, przybierając najlepszą minę do złej gry, na jaką ją było stać. — Zapewniam cię, że jestem ponad to. Zawsze przy tym lubiłam pomarańcze i cytryny.

Colin znowu zaczął coś mówić, urwał, spojrzał na nią i stwierdził:

— Mam nadzieję, że to, co teraz powiem, nie będzie odrażająco nieczułe

i obraźliwe, ale jeśli weźmie się pod uwagę, co robiłem i mówiłem, naprawdę nie mam się na co uskarżać.

Penelopa doszła do wniosku, że to aluzja do jej słów.

— Ale mówię ci to w nadziei, że może zrozumiesz — ciągnął, ogarniając ją pełnym żaru spojrzeniem.

Komplement. Dziwny, niezwykły, ale komplement. Penelopa miała wielką ochotę położyć dłoń na jego ręce, ale oczywiście nie mogła. Skinęła zatem tylko głową i zapewniła go:

— Colinie, możesz mi powiedzieć, co tylko zechcesz.

— Moi bracia… — zaczął — oni… — urwał, przez chwilę trwał z niewidzącym wzrokiem wbitym w okno, po czym spojrzał znowu na nią. — Doszli do czegoś. Anthony jest wicehrabią, Bóg jeden wie, że nie chciałbym tej odpowiedzialności, ale ma cel w życiu. Cała nasza spuścizna znajduje się w jego rękach.

— Nawet więcej, jak mi się zdaje — cicho wtrąciła Penelopa.

Colin spojrzał pytająco.

— Myślę, że twój brat czuje się odpowiedzialny za całą rodzinę — odrzekła. — To bardzo duży ciężar.

Colin usiłował zachować obojętny wyraz twarzy, ale nigdy nie byłby dobrym pokerzystą. Zgroza, jaką czuł, musiała odmalować się w jego spojrzeniu, bo Penelopa prawie zerwała się z miejsca, żeby dodać:

— Ale jemu to na pewno nie przeszkadza! To część jego roli.

— Właśnie! — wykrzyknął Colin, jakby odkrył coś naprawdę ważnego. W przeciwieństwie do tej… tej bezsensownej rozmowy o jego życiu. Nie miał się na co uskarżać. Wiedział, że nie ma się na co uskarżać, a jednak… — Wiedziałaś, że Benedict maluje? — zapytał nagle.

— Oczywiście — odparła. — Wszyscy wiedzą, że maluje. Jeden z jego

obrazów wisi w Galerii Narodowej. Chyba wkrótce umieszczą tam drugi, jakiś pejzaż.

— Naprawdę?

Skinęła głową.

— Eloise mi powiedziała.

Colin posmutniał.

— Więc pewnie to prawda. Nie wierzę, że nikt mi o tym nie wspomniał.

— Przecież cię nie było — przypomniała mu.

— Chciałem tylko powiedzieć — ciągnął — że obaj mają cel w życiu. Ja nie mam nic.

— To nie może być prawdą — odrzekła.

— Mam wrażenie, że to ja powinienem wiedzieć.

Penelopa odsunęła się, zaskoczona ostrym tonem jego głosu.

— Wiem, co myślą o mnie ludzie — jęknął, a choć Penelopa postanowiła się nie odzywać i pozwolić mu wyjaśnić sprawę do końca, nie mogła się powstrzymać, żeby nie wtrącić:

— Wszyscy cię lubią. Uwielbiają cię.

— Wiem — burknął z przerażoną, a jednocześnie bardzo zagubioną miną — ale… — Przeczesał dłonią włosy. — Boże, jak to powiedzieć, żeby nie zrobić z siebie kompletnego idioty?

Penelopa wytrzeszczyła oczy.

— Mam dość roli pustogłowego czarusia — wypalił wreszcie Colin.

— Nie bądź głupi — odparła natychmiast, a nawet chyba troszkę szybciej, jeśli to możliwe.

— Penelopo…

— Nikt nie sądzi, że jesteś głupi — stwierdziła.

— Skąd…

— A stąd, że ugrzęzłam w Londynie na więcej lat, niż powinnam —

odrzekła ostro. — Może i nie jestem najpopularniejszą kobietą w mieście, ale w ciągu dziesięciu lat wysłuchałam całkiem sporo plotek, kłamstw i niemądrych opinii, a jednak nie słyszałam ani razu, aby ktoś powiedział o tobie, że jesteś głupi.

Bridgerton przyglądał jej się przez chwilę, nieco zdumiony gwałtownością wybuchu.

— Właściwie nie miałem na myśli konkretnie słowa „głupi” — wyjaśnił miękkim i miał nadzieję, że pokornym tonem. — Raczej… bez znaczenia. Nawet lady Whistledown mówi, że jestem czarusiem.

— A co w tym złego?

— Nic — odparł z lekką irytacją. — Jeśli nie robi tego co drugi dzień.

— Ona tylko wydaje gazetkę co drugi dzień.

— No właśnie — odparował. — Gdyby sądziła, że jest we mnie cokolwiek oprócz tego tak zwanego legendarnego uroku, chyba do tej pory już by o tym napisała?

Penelopa milczała przez dłuższą chwilę.

— Czy to takie ważne, co myśli lady Whistledown? — szepnęła.

Bridgerton pochylił się, uderzając dłońmi o kolana, i aż krzyknął z bólu, kiedy rana przypomniała mu o sobie.

— Nie rozumiesz — rzekł, krzywiąc się i znów zaciskając opatrunek. — Lady Whistledown nie obchodzi mnie ani trochę. Ale czy mi się to podoba, czy nie, wyraża pogląd reszty społeczeństwa.

— Wyobrażam sobie, że wielu ludzi odcięłoby się stanowczo od tego stwierdzenia.

Uniósł brew.

— Ty także?

— Właściwie wydaje mi się, że lady Whistledown jest dość sprytna — odrzekła, skromnie składając dłonie na kolanach.

— Kobieta, która nazwała cię przejrzałym melonem!

Na policzkach Penelopy wykwitły czerwone plamy.

— Przejrzałym cytrusem — syknęła. — Zapewniam cię, że różnica jest znaczna.

Colin uznał w tym momencie, że mózg kobiety to organ dziwny i niepojęty — mężczyzna nawet nie może marzyć o jego zrozumieniu. Nie znał kobiety, która przeszłaby z punktu A do B, nie zatrzymując się po drodze przy C, D, X i 12.

— Penelopo — rzekł wreszcie, obejmując ją spojrzeniem pełnym niedowierzania — ta kobieta cię obraziła, jak możesz jej bronić?

— Powiedziała tylko szczerą prawdę — odparła, krzyżując ramiona na piersi. — Odkąd jednak matka pozwoliła mi samej wybierać stroje, stała się znacznie łaskawsza.

Colin jęknął.

— Chyba od pewnego momentu zaczęliśmy mówić o dwóch różnych sprawach. Powiedz mi, że nie zamierzaliśmy rozmawiać o twojej garderobie.

Penelopa zmrużyła oczy.

— Zdaje się, że rozmawialiśmy o twoim niezadowoleniu z życia najpopularniejszego człowieka w Londynie.

Podniosła głos przy ostatnich czterech słowach i Colin zdał sobie sprawę, że właśnie został skarcony. Ogarnęła go irytacja.

— Nie wiem, dlaczego sądziłem, że zrozumiesz — wycedził, nienawidząc się za histeryczny ton.

— Przykro mi — odparła. — Trudno mi jednak siedzieć i słuchać, jak się skarżysz, że twoje życie jest niczym.

— Nie powiedziałem tego.

— Z całą pewnością tak.

— Powiedziałem, że nic nie mam — przypomniał i omal się nie skrzywił, tak głupio to zabrzmiało.

— Masz więcej niż wszyscy inni, których znam — odparła Penelopa, dźgając go palcem w ramię. — Ale jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy, to chyba masz rację, twoje życie jest niczym.

— Trudno to wyjaśnić — wymamrotał buntowniczo.

— Jeśli poszukujesz w życiu nowego celu — rzekła — to, na litość boską, po prostu wymyśl sobie coś i zacznij to realizować. Świat jest jak ostryga, Colinie. Jesteś młody, bogaty, jesteś mężczyzną. — W jej głosie zabrzmiała nagle gorycz. — Możesz robić, co zechcesz.

Skrzywił się, co jej nie zdziwiło. Kiedy ludziom wydaje się, że mają problem, łatwe i oczywiste rozwiązanie jest ostatnią rzeczą, jakiej pragną.

— To nie takie proste — odrzekł.

— To właśnie jest takie proste. — Wpatrywała się w niego przez długą, bardzo długą chwilę, może po raz pierwszy w życiu zastanawiając się, kim on naprawdę jest.

Wydawało jej się, że wie o nim wszystko, a okazało się, że nie wiedziała, że pisze pamiętnik.

Nie wiedziała, że potrafi się złościć.

Nie wiedziała, że nie jest zadowolony ze swego życia.

I z pewnością nie przypuszczała, że jest dość zbuntowany i rozpieszczony, żeby czuć niezadowolenie, kiedy nie powinien. Jakie miał prawo czuć się nieszczęśliwy w życiu? Jak śmiał się skarżyć, zwłaszcza jej?

Wstała, wygładzając suknię niezgrabnym gestem.

— Następnym razem, kiedy zechcesz się skarżyć na trudy i mozoły bycia przedmiotem nieustannej adoracji, popróbuj przez jeden dzień pobyć zaszufladkowaną na wieki starą panną. Zobacz, jak to smakuje, a potem daj

mi znać, kiedy będziesz znowu chciał się poskarżyć. — To rzekłszy, okręciła się na pięcie i opuściła salon.

Colin siedział na sofie, gapiąc się w ślad za nią z taką miną, jakby była jakąś dziwaczną istotą z trzema głowami, dwunastoma palcami i ogonem.

Schodząc ze schodów na Bruton Street, Penelopa pomyślała, że było to najbardziej spektakularne wyjście jej życia. Szkoda, że w ten sposób opuszczała akurat tego człowieka, w którego towarzystwie zawsze chciała pozostać.

Colin czuł się fatalnie przez cały dzień.

Zraniona dłoń bolała jak wszyscy diabli, pomimo brandy, którą hojnie zalał najpierw skórę, a potem usta. Agent nieruchomości, który prowadził dla niego wynajem uroczego domku z tarasem w Bloomsbury, poinformował go, że poprzedni właściciel ma pewne problemy i nie będzie mógł się zgodnie z planem wyprowadzić dzisiaj.

Na dodatek podejrzewał, że wyrządził nienaprawialną szkodę przyjaźni, jaka łączyła go z Penelopą.

To najbardziej psuło mu nastrój, ponieważ: (A) raczej cenił sobie przyjaźń z Penelopą, (B) nie wiedział do tej pory, jak bardzo cenił sobie przyjaźń z Penelopą, co (C) sprawiło, że wpadł w lekką panikę.

Penelopa była stałą w jego życiu. Przyjaciółka jego siostry — ta, która zawsze kręciła się po obrzeżach przyjęcia, w pobliżu, ale nie brała w nim naprawdę udziału.

Teraz jednak świat zachwiał się w posadach. Był w Anglii dopiero od dwóch tygodni, a Penelopa już się zmieniła. A może to on się zmienił. A może to nie ona się zmieniła, lecz zmienił się sposób, w jaki on ją widział.

Była ważna. Nie wiedział, jak inaczej to ująć.

Lecz po dziesięciu latach jej… obecności, to dziwne, jak nagle nabrała

znaczenia.

Nie podobał mu się sposób, w jaki rozstali się dzisiaj po południu. Nigdy do tej pory nie czuł się niezręcznie z Penelopą… Chociaż nie, to nieprawda. Kiedy to było? Sześć lat temu? Siedem? Matka zanudzała go, żeby się ożenił, co zresztą nie było niczym nowym, lecz po raz pierwszy zaproponowała mu Penelopę Featherington. Akurat wtedy nie miał nastroju, żeby zbyć swatanie w zwykły sposób, to znaczy żartem. A matka po prostu straciła nad sobą kontrolę. Mówiła o Penelopie dzień i noc, aż Colin uciekł. Nic drastycznego — krótka wycieczka do Walii. Czego właściwie się po nim spodziewała?

Kiedy powrócił, matka naturalnie natychmiast chciała się z nim rozmówić. Jak się później okazało, tym razem chodziło o jego siostrę, Daphne, która znów spodziewała się potomstwa, co należało ogłosić na forum rodzinnym. Skąd jednak miał o tym wiedzieć? Nie cieszył się zatem na wizytę, oczekując niekończących się aluzji do żeniaczki. A potem wpadł na braci, którzy zaczęli go nagabywać, tak jak to tylko bracia potrafią… i ani się obejrzał, jak donośnym głosem oznajmił wszem wobec, że nie zamierza poślubić Penelopy Featherington!

Niestety, jakimś fatalnym zrządzeniem losu Penelopa stała w drzwiach, z dłonią przy ustach, z bólem i zakłopotaniem w oczach, miotana zapewne wszelkimi innymi uczuciami, których w swym zawstydzeniu nie ośmielił się nazwać.

Był to jeden z najbardziej nieprzyjemnych momentów jego życia. Starał się nawet o nim nie pamiętać. Nie miał złudzeń, że kiedykolwiek podobał się Penelopie — przynajmniej nie bardziej niż innym paniom — ale wprawił ją w zakłopotanie. Jak mógł ją wyróżnić w taki sposób?!

Niewybaczalne.

Oczywiście przeprosił, a ona przyjęła przeprosiny, ale nigdy sobie tego

nie darował.

A teraz obraził ją znowu. Nie tak bezpośrednio, ale powinien był chwilkę dłużej pomyśleć, zanim zaczął się uskarżać na swoje życie.

Do licha, wygłupił się. Na co miał się właściwie uskarżać? Na nic.

A jednak odczuwał dręczącą pustkę, a właściwie tęsknotę za czymś, czego nie umiał nazwać. Zazdrościł nawet swoim braciom, że znaleźli pasje i pozostawią po sobie spuściznę. Jedynym śladem, jaki po nim pozostanie, będą komentarze lady Whistledown.

Cóż za ironia!

Wszystko jednak jest względne. W porównaniu z Penelopą doprawdy nie miał się na co uskarżać.

A to oznaczało, że powinien był zachować swoje myśli dla siebie. Nie lubił myśleć o niej jako o zaszufladkowanej starej pannie, lecz chyba tym w istocie była. W brytyjskim społeczeństwie pozycja nie do pozazdroszczenia. I sytuacja, w której wiele osób skarżyłoby się, i to gorzko.

Penelopa przyjmowała wszystko ze stoickim spokojem — nie była może zadowolona ze swego losu, lecz z pewnością go akceptowała.

A kto wie? Może i Penelopa miała swoje marzenia i sny o życiu innym aniżeli to, które wiodła z matką i siostrami w ich małym domku na Mount Street. Może miała własne cele i plany, ale zachowywała je dla siebie, głęboko skrywając.

Może była kimś więcej, niż się na pozór zdawało.

Może, pomyślał z westchnieniem, zasługiwała na przeprosiny.

Nie był całkiem pewien, za co miałby przepraszać, nie wiedział, co właściwie sprawiało, że tak się czuł.

Sytuacja jednak wymagała jakiegoś działania. Au, do licha! A dzisiaj wieczorem musi jeszcze być obecny na wieczorku muzycznym u Smythe-

Smithów. Było to bolesne, denerwujące, ale coroczne wydarzenie towarzyskie — a kiedy już wydawało się, że wszystkie córki Smythe-Smithów wyrosły, zawsze znalazła się jakaś kuzynka czy inna krewna, która zajmowała ich miejsce. Jedna bardziej głucha od drugiej.

Penelopa na pewno będzie na tym wieczorku, a zatem i Colin musi tam być.

7

Na środowym wieczorku muzycznym u Smythe-Smithów Colin Bridgerton otoczony był młodymi damami, rozczulającymi się nad jego zranioną dłonią.

Autorka nie wie, w jaki sposób rana ta została odniesiona — w istocie pan Bridgerton był bardzo oszczędny w słowach, jeśli chodzi o udzielanie wyjaśnień. Nasz drogi młodzieniec wydawał się raczej zirytowany okazywanym zainteresowaniem. W istocie Autorka słyszała nawet, jak zwierzał się swemu bratu Anthony'emu, że żałuje, iż nie zostawił tego (słowo nie do powtórzenia) bandaża w domu.

„Kronika Towarzyska Lady Whistledown",
16 kwietnia 1824

Dlaczego, dlaczego, dlaczego skazuje się na takie męczarnie? Każdego roku posłaniec przynosił zaproszenie i każdego roku Penelopa obiecywała sobie, że Bóg jej świadkiem, ale nigdy więcej nie pojawi się na żadnym z wieczorków muzycznych u Smythe-Smithów.

Mijał rok, a ona znów zasiadała w pokoju muzycznym Smythe-Smithów, desperacko walcząc z grymasami wykrzywiającymi jej twarz, kiedy kolejne pokolenie gospodarzy bez litości szlachtowało muzykę pana Mozarta.

Bolesne. Potwornie, straszliwie, niewyobrażalnie bolesne. Nie ma słów, aby to opisać.

W dodatku jakimś cudem zawsze lądowała w jednym z pierwszych rzędów, a to było już nie do zniesienia. I to nie tylko dla uszu. Do grona

wykonawczyń dołączały kolejne córy rodu i co jakiś czas pojawiała się taka, która zdawała się rozumieć, że bierze udział w zbiorowej zbrodni przeciwko wszelkim prawom estetyki. O ile inne panny atakowały skrzypce i fortepiany z wyraźnym zacięciem, ta jedna zawsze miała na twarzy wyraz bezgranicznego cierpienia — wyraz, jaki Penelopa doskonale znała.

Była to mina osoby pragnącej znaleźć się wszędzie, byle nie tutaj. Można starać się ją ukryć, ale zawsze zdradzało ją zaciśnięcie ust. I naturalnie oczy, które błądziły albo po podłodze, albo po suficie.

Bóg jeden wie, ile razy Penelopa musiała walczyć z podobnymi objawami znudzenia u siebie.

Może właśnie dlatego nigdy nie zdobyła się na to, aby pozostać w domu. Ktoś przecież powinien zachęcająco się uśmiechać i udawać, że mu się podoba.

Poza tym nikt jej nie zmuszał do uczestnictwa w koncercie częściej niż raz w roku.

Za wszelką cenę powinna sobie sprawić dyskretne zatyczki do uszu.

Kwartet właśnie się stroił — dochodząca kakofonia nie była czymś gorszym niż to, co miało po niej nastąpić. Ku przerażeniu Felicyty Penelopa zajęła miejsce pośrodku drugiego rzędu.

— Z tyłu, w rogu, są dwa naprawdę wygodne miejsca — syknęła jej do ucha.

— Teraz już za późno — odparła Penelopa, siadając na twardym, choć wyścielanym krześle.

— Boże, dopomóż — jęknęła Felicyta.

Penelopa otworzyła program i zaczęła go przeglądać.

— Jeśli my tu nie usiądziemy, zrobi to ktoś inny — rzekła.

— Właśnie o tym marzę.

Penelopa pochyliła się ku siostrze tak, aby tylko ona mogła słyszeć

wyszeptane przez nią słowa.

— Na nas można liczyć, że będziemy się uśmiechać i grzecznie zachowywać. Wyobraź sobie, co by było, gdyby usiadł tu ktoś taki jak Cressida Twombley i zaczął się krzywić.

Młodsza panna Featherington rozejrzała się wokoło.

— Nie sądzę, aby Cressida Twombley dała się tu uwięzić.

Penelopa uznała, że nie ma sensu tego komentować.

— Naprawdę nie potrzeba im kogoś, kto siedziałby naprzeciwko i rzucał nieprzyjemne uwagi. Biedne dziewczęta byłyby zrozpaczone.

— I tak będą — zgrzytnęła zębami Felicyta.

— Nie, nie będą — zaprzeczyła Penelopa. — A przynajmniej nie ta, ta i ta. — Pokazała na dwie skrzypaczki i pianistkę. — Za to ta — wskazała na dziewczynę siedzącą z wiolonczelą wspartą na kolanie — już jest nieszczęśliwa. Nie można dopuścić, żeby usiadł tu ktoś podły i złośliwy.

— I tak lady Whistledown wypruje z niej żyły — mruknęła Felicyta.

Penelopa już miała coś odpowiedzieć, kiedy na krześle obok usiadła Eloise.

— Eloise! — zawołała radośnie. — Myślałam, że planowałaś spędzić wieczór w domu.

Panna Bridgerton skrzywiła się, a jej skóra przybrała zdecydowanie zielonkawy odcień.

— Nie potrafię tego wyjaśnić, ale nie mogłam. To coś takiego jak wypadek powozu. Po prostu nie możesz nie spojrzeć.

— Ani nie słuchać — dodała Felicyta. — Zależnie od sytuacji.

Penelopa uśmiechnęła się. Nie mogła się powstrzymać.

— Czy dobrze słyszałam, że rozmawiałyście przed chwilą o lady Whistledown? — zapytała Eloise.

— Powiedziałam Penelopie — wyjaśniła Felicyta — że lady W. je

zniszczy.

— No, nie wiem… — w zadumie odparła Eloise. — Zdaje się, że nigdy nie znęca się nad pannami Smythe-Smith i właściwie nie wiem dlaczego.

— A ja wiem — zaskrzeczał jakiś głos za ich plecami.

Eloise, Penelopa i Felicyta jak na komendę obróciły się na swoich krzesłach i natychmiast odchyliły, kiedy laska lady Danbury znalazła się niebezpiecznie blisko ich twarzy.

— Lady Danbury. — Penelopa przełknęła ślinę i odruchowo dotknęła nosa, żeby sprawdzić, czy wciąż jest na swoim miejscu.

— Już rozpracowałam tę lady Whistledown — oznajmiła starsza pani.

— Naprawdę? — zdziwiła się Felicyta.

— Ona ma miękkie serce — ciągnęła lady Danbury. — Widzicie tę tutaj? — Wskazała laseczką wiolonczelistkę, po drodze omal nie przebijając ucha Eloise. — O, tamtą?

— Tak — odparła panna Bridgerton, chwytając się za ucho — ale zaraz nie będę w stanie jej usłyszeć.

— Pewnie nic nie stracisz — zauważyła lady Danbury. — Podziękujesz mi później.

— Mówiła pani coś na temat wiolonczelistki? — wtrąciła się Penelopa, zanim jej przyjaciółka zdążyła powiedzieć coś całkiem niewłaściwego.

— Oczywiście, że tak. Popatrz tylko na nią — rzekła lady Danbury. — Jest zrozpaczona. I powinna być. Widocznie tylko ona zdaje sobie sprawę z tego, jak to brzmi. Pozostałe nie mają słuchu muzycznego za grosz.

Penelopa rzuciła młodszej siostrze triumfujące spojrzenie.

— Wspomnisz moje słowa — dodała lady Danbury. — Lady Whistledown nie napisze o tym wieczorku ani linijki. Nie będzie chciała zranić uczuć tej małej. A reszta… — Felicyta, Penelopa i Eloise schyliły głowy,

aby uniknąć kontaktu z nisko przelatującą laską. — Ba. Reszta jej nie obchodzi.

— Interesująca teoria — zauważyła Penelopa.

Lady Danbury z zadowoleniem rozparła się na krześle.

— Prawda?

Panna Featherington skinęła głową.

— Myślę, że ma pani rację.

— Hm, zwykle ją mam.

Wciąż odwrócona w swoim krześle, Penelopa spojrzała najpierw na siostrę, a potem na przyjaciółkę.

— Dlatego ja co roku przychodzę na te piekielne wieczorki.

— Żeby zobaczyć się z lady Danbury? — zapytała Eloise, mrugając ze zdumienia.

— Nie, z powodu takich dziewczyn jak ona. — Penelopa wskazała małą wiolonczelistkę. — Wiem doskonale, co ona czuje.

— Nie bądź niemądra — wtrąciła się Felicyta. — Nigdy nie zagrałaś publicznie na pianinie, a kiedy już grałaś, to całkiem nieźle.

Penelopa spojrzała na siostrę.

— Nie chodzi o muzykę, Felicyto.

I wtedy coś dziwnego stało się z lady Danbury. Wyraz jej twarzy uległ zmianie. Całkowitej, nieprawdopodobnej, zdumiewającej. Jej oczy zamgliły się tęsknie. Usta, zwykle lekko zaciśnięte i sarkastycznie wykrzywione, zmiękły.

— Ja też byłam tą dziewczyną, panno Featherington — rzekła tak cicho, że Felicyta i Eloise musiały pochylić się, aby usłyszeć jej słowa.

— Słucham? — zawołała Eloise.

— Co? — zapytała Felicytę o wiele mniej uprzejmie.

Ale lady Danbury rozmawiała wyłącznie z Penelopą.

— Dlatego tu przychodzę co roku — powiedziała. — Tak samo jak ty.

Penelopa poczuła, że z tą starszą kobietą wiąże ją coś dziwnego. Szaleństwo, gdyż nie miały ze sobą nic wspólnego oprócz płci. A jednak wydawało się, że hrabina wybrała ją… dla jakichś celów. Mogła się ich jedynie domyślać. Wydawało się, że staruszka zamierza wzniecić pożar w doskonale uporządkowanym i często nudnym życiu Penelopy.

A Penelopa czuła, że może się jej to udać.

Czy to nie przyjemne odkryć, że nie jest się dokładnie tym, za kogo się ma?

Słowa hrabiny wciąż brzmiały jej w uszach. Prawie jak litania.

Prawie jak wyzwanie.

— Wiesz, co sobie myślę, panno Featherington? — zagadnęła lady Danbury podejrzanie słodkim tonem.

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odparła Penelopa uczciwie, ale z szacunkiem.

— Sądzę, że ty mogłabyś być lady Whistledown.

Felicyta i Eloise jęknęły.

Penelopa otwarła usta z zaskoczenia. Nikomu do tej pory nie przyszło do głowy, żeby ją oskarżyć o coś takiego. To było niewiarygodne, nie do pomyślenia i… właściwie pochlebne. Poczuła, że jej usta same układają się w przebiegły uśmieszek. Pochyliła się w przód, jakby chciała powiedzieć coś naprawdę ważnego.

Lady Danbury również się pochyliła. Felicyta i Eloise poszły w jej ślady.

— A wie pani, co ja myślę? — zapytała Penelopa słodkim i cichym głosem.

— No cóż — odparła starsza dama ze złośliwym błyskiem w oku — cała drżę z emocji, ale już kiedyś mi powiedziałaś, że sądzisz, iż to ja jestem lady Whistledown.

— A jest pani?

Lady Danbury uśmiechnęła się wyniośle.

— Może i jestem.

Felicyta i Eloise znów jęknęły, tym razem głośniej. Penelopa poczuła ucisk w żołądku.

— Przyznaje to pani? — spytała Eloise.

— Oczywiście, że nie przyznaję — warknęła lady Danbury, prostując plecy i stukając laseczką w podłogę tak głośno, że strojące instrumenty dziewczęta ucichły na chwilę. — Nawet gdyby tak było… a nie mówię, czy jest, czy nie, czy byłabym tak głupia, żeby się do tego przyznać?

— Więc dlaczego pani powiedziała…?

— Bo, głuptasie, chcę coś udowodnić.

Zamilkła, aż Penelopa zmuszona była zapytać:

— To znaczy…?

Hrabina obrzuciła ją spojrzeniem pełnym rozpaczy.

— Że każdy może być lady Whistledown — wykrzyknęła, łupiąc laską o podłogę ze zdwojoną energią. — Po prostu każdy.

— Z wyjątkiem mnie — wtrąciła Felicyta. — Jestem całkiem pewna, że to nie ja.

Lady Danbury nie zaszczyciła jej nawet jednym spojrzeniem.

— Pozwól, że coś ci powiem — rzekła.

— Jakbym mogła panią powstrzymać — odparła Penelopa tak słodko, że zabrzmiało to jak komplement. W istocie miał to być komplement. Naprawdę podziwiała hrabinę.

Podziwiała każdego, kto umiał wyrazić publicznie swoje zdanie.

Lady Danbury zachichotała.

— Penelopo Featherington, coś w tobie jest…

— To prawda — potwierdziła Felicyta z uśmiechem. — Potrafi być

okrutna. Nikt by nie uwierzył, ale kiedy byłyśmy młode…

Penelopa dźgnęła ją łokciem w żebra.

— Widzicie? — zaśmiała się Felicyta.

— Chciałam powiedzieć — ciągnęła lady Danbury — że towarzystwo zabrało się do mojego wyzwania w całkiem niewłaściwy sposób.

— A co pani wobec tego sugeruje? — zapytała Eloise.

Starsza dama niedbale machnęła jej ręką tuż przed twarzą.

— Najpierw muszę wyjaśnić, co robią źle — rzekła. — Obserwują oczywiste kandydatury. Ludzi takich jak wasza matka — wyjaśniła, zwracając się do sióstr Featherington.

— Mama? — zawołały obie.

— Och, proszę! — prychnęła lady Danbury. — Większej plotkary nie widziało to miasto od lat. Jest dokładnie taką osobą, jakiej wszyscy oczekują.

Penelopa nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Jej matka była istotnie wielką plotkarką, ale trudno było wyobrazić ją sobie jako lady Whistledown.

— Dlatego właśnie — ciągnęła hrabina z przebiegłym błyskiem w oku — to nie może być ona.

— A jeśli o to chodzi — rzekła Penelopa z cieniem sarkazmu w głosie — to Felicyta i ja również możemy potwierdzić, że to nie ona.

— Phi, gdyby wasza matka była lady Whistledown, umiałaby to przed wami ukryć.

— Moja matka? — wyraziła powątpiewanie Felicyta. — Nie sądzę.

— Usiłuję powiedzieć — wycedziła lady Danbury — chociaż nie bardzo mi dają…

Penelopa usłyszała wyraźnie prychnięcie Eloise.

— …że gdyby lady Whistledown był ktoś oczywisty, do tej pory zostałby

już zdemaskowany, nieprawdaż?

— Musi to być ktoś, kogo nikt nie podejrzewa — zgodziła się lady Danbury. — Musi tak być.

Penelopa znów przytaknęła. Lady Danbury mówiła dziwnie, ale zupełnie logicznie.

— Dlatego właśnie — zakończyła starsza pani triumfalnie — ja nie jestem dobrą kandydatką.

Penelopa zamrugała, nie całkiem pojmując sens wywodu.

— Słucham?

— Och, daj spokój! — Lady Danbury obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem. — Myślisz, że ty jako pierwsza mnie podejrzewałaś?

Panna Featherington pokręciła głową.

— I tak myślę, że to pani.

Widać było, że jej słowa wzbudziły szacunek u starszej damy. Skinęła nawet głową z aprobatą.

— Jesteś bardziej pyskata, niż na to wyglądasz.

Felicyta pochyliła się do niej i konspiracyjnym szeptem podsumowała:

— To prawda.

Penelopa trzepnęła siostrę po ręce.

— Felicyto!

— Chyba koncert się już zaczyna — zauważyła Eloise.

— Niebiosa, ratunku! — zawołała lady Danbury. — Nie wiem, po co… Pan Bridgerton!

Penelopa odwróciła się już ku niewielkiej zaimprowizowanej scenie, ale w tej samej chwili obejrzała się i dostrzegła Colina, który przeciskał się pomiędzy rzędami w kierunku pustego miejsca obok lady Danbury. Po drodze przepraszał wszystkich, o których kolana zawadził. Przeprosinom

towarzyszył oczywiście zabójczy uśmiech, który sprawił, że co najmniej trzy damy omal nie zemdlały na swoich krzesłach.

Penelopa zmarszczyła czoło. Obrzydlistwo.

— Czy mi się zdaje, czy warknęłaś? — zagadnęła ją Felicyta.

— Colin! — zawołała Eloise. — Nie wiedziałam, że się zjawisz!

Jej brat wzruszył ramionami, uśmiechając się kącikiem ust.

— Zmieniłem zdanie w ostatniej chwili. Zawsze kochałem muzykę.

— To doprawdy wyjaśnia twoją obecność tutaj — odparła jego siostra dziwnie oschłym tonem.

Colin przyjął jej stwierdzenie lekkim drgnieniem brwi, po czym przeniósł wzrok na panny Featherington.

— Dobry wieczór.

Penelopa potrzebowała dłuższej chwili, żeby odzyskać zdolność mówienia. Dziś po południu rozstali się w dość niezręcznej atmosferze, a teraz on przyglądał jej się z przyjaznym uśmiechem.

— Dobry wieczór, panie Bridgerton — wykrztusiła wreszcie.

— Czy ktokolwiek wie, co jest dzisiaj w programie? — zapytał z ogromnym zainteresowaniem.

Penelopa podziwiała w Colinie umiejętność spoglądania na rozmówcę w taki sposób, jakby nie było dla niego na świecie nic ważniejszego od jego kolejnej wypowiedzi. Można to było uznać za prawdziwy talent. Zwłaszcza teraz, kiedy wszyscy wiedzieli, że doprawdy niewiele go obchodzi, co dziewczęta Smythe-Smithów wybrały na dzisiejszy wieczór.

— Sądzę, że Mozart — poinformowała Felicyta. — Prawie zawsze wybierają Mozarta.

— Cudnie — odparł Colin, rozpierając się w fotelu, jakby właśnie spożył doskonały posiłek. — Uwielbiam pana Mozarta.

— W takim razie — zaskrzeczała lady Danbury — pewnie będziesz pan

chciał zwiać, póki jeszcze pora.

— Proszę nie mówić głupstw — odrzekł. — Dziewczęta na pewno dadzą z siebie wszystko.

— O, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości — wyraziła swoje zdanie Eloise.

— Pssst! — syknęła Penelopa. — Chyba są już gotowe.

Sama przed sobą musiała przyznać, że wcale nie kwapi się do wysłuchania Smythe-Smithowskiej wersji *Eine Kleine Nachtmusik*. W obecności Colina czuła się jednak dość dziwnie. Nie wiedziała, co mu powiedzieć… zwłaszcza że to, co miała do powiedzenia, wykluczało obecność Eloise, Felicyty, a już z pewnością lady Danbury.

Jeden z kamerdynerów podszedł i zdmuchnął kilka świec na znak, że koncert zaraz się zacznie. Penelopa zacisnęła zęby i przełknęła ślinę, żeby zablokować kanaliki słuchowe (nie pomogło), zanim zaczną się tortury.

A te trwały… trwały… trwały…

Penelopa nie wiedziała, co jest dla niej gorsze — muzyka czy świadomość, że Bridgerton siedzi tuż za nią. Czuła mrowienie na karku, nie wiedziała, co zrobić z dłońmi, wybijała rytm palcami na ciemnoniebieskim aksamicie sukni. Nadszedł wreszcie moment, kiedy kwartet Smythe-Smithówien zakończył występ. Trzy panny z promiennymi minami przyjmowały uprzejme oklaski. Czwarta — wiolonczelistka — wyglądała tak, jakby chciała się zapaść pod ziemię.

Penelopa westchnęła. Ona przynajmniej nie musiała demonstrować swoich wad i nieudolności, jak te dziewczęta. Zawsze wolno jej było wtopić się w cień, cicho snuć się pod podcieniami sali balowej, obserwować, jak inne panny zmieniają się na parkiecie. O, tak, matka próbowała ją ciągnąć za sobą tu czy tam, podstawiając pod nos kawalerom do wzięcia, ale w niczym — w niczym! nie przypominało to upokorzenia,

jakiego doświadczyły panny Smythe-Smithówny. Uczciwie trzeba przyznać jednak, że trzy panny z kwartetu wydawały się rozkosznie nieświadome swego braku talentu. Penelopa uśmiechała się zatem i klaskała, aby nie rozwiać ich słodkich złudzeń.

Jeśli lady Danbury miała rację, lady Whistledown nie napisze ani słowa o koncercie.

Aplauz zamarł dziwnie szybko i wkrótce wszyscy zaczęli wstawać z miejsc, wymieniając uprzejme uwagi i co chwila zezując na skromny poczęstunek, wystawiony na stołach w głębi sali.

— Lemoniada — mruknęła Penelopa. Świetnie. Było jej koszmarnie gorąco — skąd jej przyszło do głowy wkładać aksamitną suknię w taki ciepły wieczór? — i chłodny napój na pewno dobrze jej zrobi. Colin pogrążony był w rozmowie z lady Danbury, uznała więc, że to doskonały moment, żeby się usunąć.

Zaledwie jednak chwyciła w dłoń szklankę, usłyszała za plecami boleśnie znajomy głos Bridgertona, wymawiający jej imię.

Obejrzała się i zanim sama zdała sobie sprawę z tego, co mówi, z jej ust padły słowa „przykro mi”.

— Przykro?

— Tak — zapewniła go. — A przynajmniej tak sądzę.

Jego powieki zwęziły się odrobinę.

— Ta rozmowa z każdą chwilą robi się coraz bardziej intrygująca.

— Colinie…

Podał jej ramię.

— Może przejdziemy się po sali?

— Nie sądzę…

Podsunął ramię bliżej — niewiele, może o cal, ale jego intencje były oczywiste.

— Proszę — rzekł.

Skinęła głową i odstawiła lemoniadę.

— Doskonale.

Spacerowali w milczeniu przez prawie minutę. Wreszcie Colin przemówił pierwszy.

— Chciałem cię przeprosić.

— Przecież to ja wypadłam z pokoju jak burza — zauważyła Penelopa.

Lekko przekrzywił głowę. Na ustach błąkał mu się pobłażliwy uśmieszek.

— Nie powiedziałbym, że „jak burza”.

Penelopa zmarszczyła brwi. Nie powinna była wychodzić w takim pośpiechu, ale gdy już tak się stało, była z tego dziwnie dumna. Nie codziennie taka kobieta jak ona dramatycznie opuszcza scenę.

— Nie powinnam była zachować się grubiańsko — mruknęła, teraz nie całkiem szczerze.

Bridgerton uniósł brwi, ale postanowił widocznie nie drążyć tej materii.

— Chciałem przeprosić — powtórzył. — Zachowałem się jak rozpuszczony dzieciak.

Penelopa potknęła się o własne stopy.

Pomógł jej odzyskać równowagę, po czym rzekł:

— Wiem, że w moim życiu jest wiele, wiele rzeczy, za które powinienem być wdzięczny. Za które jestem wdzięczny — poprawił się. Nie uśmiechał się, jego oczy wyrażały zakłopotanie. — Byłem niewybaczalnie nieuprzejmy, skarżąc się tobie.

— Nie — odparła. — Spędziłam cały wieczór na rozmyślaniu o tym, co powiedziałeś, a kiedy… — Przełknęła ślinę i oblizała usta, które nagle stały się suche. Cały dzień szukała odpowiednich słów, wydawało jej się nawet,

że je znalazła, ale teraz, kiedy Colin stał u jej boku, nie mogła sobie przypomnieć ani jednego przeklętego zdania.

— Masz ochotę na jeszcze jedną szklankę lemoniady? — zapytał uprzejmie.

Potrząsnęła głową.

— Masz pełne prawo do swoich uczuć — wypaliła. — Może nie są to uczucia, które żywiłabym, gdybym znalazła się na twoim miejscu, lecz ty masz do nich wszelkie prawo. Ale… — urwała, a Colin poczuł, że bardzo chce usłyszeć, co ma mu do powiedzenia.

— Ale co, Penelopo? — zapytał.

— Nic takiego.

— Dla mnie to nie jest nic takiego. — Położył dłoń na jej ramieniu i uścisnął je lekko, aby dać jej do zrozumienia, że mówi szczerze.

Minęła długa, bardzo długa chwila ciszy. Już był pewien, że nie usłyszy odpowiedzi, a nawet, że zaraz dostanie skurczu mięśni twarzy od wymuszonego uśmiechu — ostatecznie byli w miejscu publicznym i nie chcieli prowokować komentarzy czy spekulacji niespokojnymi minami i nerwowymi gestami — gdy Penelopa westchnęła.

Był to miły dla ucha dźwięk, dziwnie pocieszający, łagodny. Sprawił, że Colin uważnie przyjrzał się Penelopie, jakby chciał zajrzeć w jej umysł, wsłuchać się w rytmy jej duszy.

— Colinie — cicho odezwała się Penelopa — jeśli frustruje cię twoja obecna sytuacja, powinieneś uczynić coś, aby ją zmienić. To naprawdę proste.

— Zamierzam właśnie to zrobić — oznajmił z beztroskim wzruszeniem ramion. — Matka oskarża mnie, że nieustannie uciekam z kraju wyłącznie dla kaprysu, ale prawda jest taka, że…

— Wyjeżdżasz, kiedy czujesz się sfrustrowany — dokończyła za niego.

Skinął głową. Naprawdę go rozumiała. Nie był pewny, jak to możliwe ani czy to w ogóle ma jakikolwiek sens, ale Penelopa Featherington rozumiała go doskonale.

— Myślę, że powinieneś opublikować swoje dzienniki — dodała.

— Nie mógłbym.

— Dlaczego nie?

Puścił jej ramię. Nie znajdował odpowiedzi, ale czuł, że serce zaczyna mu mocniej bić.

— Kto chciałby je czytać? — zapytał wreszcie.

— Ja — odparła otwarcie. — Eloise, Felicyta… — odliczała imiona na palcach — twoja matka, lady Whistledown. Ona też, jestem pewna — dodała ze złośliwym uśmieszkiem. — Dość dużo o tobie pisze.

Jej dobry humor był zaraźliwy i Colin nie potrafił ukryć uśmiechu.

— Penelopo, to się nie liczy, jeśli twoją książkę kupują jedynie znajomi.

— Dlaczego nie? — zapytała. — Znasz wielu ludzi. Nawet jeśli policzysz tylko Bridgertonów…

Chwycił ją za rękę. Nie wiedział dlaczego, ale to uczynił.

— Penelopo, przestań.

Zaśmiała się.

— Zdaje się, że to Eloise wspominała mi, że macie też całą armię kuzynów i kuzynek, i…

— Dosyć — zażądał, ale też się śmiał.

Penelopa spojrzała na ich złączone dłonie i powiedziała:

— Wielu ludzi będzie chciało poczytać o twoich podróżach. Może z początku tylko dlatego, że jesteś w Londynie znaną postacią, ale nie minie wiele czasu, a wszyscy zrozumieją, że jesteś naprawdę dobrym pisarzem. A wtedy zażądają więcej.

— Nie chcę stać się sławny tylko z powodu nazwiska — odrzekł.

Puściła jego dłoń i podparła się pod boki.

— Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Właśnie ci mówiłam, że…

— O czym rozmawiacie? — spytała Eloise z zaciekawioną miną.

— Nic takiego — mruknęli oboje niemal jednocześnie.

Panna Bridgerton prychnęła.

— Nie obrażajcie mnie. To nie może być nic. Penelopa wygląda, jakby za chwilę miała zacząć ziać ogniem.

— Twój brat jest po prostu uparty — odparła Penelopa.

— Cóż, to akurat nic nowego — zaśmiała się Eloise.

— Czekaj! — krzyknął Colin.

— Ale przy czym się tak strasznie upiera? — indagowała Eloise.

— To prywatne sprawy — zgrzytnął zębami Colin.

— Przez co stają się jeszcze ciekawsze — mruknęła jego siostra i wyczekująco spojrzała na przyjaciółkę.

— Przykro mi — odparła Penelopa. — Naprawdę nie mogę powiedzieć.

— Nie wierzę! — wykrzyknęła Eloise. — Mnie też nie powiesz?

— Nie — odrzekła zapytana, czując dziwną satysfakcję z tego powodu. — Nie mam zamiaru.

— Nie wierzę — jęknęła Eloise, spoglądając błagalnie na brata. — Po prostu nie wierzę.

Usta drgnęły mu w leciutkim uśmiechu.

— Lepiej uwierz.

— Macie przede mną tajemnice.

Jej brat uniósł brew.

— A myślałaś, że mówię ci wszystko?

— Oczywiście, że nie — skrzywiła się. — Lecz myślałam, że Penelopa tak…

— Ale to nie moja tajemnica — wtrąciła Penelopa. — Tylko Colina.

— Zdaje się, że ta planeta zmieniła oś obrotu — burknęła Eloise. — A może Anglia wpadła na Francję. Wiem tylko, że to nie ten sam świat, w którym obudziłam się dzisiaj rano.

Penelopa nie mogła już wytrzymać. Zachichotała.

— I jeszcze śmiejesz się ze mnie — pożaliła się Eloise.

— Nie, nieprawda — ze śmiechem wykrztusiła jej przyjaciółka. — Nie z ciebie.

— Wiesz, co by ci się przydało? — zapytał Colin.

— Mnie? — upewniła się Eloise.

Skinął głową.

— Mąż.

— Jesteś taki sam jak mama!

— Mogę być znacznie gorszy, jeśli się postaram.

— O, co do tego nie mam wątpliwości — odparowała.

— Przestańcie, przestańcie! — wykrzyknęła Penelopa, śmiejąc się serdecznie.

Spojrzeli na nią oboje z takimi minami, jakby chcieli zapytać: „I co teraz?”.

— Cieszę się bardzo, że dzisiaj tu przyszłam — wyrwało jej się. Nie miała zamiaru tego mówić. — Nie pamiętam, abym kiedyś tak miło spędziła tu wieczór. Naprawdę.

W kilka godzin później, kiedy Colin leżał już w łóżku i wpatrywał się w sufit sypialni swego nowego mieszkania w Bloomsbury, uświadomił sobie, że czuje się dokładnie tak samo.

8

Colin Bridgerton i Penelopa Featherington widziani byli, jak oddawali się rozmowie na wieczorku muzycznym u Smythe-Smithów, choć prawdopodobnie nikt nie wie, o czym dyskutowali. Autorka przypuszcza, że konwersacja ta toczyła się wokół jej tożsamości, ponieważ wydaje się, iż wszyscy przed, po i w trakcie występu (co było skromnym zdaniem Autorki raczej nieuprzejme) rozmawiali wyłącznie na ten temat.

Z innych wieści — skrzypce Honorii Smythe-Smith uległy uszkodzeniu, kiedy lady Danbury niechcący zrzuciła je ze stołu, wymachując laską.

Hrabina oświadczyła, iż odkupi instrument, ale potem stwierdziła, że skoro kupuje wyłącznie to, co najlepsze, Honoria otrzyma skrzypce Ruggieriego, importowane wprost z Cremony w Italii.

Autorka dorozumiewa się, iż biorąc pod uwagę czas produkcji i dostarczenia skrzypiec oraz długą listę oczekujących, minie sześć miesięcy, zanim skrzypce Ruggieriego dotrą do naszego wybrzeża.

„Kronika Towarzyska Lady Whistledown”,
16 kwietnia 1824

W życiu kobiety są takie chwile, kiedy jej serce zamiera w piersi, świat wydaje się nagle niezwyczajnie różowy i doskonały, a dźwięk dzwonka u drzwi rozbrzmiewa niczym symfonia.

Penelopa Featherington doznała takich uczuć w dwa dni po wieczorku u Smythe-Smithów.

Wystarczyło stukanie do drzwi sypialni i głos kamerdynera.

— Przyszedł do panienki pan Colin Bridgerton.

Na te słowa spadła z łóżka.

Briarly, który był w rodzinie Featheringtonów kamerdynerem wystarczająco długo, aby nawet nie mrugnąć na niezręczność Penelopy, wymamrotał:

— Czy mam powiedzieć, że panienki nie ma w domu?

— Nie! — Penelopa prawie wrzasnęła, zbierając się z podłogi. — To znaczy, nie — dodała już spokojniej. — Ale potrzebuję kilku minut, żeby się przygotować. — Spojrzała w lustro i skrzywiła się na widok swojego odbicia. — Piętnaście.

— Jak panienka sobie życzy.

— Och, i koniecznie przygotuj tacę z jedzeniem. Pan Bridgerton z pewnością będzie głodny. On zawsze jest głodny.

Kamerdyner znów skinął głową.

Penelopa stała nieruchomo, dopóki Briarly nie znikł za drzwiami, po czym zaczęła przeskakiwać z nogi na nogę, wydając dziwne, piskliwe dźwięki, jakie nigdy jeszcze do tej pory — tak jej się przynajmniej zdawało — nie wyszły z jej ust. Ale też nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni zjawił się u niej z wizytą jakiś dżentelmen, a zwłaszcza taki, w którym beznadziejnie kochała się przez prawie pół życia.

— Uspokój się — rozkazała sobie, rozpościerając palce i wyciągając je przed siebie, jakby próbowała uspokoić niewielki, ale nieposłuszny tłum. — Musisz być spokojna. Spokojna — powtarzała, jakby to mogło odnieść jakiś skutek. — Spokojna.

Lecz jej serce tańczyło.

Odetchnęła głęboko kilka razy, podeszła do toaletki i wzięła szczotkę do włosów. Uczesanie włosów powinno zająć jej kilka minut; z pewnością

Colin nie ucieknie, nawet jeśli każe mu czekać przez jakiś czas. Powinien się spodziewać, że przygotowanie się do wizyty może chwilę potrwać, nieprawdaż?

Mimo to upięła włosy w rekordowym tempie i w chwili gdy stanęła w drzwiach salonu, od wyjścia kamerdynera upłynęło zaledwie pięć minut.

— Szybko się uwinęłaś — zauważył jej gość z uśmiechem.

Stał przy oknie i wyglądał na Mount Street.

— Doprawdy? — Miała nadzieję, że rumieniec nie zdradzi fali gorąca, jaka ją ogarnęła. Kobieta powinna kazać dżentelmenowi czekać, choć niezbyt długo. Trudno jednak było zachowywać ten niemądry obyczaj przy Colinie. On i tak nigdy nie zainteresuje się nią jako kobietą, poza tym są przyjaciółmi.

Przyjaciółmi. Cóż za dziwny pomysł, a jednak to prawda. Zawsze byli bliskimi znajomymi, lecz od powrotu Colina z Cypru stali się prawdziwymi przyjaciółmi.

I to było magiczne.

Nawet gdyby nigdy jej nie pokochał — ich relacje i tak zmieniły się na lepsze.

— Czemu zawdzięczam tę przyjemność? — zapytała, zajmując miejsce na lekko wypłowiałej, adamaszkowej sofie matki.

Bridgerton usiadł naprzeciwko niej na dość niewygodnym krześle z wysokim oparciem. Pochylił się w przód, opierając dłonie na kolanach. Wydawał się przy tym nieco roztargniony, a zarazem spięty. Penelopa natychmiast zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Żaden dżentelmen nie przyjmował takiej pozycji w trakcie towarzyskiej wizyty.

— To poważna sprawa — rzekł z ponurą miną.

Omal nie zerwała się z miejsca.

— Co się stało? Czy ktoś zachorował?

— Nie, nic z tych rzeczy. — Odetchnął głęboko, przeczesał dłonią i tak rozczochrane włosy. — Chodzi o Eloise.

— Co z nią?

— Nie wiem, jak to powiedzieć. Nie… masz czegoś do jedzenia?

Penelopa miała ochotę skręcić mu kark.

— Na litość boską!

— Wybacz — wymamrotał. — Od rana nic nie jadłem.

— Od razu poprosiłam Briarly’ego, żeby przyszykował tacę — uspokoiła go. — A teraz, czy możesz mi powiedzieć, co się dzieje, czy zamierzasz czekać, aż umrę z niecierpliwości?

— Myślę, że ona jest lady Whistledown — wypalił.

Penelopa otwarła usta ze zdumienia. Nie wiedziała, czego miała się spodziewać, ale z pewnością nie tego.

— Penelopo, słyszałaś?

— Eloise? — zapytała, choć dokładnie wiedziała, o czym mowa.

Skinął głową.

— To niemożliwe.

Colin wstał i zaczął krążyć po pokoju, najwyraźniej zbyt zdenerwowany, żeby usiedzieć w miejscu.

— Dlaczego nie?

— Bo… bo… — No właśnie: dlaczego? — Bo nie mogłaby tego robić przez dziesięć lat bez mojej wiedzy.

Wyraz niepokoju na twarzy Bridgertona momentalnie ustąpił miejsca wzgardzie.

— Wątpię, abyś wiedziała o wszystkim, co robi Eloise.

— Oczywiście, że nie wiem — odparła, obrzucając go spojrzeniem pełnym irytacji. — Mogę cię jednak zapewnić, że nie ma możliwości, aby

Eloise utrzymała przede mną taki sekret przez tyle lat. Po prostu nie byłaby w stanie tego ukryć.

— Ona jest najbardziej wścibską osobą, jaką znam.

— No cóż, to akurat prawda — zgodziła się Penelopa. — Naturalnie, jeśli nie liczyć mojej matki. Ale to nie wystarczy, aby ją oskarżać.

Colin zatrzymał się w pół kroku i wsparł dłonie na biodrach.

— Zawsze wszystko zapisuje.

— Dlaczego tak sądzisz?

Podniósł dłoń, energicznie pocierając kciuk o końce palców.

— Plamy z atramentu. Nieustannie.

— Wielu ludzi używa atramentu i pióra — zauważyła Penelopa i wskazała na niego. — Sam piszesz dzienniki i jestem pewna, że masz palce ubrudzone atramentem.

— A tak, ale ja nie znikam, kiedy piszę moje dzienniki.

Panna Featherington poczuła, że jej puls przyspiesza.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała prawie bez tchu.

— Chcę powiedzieć, że Eloise zamyka się w swoim pokoju na całe godziny, a kiedy wychodzi, jej palce pokryte są plamami z atramentu.

Penelopa nie odzywała się przez dłuższy czas. „Dowód” Colina był mocny, zwłaszcza jeśli połączyć go ze słynnym i doskonale udokumentowanym wścibstwem jego siostry. Ale Eloise nie była lady Whistledown. Nie mogła być. Penelopa dałaby głowę, że to niemożliwe. Skrzyżowała zatem ramiona na piersi i tonem, który prawdopodobnie doskonale pasowałby do matki karcącej krnąbrnego sześciolatka, stwierdziła:

— To nie ona. Na pewno nie.

Jej rozmówca usiadł z miną pokonanego.

— Chciałbym podzielać twoją pewność.

— Colinie, musisz.

— Gdzie, u diabła, jest to jedzenie? — warknął.

Powinna być zszokowana, lecz jego brak dobrych manier raczej ją rozbawił.

— Jestem pewna, że Briarly wkrótce się tu zjawi.

— Jestem głodny.

— Tak — rzekła Penelopa, a jej usta zadrżały od tłumionego śmiechu. — Też tak sądzę.

Colin westchnął, dziwnie zniechęcony i zasmucony.

— Gdyby to ona była lady Whistledown, to byłaby katastrofa. Kompletna, straszliwa katastrofa.

— Przecież nie może być aż tak źle — Penelopa próbowała go uspokoić. — Nie chodzi o to, że sądzę, iż ona jest lady Whistledown, ponieważ to nieprawda. Lecz gdyby nawet nią była, czy to aż takie straszne? Sama raczej lubię lady Whistledown.

— To byłoby straszne — odparł Colin dość gwałtownie. — Byłaby zrujnowana.

— Nie podejrzewam, aby była zrujnowana…

— Ależ oczywiście, że tak. Czy masz pojęcie, ile osób w ciągu jedenastu lat ta kobieta obraziła?

— Nie miałam pojęcia, że tak bardzo nienawidzisz lady Whistledown — wyznała.

— Nie, wcale nie — syknął niecierpliwie. — To nie ma znaczenia, czy ją lubię, czy nie. Wszyscy inni jej nienawidzą.

— Nie sądzę, aby to była prawda. Wszyscy kupują jej gazetkę.

— Oczywiście, że tak! Wszyscy kupują tę cholerną gazetkę!

— Colinie!

— Przepraszam — wymamrotał, ale bez przekonania. Penelopa skinęła

głową na znak, że przyjmuje przeprosiny.

— Kimkolwiek jest ta lady Whistledown… — Colin wygrażał palcem z takim zapałem, że Penelopa odchyliła się na oparcie sofy — …gdy zostanie zdemaskowana, nie będzie dla niej miejsca w Londynie.

Panna Featherington delikatnie odchrząknęła.

— Nie wiedziałam, że tak się liczysz z opinią społeczeństwa.

— Ja nie — odparował. — A przynajmniej nie bardzo. Natomiast wszyscy inni, którzy ci tak mówią, to kłamcy albo hipokryci.

Penelopa podzielała jego zdanie, ale była zdumiona, że je wyraził wprost. Zawsze wydawało jej się, że mężczyźni lekceważą sobie opinię otoczenia.

Bridgerton pochylił się w przód. Oczy mu płonęły.

— Nie chodzi o mnie. Chodzi o Eloise. Jeśli zostanie wykluczona z towarzystwa, będzie po niej. — Wyprostował się, ale znać było po nim napięcie. — Wolę nie myśleć, co wtedy stanie się z moją matką.

Penelopa odetchnęła głęboko.

— Sądzę, że niepotrzebnie się denerwujesz — rzekła.

— Mam nadzieję, że masz rację — odparł, przymykając oczy.

Nie był pewien, kiedy zaczął podejrzewać, że jego siostra może być lady Whistledown.

Prawdopodobnie wtedy, kiedy lady Danbury rzuciła swoje słynne wyzwanie. W przeciwieństwie do większości londyńskiego towarzystwa Colin nigdy nie był szczególnie zainteresowany, kim jest lady Whistledown. Gazetka była ciekawa, czytał ją chętnie, podobnie jak wszystko inne, ale w jego umyśle lady Whistledown była po prostu… lady Whistledown. I tylko tym musiała być.

Wyzwanie lady Danbury sprawiło, że zaczął się zastanawiać, a podobnie jak pozostali Bridgertonowie, kiedy już uczepił się jakiejś myśli, tracił zdolność do obiektywizmu. Przyszło mu do głowy, że Eloise posiada

odpowiedni temperament, aby redagować taką gazetkę, i zanim zdołał sam siebie przekonać, że to bzdura, ujrzał na palcach siostry plamy z atramentu. Od tamtej pory niemal oszalał, nie był zdolny już myśleć o niczym innym, tylko o ewentualnym drugim życiu Eloise.

Nie wiedział, co go bardziej bulwersuje — to, że siostra mogłaby być lady Whistledown, czy to, że udało jej się ukrywać to przed nim przez ponad dziesięć lat.

Jakież to irytujące zostać wystrychniętym na dudka przez własną siostrę! Myślał że jest sprytniejszy.

Teraz jednak musiał się skoncentrować na rzeczywistości. Jeśli jego podejrzenia były słuszne, jak sobie poradzą ze skandalem, kiedy wszystko wyjdzie na jaw?

A przecież na pewno wyjdzie. Cały Londyn pożąda tysiącfuntowej nagrody. Lady Whistledown nie ma szans na ucieczkę.

— Colinie! Colinie!

Otwarł oczy, zastanawiając się, jak długo Penelopa wzywa go po imieniu.

— Naprawdę powinieneś przestać martwić się o Eloise — rzekła. — W Londynie są przecież setki ludzi. Każdy z nich może być lady Whistledown. Bogowie, nawet ty, z twoją spostrzegawczością… — pomachała mu palcami przed nosem dla przypomnienia plam z atramentu — nawet ty mógłbyś być lady Whistledown!

Spojrzał na nią z niejakim politowaniem.

— Istotnie, ale ja przebywam poza krajem przez większość roku.

Penelopa zignorowała jego sarkazm.

— Jednak jesteś doskonałym pisarzem i z pewnością dałbyś radę.

Colin zamierzał rzucić jakiś niezbyt uprzejmy żart, aby uciąć tę jałową

dyskusję, lecz w głębi ducha tak się ucieszył tym „doskonałym pisarzem”, że zdołał jedynie przywołać na twarz blady uśmiech.

— Nic ci nie jest? — zapytała Penelopa.

— Nic a nic — odparł, budząc się z marzeń i przybierając nieco poważniejszą minę. — Myślę tylko o skandalu.

— O jakim skandalu?

— O tym, który wybuchnie, kiedy się okaże, że to ona jest lady Whistledown.

— Ona nie jest lady Whistledown — powtórzyła z mocą Penelopa.

Colin nagle usiadł prosto, a oczy rozbłysły mu nowym pomysłem.

— Wiesz co? Myślę, że to nie ma znaczenia, czy ona jest, czy nie jest lady Whistledown.

Penelopa przyglądała mu się tępo przez pełne trzy sekundy, po czym rozejrzała się po pokoju i mruknęła:

— Co z tym jedzeniem? Chyba zaczyna mi się kręcić w głowie. Czy przez ostatnie dziesięć minut nie wmawiałeś mi czegoś wręcz przeciwnego?

W tej samej chwili w drzwiach pojawił się Briarly z obficie zastawioną tacą. Penelopa i Colin w milczeniu obserwowali kamerdynera, jak nakrywał do stołu.

— Czy mam państwu nałożyć? — zapytał.

— Nie, dziękuję — odparła Penelopa. — Obsłużymy się sami.

Skinąwszy głową, Briarly rozłożył zastawę, napełnił szklanki lemoniadą, po czym opuścił pokój.

— Słuchaj… — Colin wstał i szybko zamknął drzwi, ale tak, żeby lekko tylko opierały się o framugę. W ten sposób technicznie pozostawały one otwarte, gdyby ktoś miał zastrzeżenia co do przyzwoitości.

— Nie chcesz czegoś zjeść? — zapytała Penelopa, podając mu talerz wypełniony po brzegi przekąskami.

Chwycił kawałek sera, pochłonął go w dwóch kęsach i rzekł:

— Nawet jeśli Eloise nie jest lady Whistledown… a pamiętaj, wciąż uważam, że jest… to nie ma znaczenia. Jeśli bowiem ja mogę podejrzewać ją o to, może to uczynić każdy.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Colin stwierdził, że ma ochotę chwycić Penelopę za ramiona i mocno nią potrząsnąć. Z trudem się powstrzymał.

— To nie ma znaczenia. Nie widzisz? Jeśli ktoś pokaże ją palcem, zostanie skompromitowana.

— Ale nie wtedy — zauważyła Penelopa — jeśli ona naprawdę jest lady Whistledown.

— Jak to udowodni? — odparował Bridgerton, zrywając się na nogi. — Kiedy plotka się pojawi, będzie po wszystkim. Zacznie żyć własnym życiem.

— Colinie, przestałeś mówić sensownie jakieś pięć minut temu.

— Nie, wysłuchaj mnie. — Obrócił się, żeby spojrzeć jej w twarz. Nagle ogarnęło go tak przemożne pożądanie, że nie oderwałby oczu od jej twarzy nawet wówczas, gdyby wokół nich dom się walił. — A jeśli powiem wszystkim, że cię uwiodłem?

Penelopa znieruchomiała.

— Będziesz skompromitowana na zawsze — ciągnął, przykucając obok sofy. — Nieważne, że nigdy się nawet nie pocałowaliśmy. To właśnie, moja droga, jest siła słowa.

Penelopa wydawała się dziwnie sztywna. Jej twarz pałała rumieńcem.

— Nnn… nie wiem, co powiedzieć — wyjąkała.

I wtedy zdarzyło się coś zdumiewającego. Colin stwierdził, że on też nie wie, co powiedzieć. Zapomniał nagle o plotkach i sile słowa, i o całej tej zgniliźnie, myślał jedynie o całowaniu i…

I… I…

Boże święty w niebiosach, miał ochotę pocałować Penelopę Featherington!

Penelopę Featherington!!!

Równie dobrze mógłby chcieć pocałować własną siostrę. Tyle że ona… spojrzał na nią dyskretnie — wyglądała niezwykle kusząco i sam się sobie dziwił, że nie zauważył tego wcześniej — …ona nie była jego siostrą.

Zdecydowanie nie była jego siostrą.

— Colinie? — Jego imię w jej ustach zabrzmiało jak szept wiatru.

Cudowne, trzepoczące rzęsy nad zamglonymi oczami… jak do tej chwili mógł nie zauważyć ich niezwykłego odcienia brązu? Wokół źrenicy niemal złociste. Nigdy wcześniej takich nie widział, a przecież nieraz się im przyglądał…

Wstał nagle, aż zachwiał się jak pijany. Lepiej niech nie będą na tym samym poziomie. Z góry nie będzie tak dobrze widział jej oczu.

Ona także wstała. Cholera!

— Colinie? — wyrzekła ledwie słyszalnym głosem. — Czy mogę cię o coś poprosić?

Może to była męska intuicja, przeczucie, obojętnie co, lecz jakiś donośny głos w jego głowie uporczywie powtarzał mu, że jej prośba to bardzo, bardzo zły pomysł.

Ale on był idiotą.

Musiał być, bo poczuł, jak jego usta się otwierają, a potem usłyszał głos, który brzmiał bardzo podobnie do jego głosu.

— Oczywiście.

Penelopa rozchyliła usta. Przez chwilę sądził, że będzie próbowała go pocałować, ale nagle zrozumiał, że chce coś powiedzieć.

— Mógłbyś…

Słowo. Nic więcej, po prostu słowo z głoską „u”. Tyle że wtedy usta układają się jak do pocałunku.

— Mógłbyś mnie pocałować?

9

W tym sezonie co parę dni pojawia się zaproszenie, które jest obiektem powszechnego pożądania. W bieżącym tygodniu palma pierwszeństwa przypadnie niewątpliwie hrabinie Macclesfield, która w poniedziałek wieczorem wydaje wielki bal.

Lady Macclesfield nieczęsto przyjmuje tu, w Londynie, lecz jest bardzo popularna, podobnie jak jej mąż. Należy oczekiwać, że na balu pojawi się wielu kawalerów, w tym pan Colin Bridgerton (o ile nie padnie ze zmęczenia po czterech dniach spędzonych z dziesiątką wnucząt Bridgertonów), wicehrabia Burwick oraz pan Michael Anstruther-Wetherby. Autorka spodziewa się, że po ukazaniu się niniejszej gazetki wiele młodych i niezamężnych kobiet również weźmie udział w tym balu.

„Kronika Towarzyska Lady Whistledown”,
16 kwietnia 1824

Życie, jakie znał do tej pory, nagle dobiegło końca.

— Co? — zapytał, szybko mrugając.

Twarz panny Featherington oblała się ciemnym rumieńcem, ciemniejszym, niż to wydawało się możliwe.

— Nieważne — mruknęła, odwracając się. — Zapomnij, że cokolwiek mówiłam.

Bridgerton uznał, że to bardzo dobry pomysł.

Lecz kiedy już mu się zdawało, że jego świat wraca na normalne tory (a

przynajmniej jest w stanie sobie to wmówić), Penelopa ponownie obróciła się ku niemu i to z takim ogniem w oczach, że zdębiał.

— Nie, nie zamierzam zapomnieć! — krzyknęła. — Całe życie spędziłam na zapominaniu o różnych rzeczach, nie mówiąc o nich, nikomu nie wspominając, czego naprawdę pragnę.

Colin chciał coś powiedzieć, ale okazało się, że nie jest w stanie wykrztusić ani słowa. Czuł, że już po nim. Był tego pewien.

— To nie będzie miało znaczenia — mówiła. — Obiecuję ci, to nie będzie miało żadnego znaczenia, nigdy nie będę niczego od ciebie chciała, ale mogłabym jutro umrzeć i…

— Co?

Jej oczy wydawały się ogromne, palące, mroczne i błagalne i…

Jego postanowienia ulotniły się jak dym.

— Mam dwadzieścia osiem lat — szepnęła żałośnie. — Jestem starą panną i nikt mnie jeszcze nigdy nie pocałował.

— Ggga… ggaa… ggaa… — Wiedział, że umie mówić, był absolutnie pewien, że potrafi wyartykułować słowa, jeszcze minutę temu. Teraz jednak wyglądało na to, że oniemiał.

A Penelopa wciąż mówiła. Jej policzki były rozkosznie zaróżowione, a usta poruszały się tak szybko, że nie mógł nie pomyśleć, jaki byłby ich dotyk na skórze. Na szyi, na ramieniu i w… innych miejscach.

— Mając dwadzieścia dziewięć lat, też będę starą panną — kontynuowała. — I mając trzydzieści lat też. Mogłabym umrzeć jutro i…

— Nie umrzesz jutro! — wyrzekł z najwyższym trudem.

— Nie chcę umrzeć, nie poznawszy smaku pocałunku — wyznała wreszcie.

Colin potrafiłby wymyślić kilkaset powodów, dla których całowanie Penelopy Featherington było fatalnym pomysłem.

Na pierwszym miejscu wymieniłby ten, że naprawdę chciał ją pocałować.

Otwarł usta w nadziei, że wyda jakiś dźwięk i że może to będzie nawet mowa artykułowana, ale nie — usłyszał tylko szmer oddechu.

A wtedy Penelopa uczyniła coś, co w jednej chwili pozbawiło go wolnej woli. Zajrzała mu głęboko w oczy i wyszeptała jedno, króciutkie słowo:

— Proszę.

Przepadł. W jej spojrzeniu było coś zapierającego dech w piersi. Jakby rzeczywiście mogła umrzeć, jeśli jej nie pocałuje. Nie z powodu złamanego serca, nie ze wstydu… raczej z głodu. Jakby potrzebowała się nim nakarmić, nakarmić wygłodniałą duszę i ukoić serce.

Colin nie mógł sobie przypomnieć, aby ktokolwiek pożądał go tak bardzo.

Lekcja pokory.

Penelopa sprawiła, że zapragnął jej z taką gwałtownością, że kolana się pod nim ugięły. Spojrzał na nią, ale nie zobaczył w niej kobiety, którą widywał tyle razy. Była odmieniona. Promieniała. Była jak syrena, jak bogini, a on zachodził w głowę, jakim cudem nigdy tego nie dostrzegł.

— Colinie — szepnęła.

Zrobił krok w jej stronę — o pół stopy, ale to wystarczyło, żeby jej usta znalazły się blisko… bardzo blisko. Delikatnie uniósł jej podbródek. Ich oddechy mieszały się, powietrze stało się duszne i ciężkie. Penelopa drżała… czuł to pod palcami… ale nie był wcale pewien, czy i on nie dygotał.

Sądził, że zaraz powie coś dowcipnego i wesołego, jak przystało beztroskiemu zawadiace, za którego go wszyscy uważali. Może: „dla ciebie wszystko” albo „każda kobieta zasługuje na przynajmniej jeden

pocałunek”. W miarę jednak jak odległość między nimi się zmniejszała, czuł, że każde słowo byłoby niewłaściwe.

Nie ma słów dla namiętności. Nie ma słów dla pragnienia. Nie ma słów dla nazwania piękna tego momentu. I tak pewnego zwykłego piątkowego popołudnia, w samym sercu Mayfair, w cichym saloniku na Mount Street, Colin Bridgerton pocałował Penelopę Featherington. Cudowne, niezapomniane przeżycie. Jego usta najpierw ostrożnie dotknęły jej warg, nie dlatego, że starał się być łagodny, choć gdyby był w stanie w tej chwili skupić się na czymkolwiek innym, zapewne przypomniałby sobie, że to jej pierwszy pocałunek. Pierwszy pocałunek, który powinien być delikatny, czuły, cudowny, taki, o jakim marzą dziewczęta przed snem pod osłoną nocy.

Colin jednak nie pamiętał o tym. W ogóle nie myślał. Jego pocałunek był delikatny i czuły, ponieważ sam jeszcze się sobie dziwił, że ją całuje. Znał Penelopę od lat, nigdy jednak nawet nie pomyślał, aby musnąć ustami jej usta. A teraz nie chciałby wypuścić jej z ramion, choćby płomienie piekielne zaczęły lizać mu pięty. Zaledwie wierzył w to, co robi… jak również i w to, że tak bardzo jej pragnął…

Nie był to pocałunek wyrażający namiętność, tkliwość czy pożądanie. Było to niespieszne doświadczenie naukowe… tak samo dla Penelopy, jak i dla Colina.

Odkrywał właśnie, że wszystko, co do tej pory na temat pocałunków wiedział, to była ledwie namiastka wiedzy.

Wszystko inne było jedynie dotknięciem ust, języka i szeptaniem nic nieznaczących, choć miłych słów. To był pocałunek.

Było coś w tym dotyku, w cichym szmerze i cieple oddechu Penelopy. Coś kryło się w jej nagle znieruchomiałym ciele, w łomocie serca, który czuł przez jej skórę. Było coś w tym, że wiedział, że to ona. Lekko

przesunął usta w lewo i delikatnie chwycił kącik jej warg, łaskocząc je żartobliwie. Jego język uczył się konturów jej ust, smakując słodko-słone, wilgotne wnętrze.

Było to coś więcej niż pocałunek.

Jego dłonie, do tej pory rozpostarte na jej plecach, nagle zadrżały, zesztywniały i wpiły się w miękką materię sukni. Pod palcami czuł ciepło kobiecego ciała, przenikające przez warstwy muślinu.

Przyciągnął Penelopę do siebie, bliżej i bliżej, aż niemal stopili się ze sobą. Czuł, że płonie. Pragnął jej — bogowie, jak bardzo jej pragnął!

Jego wargi stały się bardziej natarczywe, język delikatnie wdarł się w jej usta. Colin jęknął i z cichym pomrukiem zaczął smakować jej słodycz, z lekka pachnącą lemoniadą. Była upojna jak najlepsza brandy. Zaczął się obawiać, że wkrótce zwali go z nóg.

Przesunął dłońmi wzdłuż jej boków — powoli, żeby jej nie przestraszyć. Była miękka i kształtnie zaokrąglona. Delikatnie rozszerzające się biodra, doskonałe pośladki, a piersi… Boże, jak cudownie było czuć jej piersi przyciśnięte do torsu. Pragnął nakryć je dłońmi, lecz zmusił się do pozostawienia rąk tam, gdzie były — w bardzo przyjemnym miejscu, doprawdy nie miał na co się uskarżać. Poza tym, że nie wypadało obmacywać biustu damy w jej własnym salonie, podejrzewał, że gdyby jej dotknął w ten sposób, straciliby głowę z kretesem.

— Penelopo, Penelopo — szeptał, zastanawiając się, czemu jej imię brzmi w jego ustach tak słodko. Pożądał jej, pragnął, był pijany, oszołomiony namiętnością i chciał, aby ona czuła się tak samo. Nie próbowała wysunąć się z jego objęć, ale do tej pory nie reagowała. Wprawdzie zachwiała się na nogach i odpowiadając na jego pocałunek, rozchyliła wargi, ale poza tym nie uczyniła najmniejszego gestu.

Tymczasem w przyspieszonym oddechu i biciu serca Colin wyraźnie

wyczuwał jej podniecenie.

Odsunął się, tylko o kilka cali, aby dotknąć jej podbródka i unieść jej twarz ku swojej. Zatrzepotała rzęsami, odsłaniając zamglone namiętnością oczy ponad lekko rozchylonymi, nabrzmiałymi od jego pocałunków ustami.

Była piękna. Cudownie, doskonale, poruszająco piękna. Nie wiedział, jak mógł tego nie zauważyć przez tyle lat.

Czy świat zaludniony był przez ślepców, czy tylko przez głupców?

— Ty też możesz mnie pocałować — szepnął, lekko pochylając się ku niej.

Zamrugała spłoszona.

— Pocałunek — wymruczał, znów pochylając się nad jej ustami, choć tylko na krótką chwilę — jest dla dwojga.

Penelopa drgnęła lekko.

— Co mam robić? — zapytała.

— Co zechcesz.

Powoli, nieśmiało uniosła dłoń do jego twarzy. Delikatnie przesunęła palcami po policzku, sunąc wzdłuż linii szczęki.

— Dziękuję — szepnęła. Dziękuję?

Znieruchomiał.

Nic gorszego nie mogła powiedzieć. Nie chciał, aby mu dziękowano za pocałunek.

Czuł się winny. I pusty.

Jak gdyby zrobił coś z litości. Co gorsza, w duchu wiedział, że gdyby zdarzyło się to kilka miesięcy temu, naprawdę byłoby to z litości.

I jak to, u diabła, o nim świadczy?

— Nie dziękuj — rzekł ponuro i cofnął się.

— Ale…

— Powiedziałem: nie! — rzucił ostro, odwracając się, jakby nie mógł

znieść jej widoku, choć prawdą było, że nie mógł znieść samego siebie.

A co najgorsze — nie miał pojęcia dlaczego. Czy ten szarpiący, dojmujący ból to poczucie winy? Dlatego że nie powinien był Penelopy całować? Dlatego że nie powinno mu się to było podobać?

— Colinie — szepnęła — nie bądź zły na siebie.

— Nie jestem — warknął.

— Poprosiłam, żebyś mnie pocałował. Praktycznie cię zmusiłam.

No tak, to najlepszy sposób, żeby poczuł się prawdziwym mężczyzną.

— Nie zmuszałaś mnie — wycedził.

— Nie, ale…

— Na litość boską, Penelopo, dość tego!

Odskoczyła, wytrzeszczając oczy.

— Przepraszam — szepnęła.

Spojrzał na jej dłonie. Drżały. Z bólem przymknął oczy.

Dlaczego robił z siebie takiego kretyna?

— Penelopo… — zaczął.

— Nie, nic nie szkodzi — przerwała mu pospiesznie. — Nie musisz nic mówić.

— Nie, powinienem.

— Wolałabym, żebyś milczał.

Nagle przybrała poważną i pełną godności minę. Colin poczuł się jeszcze gorzej. Stała nieruchomo, ze skromnie splecionymi dłońmi, z oczami spuszczonymi — nie całkiem wbitymi w podłogę, lecz przysłoniętymi powiekami.

Myślała, że pocałował ją z litości.

Trudna sprawa, bo właściwie częściowo chciał, aby tak myślała. Może wtedy i on przekonałby sam siebie, że to prawda. Że to tylko litość i na pewno nic więcej.

— Pójdę już — oznajmił stłumionym głosem. Słowa rozbrzmiały w cichym salonie jak krzyk.

Nie próbowała go powstrzymać. Ruszył w kierunku drzwi.

— Muszę iść — dodał, choć jego stopy odmówiły współpracy.

Skinęła głową.

— Nie… — zaczął, a potem przerażony słowami, które omal nie wymknęły mu się z ust, zdecydowanie ruszył do wyjścia.

Był już blisko drzwi, gdy Penelopa zawołała: „Co: nie?”. Oczywiście. Musiała zawołać.

A on nie wiedział, co odpowiedzieć, ponieważ zamierzał rzec: „Nie pocałowałem cię z litości”. Wynikało z tego, że chciał, by o tym wiedziała, a jeśli tego chciał, to znaczyło, że zależało mu na jej opinii, a to z kolei znaczyło, że…

— Muszę iść — wybuchnął desperacko, jakby się spodziewał, że gdy tylko opuści salon, jego myśli przestaną błąkać się po niebezpiecznych rubieżach. Przebył odległość, jaka dzieliła go od drzwi, licząc, że Penelopa go zawoła, że bodaj wypowie jego imię.

Nie uczyniła tego. Wyszedł więc.

I jeszcze nigdy nie czuł do siebie takiej odrazy.

Colin był w wyjątkowo podłym humorze już wcześniej, zanim w drzwiach stanął lokaj z wezwaniem od jego matki.

Później było coraz gorzej.

Piekło i demony. Znowu zacznie mu wiercić dziurę w brzuchu o małżeństwo. Jej wezwania zawsze miały coś wspólnego ze swatami. A on akurat nie był w nastroju.

Kochał swoją matkę. Nie mógł jej zignorować, więc pomruczał, poburczał, nawet zaklął z cicha, ale posłusznie wciągnął buty, narzucił płaszcz i ruszył do drzwi.

Mieszkał w Bloomsbury, w niezbyt modnej jak dla arystokraty dzielnicy Londynu, choć Bedford Square, przy którym wynajął mały, lecz elegancki domek z tarasem, z pewnością był adresem dobrym i akceptowanym.

Colin lubił Bloomsbury, gdzie za sąsiadów miał lekarzy, prawników, naukowców, ludzi, którzy naprawdę coś robili, a nie tylko snuli się po przyjęciach. Nie był gotów poświęcić swego dziedzictwa dla życia z pracy rąk — w sumie dość dobrze było być Bridgertonem — ale w obserwowaniu ludzi przy codziennych obowiązkach znajdował coś inspirującego.

Mógł pojechać powozem — właśnie podstawiono go po powrocie od Featheringtonów, ale potrzebował odetchnąć świeżym powietrzem. Poza tym przewrotnie zapragnął odwlec wizytę pod Numerem Piątym.

Jeśli matka zamierzała poprowadzić kolejny wykład na temat zalet związku małżeńskiego, a po nim przedstawić długawą dysertację odnośnie do atrybutów każdej panny do wzięcia w Londynie, może na niego spokojnie poczekać. Przymknął oczy i jęknął. Musiał mieć gorszy humor, niż sobie to uświadamiał, skoro przeklinał nawet spotkanie z matką, którą darzył (podobnie jak wszyscy Bridgertonowie) ogromnym szacunkiem i uczuciem.

Wszystko przez Penelopę.

Nie, wszystko przez Eloise, pomyślał, zgrzytając zębami.

Lepiej zwalić na rodzeństwo.

Nie — opadł na fotel przy biurku. To wyłącznie jego wina. Kiedy był wściekły, mógł urywać ludziom głowy gołymi rękami. Jego i tylko jego wina.

Nie powinien był całować Penelopy. Nieważne, że chciał ją pocałować, chociaż do momentu, w którym o tym wspomniała, praktycznie nie zdawał sobie z tego sprawy. I tak nie powinien był jej całować.

Choć z drugiej strony, jeśli się nad tym dobrze zastanowić, nie był

całkiem pewien, dlaczego nie powinien był jej całować.

Podszedł do okna i oparł się czołem o szybę. Bedford Square było spokojnym miejscem. Tylko kilku przechodniów w zasięgu wzroku. Prawdopodobnie byli to robotnicy pracujący przy budowie muzeum po wschodniej stronie placu — dlatego Colin wybrał rezydencję w zachodniej części — plac budowy to dość hałaśliwe sąsiedztwo.

Skierował wzrok na północ, ku pomnikowi Charlesa Jamesa Foxa. Oto człowiek, który miał cel w życiu. Nie zawsze lubiany, jeśli wierzyć starszym, lecz Colin powoli dochodził do wniosku, że sympatia ogółu jest dość mocno przeceniana.

Bóg jeden wie, jak on sam był lubiany, a mimo to stał teraz ponury, wściekły i niezadowolony z życia, gotów rzucić się na każdego, kto mu wejdzie w drogę.

Westchnął ciężko i wyprostował, opierając się dłonią o ramę. Lepiej już wyjść z domu, zwłaszcza jeśli zamierza udać się do Mayfair piechotą. Odległość nie była duża. Jeśli pójdzie szybko (jak zawsze), dotrze tam za pół godziny, może trochę wcześniej, o ile nie będzie musiał przeciskać się pomiędzy spacerowiczami. Modne towarzystwo nigdy nie przebywało tak długo poza domem, oczywiście pomijając zakupy lub popularne ostatnimi czasy spacery po parku. Colin czuł jednak, że musi ochłonąć. Londyńskie powietrze nie było zbyt czyste, ale musiało wystarczyć.

Tego dnia miał wyjątkowe szczęście. Zanim dotarł do skrzyżowania Oxford i Regent Street, na twarz spadły mu pierwsze krople deszczu. Kiedy znalazł się u wylotu Hanover Square na St. George Street, lało już w najlepsze. Był jednak tak blisko Bruton Street, że wzywanie fiakra graniczyło z groteską.

Szedł zatem dalej.

Po pierwszym niemiłym wrażeniu deszcz wydał mu się przyjemny. Był

ciepły, a duże, ciężkie krople były niczym uderzenia.

Colin czuł, że na nie zasłużył.

Drzwi domu matki otwarły się, zanim postawił stopę na pierwszym schodku. Widocznie Wickham czekał na niego.

— Czy mogę zaproponować panu ręcznik? — spytał, podsuwając złożoną miękką tkaninę.

Colin wziął ręcznik, zastanawiając się, kiedy, u licha, Wickham miał czas po niego pójść. Nie mógł przecież wiedzieć, że on będzie na tyle niemądry, żeby spacerować w deszczu. Nie po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że lokaje muszą posiadać jakąś tajemniczą moc. Może takie były wymagania na to stanowisko.

Wysuszył włosy ręcznikiem, co wprawiło Wickhama w widoczną konsternację. Nadzwyczaj układny i konserwatywny lokaj spodziewał się zapewne, że panicz co najmniej pół godziny spędzi w łazience, żeby się doprowadzić do porządku.

— Gdzie moja matka? — zapytał Colin.

Służący zacisnął wargi, znacząco spoglądając na stopy przybysza, wokół których zebrały się już małe kałuże.

— Jest w swoim gabinecie — odparł. — Ale rozmawia z pańską siostrą.

— Z którą siostrą? — zapytał Colin z promiennym uśmiechem, żeby tylko dokuczyć Wickhamowi, który z kolei próbował zdenerwować go, omijając imię siostry.

Jak gdyby mógł Bridgertonowi powiedzieć „pańska siostra” i być pewnym, że tamten będzie wiedział, o kogo chodzi.

— Francescą.

— Ach, tak. Ona wkrótce wraca do Szkocji, prawda?

— Jutro.

Colin oddał ręcznik służącemu, który spojrzał nań jak na coś

obrzydliwego.

— Nie będę jej zatem zawracał głowy. Powiadom ją tylko, że jestem tutaj i czekam, aż skończy rozmawiać z Francescą.

Wickham skinął głową.

— Może zatem się pan przebierze, paniczu? Sądzę, że w sypialni pana Gregory’ego pozostały jeszcze jakieś jego ubrania.

Colin uśmiechnął się. Gregory właśnie kończył ostatni semestr w Cambridge. Był o jedenaście lat młodszy i trudno było sobie wyobrazić, że mogliby się wymienić ubraniami. W obecnej sytuacji jednak chyba będzie musiał uwierzyć, że jego mały braciszek urósł.

— Doskonały pomysł — rzekł i z niechęcią spojrzał na swój przemoczony surdut. — Zostawię go do oczyszczenia i przyślę po niego później.

Lokaj ponownie skinął głową i mruknął:

— Jak pan sobie życzy. — Po czym znikł w korytarzu.

Przeskakując po dwa stopnie i zostawiając na nich mokre ślady, Colin przebył schody dzielące go od pokojów rodzeństwa. Nagle usłyszał szmer otwieranych drzwi i obejrzał się. Eloise.

Ostatnia osoba, którą chciał zobaczyć. Natychmiast przywiodła mu na myśl wszystkie wspomnienia związane z Penelopą. Ich rozmowę. Pocałunek.

Zwłaszcza pocałunek.

I poczucie winy, jakie go po nim ogarnęło. Poczucie winy, które wciąż nie ustępowało.

— Colin — zawołała Eloise. — Nie wiedziałam, że… Szedłeś pieszo?

Wzruszył ramionami.

— Lubię deszcz.

Przyjrzała mu się uważnie, przechylając głowę na bok, co oznaczało, że

jest naprawdę zaintrygowana.

— Jesteś dzisiaj jakiś dziwny.

— Jestem przemoczony do szpiku kości.

— Nie musisz krzyczeć na mnie z tego powodu — odparła, pociągając nosem. — Nie zmuszałam cię do ganiania po mieście w deszczu.

— Kiedy wychodziłem, jeszcze nie padało — rzekł odruchowo.

W obecności rodzeństwa zawsze wyłaził z niego ośmiolatek.

— Na pewno niebo już było szare — zauważyła.

Widocznie i ona miała w sobie coś z ośmiolatki.

— Możemy porozmawiać, kiedy już się wysuszę? — zapytał, nie ukrywając zniecierpliwienia.

— Oczywiście — odparła zgodnie. — Poczekam tu na ciebie.

Colin nie spieszył się ze zmianą ubrania. Bawił się z zawiązaniem krawata dłużej niż kiedykolwiek. Wreszcie, kiedy uznał, że Eloise zgrzyta już zębami ze zniecierpliwienia, wrócił do holu.

— Słyszałam, że byłeś dzisiaj u Penelopy — oznajmiła bez wstępów.

Nie powinna była tego mówić.

— Skąd to wiesz? — zapytał ostrożnie.

Wiedział, że jego siostra i Penelopa są przyjaciółkami, ale nie przypuszczał, aby Eloise dowiedziała się tego od niej.

— Felicyta powiedziała Hiacyncie.

— A Hiacynta tobie.

— Oczywiście.

— Coś trzeba zrobić z tymi wszystkimi plotkarami w mieście — mruknął.

— Nie uważam tego za plotkę — odparła Eloise. — Chyba nie jesteś zainteresowany Penelopą?

Gdyby mówiła o jakiejkolwiek innej kobiecie, Colin spodziewałby się, że

za chwilę spojrzy na niego z ukosa i zapyta przekornie: „A może jesteś?”.

Ale chodziło o Penelopę i choć Eloise była jej najlepszą przyjaciółką, największą obrończynią, nawet ona nie mogła sobie wyobrazić, żeby mężczyzna z jego reputacją i popularnością zainteresował się kobietą z taką reputacją i (nieistniejącą) popularnością.

Humor Colina ze złego zmienił się w morderczy.

— W każdym razie — ciągnęła Eloise, całkowicie nieświadoma burzy, jaka rozpętała się w duszy jej zazwyczaj radosnego brata — Felicyta powiedziała Hiacyncie, że Briarly mówił jej o twojej wizycie. Zastanawiałam się tylko, o co mogło chodzić.

— To nie twoja sprawa — odparł ostro w nadziei, że siostra ustąpi, choć w duchu wiedział, że to niemożliwe. Ruszył jednak w stronę schodów.

— Chodzi o moje urodziny, prawda? — Eloise zabiegła mu drogę tak nagle, że potknął się o jej stopę. Skrzywiła się, ale Colin wcale jej nie współczuł.

— Nie, nie chodziło o twoje urodziny — warknął. — Twoje urodziny są dopiero… — urwał i przystanął. Do diabła! — … dopiero w przyszłym tygodniu — burknął.

Uśmiechnęła się przebiegle, a potem, jakby nagle zdała sobie sprawę, że się pomyliła, lekko otwarła usta i natychmiast skierowała rozmowę na inne tory:

— Jeśli nie poszedłeś tam porozmawiać o moich urodzinach… — przesunęła się nieco, aby tym skuteczniej zagrodzić mu drogę — …a teraz już mnie nie przekonasz, że było inaczej… to po co poszedłeś do Penelopy?

— Czy na tym świecie nie można nic zachować w tajemnicy?

— Nie w tej rodzinie.

Colin uznał, że najlepszym sposobem będzie przybranie zwykłej radosnej

miny, choć nie miał na to najmniejszej ochoty. Przywołał na usta najpiękniejszy i najmilszy z uśmiechów, przechylił głowę na bok i zapytał:

— Czy mi się zdaje, czy mama mnie woła?

— Nic nie słyszałam — odparła wdzięcznie Eloise. — Co się z tobą dzieje? Dziwnie się zachowujesz.

— Nic mi nie jest.

— Nieprawda. Wyglądasz, jakbyś był u dentysty.

Colin zniżył głos do szeptu.

— Zawsze miło słyszeć komplementy od rodziny.

— Jeśli nie możesz zaufać własnej rodzinie — odparowała — to komu?

Płynnie cofnął się i oparł plecami o ścianę.

— Wolę pochlebstwo od prawdy.

— Nie, nie wolisz.

Bogowie, ależ miał ochotę ją trzepnąć. Nie robił tego, odkąd skończyła dwanaście lat. I oberwał za to szpicrutą. To był jedyny przypadek, kiedy ojciec spuścił mu lanie.

— Chciałbym — rzekł spokojnie, unosząc brew — aby ta rozmowa natychmiast dobiegła końca.

— Chciałbyś — syknęła Eloise — żebym przestała się dopytywać, po co poszedłeś do Penelopy Featherington, oboje jednak dobrze wiemy, że tak się nie stanie.

I wtedy zrozumiał. Poczuł to całym sobą, każda jego cząstka od stóp do głów była przekonana, że jego siostra jest lady Whistledown. Wszystko pasowało. Nie było drugiej tak upartej i natrętnej, nikogo, kto mógłby… lub chciał… poświęcać swój czas, żeby dotrzeć do sedna każdej plotki, każdej aluzji.

Kiedy Eloise chciała czegoś, nie ustąpiła, dopóki nie miała tego w garści. Nie chodziło o pieniądze czy o inne dobra materialne. Eloise pragnęła

wiedzy. Lubiła wiedzieć wszystko, drążyła, drążyła i drążyła, dopóki nie usłyszała tego, co chciała usłyszeć.

Cud, że nikt wcześniej się nie zorientował.

— Muszę z tobą porozmawiać — oświadczył nagle.

Chwycił siostrę za ramię i pociągnął do najbliższego pokoju, który przypadkiem okazał się jej własną sypialnią.

— Colinie! — wrzasnęła, bez powodzenia usiłując mu się wyrwać. — Co ty wyprawiasz?

Zatrzasnął za sobą drzwi, puścił Eloise i skrzyżował ramiona na piersi. Rozstawił szeroko nogi i popatrzył na nią z groźną miną.

— Colinie? — powtórzyła z lekkim powątpiewaniem w głosie.

— Wiem, co knułaś.

— Co ja… — Nagle parsknęła serdecznym śmiechem.

— Eloise! — krzyknął. — Mówię do ciebie!

— Chyba tak — wykrztusiła z trudem. Nie ustępował, spoglądając surowo.

Odwróciła twarz, zgięta wpół ze śmiechu. Wreszcie udało jej się wydusić:

— Co ty… — Spojrzała na niego i choć usilnie starała się zamknąć usta, znów parsknęła.

Gdyby coś piła, pomyślał Colin bez cienia wesołości, przy takim śmiechu wszystko wypuściłaby nosem.

— Co się z tobą, do diabła, dzieje? — warknął.

To wreszcie ją nieco otrzeźwiło. Nie wiedział, czy osiągnął to wzrokiem, tonem głosu czy użyciem przekleństwa, ale w jednej chwili się uspokoiła.

— O rany — jęknęła — mówisz poważnie.

— A wyglądam, jakbym żartował?

— Nie — odrzekła. — Choć z początku tak mi się wydawało.

Przepraszam, Colinie, ale te marsowe miny i krzyki… to do ciebie niepodobne. Wyglądałeś prawie jak Anthony.

— A ty…

— Właściwie — spojrzała na niego tak uważnie, jak powinna — wyglądasz jak ty sam udający Anthony'ego.

Zaraz ją zabije. Tu, w jej własnym pokoju, w domu matki, popełni siostrobójstwo.

— Colinie? — zapytała z wahaniem, jakby wreszcie zauważyła, że wcześniej był rozgniewany, ale teraz jest po prostu wściekły.

— Siadaj. — Skinieniem głowy wskazał jej krzesło. — Już.

— Nic ci nie jest?

— Siadaj! — ryknął.

Posłuchała skwapliwie.

— Nie pamiętam, kiedy ostatnio zdarzyło ci się podnieść głos — szepnęła.

— Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałem powód.

— Co się stało?

Uznał, że równie dobrze może powiedzieć jej prawdę.

— Colinie?

— Wiem, że jesteś lady Whistledown.

— Coooooooo?!

— Nie ma sensu zaprzeczać. Widziałem…

Eloise poderwała się na równe nogi.

— Tyle tylko, że to nieprawda!

Nagle stracił pewność siebie. Gniew opadł. Poczuł się stary i zmęczony.

— Eloise, widziałem dowód.

— Jaki dowód? — zapytała, z niedowierzaniem podnosząc głos. — Jaki może być dowód czegoś, co nie jest prawdą?

Chwycił ją za rękę.

— Popatrz na swoje palce.

Spojrzała.

— Co z nimi?

— Plamy z atramentu.

Otwarła usta.

— I z tego wydedukowałeś, że jestem lady Whistledown?

— Skąd by się wzięły?

— Nigdy nie używałeś pióra?

— Eloise… — W jego głosie zabrzmiało wyraźne ostrzeżenie.

— Nie muszę ci tłumaczyć, skąd mam na palcach ślady atramentu.

Znów wymówił jej imię.

— Nie — zaprotestowała. — Nie jestem ci winna… och, no dobrze, niech będzie. — Buntowniczo skrzyżowała ramiona. — Piszę listy.

Spojrzał na nią z jawnym niedowierzaniem.

— Naprawdę! — zaprotestowała. — Codziennie. Czasem nawet dwa razy dziennie, kiedy Francesca wyjeżdża. Jestem dość lojalną korespondentką. Powinieneś wiedzieć. Napisałam dość listów z twoim imieniem na kopercie, choć śmiem wątpić, czy dotarła do ciebie bodaj połowa.

— Listy? — zapytał tonem pełnym powątpiewania… i wzgardy. — Na Boga, Eloise, naprawdę myślisz, że to kupię? Do kogo, do diaska, pisujesz aż tyle listów?

Zaczerwieniła się. Naprawdę spłonęła ciemnym rumieńcem.

— Nie twoja sprawa.

Jej reakcja powinna go była zaintrygować, ale wciąż był pewien, że kłamie.

— Na Boga, Eloise — wycedził — kto uwierzy, że codziennie pisujesz

listy? Na pewno nie ja.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, jej ciemnoszare oczy błyszczały furią.

— Nie obchodzi mnie, co myślisz — powiedziała bardzo cicho. — Nie, to nieprawda. Jestem wściekła, że mi nie wierzysz.

— Nie dajesz mi wiele dowodów, abym mógł uwierzyć — odparł zmęczonym tonem.

Eloise podeszła do niego i dźgnęła go palcem w pierś.

Mocno.

— Jesteś moim bratem — prychnęła. — Powinieneś wierzyć mi bez zastrzeżeń. Kochać mnie bez zastrzeżeń. Tak według mnie powinno być w rodzinie.

— Eloise. — Jej imię wydobyło się z jego ust cicho jak westchnienie.

— Nie próbuj się teraz usprawiedliwiać.

— Nie miałem zamiaru.

— To jeszcze gorzej! — Ruszyła w kierunku drzwi. — Powinieneś na klęczkach błagać mnie o wybaczenie!

Nie sądził, że w swoim stanie ducha będzie zdolny do uśmiechu, a jednak.

— To naprawdę kompletnie nie pasowałoby do mojego charakteru, nie sądzisz?

Otwarła usta, żeby coś powiedzieć, ale dźwięk, który się z nich wydobył, nie był angielskim słowem. Udało jej się wykrztusić coś w rodzaju wielce zirytowanego „ooooooooch”, po czym okręciła się na pięcie i wybiegła, trzaskając drzwiami.

Colin opadł na krzesło, zastanawiając się, kiedy Eloise się zorientuje, że pozostawiła go we własnej sypialni.

Stwierdził, że ironia była właściwie jedynym jasnym punktem tego

smutnego i przykrego dnia.

10

Drogi Czytelniku…

Słowa te piszę z zaskakującym sentymentem w sercu. Po jedenastu latach prowadzenia kroniki żywota i rozrywek beau monde'u Autorka odkłada pióro.

Wyzwanie lady Danbury poniekąd ów moment przyspieszyło, lecz w istocie trudno winić o to (wyłącznie) hrabinę. Ostatnimi czasy gazetka stała się nużąca, jej pisanie przynosiło mniej spełnienia, zapewne jest też mniej ciekawa w lekturze. Autorka potrzebuje odmiany. Nietrudno zrozumieć dlaczego. Jedenaście lat to dużo.

Mówiąc szczerze, również powrót zainteresowania tożsamością Autorki stał się nieco niepokojący. Przyjaciele zwracają się przeciwko przyjaciołom, bracia przeciwko siostrom, wszystko zaś w daremnym wysiłku, aby rozwiązać nierozwiązywalną zagadkę. Mało tego, prowadzone przez towarzystwo śledztwo stało się po prostu niebezpieczne. W zeszłym tygodniu była to skręcona kostka lady Blackwood, w bieżącym obrażenia odniosła Hiacynta Bridgerton na sobotnim wieczorku w londyńskim domu lorda i lady Riverdale (nie umknęło uwadze Autorki, iż lord Riverdale jest bratankiem lady Danbury). Panna Hiacynta spodziewała się zapewne jakiejś napaści, ponieważ uległa urazowi, kiedy wpadła do biblioteki po otwarciu drzwi, do których przywarła uchem.

Podsłuchiwanie pod drzwiami, ściganie gazeciarzy… a to tylko strzępki informacji, jakie dotarły do uszu Autorki. Do czego londyńskie towarzystwo doszło? Autorka zapewnia Cię, Drogi

Czytelniku, że nigdy — przez całe jedenaście lat swej kariery — nie podsłuchiwała pod drzwiami. Wszystkie informacje zostały zdobyte w uczciwy sposób, bez sztuczek i narzędzi innych niż czujne oko i ucho.

Więc, au revoir Londynie! Cała przyjemność po mojej stronie.

„Kronika Towarzyska Lady Whistledown”,
19 kwietnia 1824

Należało się spodziewać, że będzie to temat wieczoru na balu u Macclesfieldów.

— Lady Whistledown się wycofała!

— Czy można dać wiarę?

— Co teraz będę czytać przy śniadaniu?

— Skąd będę wiedzieć, co się działo, jeśli nie zjawię się na przyjęciu?

— Teraz nigdy się nie dowiemy, kim jest!

— Lady Whistledown się wycofała!

Jedna z kobiet zemdlała i bez wdzięku padła na podłogę, omal nie rozbijając sobie głowy o krawędź stołu. Widocznie nie czytała porannej gazetki i po raz pierwszy usłyszała wieści dopiero na balu. Ocucono ją solami, ale szybko zemdlała znowu.

— Udaje — mruknęła Hiacynta do Felicyty, stojącej obok niej wraz z wicehrabiną Bridgerton i Penelopą. Ta ostatnia oficjalnie pełniła dziś funkcję przyzwoitki siostry, ponieważ ich matka z powodu niedyspozycji żołądkowej postanowiła zostać w domu.

— Pierwsze omdlenie było prawdziwe — kontynuowała Hiacynta. — Każdy mógł to potwierdzić, tak niezgrabnie upadła. Lecz to… — Pełnym odrazy gestem wskazała leżącą na podłodze damę. — Nikt nie mdleje jak tancerka baletowa. Nawet tancerka baletowa.

Penelopa słyszała całą rozmowę, gdyż panna Bridgerton stała tuż obok niej.

— A zdarzyło ci się kiedy zemdleć? — mruknęła, nie odrywając oczu od leżącej kobiety, która z delikatnym trzepotaniem rzęs właśnie dochodziła do siebie pod wpływem podetkniętych jej pod nos soli trzeźwiących.

— Nigdy! — wykrzyknęła Hiacynta ze sporą dozą dumy. — Omdlenia są dla słabych charakterów i głupich — dodała. — Gdyby lady Whistledown wciąż pisywała, zapamiętajcie sobie moje słowa, powiedziałaby to samo!

— Niestety, już nie będzie co pamiętać — westchnęła Felicyta.

Lady Bridgerton skinęła głową.

— To koniec epoki — rzekła. — Bez niej czuję się odarta z czegoś.

— Ale nie minęło jeszcze nawet osiemnaście godzin, odkąd jej nie ma — zauważyła Penelopa. — Dostaliśmy gazetkę dziś rano, więc z czego czuć się odartym?

— Chodzi o zasadę — odparła z westchnieniem wicehrabina. — Gdyby to był zwykły poniedziałek, wiedziałabym, że kolejne wieści będą w środę, ale teraz…

Felicyta pociągnęła nosem.

— Teraz jesteśmy zgubione — jęknęła.

Penelopa spojrzała na siostrę z niedowierzaniem.

— Chyba zaczynasz popadać w melodramatyzm.

Przesadne wzruszenie ramion Felicyty godne było największych scen.

— Doprawdy?

Hiacynta poklepała ją współczująco po plecach.

— Nie, skądże, Felicyto. Czuję się dokładnie tak samo.

— Przecież to tylko plotkarska gazetka — przekonywała Penelopa, gorączkowo szukając w swych towarzyszkach śladów zdrowych zmysłów.

Z pewnością nie sądzą, że świat zginie, ponieważ lady Whistledown postanowiła zakończyć karierę.

— Oczywiście masz rację — rzekła lady Violetta, wysuwając podbródek i sznurując usta, aby sprawiać wrażenie praktycznej osoby. — Dziękuję, że jesteś głosem rozsądku w naszym małym gronie. — Nieoczekiwanie jednak pochyliła się i dodała: — Ale muszę się przyznać, że raczej przywykłam do niej. Kimkolwiek jest.

Penelopa doszła do wniosku, że najwyższy czas zmienić temat.

— Gdzie jest dzisiaj Eloise?

— Obawiam się, że rozbolała ją głowa — odrzekła wicehrabina, a jej gładkie czoło przecięła pionowa zmarszczka troski. — Już prawie od tygodnia dziwnie się czuje. Zaczynam się martwić.

Penelopa bezmyślnie obserwowała jakąś ozdobę na ścianie, ale na dźwięk słów lady Bridgerton natychmiast się ocknęła.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego.

— Nic poważnego — odparła Hiacynta, zanim jej matka zdążyła otworzyć usta. — Eloise nigdy nie bywa chora.

— Właśnie dlatego się martwię — mruknęła lady Violetta. — Ma niezbyt dobry apetyt.

— To nieprawda — zaprzeczyła Hiacynta. — Nie dalej jak dziś po południu Wickham zaniósł jej pełną tacę. Rogaliki, jajka i chyba wyczułam stek z dziczyzny. — Powiodła wyniosłym wzrokiem po obecnych. — A kiedy Eloise wystawiła tacę na korytarz, nie było na niej nawet okruszka.

Penelopa uznała, że siostra jej przyjaciółki jest wyjątkowo spostrzegawcza.

— Jest w kiepskim humorze — ciągnęła Hiacynta — odkąd pokłóciła się z Colinem.

— Pokłóciła się z Colinem? — zapytała Penelopa, nagle zdjęta

przerażeniem. — Kiedy?

— Kiedyś tam w zeszłym tygodniu — mruknęła panna Bridgerton.

Kiedy? — chciała wrzasnąć Penelopa, ale wyglądałoby to dziwnie, gdyby domagała się określenia dokładnej daty. Czy to był piątek? Czy nie?

Ona zawsze będzie pamiętała, że jej pierwszy i prawdopodobnie jedyny pocałunek nastąpił w piątek.

Zawsze zresztą pamiętała dni tygodnia. Poznała Colina w poniedziałek.

Pocałowała go w piątek. Dwanaście lat później.

Westchnęła. Okropnie żałosne.

— Czy coś się stało, Penelopo? — zapytała lady Bridgerton.

Spojrzała na wicehrabinę. Jej niebieskie oczy były łagodne i pełne troski, a w pochyleniu głowy było coś, co niemal doprowadziło Penelopę do płaczu.

Ostatnio za bardzo się rozczulała. Płakać nad pochyleniem głowy?

— Nic mi nie jest — odparła w nadziei, że jej uśmiech wyda się szczery. — Martwię się o Eloise.

Hiacynta prychnęła.

Penelopa uznała, że najwyższy czas wziąć nogi za pas. Ci wszyscy Bridgertonowie — a przynajmniej te dwie panie — nieustannie przywodziły jej na myśl Colina.

Oczywiście przez ostatnie trzy dni i tak nie myślała o niczym innym. Ale robiła to przynajmniej w ukryciu, mogła zatem wzdychać i jęczeć, ile dusza zapragnie.

Tym razem jednak miała szczęśliwy wieczór. Za plecami usłyszała głos lady Danbury wykrzykujący jej imię.

Co się dzieje z tym światem, że spotkanie „z najostrzejszym językiem Londynu” uznała za szczęście?

Hrabina stanowiła doskonałą wymówkę do opuszczenia

dotychczasowego towarzystwa, a poza tym Penelopa zdała sobie sprawę, choć nieco ją to zdumiało, że naprawdę lubi tę starszą damę.

— Panno Featherington! Panno Featherington!

Felicyta natychmiast odskoczyła w tył.

— Chyba chodzi jej o ciebie — szepnęła z naciskiem.

— Oczywiście, że tak — odparła Penelopa z nutą wyższości. — Uważam lady Danbury za drogą przyjaciółkę.

Felicyta wytrzeszczyła oczy.

— Naprawdę?

— Panno Featherington! — zawołała lady Danbury, uderzając laseczką o cal od stopy Penelopy, zaledwie znalazła się u jej boku. — Nie ty — rzekła do Felicyty, choć ta tylko uśmiechała się grzecznie. — Ty — zwróciła się do Penelopy.

— Eee… dobry wieczór, lady Danbury — powiedziała Penelopa, uważając, że w danych okolicznościach zdobyła się na naprawdę długą wypowiedź.

— Szukałam cię przez cały wieczór — oznajmiła hrabina.

Penelopa uznała to za nieco zaskakującą nowinę.

— Naprawdę?

— Tak, chciałam z tobą porozmawiać o tej ostatniej gazetce Whistledown.

— Ze mną?

— Tak — burknęła lady Danbury. — Chciałabym wreszcie pogadać z kimś, kto ma chociaż trochę rozumu w głowie.

Penelopa zakrztusiła się śmiechem, lecz lojalnie wskazała na swoje towarzyszki.

— Eee… zapewniam panią, że lady Bridgerton…

Ta gorączkowo pokręciła głową.

— Ona jest zbyt zajęta żenieniem swojej licznej gromadki — skwitowała lady Danbury. — Nie można się po niej spodziewać, że będzie potrafiła normalnie porozmawiać.

Penelopa spojrzała ukradkiem na wicehrabinę, aby sprawdzić, czy ta uwaga jej nie uraziła… w końcu wkrótce minie dziesięć lat, jak próbuje wyswatać swe potomstwo. Lady Bridgerton nie wyglądała jednak na rozgniewaną. Przeciwnie, wydawało się wręcz, że próbuje zdławić śmiech.

Zdławić śmiech i dyskretnie usunąć się z okolicy, uprowadzając ze sobą Hiacyntę i Felicytę.

Podstępne zdrajczynie.

No cóż, przecież sama chciała uciec od Bridgertonów, nieprawdaż? Z drugiej strony świadomość, że Hiacynta i Felicyta będą przekonane, iż spłatały jej psikusa, nie była szczególnie przyjemna.

— Poszły sobie — zauważyła lady Danbury. — I bardzo dobrze. Te dwie dziewczyny chyba nigdy w życiu nie wypowiedziały jednego mądrego słowa.

— O nie, to nieprawda — odruchowo zaprotestowała Penelopa. — Felicyta i Hiacynta są bardzo błyskotliwe.

— Nie twierdzę, że nie są sprytne — kwaśno zauważyła hrabina. — Tylko że nie mają nic inteligentnego do powiedzenia. Ale nie martw się — dodała krzepiąco… Krzepiąco? Kto to widział, żeby lady Danbury chciała kogoś pokrzepić?, klepiąc Penelopę po ramieniu. — To nie ich wina, że nie potrafią sensownie rozmawiać. Wyrosną z tego. Ludzie są jak dobre wino. Jeśli od początku są dobrzy, z wiekiem stają się tylko lepsi.

Penelopa dyskretnie zerkała ponad ramieniem swej rozmówczyni, obserwując mężczyznę, który wydawał się Colinem (ale nie był), jednak słowa hrabiny natychmiast przywołały ją do porządku.

— Dobre wino? — powtórzyła.

— Mhm. A ja myślałam, że mnie nie słuchasz.

— Nie, oczywiście, że słuchałam. — Penelopa ułożyła usta w coś na kształt uśmiechu.

— Pewnie szukasz tego chłopaka od Bridgertonów. — Penelopa jęknęła. — Och, nie rób takiej zaskoczonej miny. Widać to na twojej twarzy jak na dłoni. Zaskoczona jestem tylko, że on nic nie zauważył.

— Zdaje się, że jednak zauważył — wymamrotała Penelopa.

— Tak? Hm. — Lady Danbury zmarszczyła brwi, a kąciki jej ust prawie znikły w długich pionowych zmarszczkach po obu stronach jej podbródka. — Źle to o nim świadczy, że do tej pory jeszcze nic z tym nie zrobił.

Serce Penelopy ścisnęło się boleśnie. Było coś dziwnie wzruszającego w wierze, jaką pokładała w niej starsza dama. Jak gdyby mężczyźni pokroju Colina zwykle zakochiwali się w kobietach takich jak Penelopa. Na Boga, przecież musiała go błagać o pocałunek. I patrzcie, jak to się skończyło. Wyszedł z jej domu wściekły, bez słowa i nie odezwał się od trzech dni.

— Nie przejmuj się nim — odezwała się nagle hrabina. — Znajdziemy ci kogoś innego.

Penelopa delikatnie odchrząknęła.

— Lady Danbury, czy pani zrobiła sobie ze mnie swój cel?

Staruszka poweselała. Uśmiech rozjaśnił jej pomarszczoną twarz.

— Oczywiście! Zaskoczona jestem, że tyle czasu zajęło ci zauważenie tego.

— Ale dlaczego? — zapytała Penelopa, rzeczywiście niezdolna pojąć tego faktu.

Lady Danbury westchnęła. Nie było to smutne westchnienie, raczej tęskne.

— Mogłybyśmy na chwileczkę usiąść? — zapytała. — Moje stare kości

już nie są takie, jak były.

— Naturalnie — pospiesznie odparła Penelopa, czując się winna, że nie pomyślała o podeszłym wieku swej rozmówczyni i pozwoliła jej stać w dusznej sali balowej. Lady Danbury była jednak tak pełna energii, że trudno było sobie ją wyobrazić niedomagającą lub słabą. — Proszę bardzo. — Penelopa ujęła ją pod ramię i poprowadziła do najbliższego fotela. Pomogła hrabinie wygodnie się usadowić, po czym sama przysiadła obok. — Czy teraz lepiej? Może podać pani coś do picia?

Starsza dama z wdzięcznością skinęła głową i Penelopa wezwała lokaja, aby przyniósł dwie szklanki lemoniady. Sama wolała nie opuszczać hrabiny, dopóki ta wyglądała tak blado.

— Nie jestem już taka młoda — poskarżyła się lady Danbury, kiedy lokaj oddalił się w kierunku stolika z napojami.

— Nikt nie jest — odparła Penelopa. Mogłoby to zabrzmieć jak oschły komentarz, lecz ona wypowiedziała te słowa z melancholią. Wydawało jej się, że hrabina zrozumie i doceni jej uczucia.

Miała rację. Lady Danbury zachichotała i obrzuciła ją spojrzeniem pełnym uznania.

— Im jestem starsza, tym lepiej zdaję sobie sprawę, ilu ludzi na tym świecie to głupcy.

— Dopiero teraz się pani o tym przekonuje? — spytała Penelopa, daleka od drwiny, gdyż zwykle zachowanie starszej damy świadczyłoby raczej o tym, iż doszła do tego wniosku wiele lat temu.

Lady Danbury zaśmiała się serdecznie.

— Nie, czasem mi się wydaje, że wiedziałam o tym jeszcze przed urodzeniem. Teraz jedynie uświadamiam sobie, że najwyższy czas coś z tym zrobić.

— Co pani ma na myśli?

— Nie obchodzi mnie zupełnie, co się stanie z głupcami tego świata, ale ludzie tacy jak ty… — Nie mając pod ręką chusteczki, otarła kąciki oczu palcami. — No cóż, chciałabym cię widzieć urządzoną.

Penelopa przez dłuższą chwilę była w stanie jedynie wytrzeszczać na nią oczy.

— Lady Danbury — rzekła wreszcie powoli — doceniam ten gest… i uczucie… ale musi pani wiedzieć, że nie jest pani za mnie odpowiedzialna.

— Oczywiście, że wiem — burknęła hrabina. — Nie obawiaj się, nie czuję się za ciebie odpowiedzialna. Nie miałabym wtedy aż tyle zabawy.

Penelopa poczuła się kompletnie zdezorientowana, czemu zresztą dała wyraz.

— Nie rozumiem.

Lady Danbury milczała, czekając, aż lokaj poda lemoniadę. Pociągnęła kilka drobnych łyków i powiedziała:

— Lubię cię, panno Featherington. Nie ma wielu ludzi, których lubię. Po prostu. Chciałabym, żebyś była szczęśliwa.

— Ależ ja jestem szczęśliwa — odparła Penelopa całkiem odruchowo.

Lady Danbury uniosła brew — doskonale opanowała ten ironiczny grymas.

— Naprawdę? — zapytała.

Czy rzeczywiście? Co to oznacza, że musi zastanawiać się nad odpowiedzią? Nie była nieszczęśliwa — z całą pewnością. Miała wspaniałych przyjaciół, a w swej młodszej siostrze Felicycie prawdziwą powiernicę. A jeśli nawet matka i starsze siostry nie były kobietami, które wybrałaby sobie na najbliższe przyjaciółki… no cóż, i tak je kochała. I wiedziała, że z wzajemnością.

Nie miała złego życia. Brakowało jej dramatów i podniety, ale była

zadowolona.

Zadowolenie to jednak nie to samo, co szczęście, i Penelopa poczuła nagle ostry, przeszywający ból w piersi, kiedy zrozumiała, że nie może odpowiedzieć twierdząco na zadane jej pytanie.

— Wychowałam swoje potomstwo — rzekła lady Danbury. — Czworo dzieci, wszystkie dobrze urządzone. Znalazłam nawet narzeczoną dla mojego bratanka, którego, prawdę mówiąc — pochyliła się ku Penelopie i ostatnie słowa wypowiedziała szeptem, co sprawiało wrażenie, jakby ujawniała sekret wagi państwowej — wolę od własnych dzieci.

Penelopa nie mogła powstrzymać uśmiechu. Lady Danbury wydawała się taka nieznośna, taka złośliwa… ale to do niej dziwnie pasowało.

— Może cię to zaskoczy — ciągnęła starsza dama — ale z natury jestem bardzo wścibska i lubię się wtrącać.

Penelopa bardzo się pilnowała, aby wyraz jej twarzy pozostał neutralny.

— Czuję, że się starzeję — kontynuowała hrabina, unosząc dłonie w geście kapitulacji — ale zanim odejdę, chciałabym szczęśliwie urządzić jeszcze jedną osobę.

— Proszę tak nie mówić, lady Danbury — zawołała Penelopa, impulsywnie chwytając ją za rękę. Uścisnęła lekko kruche palce. — Przeżyje pani nas wszystkich, jestem tego pewna.

— Phi, nie bądź niemądra. — Ton staruszki był wzgardliwy, lecz nie próbowała uwolnić ręki z uścisku. — Nie użalam się nad sobą. Jestem po prostu realistką. Przeżyłam ponad siedemdziesiąt lat, nie muszę ci chyba mówić, jak to dużo. Nie mam już na tym świecie zbyt wiele czasu i wcale się tym nie martwię.

Penelopa miała nadzieję, że będzie kiedyś w stanie równie spokojnie spojrzeć w twarz własnej śmiertelności.

— Ale cię lubię, panno Featherington, przypominasz mi mnie samą. Nie

boisz się mówić prawdy prosto w oczy.

Penelopa spojrzała na nią wstrząśnięta. Przez ostatnie dziesięć lat nigdy nie udało jej się powiedzieć do końca tego, co chciała. Z ludźmi, których znała, była otwarta, uczciwa, czasem nawet wesoła, ale wśród obcych natychmiast zapominała języka w ustach.

Zapamiętała pewną maskaradę. Bywała na wielu maskaradach, ale ta była szczególna, ponieważ znalazła kostium, w którym jej tożsamość naprawdę była nie do odgadnięcia. Pozornie nic szczególnego — suknia w siedemnastowiecznym stylu, szczęśliwie jednak maseczka była zbyt duża i zakrywała jej dokładnie całą twarz.

Była jak odrodzona. Nagle uwolniła się od ciężaru Penelopy Featherington i poczuła, jak ujawnia się jej nowa osobowość. Nie, niczego nie udawała. Wydawało się, że wreszcie przemawia jej prawdziwe „ja” — to, którego nie umiała pokazać nikomu, kogo dobrze nie znała.

Śmiała się, żartowała, nawet flirtowała.

Była przekonana, że nazajutrz, kiedy kostiumy zostaną odwieszone, a ona znów przywdzieje najlepszą wieczorową suknię, będzie pamiętała, jak być naprawdę sobą.

Ale tak się nie stało. Przyjechała na bal, uprzejmie kiwała głową i uśmiechała się grzecznie, ale znów okupowała miejsce pod ścianą.

Wydawało się, że być Penelopą Featherington coś oznacza. Jej los został określony wiele lat temu, w czasie tego pierwszego, koszmarnego sezonu, kiedy to matka uparła się na debiut pomimo jej błagań. Pulchna. Niezgrabna. Zawsze odziana w nieodpowiednie kolory. Nieważne, że od tamtej pory zeszczuplała, nabrała gracji i wreszcie wyrzuciła wszystkie żółte kiecki. W tym świecie — świecie londyńskich wyższych sfer — zawsze pozostanie tą samą, dawną Penelopą Featherington.

Była to nie tylko jej własna wina, lecz również jej otoczenia. Złośliwy

krąg, doprawdy. Za każdym razem, kiedy wstępowała do sali balowej, widziała tych wszystkich ludzi, którzy znali ją od tak dawna, i czuła, jak się zamyka w sobie, zmienia w tę samą nieśmiałą, niezgrabną dziewczynę sprzed lat, zamiast być pewną siebie kobietą, którą w głębi serca tak bardzo chciała się stać.

— Panno Featherington? — dobiegł ją cichy i zaskakująco łagodny głos lady Danbury. — Czy coś się stało?

Penelopa wiedziała, że dość długo zwleka z odpowiedzią, ale potrzebowała kilku sekund, żeby odzyskać głos.

— Nie umiem mówić tego, co myślę — wyznała wreszcie, przy czym na hrabinę spojrzała dopiero, kiedy wypowiedziała ostatnie słowa. — Nie wiem, jak rozmawiać z ludźmi.

— Ale ze mną jakoś umiesz.

— Pani jest inna.

Lady Danbury odrzuciła głowę w tył i parsknęła śmiechem.

— No cóż, to dopiero niedopowiedzenie… Och, Penelopo… mam nadzieję, że nie będziesz mi miała za złe, że mówię ci po imieniu… jeśli umiesz otwarcie rozmawiać ze mną, to umiesz z każdym. Połowa dorosłych ludzi w tej sali chowa się po kątach na sam mój widok.

— Bo pani nie znają — odrzekła Penelopa, delikatnie klepiąc ją po dłoni.

— Ciebie też nie znają — odparła starsza dama znacząco.

— Nie — zgodziła się Penelopa z odcieniem rezygnacji w głosie. — Nie znają.

— Powiedziałabym, że ich strata, ale to byłaby uprzejmość — rzekła lady Danbury. — Nie dla nich, lecz dla ciebie, bo choć często nazywam ich głupcami… a nazywam ich tak bardzo, bardzo często, jak zresztą pewnie wiesz… niektórzy z nich to porządni ludzie i to zbrodnia, że cię nie znają. Cóż… Hm… zastanawiam się, co to za zamieszanie.

Penelopa z niewiadomej przyczyny wyprostowała się odrobinę.

— Co pani ma na myśli? — zapytała ostrożnie.

Widać było, że coś się dzieje. Ludzie szeptali między sobą i wskazywali na niewielkie podwyższenie, na którym siedzieli muzycy.

— Hej ty! — Lady Danbury dźgnęła laseczką w łokieć siedzącego nieopodal dżentelmena. — Co się tam dzieje?

— Cressida Twombley chce coś ogłosić — odparł mężczyzna i szybko się oddalił, prawdopodobnie po to, aby uniknąć dalszych kontaktów z lady Danbury lub jej laską.

— Nienawidzę Cressidy Twombley — mruknęła Penelopa.

Hrabina omal nie udławiła się śmiechem.

— I ty twierdzisz, że nie umiesz mówić, co myślisz. Nie trzymaj mnie w niepewności. Za co jej tak nienawidzisz?

Penelopa wzruszyła ramionami.

— Zawsze zachowywała się wobec mnie dość nieuprzejmie.

Lady Danbury skinęła głową.

— Każdy gbur ma swoją ulubioną ofiarę.

— Teraz nie jest aż tak źle — odrzekła Penelopa. — Ale przedtem, kiedy wciąż jeszcze była Cressidą Cowper… nigdy jakoś nie mogła powstrzymać się przed poznęcaniem się nade mną. A ludzie… no cóż… — Pokręciła głową. — Nieważne.

— Nie, proszę — nalegała hrabina. — Mów.

Penelopa westchnęła.

— Właściwie nic takiego. Zauważyłam po prostu, że ludzie rzadko rzucają się sobie na pomoc. Cressida była popularna… przynajmniej w pewnych kręgach… i inne dziewczęta w naszym wieku raczej się jej bały. Nikt nie miał odwagi się jej sprzeciwić. No, prawie nikt.

Te słowa przyciągnęły uwagę lady Danbury. Uśmiechnęła się.

— Kto był twoim obrońcą, Penelopo?

— Obrońcami — sprostowała. — Bridgertonowie zawsze przychodzili mi z odsieczą. Pewnego razu Anthony zaatakował ją wprost i zaprosił mnie na kolację, a… — aż podniosła głos na samo wspomnienie tego wydarzenia — nie powinien był tego robić. To była oficjalna kolacja, a on miał towarzyszyć jakiejś markizie. — Westchnęła, rozczulając się na samo wspomnienie. — To było urocze.

— Anthony Bridgerton to dobry człowiek.

Penelopa skinęła głową.

— Jego żona powiedziała mi, że właśnie wtedy się w nim zakochała. Kiedy ujrzała go w roli bohatera.

Lady Danbury uśmiechnęła się.

— A czy młodszy Bridgerton kiedykolwiek rzucił ci się na ratunek?

— Mówi pani o Colinie? — Penelopa nawet nie czekała na potwierdzenie i dodała szybko: — Oczywiście, choć nigdy nie tak dramatycznie. Muszę jednak wyznać, że o ile ta pomoc ze strony Bridgertonów jest bardzo sympatyczna, to…

— To co? — zapytała starsza dama.

Penelopa westchnęła znowu. Wieczór westchnień.

— Chciałabym po prostu, żeby nie musieli mnie tak często bronić. Można by pomyśleć, że powinnam sama umieć się obronić. A przynajmniej zachowywać się tak, żeby nie sądzili, że jest mi to potrzebne.

Lady Danbury poklepała ją po dłoni.

— Myślę, że jest o wiele lepiej, aniżeli sądzisz. A co do Cressidy Twombley… — Twarz hrabiny skrzywiła się z niesmakiem. — No cóż, ma za swoje, jeśli chcesz znać moje zdanie. Choć z drugiej strony — dodała ostrzej — ludzie nie pytają mnie o zdanie tak często, jak powinni.

Penelopa nie mogła powstrzymać cichego prychnięcia.

— Patrz, jak wylądowała — kontynuowała lady Danbury. — Owdowiała i nawet nie ma fortuny na pociechę. Wyszła za tę starą pijawkę Horacego Twombleya i okazało się, że to on wszystkich nabrał, udając, że jest bogaty. Teraz zostały jej tylko ślady dawnej urody.

— Jest całkiem pociągająca — przyznała Penelopa uczciwie.

— Hm, jeśli ktoś lubi tandetne kobiety. — Lady Danbury zmrużyła oczy. — W tej kobiecie jest coś bardzo ostentacyjnego.

Penelopa spojrzała w kierunku podwyższenia, gdzie stała Cressida, z zadziwiającym spokojem oczekując, aż obecni w sali goście się uciszą.

— Ciekawe, co ona ma do powiedzenia?

— Nic, co mogłoby mnie zainteresować — odparła lady Danbury. — Albo… Och — urwała, a jej usta wygięły się w przedziwnym grymasie, ni to uśmiechu, ni to złości.

— Co się dzieje? — zapytała Penelopa. Wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć w tym samym kierunku, ale jakiś potężnej budowy dżentelmen zasłaniał jej pole widzenia.

— Twój pan Bridgerton się zbliża — poinformowała hrabina, a uśmiech na jej twarzy wyparł grymas. — Wygląda na bardzo zdecydowanego.

Penelopa natychmiast się obejrzała.

— Na Boga, dziewczyno, nie patrz tam! — Starsza dama dźgnęła ją łokciem w ramię. — Będzie wiedział, że jesteś zainteresowana.

— Chyba musiałby być ślepy, żeby to przeoczyć — mruknęła Penelopa.

I oto już stał przed nią, piękny jak młody bóg, który raczył zaszczycić ziemię swą obecnością.

— Lady Danbury — rzekł, składając płynny i pełen wdzięku pokłon. — Panno Featherington.

— Panie Bridgerton — odparła lady Danbury. — Jak miło pana widzieć.

Colin spojrzał na Penelopę.

— Panie Bridgerton — wymamrotała, nie wiedząc, co powiedzieć. Co się mówi mężczyźnie, z którym się niedawno całowało? Nie miała żadnego doświadczenia w tej materii.

Nie wspominając już o dodatkowych komplikacjach związanych z jego nagłym i burzliwym wyjściem.

— Miałem nadzieję… — zaczął Colin, ale nagle urwał i zmarszczył brwi, podnosząc wzrok na podwyższenie. — Na co oni wszyscy patrzą?

— Cressida Twombley ma coś do powiedzenia — poinformowała go lady Danbury.

Twarz Colina przybrała wyraz lekkiej irytacji.

— Nie sądzę, aby miała do powiedzenia cokolwiek, co mogłoby mnie zainteresować — odparł.

Penelopa zachichotała. Cressida Twombley była uważana za królową salonów, przynajmniej tak długo, jak długo pozostawała młoda i niezamężna, lecz Bridgertonowie nigdy jej nie lubili i to jakoś sprawiało Penelopie przyjemność.

Rozległ się dźwięk trąbki i w sali zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli na hrabiego Macclesfield, który stał na podeście obok Cressidy, mocno skrępowany uwagą, którą na sobie skupiał.

Penelopa uśmiechnęła się. Opowiadano jej, że hrabia był kiedyś okropnym łobuzem, obecnie przypominał raczej uczonego, bardzo oddanego swojej rodzinie. Wciąż był dość przystojny, aby uchodzić za łobuza. Prawie tak przystojny jak Colin.

Ale tylko prawie. Penelopa wiedziała, że jest stronnicza, trudno byłoby jednak wyobrazić sobie istotę równie pociągającą jak Colin, kiedy się uśmiechał.

— Dobry wieczór — rzekł głośno hrabia.

— Dobry wieczór, przyjacielu! — odpowiedział mu pijacki głos z głębi

sali.

Hrabia uśmiechnął się pobłażliwie i skinął głową.

— Mój… eee… szacowny gość — wskazał na Cressidę — chciałby coś ogłosić. Jeśli zatem zechcielibyście skierować swoją uwagę na stojącą obok mnie damę… Proszę państwa, oto lady Twombley.

Po sali przemknęła fala ściszonych szeptów. Cressida wystąpiła naprzód i królewskim skinieniem głowy pozdrowiła tłum. Odczekała, aż w sali zapadnie całkowita cisza i rzekła:

— Panie i panowie, dziękuję za poświęcenie mi paru chwil waszej cennej uwagi.

— Szybciej z tym! — krzyknął ktoś, prawdopodobnie ta sama osoba, która wcześniej pozdrowiła hrabiego.

Cressida zignorowała gbura.

— Doszłam do wniosku, że nie mogę już dłużej trwać w kłamstwie, które rządziło moim życiem przez ostatnie jedenaście lat.

Sala balowa rozbrzmiała gwarem zniżonych głosów. Wszyscy wiedzieli, co miała zamiar powiedzieć, ale nikt nie mógł uwierzyć, że to prawda.

— Dlatego też — ciągnęła Cressida, podnosząc głos — postanowiłam ujawnić moją tajemnicę. Panie i panowie, to ja jestem lady Whistledown.

11

Colin nie mógł sobie przypomnieć, kiedy wchodził do sali balowej z taką tremą.

Ostatnich kilka dni nie należało do najlepszych. Był w kiepskim humorze, a sprawę pogarszała jeszcze jego sława wesołego kompana, przez co każdy uważał za stosowne skomentować jego podły nastrój.

Nie ma nic gorszego nad zły humor niż nieustanne pytania: „Czemu masz taki zły humor?”.

Rodzina przestała pytać, gdy warknął — warknął! — na Hiacyntę, kiedy ta poprosiła go, żeby w przyszłym tygodniu towarzyszył jej w teatrze.

Colin nawet nie wiedział, że umie warczeć.

Będzie musiał przeprosić Hiacyntę, co oznaczało ciężką przeprawę, ponieważ siostra niełatwo przyjmowała przeprosiny — a przynajmniej nie od innych Bridgertonów.

Ale Hiacynta była najmniejszym z jego problemów. Colin aż stęknął. Siostra nie była jedyną, której należały się przeprosiny.

Dlatego właśnie w tej chwili, w progu sali balowej Macclesfieldów jego serce biło nerwowym i nieprawdopodobnie szybkim rytmem. Penelopa będzie tutaj. Wiedział to na pewno, ponieważ zawsze bywała na wielkich balach, nawet jeśli wyłącznie w roli przyzwoitki siostry.

W tym podenerwowaniu było coś upokarzającego. Penelopa… to była Penelopa. Wydawało się, że jest zawsze na swoim miejscu, pod ścianą sali, grzecznie uśmiechnięta. W pewien sposób przywykł do niej. Niektóre rzeczy nie ulegają zmianie, Penelopa była jedną z nich.

Ale ona się zmieniła.

Colin nie był pewien, co się właściwie stało, ani tego, czy zauważył to ktoś inny, lecz Penelopa Featherington nie była już tą samą kobietą, którą znał.

A może to on się zmienił?

W tym momencie poczuł się jeszcze gorzej, jeśli bowiem w istocie tak było, oznaczało to, że Penelopa była interesująca, śliczna i godna pocałunków od wielu lat, tylko on był zbyt niedojrzały, żeby to zauważyć.

Nie, lepiej jednak uznać, że to panna Featherington się zmieniła. Colin nigdy nie przepadał za obwinianiem się. W każdym razie musiał przeprosić, i to szybko. Musiał przeprosić za ten pocałunek, ponieważ ona była damą, a on (przez większość czasu przynajmniej) dżentelmenem. I musiał przeprosić za swoje późniejsze zachowanie kompletnego idioty, ponieważ właśnie tak należało postąpić.

Bóg jeden wie, co teraz sobie myślała Penelopa… Nietrudno było ją odnaleźć, skoro już wszedł do sali. Nie szukał jej pośród tańczących par (trochę go to rozgniewało — dlaczego właściwie mężczyźni nie prosili jej do tańca?), lecz skupił uwagę na ścianach i oczywiście znalazł ją. Siedziała na długiej ławce obok… o Boże!… obok lady Danbury.

No cóż, nie pozostało mu nic innego, jak tylko podejść. Penelopa i ta stara plotkara tak się ściskały za rączki, że nie mógł się spodziewać rychłego zniknięcia tej ostatniej.

Kiedy dotarł do obu pań, spojrzał najpierw na hrabinę i skłonił się elegancko.

— Lady Danbury — rzekł, po czym przeniósł wzrok na Penelopę. — Panno Featherington.

— Panie Bridgerton — odezwała się lady Danbury dziwnie łagodnym głosem. — Jak miło pana widzieć.

Skinął głową, po czym spojrzał na Penelopę, zastanawiając się, o czym

myśli i czy będzie mógł zobaczyć jej oczy.

Cokolwiek jednak myślała — czy czuła — skrywało się to pod silnym zdenerwowaniem. A może jedynym uczuciem, jakiego doznawała, był właśnie niepokój. Nie mógł jej właściwie winić. Wypadł z jej salonu bez słowa wyjaśnienia… musiała czuć się zmieszana. A z doświadczenia wiedział, że zmieszanie nieuchronnie budziło obawę.

— Panie Bridgerton — wymamrotała wreszcie, zachowując przesadną niemal uprzejmość.

Odchrząknął. Jak ją wyrwać ze szponów lady Danbury? Nie zmusi się do przeprosin w obecności wścibskiej starej hrabiny.

— Miałem nadzieję… — zaczął, zamierzając powiedzieć, że miał nadzieję na kilka chwil rozmowy na osobności. Lady Danbury oczywiście będzie straszliwie ciekawa, ale nie było innego sposobu. Zresztą nic jej nie będzie, jeśli choć raz nie dowie się, co się święci.

Zaledwie jednak zdołał otworzyć usta, aby sformułować swą prośbę, stwierdził, że w sali balowej Macclesfieldów dzieje się coś dziwnego. Goście szeptali i wskazywali palcami w kierunku małego podwyższenia, gdzie siedzieli muzycy.

Poza tym ani Penelopa, ani lady Danbury nie zwracały na niego najmniejszej uwagi.

— Na co wszyscy patrzą? — zapytał.

Lady Danbury nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem, gdy odpowiedziała:

— Cressida Twombley ma coś do powiedzenia.

Nigdy nie lubił Cressidy. Była złośliwa i przykra, kiedy jeszcze nazywała się Cowper, a stała się jeszcze bardziej złośliwa i przykra, gdy przybrała nazwisko Twombley. Była jednak piękna i inteligentna na swoisty, okrutny sposób, dlatego też w dalszym ciągu uważana była za królową salonów.

— Nie sądzę, aby miała do powiedzenia cokolwiek, co mogłoby mnie

zainteresować — mruknął.

Zauważył, że Penelopa stłumiła śmiech, i spojrzał na nią z miną „Mam cię!” Tym razem jednak „Mam cię” znaczyło również „I całkiem się z tobą zgadzam”.

— Dobry wieczór — rozległ się donośny głos hrabiego Macclesfield.

— Dobry wieczór, przyjacielu! — odpowiedział mu jakiś pijany głupek.

Bridgerton obejrzał się, żeby sprawdzić kto to, ale tłum był zbyt gęsty.

Hrabia mówił coś jeszcze, potem odezwała się Cressida, ale Colin przestał na nią zwracać uwagę. Cokolwiek miała do powiedzenia, nie pomoże mu to rozwiązać głównego problemu: jak właściwie powinien przeprosić Penelopę. Próbował w myśli dobrać właściwe słowa, ale jakoś nie znajdował tych odpowiednich. Mógł mieć tylko nadzieję, że jego słynny giętki język poprowadzi go we właściwym kierunku, kiedy już nadejdzie czas. Na pewno zrozumie…

— …Whistledown!

Colin usłyszał tylko ostatnie słowo monologu Cressidy, ale nie mógł przeoczyć potężnego westchnienia zdumienia, jakie wydarło się z tłumu.

Zaraz potem rozległ się głośny szmer pospiesznych szeptów, takich, jakie słyszy się najczęściej wówczas, kiedy ktoś zostanie przyłapany w niezwykle kompromitującej sytuacji.

— Co? — wykrzyknął, zwracając się do Penelopy, która pobladła jak płótno. — Co ona powiedziała?

Penelopie jednak odebrało mowę.

Spojrzał na lady Danbury, lecz i starsza pani nakryła dłonią usta i wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć.

Było to nieco przerażające. Założyłby się bowiem o największą sumę, że w całym swoim ponadsiedemdziesięcioletnim życiu hrabina nie zemdlała ani razu.

— Co? — zapytał znowu, w nadziei, że wyrwie którąś z nich z odrętwienia.

— To nie może być prawda — wyszeptała wreszcie lady Danbury pobladłymi ustami. — Ja w to nie wierzę.

— W co?

Drżącym w świetle świec palcem wskazała na Cressidę.

— Ta kobieta nie jest lady Whistledown.

Colin kręcił głową, patrząc to w tę, to w drugą stronę.

Na Cressidę. Na lady Danbury. Na Penelopę.

— Ona jest lady Whistledown? — wypalił wreszcie.

— Tak twierdzi — odparła hrabina z wyraźnym powątpiewaniem na twarzy.

Colin zgodził się z nią. Cressida Twombley była ostatnią osobą, którą podejrzewałby o bycie lady Whistledown. Była inteligentna i co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Ale nie była sprytna ani szczególnie dowcipna, jeśli nie wydrwiwała innych. Lady Whistledown miała specyficzne poczucie humoru, lecz z wyjątkiem słynnych komentarzy na temat strojów raczej nie dokuczała mniej popularnym członkom towarzystwa.

Musiał przyznać, że lady Whistledown miała dość dobry gust, jeśli chodziło o ludzi.

— Nie mogę uwierzyć — powiedziała lady Danbury z głośnym, pełnym urazy siąknięciem. — Gdybym przypuszczała, że stanie się coś takiego, nigdy w życiu nie rzuciłabym tego idiotycznego wyzwania.

— To potworne — jęknęła Penelopa.

Głos drżał jej lekko, a to zwiększało jeszcze skrępowanie Colina.

— Nic ci nie jest? — zapytał.

Potrząsnęła głową.

— Nie, chyba nic. Choć muszę przyznać, że czuję się dość rozbita.

— Chcesz wyjść?

Pokręciła głową.

— Wolę tu pozostać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Oczywiście — rzekł, obserwując ją zatroskanym wzrokiem. Wciąż była bardzo blada.

— Och, na litość… — mruknęła lady Danbury, by po chwili rzucić głośne przekleństwo. Równie dobrze mogła wstrząsnąć posadami ziemi.

— Lady Danbury?! — jęknął Bridgerton, wytrzeszczając oczy.

— Idzie tutaj — wymamrotała, wskazując głową na prawo. — Powinnam była wiedzieć, że nie zdołam uciec.

Colin spojrzał w ślad za jej wzrokiem. Cressida próbowała przecisnąć się przez tłum, prawdopodobnie po to, aby stanąć przed lady Danbury i odebrać nagrodę. Na każdym kroku zatrzymywali ją zaciekawieni goście, a ona zdawała się zachwycona tymi dowodami uwagi. Nic w tym dziwnego. Cressida zawsze lubiła skupiać na sobie uwagę… lecz równie mocno pragnęła teraz dotrzeć do hrabiny.

— Obawiam się, że nie ma przed nią ucieczki — zauważył Colin.

— Wiem — burknęła lady Danbury. — Próbowałam unikać jej przez wiele lat, nigdy mi się to nie udało. Myślałam, że jestem taka sprytna. — Spojrzała na Bridgertona, kręcąc głową z obrzydzeniem. — Myślałam, że wyśledzenie lady Whistledown będzie wspaniałą zabawą.

— Eee… no cóż, było zabawne — mruknął Colin, ale bez przekonania.

Starsza dama dźgnęła go w nogę laską.

— To wcale nie jest śmieszne, głupi chłopcze! Patrz, co zaraz będę musiała zrobić. — Zamachała laską w kierunku Cressidy, która zbliżała się z każdą chwilą. — Nigdy nie przypuszczałam, że będę miała do czynienia z kimś takim.

— Lady Danbury — zawołała Cressida, wyhamowując przed nią z szelestem sukien. — Jak miło panią widzieć.

Lady Danbury nigdy nie była znana ze swej uprzejmości, ale tym razem przeszła samą siebie, omijając wszelkie powitalne formułki.

— Zdaje się, że przyszłaś tu po pieniądze.

Cressida wdzięcznie przechyliła głowę w wypraktykowany sposób.

— Powiedziała pani, że wypłaci tysiąc funtów każdemu, kto zdemaskuje lady Whistledown. — Wzruszyła ramionami, unosząc w górę dłonie i obracając nimi w geście fałszywej pokory. — Nigdy pani nie twierdziła, że nie mogę zdemaskować się sama.

Starsza dama wstała, zmrużyła oczy i z mocą oświadczyła:

— Nie wierzę, że to ty.

Colin uważał się za spokojnego i niewzruszonego, jednak nawet on westchnął ze zgrozą.

Niebieskie oczy Cressidy zalśniły furią, ale szybko odzyskała panowanie nad sobą.

— Byłabym zaskoczona, gdyby nie odniosła się pani z pewną dozą sceptycyzmu. W końcu nie jest pani znana z ufności i łagodności.

Lady Danbury uśmiechnęła się. A przynajmniej jej usta drgnęły lekko.

— Uznaję to za komplement — rzekła — i pozwalam ci powiedzieć, że rzeczywiście komplement miałaś na myśli.

Bridgerton obserwował starcie z rosnącym zainteresowaniem, dopóki hrabina nie zwróciła się nagle z zapytaniem do Penelopy.

— Co o tym sądzisz, panno Featherington?

Penelopa zerwała się na nogi i wyjąkała:

— Co…? Słucham?

— Co ty o tym myślisz? — powtórzyła lady Danbury. — Czy lady Twombley jest lady Whistledown?

— Jestem… jestem pewna, że nie wiem.

— Daj spokój, droga panno Featherington. — Starsza dama wsparła dłonie na biodrach i spojrzała na Penelopę z wyrazem twarzy bliskim rozpaczy. — Z pewnością masz jakieś zdanie na ten temat.

Colin odruchowo wystąpił naprzód. Hrabina nie miała prawa mówić w ten sposób. I nie podobał mu się wyraz twarzy Penelopy. Wyglądała jak zwierzę w pułapce, patrzyła błędnym wzrokiem z takim wyrazem paniki na twarzy, że sam się przeraził.

Widywał już Penelopę zmieszaną, cierpiącą, ale nigdy w takim stanie. I nagle przyszło mu do głowy, że ona nie chce być w centrum uwagi. Może i śmiała się ze swojego statusu pnącej rośliny i starej panny, pewnie chciała, aby ludzie częściej ją dostrzegali, ale nie tak… że wszyscy się na nią gapią i czekają na każde słowo, jakie padnie z jej ust.

Była śmiertelnie przerażona.

— Panno Featherington — odezwał się łagodnie — wygląda pani na znużoną. Czy chciałaby pani wyjść?

— Tak — odparła i wtedy stało się coś bardzo dziwnego. Zmieniła się. Nie wiedział, jak to nazwać. Po prostu się zmieniła. W tej właśnie chwili, w sali balowej Macclesfieldów, u jego boku, Penelopa Featherington stała się całkiem inną osobą.

Wyprostowała się, Colin przysiągłby, że ciepło emanujące z jej ciała przybrało na sile.

— Nie — powiedziała. — Nie. Mam coś do powiedzenia.

Lady Danbury uśmiechnęła się.

Penelopa spojrzała wprost na nią i rzekła:

— Nie sądzę, aby ona była lady Whistledown. Myślę, że ona kłamie.

Colin instynktownie przyciągnął Penelopę bliżej siebie. Cressida wyglądała tak, jakby chciała rzucić się jej do gardła.

— Zawsze lubiłam lady Whistledown — oznajmiła Penelopa, unosząc podbródek w niemal królewskim geście. Spojrzała Cressidzie prosto w oczy i dodała: — Serce by mi pękło, gdyby okazała się kimś takim, jak lady Twombley.

Colin chwycił ją za rękę i uścisnął. Nie mógł się powstrzymać.

— Dobrze powiedziane, panno Featherington! — zawołała hrabina, z zachwytem klaszcząc w dłonie. — Właśnie tak sobie myślałam, tylko nie umiałam tego wyrazić. — Spojrzała z uśmiechem na Bridgertona. — Wiesz, synku, ona jest bardzo mądra.

— Wiem — odparł z dziwną dumą, która w nim nagle wezbrała.

— Wielu ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy — ciągnęła lady Danbury, obracając się tak, aby jej słowa dotarły wyłącznie do niego.

— Wiem — szepnął. — Ja o tym wiem.

Uśmiechnął się na widok zachowania hrabiny, które z pewnością miało zirytować Cressidę. Lady Twombley nie lubiła być ignorowana.

— Nie pozwolę się obrażać przez takie… takie nic! — wykrzyknęła. Miażdżącym wzrokiem spojrzała na pannę Featherington i syknęła: — Żądam przeprosin!

Penelopa powoli skinęła głową i odparła:

— Ma pani prawo. — I zamilkła.

Colin musiał użyć całej siły woli, aby powstrzymać uśmiech.

Lady Twombley wyraźnie chciała powiedzieć coś więcej (a może przy okazji dokonać aktu przemocy), ale powstrzymała się, prawdopodobnie dlatego, że Penelopa znajdowała się wśród przyjaciół. Zawsze znana była ze swego opanowania, toteż Colin nie zdziwił się, kiedy stłumiła złość, odwróciła się do lady Danbury i spytała:

— Co pani zamierza zrobić z tym tysiącem funtów?

Hrabina przyglądała się jej przez najdłuższą sekundę w życiu Colina, po

czym zwróciła się ku niemu — Boże, za żadne skarby nie chciał znaleźć się w oku tego cyklonu — i zapytała:

— A pan co o tym sądzi, panie Bridgerton? Czy nasza lady Twombley mówi prawdę?

Colin obdarzył ją sztucznym uśmiechem.

— Chyba pani oszalała, jeśli pani sądzi, że wyrażę swoją opinię.

— Jest pan zaskakująco mądrym człowiekiem, panie Bridgerton — odparła z aprobatą.

Skromnie skinął głową, ale zrujnował cały efekt, mówiąc:

— Szczycę się tym. — Ale, do diabła… nie co dzień lady Danbury nazywa kogoś mądrym.

Większość używanych przez nią przymiotników miała zdecydowanie negatywny wydźwięk.

Cressida nawet nie mrugnęła; jak Colin już wcześniej zauważył, nie była głupia, tylko podła, a po dwunastu latach spędzonych na salonach doskonale się orientowała, że on jej nie lubi i z pewnością nie padnie ofiarą jej uroku. Spojrzała wprost w oczy lady Danbury.

— I co teraz zrobimy, droga pani? — zapytała spokojnym, łagodnie modulowanym tonem.

Starsza dama zacisnęła usta tak mocno, że przez chwilę wyglądała, jakby ich w ogóle nie miała, po czym wycedziła:

— Potrzebuję dowodu.

Cressida zamrugała.

— Słucham?

— Dowodu! — Laska hrabiny uderzyła w podłogę ze zdumiewającą siłą. — Której litery nie zrozumiałaś? Nie oddam królewskiej nagrody bez dowodu!

— Tysiąc funtów to nie całkiem królewska nagroda — skrzywiła się

Cressida.

Lady Danbury zmrużyła oczy.

— Więc dlaczego robisz wszystko, żeby ją zdobyć? — Lady Twombley przez chwilę milczała, ale z całej jej postaci emanowało napięcie. Wszyscy wiedzieli, że mąż pozostawił ją w trudnej sytuacji finansowej, lecz po raz pierwszy ktoś wytknął jej to prosto w twarz. — Daj mi dowód — rzekła hrabina — a dostaniesz pieniądze.

— Czy pani twierdzi — spytała Cressida (a Colin, choć nią gardził, musiał schylić czoło przed jej doskonałym opanowaniem) — że moje słowo nie wystarczy?

— Właśnie tak twierdzę — warknęła lady Danbury. — Dobry Boże, dziewczyno, jak dożyjesz mojego wieku, też będziesz mogła obrażać, kogo zechcesz.

Colinowi zdawało się, że Penelopa się zakrztusiła, ale kiedy spojrzał na nią ukradkiem, w skupieniu obserwowała wymianę zdań. Jej brązowe oczy były wielkie i świetliste, odzyskała też częściowo rumieńce, które straciła, kiedy lady Twombley ogłosiła swoją nowinę. W tej chwili wydawała się jedynie zaintrygowana rozwojem wydarzeń.

— Doskonale — odparła Cressida cichym i zabójczym głosem. — Przyniosę pani dowód za dwa tygodnie.

— Jaki dowód? — zapytał Bridgerton i poniewczasie ugryzł się w język. Naprawdę nie miał zamiaru unurzać się w tym bagnie, ale ciekawość zwyciężyła.

Cressida spojrzała na niego z kamienną twarzą pomimo obrazy, jakiej doznała w obecności dziesiątków świadków.

— Dowie się pan, kiedy go dostarczę — odrzekła wyniośle i wyciągnęła ramię, czekając, aż jeden z jej poddanych wyprowadzi ją z sali.

Najdziwniejsze było jednak to, że prawie w tej samej chwili u jej boku,

jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zmaterializował się młody człowiek (prawdopodobnie jakiś zadurzony głupek) i w chwilę później już ich nie było.

— Doskonale — odezwała się lady Danbury po prawie minucie zadumy, a może zdumionego milczenia. — To nie było miłe.

— Nigdy jej nie lubiłem — wyznał Bridgerton, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Wokół nich zebrał się niewielki tłumek, więc jego słowa słyszane były nie tylko przez Penelopę i lady Danbury, lecz nie bardzo go to obeszło.

— Colinie!

Obejrzał się. Hiacynta przeciskała się przez tłum w jego kierunku, ciągnąc za sobą Felicytę Featherington.

— Co ona mówiła? — zapytała bez tchu. — Próbowałyśmy się dostać tu wcześniej, ale był straszny tłok.

— Powiedziała dokładnie to, czego należało się po niej spodziewać — odparł.

Hiacynta skrzywiła się.

— Mężczyźni nie umieją plotkować. Chcę wiedzieć, co dokładnie powiedziała.

— To bardzo interesujące — wtrąciła Penelopa.

Coś w tonie jej głosu sprawiło, że otaczający ich tłum ucichł nagle.

— Mów — rozkazała lady Danbury. — Wszyscy słuchamy.

Colin sądził, że to żądanie wprawi Penelopę w zakłopotanie, ale przypływ pewności siebie najwyraźniej jeszcze nie minął, ponieważ podniosła dumnie głowę i spytała:

— Dlaczego ktoś chciałby ujawnić się jako lady Whistledown?

— Oczywiście dla pieniędzy — odparła Hiacynta.

Penelopa pokręciła głową.

— Tak, ale można by sądzić, że do tej pory lady Whistledown zdążyła się już wzbogacić. Przecież wszyscy przez całe lata płaciliśmy za jej gazetkę.

— Na Boga, ona ma rację! — wykrzyknęła lady Danbury.

— Może Cressida chciała po prostu zwrócić na siebie uwagę — podsunął Colin. Nie była to bardzo niewiarygodna hipoteza; Cressida większość swojego życia spędziła na wysiłkach, aby pozostać w centrum uwagi.

— Myślałam o tym — przyznała Penelopa. — Ale czy ona naprawdę chciałaby takiego zainteresowania? W ciągu tych lat lady Whistledown obraziła bardzo wiele osób.

— Nikogo, kto dla mnie cokolwiek znaczy — zażartował Bridgerton, a kiedy dostrzegł, że jego towarzyszki oczekują dalszych wyjaśnień, dodał: — Czy nie zauważyłyście, że lady Whistledown obraża tylko tych ludzi, którzy na to zasługują?

Penelopa odchrząknęła dyskretnie.

— Mnie przyrównała do przejrzałego cytrusa.

Skwitował jej uwagę machnięciem ręki.

— Oczywiście, nie mówię tu o docinkach dotyczących strojów.

Penelopa uznała, że nie ma sensu drążyć tematu. Obdarzyła Colina przeciągłym, znaczącym spojrzeniem, po czym zwróciła się do lady Danbury:

— Lady Whistledown nie miała powodu, aby się ujawniać. Widocznie Cressida miała.

Hrabina rozpromieniła się, ale natychmiast skrzywiła się lekko.

— Chyba będę musiała dać jej te dwa tygodnie, aż znajdzie „dowód”. Fair play i te rzeczy.

— Jeśli o mnie chodzi, bardzo jestem ciekawa, co takiego wymyśli — wyznała Hiacynta. Spojrzała na Penelopę i dodała: — Jesteś bardzo mądra, wiesz?

Ta zarumieniła się skromnie i rzekła do siostry:

— Musimy jechać.

— Tak szybko? — zapytała Felicyta.

A Colin ku swemu przerażeniu stwierdził, że te same słowa wymknęły się również z jego ust.

— Mama życzyła sobie, abyśmy wróciły wcześniej do domu — odparła Penelopa.

Młodsza panna Featherington wydawała się bardzo zmartwiona.

— Naprawdę?

— Naprawdę — z naciskiem odparła jej siostra. — A poza tym źle się czuję.

Felicyta ponuro skinęła głową.

— Powiem lokajowi, aby przyprowadzono nasz powóz.

— Nie, zostań — powstrzymała ją Penelopa, kładąc jej dłoń na ramieniu. — Ja się tym zajmę.

— Nie, ja się tym zajmę — oznajmił Colin. Doprawdy, po co być dżentelmenem, kiedy damy chcą wszystko robić same? A potem, zanim się zorientował, co właściwie robi, ułatwił Penelopie szybki wyjazd. Panna Featherington opuściła bal, a on nawet jej nie przeprosił.

Uznał, że tylko z tego powodu powinien uważać wieczór za stracony, ale jakoś nie mógł się na to zdobyć.

W końcu przez prawie pięć minut trzymał ją za rękę.

12

Dopiero następnego ranka przypomniał sobie, że wciąż jeszcze nie przeprosił Penelopy. Właściwie chyba nie było to już potrzebne, bo choć na balu u Macclesfieldów zamienili jedynie parę słów, wydawało się, że zawarli milczący pakt. Colin jednak uznał, że nie poczuje się w pełni swobodnie, jeśli nie wypowie słowa „przepraszam”.

Tak właśnie powinien zrobić. W końcu jest dżentelmenem.

A poza tym miał ochotę zobaczyć ją dzisiaj.

Zaczął dzień pod Numerem Piątym od śniadania w rodzinnym gronie, po rozmowie z Penelopą planował z kolei udać się do siebie. Wskoczył zatem do powozu i polecił stangretowi jechać do domu Featheringtonów na Mount Street, choć odległość była tak niewielka, że poczuł się okropnym leniem.

Uśmiechnął się jednak z zadowoleniem i oparł o poduszki powozu, obserwując przesuwające się za oknem wiosenne widoki. Był to jeden z tych wspaniałych dni, kiedy wszystko wydawało się piękne. Słońce świeciło, zjadł doskonałe śniadanie…

Życie rzadko bywa tak zachwycające. A wkrótce zobaczy się z Penelopą.

Nie chciał się zastanawiać nad tym, dlaczego tak pragnął ją ujrzeć; nieżonaci mężczyźni w wieku trzydziestu trzech lat zwykle o tym nie myślą. Cieszył się wiosennym dniem — słońcem, powietrzem, nawet widokiem trzech kamienic na Mount Street, które musiał minąć, żeby dotrzeć do właściwych drzwi. Nie było w nich nic niezwykłego, ale w taki cudowny poranek wydawały się prześliczne, przytulone jedna do drugiej, wysokie i smukłe, dostojne w szacie z szarego kamienia portlandzkiego.

Cudowny dzień, słoneczny i cichy…

Zaledwie jednak Colin uniósł się z siedzenia, jego uwagę zwrócił jakiś ruch po drugiej stronie ulicy.

Penelopa.

Znajdowała się na rogu Mount i Penter Street — tym po drugiej stronie, niewidocznym z okien domu Featheringtonów. Wsiadała właśnie do wynajętego fiakra.

Interesujące.

Bridgerton zmarszczył brwi. To nie było interesujące. Co on, u diabła, sobie pomyślał? To wcale nie było interesujące. Byłoby, owszem, gdyby Penelopa na przykład była mężczyzną. Albo gdyby był to powóz należący do Featheringtonów, a nie brudna, wynajęta dorożka.

Ale nie, to była Penelopa, która z pewnością nie była mężczyzną. Wsiadała do powozu samotnie, prawdopodobnie zamierzając udać się w jakimś całkiem nieodpowiednim kierunku, gdyby bowiem było inaczej, jechałaby rodzinnym powozem. A może nawet zabrałaby jedną ze swoich sióstr. Albo pokojówkę. Ale sama? Nigdy.

To nie było interesujące, tylko głupie.

— Wariatka — mruknął i otworzył drzwiczki powozu, zamierzając dogonić fiakra i wyciągnąć z niego winowajczynię. Ale kiedy już wystawił prawą nogę na zewnątrz, ogarnęło go to samo szaleństwo, które zmuszało go do gnania po świecie.

Ciekawość.

Wymamrotał pod nosem kilka dobrze dobranych do sytuacji przekleństw, wszystkie skierowane przeciwko sobie. Nie mógł się opanować. Ta eskapada nie pasowała do Penelopy, musiał się dowiedzieć, dokąd ona się wybiera.

Zamiast zatem siłą przywołać ją do rozsądku, polecił śledzić fiakra.

Pojechali na północ, w kierunku ruchliwej Oxford Street, gdzie być może Penelopa zamierzała zrobić zakupy. Powody, dla których zrezygnowała z użycia powozu Featheringtonów, mogły być niezliczone. Może był uszkodzony, a może jeden z koni okulał albo Penelopa chciała kupić prezent i zamierzała utrzymać to w tajemnicy.

Nie, nieprawda. Penelopa nigdy nie wyjechałaby na zakupy sama. Wzięłaby przynajmniej pokojówkę albo jedną z sióstr, albo, do cholery, jedną z jego sióstr. Samotna wyprawa na Oxford Street to zaproszenie do plotek, po prostu gotowy temat do kolejnego wydania „Kroniki".

Mógłby być, poprawił się w myślach. Trudno było się przyzwyczaić do życia bez Whistledown. Nie miał pojęcia, jak bardzo przywykł do obecności gazetki na swym stole przy śniadaniu.

A jeśli chodzi o lady Whistledown, teraz bardziej niż kiedykolwiek był pewien, że był nią nie kto inny, lecz jego siostra Eloise. Wybrał się na śniadanie pod Numer Piąty tylko i wyłącznie po to, aby ją wypytać, ale został poinformowany, że panienka nadal źle się czuje i nie zejdzie do jadalni.

Nie umknęło jednak uwagi Colina, że taca, jaką posłano do pokoju Eloise, była dość ciężka. Cokolwiek zatem gnębiło jego siostrę, w najmniejszy sposób nie wpłynęło na jej apetyt.

Nie wspominał o swych podejrzeniach przy stole, bowiem nie chciał denerwować matki. Trudno jednak było uwierzyć, że Eloise — której upodobanie do dyskusji o skandalach ustępowało jedynie zamiłowaniu do ich wykrywania — przepuści okazję do oplotkowania wczorajszego występu Cressidy Twombley.

Chyba że to właśnie Eloise była lady Whistledown, w którym to przypadku siedziałaby teraz w swoim pokoju i planowała kolejny krok.

Wszystko pasowało. Colin mógłby się poczuć przygnębiony, gdyby nie

był tak zachwycony swoją przenikliwością. Po kilkuminutowej jeździe wysunął głowę na zewnątrz, aby sprawdzić, czy nie zgubił fiakra Penelopy. Był tuż przed nim. A przynajmniej miał nadzieję, że to ten sam. Większość fiakrów wyglądała podobnie. Musiał zatem zawierzyć, że wciąż podąża za właściwym. Przy okazji zorientował się również, że pojechali o wiele dalej w kierunku wschodnim, niż oczekiwał. Właśnie przejeżdżali przez Soho Street, a to znaczyło, że są niedaleko Tottenham Court Road, czyli… Bogowie, czy to znaczyło, że Penelopa wybiera się do niego? Bedford Square znajdował się praktycznie tuż za rogiem. Dreszcz przebiegł mu po plecach, ponieważ nie potrafił sobie wyobrazić, aby coś innego mogła robić w tej części miasta. Kogóż innego taka kobieta jak Penelopa mogłaby znać w Bloomsbury? Nie przypuszczał, aby matka pozwoliła jej spotykać się z ludźmi, którzy żyli z pracy własnych rąk, a sąsiedzi Colina, choć zapewne dobrze urodzeni, codziennie dreptali do pracy, leczyć lub sądzić, lub…

Zmarszczył brwi. Mocno. Właśnie minęli Tottenham Court Road. Co, u diabła, mogła robić tak daleko na wschodzie miasta? Podejrzewał, że może jej fiakier nie znał dobrze drogi i miał zamiar dojechać do Bedford Square Bloomsbury Street. Było to wprawdzie nieco z drogi, ale…

Colin usłyszał dziwny dźwięk i zdał sobie sprawę, że to jego własne zgrzytające zęby. Minęli Bloomsbury Street i obecnie zdążali w kierunku High Holborn.

Niech to diabli, byli już blisko City! Co, na litość boską, Penelopa zamierzała tam robić? To nie miejsce dla kobiety. Do diabła, on sam rzadko się tam zapuszczał. Świat towarzystwa znajdował się daleko na zachodzie, w szacownych budynkach St. James i Mayfair. Nie tu, w City, z jego wąskimi, krętymi, średniowiecznymi ulicami i dość niebezpiecznym sąsiedztwem czynszówek East End.

Szczęka Colina opadała stopniowo, w miarę jak posuwali się coraz

dalej… i dalej… i dalej… aż stwierdził, że kierują się w stronę Shoe Lane. Wysunął głowę przez okno. Był tu tylko raz w życiu, miał wtedy dziewięć lat. Nauczyciel zabrał jego i Benedicta na poglądową lekcję historii, chciał pokazać im, gdzie miał swój początek wielki pożar Londynu w 1666 roku. Colin pamiętał swe wielkie rozczarowanie, kiedy się dowiedział, że winny był zwykły piekarz, który niedokładnie zagasił żar w piecu. Taki pożar powinien być spowodowany działaniem podpalacza lub być wynikiem spisku.

Lecz nawet ten pożar był niczym w porównaniu z wulkanem uczuć gorejącym w jego piersi. Lepiej, aby Penelopa rzeczywiście miała cholernie dobry powód do takiej samotnej wycieczki. Nie powinna się wybierać nigdzie bez towarzystwa, a zwłaszcza do City.

Wreszcie, kiedy był już przekonany, że Penelopa wybiera się na wybrzeże Dover, oba powozy przecięły Fleet Street i zatrzymały się. Colin znieruchomiał, czekając, co zrobi Penelopa, choć marzył o tym, żeby wyskoczyć z powozu i zaczepić ją na chodniku.

Może to była intuicja, może szaleństwo, ale wiedział, że jeśli ją teraz zaczepi, nigdy się nie dowie, co naprawdę robiła na Fleet Street.

Odczekał, aż się oddali na bezpieczną odległość, i niepostrzeżenie wysunął się z powozu. Podążył za Penelopą na południe, w kierunku jakiegoś kościoła, podejrzanie przypominającego tort weselny.

— Na litość boską, Penelopo — jęknął pod nosem, kompletnie nieświadom bluźnierstwa — nie czas teraz zwracać się ku religii.

Weszła do kościoła. Colin pobiegł za nią, zwolnił dopiero przy wejściu. Nie chciał zaskoczyć jej zbyt wcześnie. Musiał najpierw odkryć, co ona tu robi. Pomimo wcześniejszych swych słów nie przypuszczał, aby pobożność Penelopy skłaniała ją do wizyty w kościele w środku tygodnia.

Po cichu wśliznął się do kościoła, stąpając najciszej, jak umiał. Penelopa

szła powoli środkową nawą, lewą ręką dotykając po kolei każdej stalli, jakby…

Liczyła?

Zmarszczył brwi, kiedy zatrzymała się przy jednej z nich i weszła do niej. Usiadła i przez chwilę pozostawała w całkowitym bezruchu, po czym sięgnęła do torebki i wyjęła kopertę. Poruszyła leciutko głową w prawo i lewo. Colin mógł sobie doskonale wyobrazić, że rozgląda się, czy nikt jej nie widzi. Nie mogła go dostrzec, gdyż był pogrążony w cieniu, niemal zlewał się ze ścianą. A ponieważ i ona nie chciała zachowywać się podejrzanie, nie oglądała się tak daleko.

W kieszonkach na oparciach stalli znajdowały się Biblie i modlitewniki. Colin obserwował, jak Penelopa dyskretnie wsuwa kopertę za jeden z nich. Uczyniwszy to, wstała i ponownie skierowała się do środkowej nawy.

Dopiero wtedy odważył się poruszyć. Wysunął się z mroku i podszedł do niej, z ponurą satysfakcją obserwując wyraz przerażenia na jej twarzy.

— Col… Col… — jęknęła.

— Może być Colin — rzekł przeciągle, chwytając ją za ramię nad łokciem. Trzymał ją lekko, ale na tyle pewnie, że nawet nie mogła marzyć o ucieczce.

Okazała się rozsądna, bo nawet nie próbowała. Usiłowała za to odgrywać niewiniątko.

— Colinie! — wykrztusiła wreszcie. — Co za… co za…

— Niespodzianka?

Przełknęła ślinę.

— Tak.

— Z całą pewnością.

Jej oczy uciekały to ku sklepieniu, to ku posadzce, wszędzie, byle tylko ominąć stalle, gdzie ukryła kopertę.

— Nigdy… nigdy cię tu nie widziałam.

— Bo tu nie bywam.

Jej usta poruszyły się kilkakrotnie, zanim wypowiedziała następne słowa.

— Właściwie powinieneś tu bywać, w sumie… ponieważ… właściwie… eeee… znasz historię St. Bride’s?

— Tu właśnie jesteśmy? — zapytał, unosząc brew.

Penelopa usiłowała się uśmiechnąć, ale rezultat — otwarte usta — bardziej przypominał zdumienie dziecka. W zwykłych warunkach pewnie by go to rozbawiło, ale wciąż jeszcze był na nią wściekły za samotną wyprawę, bez troski o własne bezpieczeństwo.

Przede wszystkim jednak był wściekły, że Penelopa ma swoją tajemnicę.

Nie chodziło mu o to, że jej dotrzymuje. Tajemnic należało dotrzymywać, nie mógł jej za to winić, lecz irracjonalnie nieznośna była sama myśl, że w ogóle je miała. Była Penelopą. Powinna stanowić otwartą księgę. Zawsze ją dobrze znał.

A teraz okazuje się, że wcale nie.

— Tak — odpowiedziała. — To jeden z kościołów Wrena, wiesz, z tych, które wybudował po wielkim pożarze. Jest ich pełno w City, lecz ten lubię najbardziej. Podoba mi się iglica. Nie sądzisz, że wygląda jak tort weselny?

Gadała od rzeczy. Kiedy ktoś tak paple, to z reguły nie jest dobry znak. Zazwyczaj jest to sygnał, że coś ukrywa. Widać było, że Penelopa usilnie stara się zalać go potokiem słów, co wskazywało, że jej tajemnica musi być naprawdę ważna.

Colin przyglądał jej się przez bardzo długą chwilę, milcząc kolejne sekundy tylko po to, aby ją torturować.

— Dlatego uważasz, że powinienem tu bywać? — Spojrzała zdumiona. — Chodzi o tort weselny — podpowiedział.

— Och! — pisnęła, zalewając się ciemnym rumieńcem. — Nie! Nie o to

chodziło! Tyle tylko… chciałam powiedzieć, że to kościół dla pisarzy. I wydawców… tak sądzę. To znaczy tak sądzę, że dla wydawców.

Miotała się i była tego doskonale świadoma. Widział to w jej oczach, w jej twarzy, w sposobie, w jaki wykręcała palce. Brnęła jednak dalej, próbowała stworzyć jakąś iluzję, niezrażona jego ironicznym spojrzeniem.

— Ale co do pisarzy jestem pewna — a potem z uśmiechem, który natychmiast zepsuła nerwowym przełknięciem śliny, dodała: — A ty jesteś pisarzem!

— Więc twierdzisz, że to mój kościół?

— Eee. — Uciekła wzrokiem w lewo. — Tak.

— Doskonale.

Kolejny raz przełknęła ślinę.

— Naprawdę?

— O tak — odrzekł spokojnie i niedbale, aby ją tym mocniej przerazić.

Znów zerknęła w lewo, ku stalli, gdzie zostawiła korespondencję. Do tej pory doskonale sobie radziła, omijając miejsce ukrycia pogrążającego ją dowodu. Colin był z niej prawie dumny.

— Mój kościół — powtórzył. — Co za urocza myśl.

Jej oczy zrobiły się nagle okrągłe z przerażenia.

— Chyba nie do końca wiem, o co ci chodzi.

Bridgerton postukał się palcem w podbródek, po czym uniósł dłoń w zadumie.

— Chyba zaczynam mieć ochotę na modlitwę.

— Na modlitwę? — powtórzyła jak echo. — Ty?

— O tak.

— Eee… no tak, ja…

— Słucham? — zapytał, czerpiąc z tej sytuacji niezdrową satysfakcję. Nigdy do tej pory nie był gniewnym, ponurym typem. Chyba nie wiedział,

co traci. Widok jej przerażonej twarzy sprawiał mu dziwną przyjemność. — Penelopo, czy masz mi coś do powiedzenia?

Z wysiłkiem przełknęła ślinę.

— Nie, nic.

— Dobrze — uśmiechnął się radośnie. — A zatem mogę poprosić o kilka chwil tylko dla siebie.

— Słucham?

Ruszył w prawo.

— Jestem w kościele. Chcę się pomodlić.

Zrobiła krok w tę samą stronę.

— Słucham?

Leciutko przechylił głowę.

— Powiedziałem, że chcę się pomodlić. To chyba nie jest zbyt trudne do zrozumienia.

Widział, jak Penelopa walczy ze sobą, żeby nie dać się złapać w sidła. Próbowała się uśmiechnąć, ale mięśnie policzków miała napięte, a zęby tak zaciśnięte, że omal ich nie pokruszyła.

— Nie sądziłam, że jesteś aż tak religijny — mruknęła.

— Nie jestem — odparł. A nie doczekawszy się jej reakcji, dodał: — Chcę się modlić za ciebie.

— Za mnie? — zapytała niepewnie.

— Dlatego że kiedy skończę — dłużej nie zdołał powstrzymać się przed podniesieniem głosu — tylko modlitwa może cię uratować! — Bez słowa wyminął ją i ruszył ku stalli, gdzie ukryła kopertę.

— Colinie! — krzyknęła, biegnąc za nim. — Nie!

Wyrwał kopertę zza modlitewnika, ale nie spojrzał na nią.

— Chcesz mi powiedzieć, co to jest? — zapytał. — Zanim sam zajrzę; czy chcesz mi powiedzieć?

— Nie — odparła załamującym się głosem.

Serce omal mu nie pękło na widok jej spojrzenia.

— Proszę — błagała go. — Proszę, oddaj mi ją.

A kiedy nie spełnił jej prośby, tylko nadal przeszywał ją twardym, gniewnym spojrzeniem, szepnęła:

— To moje… to moja tajemnica.

— Tajemnica warta twojego zdrowia? — zapytał, podnosząc głos. — Warta twojego życia?

— O czym ty mówisz?

— Zdajesz sobie w ogóle sprawę, na jakie niebezpieczeństwa narażona jest w City samotna kobieta? Gdziekolwiek zresztą?

— Colinie, proszę — szepnęła i sięgnęła po kopertę, która wciąż pozostawała poza jej zasięgiem.

Nagle stracił kontrolę nad sobą. Przecież to nie on. Ta szalona furia, ten gniew… nie mogą należeć do niego.

A jednak.

Najbardziej niepokojące było to… że Penelopa była temu winna. Cóż ona takiego zrobiła? Samotnie podróżowała po Londynie? Oczywiście, jej brak troski o własne bezpieczeństwo nieco go irytował, ale wszystko to bladło w porównaniu ze złością, jaką czuł do niej za posiadanie tajemnic.

Jego gniew był całkowicie bez przyczyny. Nie miał prawa oczekiwać, że Penelopa będzie dzieliła z nim swoje sekrety.

Nie mieli wobec siebie żadnych zobowiązań, nie łączyło ich nic poza sympatyczną przyjaźnią i pojedynczym, aczkolwiek niepokojąco poruszającym pocałunkiem. Z pewnością nie pokazałby jej swoich dzienników, gdyby sama ich nie odkryła.

— Colinie — szepnęła. — Proszę… nie.

Widziała jego tajne zapiski. Dlaczego on nie mógł zobaczyć jej tajemnic?

Czy miała kochanka? Czy te wszystkie bzdury, że nigdy nie była całowana, były w istocie właśnie tym — tylko bzdurami?

Dobry Boże, czy to uczucie trawiące jego wnętrzności to… zazdrość?

— Colinie — wyszeptała, dławiąc się szlochem. Położyła dłoń na jego ręce, usiłując nie dopuścić, aby otworzył kopertę. Nie siłą, gdyż nie mogłaby mu dorównać, lecz samym dotykiem. Ale nie było sposobu… nie było sposobu, aby zdołał się powstrzymać. Wolałby umrzeć, niż oddać tę kopertę przed otwarciem.

Rozerwał papier.

Penelopa wydała zdławiony okrzyk i wybiegła z kościoła. Colin przeczytał zawartość koperty.

I opadł na stalle, blady jak śmierć, bez tchu.

— O mój Boże! — wyszeptał. — Mój Boże!

Zanim Penelopa dotarła do zewnętrznych stopni kościoła St. Bride’s, była już bliska histerii. Tak bliska jak nigdy dotąd. Oddychała krótko, spazmatycznie, z oczu ciekły jej łzy, a serce…

Jej serce tłukło się tak, jakby chciało wyrwać się z piersi, o ile coś takiego w ogóle jest możliwe.

Jak on mógł to zrobić? Śledził ją. Śledził! Dlaczego miałby ją śledzić? Co mógł na tym zyskać? Dlaczego…

Rozejrzała się nagle.

— O cholera! — zaklęła, nie dbając o to, czy ktoś ją słyszy. Fiakier odjechał. Kazała woźnicy czekać, twierdziła, że to potrwa tylko kilka minut, ale i tak odjechał…

Jeszcze jedno, o co mogła obwiniać Colina. Gdyby nie zatrzymał jej w kościele, fiakier by nie odjechał, a ona nie utknęłaby teraz na stopniach St. Bride’s, pośrodku londyńskiego City, tak daleko od jej domu w Mayfair. Ludzie patrzyli na nią ciekawie i czuła, że za chwilę ktoś ją zaczepi, bo kto

widział damę z towarzystwa samą w City, a co dopiero taką, która była bliska ataku nerwowego?

Dlaczego, dlaczego była tak głupia? Czemu sądziła, że to doskonały człowiek? Pół życia spędziła na marzeniach o kimś, kto nie istniał. Colin, jakiego znała… nie, jakiego sądziła, że zna, nie istniał. A ten mężczyzna, kimkolwiek był… nie była nawet pewna, czy go lubi. Człowiek, którego kochała tak wiernie przez te wszystkie lata, nigdy by się tak nie zachował. Nie śledziłby jej… no dobrze, może by i śledził, ale tylko po to, żeby upewnić się, że jest bezpieczna. Nigdy nie byłby tak okrutny, nie odważyłby się otworzyć jej prywatnej korespondencji.

Fakt, przeczytała dwie strony jego dziennika, ale czy one były w zapieczętowanej kopercie?

Opadła na stopnie, przez suknię czując chłód kamienia. Teraz mogła jedynie siedzieć i czekać na Bridgertona. Byłaby głupia, gdyby próbowała pieszo dostać się do domu. Podejrzewała, że zdołałaby zatrzymać jakiegoś fiakra na Fleet Street, ale wszystkie mogą być zajęte, a poza tym, jaki teraz był sens uciekać przed Colinem? Wiedział przecież, gdzie mieszka, zatem jeśli nie ucieknie na Orkady, nie zdoła uniknąć konfrontacji.

Westchnęła. Colin był tak wytrawnym podróżnikiem, że odnalazłby ją nawet na Orkadach. A ona wcale nie chciała się tam wybierać.

Przełknęła łzy. Teraz nawet myślała bez sensu. Czemu się tak przyczepiła do tych Orkadów?

Nagle usłyszała za sobą zimny, wręcz ścinający krew w żyłach głos Bridgertona:

— Wstań.

Posłuchała, nie dlatego, że jej rozkazał (a przynajmniej tak sobie powtarzała), i nie dlatego, że się go bała, lecz dlatego, że nie mogła przecież siedzieć na stopniach St. Bride’s w nieskończoność. Nawet jeśli

chciała ukryć się przed oczami Colina na następne pół roku, w tej chwili był on jej jedyną szansą na bezpieczne dotarcie do domu. Ruchem głowy wskazał jej ulicę.

— Do powozu.

Posłusznie wsiadła, słysząc jeszcze tylko, jak Colin podaje stangretowi jej adres i nakazuje „jedź dłuższą drogą”.

O Boże!

Jechali już dobre pół minuty, gdy Colin podał jej pojedynczą kartkę papieru, która pochodziła z koperty pozostawionej w kościele.

— To chyba twoje — rzekł.

Przełknęła ślinę i spojrzała, choć nie musiała. Znała te słowa na pamięć. Pisała je zeszłej nocy tyle razy, że nie przypuszczała, aby kiedykolwiek opuściły jej pamięć.

> *Najbardziej gardzę mężczyznami, którzy uważają za zabawne pobłażliwe poklepanie damy po dłoni ze słowami:*
>
> *„Kobieta ma prawo zmienić zdanie”. Ponieważ uważam, że słowa zawsze należy popierać czynami, postaram się, aby moje opinie były szczere, a decyzje trwałe.*
>
> *Kiedy 19 kwietnia napisałam mój artykuł, byłam szczerze przekonana, Miły Czytelniku, że jest on ostatni. Jednakże pozostające poza moją kontrolą (a mówiąc szczerze i bez mojej zgody) wydarzenia zmusiły mnie, abym raz jeszcze wzięła pióro do ręki.*
>
> *Panie i Panowie, Autorka NIE jest lady Cressidą Twombley. Osoba ta jest przebiegłą oszustką i serce by mi pękło, gdyby lata mojej ciężkiej pracy przypisano właśnie jej.*
>
> „Kronika Towarzyska Lady Whistledown”,
> 21 kwietnia 1824

Penelopa bardzo starannie składała papier, wykorzystując czas na to, aby się opanować i zastanowić, co właściwie powinna powiedzieć. Wreszcie uśmiechnęła się nieśmiało i nie całkiem patrząc Bridgertonowi w oczy, wyszeptała:

— Domyśliłeś się?

Nie odpowiedział, więc podniosła na niego wzrok. Natychmiast tego pożałowała. Colin był całkiem do siebie niepodobny. Szczery uśmiech, jaki zwykle gościł na jego ustach, dobry humor zawsze przyczajony w głębi oczu — wszystko znikło, a w miejsce tego pojawiły się wyostrzone, zacięte rysy i spojrzenie zimne niczym lód.

Człowiek, którego znała, którego kochała przez tyle lat… nie była już pewna, czy to on.

— Rozumiem, że nie — wyszeptała drżącym głosem.

— Wiesz, co teraz próbuję zrobić? — zapytał donośnym i zaskakująco ostrym głosem, przekrzykując rytmiczny stuk końskich kopyt.

Już miała powiedzieć „nie”, ale jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło, aby się zorientowała, że nie oczekuje jej odpowiedzi, i czym prędzej zacisnęła usta.

— Próbuję rozstrzygnąć, dlaczego właściwie jestem na ciebie wściekły — rzekł. — Jest tyle spraw… niewiarygodnie wiele… że trudno mi zdecydować.

Penelopa miała już na końcu języka pierwszą propozycję — swoje oszustwo — ale po namyśle uznała, że to doskonała okazja, aby skorzystać z własnej rady i milczeć.

— Po pierwsze — zaczął przerażająco obojętnym tonem, zdradzającym, jak trudno mu opanować gniew (sam ten fakt był dla niej ogromnie niepokojący, bo nie miała pojęcia, że Colin zdolny jest do gniewu) — nie

mogę uwierzyć, że mogłaś być tak głupia, aby udać się do City sama, wynajętym fiakrem!

— Nie mogłam przecież jechać swoim powozem — odparowała Penelopa, zanim przypomniała sobie, że miała milczeć.

Bridgerton odrobinę odwrócił głowę. Nie miała pojęcia, co to oznacza, ale czuła, że raczej nic dobrego, zwłaszcza że ten gest zdawał się wymuszony.

— Słucham? — zapytał jedwabiście stalowym tonem.

Teraz już musiała odpowiedzieć, nieprawdaż?

— Cóż, to nic takiego — odrzekła, łudząc się, że wymijający wstęp odwróci jego uwagę od dalszej części zdania. — Po prostu nie wolno mi wychodzić samej.

— Wiem o tym — wycedził — i są po temu cholernie dobre powody.

— Więc jeśli chcę wyjść sama — ciągnęła, udając, że niczego nie słyszała — nie mogę skorzystać z naszego powozu. Żaden z naszych stangretów nie zgodziłby się jechać ze mną.

— Widać, że to ludzie o ogromnej mądrości i zdrowym rozsądku — rzucił zjadliwym tonem.

Nie zareagowała.

— Wiesz, co ci się mogło przytrafić? — Colin czuł, że jego maska obojętności zaczyna pękać.

— Właściwie nic wielkiego — odparła, przełykając nerwowo ślinę. — Bywałam tu już i…

— Co? — Chwycił ją za ramię i ścisnął boleśnie. — Co powiedziałaś?

Nie odważyła się powtórzyć, przeczuwając, że może to grozić śmiercią lub kalectwem. Spojrzała na Colina w nadziei, że zdoła przebić się przez otchłań gniewu w jego oczach i odnaleźć za nią człowieka, którego tak dobrze znała i kochała.

— Tylko wtedy, kiedy muszę zostawić pilną wiadomość mojemu wydawcy — wyjaśniła. — Wysyłam zakodowaną wiadomość, a on wie, że musi odebrać pocztę.

— A przy okazji — spytał Colin szorstko — co to takiego jest?

Penelopa spojrzała na niego zmieszana.

— Myślałam, że to oczywiste, jestem…

— Tak, wiem, że jesteś cholerną lady Whistledown i pewnie całymi tygodniami śmiałaś się w kułak, kiedy się upierałem, że to Eloise. — Skrzywił się boleśnie, aż serce jej się ścisnęło.

— Nie! — wykrzyknęła. — Nigdy bym się z ciebie nie śmiała.

Po jego oczach poznała jednak, że jej nie wierzy. Było w nich upokorzenie, coś, czego wcześniej nigdy tam nie widziała i nie spodziewała się ujrzeć. Był Bridgertonem. Był popularny, pewny siebie, opanowany. Nic go nie mogło dotknąć. Nikt nie mógł go poniżyć. Widocznie ona stanowiła wyjątek.

— Nie mogłam ci powiedzieć — szepnęła, desperacko usiłując sprawić, by ten okropny wyraz jego oczu znikł — przecież chyba wiesz, że nie mogłam…

Colin milczał przez boleśnie długą chwilę, a potem podniósł zdradziecki kawałek papieru i potrząsnął nim. Tak, jakby nigdy nie usprawiedliwiała się przed nim, jakby nie próbowała się tłumaczyć.

— Przecież to głupota — rzekł. — Postradałaś zmysły?

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Miałaś doskonałe wyjście, czekające tylko, aby z niego skorzystać. Cressida Twombley wzięłaby na siebie całą winę. — Nieoczekiwanie położył Penelopie dłonie na ramionach i ścisnął tak mocno, że ledwie mogła oddychać. — Czemu nie pozwoliłaś temu umrzeć własną śmiercią? — zapytał niecierpliwie. Oczy błyszczały mu groźnie.

Po raz pierwszy widziała go tak poruszonego i zrobiło jej się przykro, że przyczyną był gniew. I wstyd.

— Nie mogłam na to pozwolić — szepnęła. — Nie mogłam pozwolić, aby ona stała się mną.

13

Do diaska, a dlaczego nie?

Penelopa wytrzeszczyła oczy i milczała przez kilkanaście sekund.

— Bo… bo… — Machnęła ręką, zastanawiając się, jak to wyjaśnić. Serce jej pękało. Jej najbardziej przerażający — i najbardziej ekscytujący — sekret wyszedł na jaw, a jemu się wydaje, że tak łatwo to wszystko wyjaśnić?

— Wiem, że prawdopodobnie to najgorsza suka, jaką zrodziła angielska ziemia…

Penelopa jęknęła.

— …przynajmniej w ciągu ostatniego pokolenia, ale na litość boską, Penelopo… — Bridgerton przeczesał palcami włosy i surowo spojrzał jej w twarz. — …chciała całą winę wziąć na siebie.

— Całą sławę — poprawiła go z lekką irytacją.

— Cała winę — powtórzył. — Czy masz pojęcie, co się stanie, kiedy ludzie się dowiedzą, kim jesteś naprawdę?

Zacisnęła wargi, mocno już zniecierpliwiona… i urażona tą jego pogardliwą postawą.

— Miałam dziesięć lat, żeby się nad tym zastanowić.

Zmrużył oczy.

— Czy mi się zdaje, czy silisz się na sarkazm?

— Wcale nie — odparowała. — Naprawdę sądzisz, że nie poświęciłam sporej części ostatnich dziesięciu lat na zastanawianie się, co będzie, jeśli ktoś mnie rozszyfruje? Byłabym ślepą idiotką, naprawdę.

Bridgerton chwycił ją za ramiona i ścisnął mocniej, gdy powóz

podskoczył na nierównym bruku.

— Będziesz skompromitowana, Penelopo. Skompromitowana! Czy ty rozumiesz, co mówię?

— Gdybym nawet jeszcze nie rozumiała — odparła — teraz zrozumiałabym na pewno. Zwłaszcza po tych przydługich przemowach, które wygłaszałeś, kiedy myślałeś, że to Eloise jest lady Whistledown.

Colin skrzywił się, wyraźnie zirytowany tym, że wytknęła mu błąd.

— Ludzie przestaną się do ciebie odzywać — ciągnął. — Odrzucą cię.

— Ludzie nigdy ze mną nie rozmawiali — zareplikowała. — W ogóle nie zdawali sobie sprawy z mojej obecności. Jak sądzisz, co mi pozwoliło tak długo ciągnąć tę grę? Byłam niewidzialna, Colinie. Nikt mnie nie widział, nikt ze mną nie rozmawiał. Stałam i słuchałam, a nikt nic nie widział.

— To nieprawda — odrzekł, ale odwrócił wzrok.

— Och, to prawda i ty dobrze o tym wiesz. Próbujesz zaprzeczyć — dźgnęła go palcem w ramię — bo czujesz się winny.

— Nieprawda!

— Och, proszę — jęknęła. — Wszystko, co robisz, robisz z poczucia winy.

— Pen…

— Przynajmniej jeśli chodzi o mnie — poprawiła się. Oddychała szybko, po skórze przebiegały jej ciarki, a dusza po raz pierwszy w życiu płonęła. — Myślisz, że nie wiem, jak twoja rodzina lituje się nade mną? Myślisz, że umyka mojej uwadze, że kiedy ty lub twoi bracia przypadkiem znajdziecie się na tym samym balu co ja, zawsze prosicie mnie do tańca?

— Jesteśmy uprzejmi — wycedził — i lubimy cię.

— I żal wam mnie. Lubicie Felicytę, a jakoś nie widzę, żebyście tańczyli z nią za każdym razem, kiedy ją zobaczycie.

Bridgerton puścił ją nagle i skrzyżował ramiona na piersi.

— Hm, nie lubię jej tak bardzo jak ciebie.

Penelopa zamrugała, nagle zbita z pantałyku. Chyba tylko Colin potrafi prawić komplementy w samym środku awantury. Rozbroił ją zupełnie.

— A ty — przypomniał z dość wyniosłą miną — do tej pory nie odpowiedziałaś na moje pierwotne zarzuty.

— To znaczy?

— Że lady Whistledown cię zniszczy.

— Na Boga — jęknęła — mówisz o niej tak, jakby była kimś rzeczywistym.

— No cóż, wybacz, jeśli wciąż nie potrafię połączyć kobiety, na którą patrzę, z tą jędzą piszącą swoje paszkwile.

— Colinie!

— Urażona? — zadrwił.

— Tak! Ciężko pracowałam nad tą gazetką. — Zacisnęła pięści na cienkiej tkaninie seledynowej sukni, nie dbając o to, że ją gniecie bez litości. Musiała coś zrobić z rękami, inaczej strach i gniew, jakie się w niej nagromadziły, już by eksplodowały. Mogła jeszcze skrzyżować ramiona, ale nie chciała okazać irytacji. Przynajmniej jedno z nich powinno zachowywać się dojrzalej niż przeciętny sześciolatek.

— Nie śmiałbym pomniejszać wartości tego, co robiłaś — rzekł pobłażliwie.

— Oczywiście, że tak — przerwała.

— Nieprawda.

— No to co teraz robisz?

— Staram się być dorosły! — odparł z niejakim zniecierpliwieniem, podnosząc głos. — Ktoś musi.

— Nie mów mi o dorosłym zachowaniu! — wykrzyknęła. — Ty, który

uciekasz na samą myśl o odpowiedzialności!

— A co to ma, u diabła, znaczyć? — syknął.

— To chyba dość oczywiste.

Bridgerton cofnął się lekko.

— Nie mogę uwierzyć, że mówisz do mnie w ten sposób.

— Nie możesz uwierzyć, że mówię — zaśmiała się — czy że mam odwagę ci to powiedzieć?

Wytrzeszczył oczy, wyraźnie zaskoczony jej pytaniem.

— Jest we mnie coś więcej, niż myślisz, Colinie — odrzekła. A potem, już znacznie cichszym tonem dodała: — Jest we mnie coś więcej, niż ja sama myślałam.

Bridgerton milczał przez dłuższą chwilę, a potem, jakby nie mógł przełknąć krytyki, spytał przez zaciśnięte zęby:

— Co miałaś na myśli, mówiąc, że uciekam przed odpowiedzialnością?

Panna Featherington wydęła wargi, wypuszczając z płuc powietrze, co miało ją uspokoić.

— Jak sądzisz, dlaczego tyle podróżujesz?

— Bo lubię — odparł oschle.

— I dlatego, że tu w Anglii nudzisz się śmiertelnie.

— A to czyni ze mnie dziecko, ponieważ…?

— Ponieważ nie chcesz dorosnąć i zrobić coś dojrzałego, co utrzymałoby cię w jednym miejscu.

— Na przykład?

Podniosła ręce, jakby chciała powiedzieć: „Przecież to oczywiste”.

— Na przykład ożenić się.

— Czy to oświadczyny? — zadrwił, unosząc kącik ust w dość bezczelnym uśmiechu.

Penelopa poczuła, jak jej policzki zalewa gorący rumieniec, ale zmusiła

się, aby brnąć dalej.

— Wiesz, że nie, i nie próbuj rozmyślnym okrucieństwem zmieniać tematu. — Czekała, że on coś powie, może przeprosi. Jego milczenie było obelgą, więc tylko prychnęła i rzekła: — Na litość boską, masz trzydzieści trzy lata!

— A ty dwadzieścia osiem — odparował, nie siląc się na uprzejmy ton.

Poczuła się tak, jakby ktoś pięścią uderzył ją w brzuch, ale była zbyt wściekła, żeby się wycofać do znajomej skorupy.

— W przeciwieństwie do ciebie — syknęła, nie dbając już o konwenanse — nie mogę sobie pozwolić na luksus oświadczyn. I w przeciwieństwie do ciebie — dodała, mając nadzieję, że obudzi w nim poczucie winy — nie otacza mnie tłum potencjalnych zalotników, więc nigdy nie mogłam sobie pozwolić na luksus odmowy.

Bridgerton zacisnął zęby.

— I sądzisz, że ujawnienie się jako lady Whistledown zwiększy liczbę twoich zalotników?

— Próbujesz mnie obrazić? — zgrzytnęła zębami.

— Próbuję być realistą. Chyba całkiem zapomniałaś, co to znaczy!

— Nigdy nie powiedziałam, że zamierzam ujawnić się jako lady Whistledown.

Colin chwycił kopertę z ostatnim artykułem i podsunął jej pod nos.

— A to? Co to jest?

Wyrwała mu ją i wyszarpnęła artykuł ze środka.

— Przepraszam pokornie — odparła, cedząc każde słowo. — Chyba przeoczyłam zdanie, w którym zdradzam moją tożsamość.

— Myślisz, że ten twój łabędzi śpiew w najmniejszym bodaj stopniu stłumi zainteresowanie tożsamością lady Whistledown? Och, wybacz —

teatralnym gestem położył dłoń na sercu — powinienem powiedzieć „twoją tożsamością”. W końcu nie chcę odmówić ci chwały…

— Teraz jesteś po prostu obrzydliwy — zauważyła, a jakiś głosik w jej mózgu zastanawiał się cicho, czemu jeszcze nie zalała się łzami. To przecież był Colin, człowiek, którego kochała od zawsze, a który teraz zachowywał się tak, jakby jej nienawidził. Czy było na świecie coś bardziej godnego łez?

A może nie o to chodziło. Może powodem tego smutku, który w niej narastał, była śmierć marzeń. Jej marzeń o nim. Stworzyła sobie doskonały obraz jego osoby, tymczasem z każdym słowem, jakie rzucał jej w twarz, stawało się coraz bardziej oczywiste, że jej marzenia były tylko mrzonką.

— Staram się coś wyjaśnić — rzekł, wyrywając jej z rąk kartkę. — Spójrz na to. Przecież to jak zaproszenie do dalszego śledztwa. Drwisz sobie z ludzi, wyzywasz ich, aby cię rozszyfrowali.

— Wcale nie to jest moim zamiarem!

— Może nie jest zamiarem, jednak tak to właśnie wygląda.

Z pewnością miał trochę racji, ale była na niego zbyt zła, aby mu ją przyznać.

— To ryzyko, które muszę podjąć — odparła, krzyżując ramiona na piersi i znacząco odwracając wzrok. — Przez jedenaście lat udawało mi się uniknąć zdemaskowania. Nie sądzę, abym musiała się tym przejmować teraz.

Bridgerton westchnął z rezygnacją.

— Masz w ogóle jakieś pojęcie o pieniądzach? Masz pojęcie, ilu ludzi chciałoby dostać do ręki tysiąc funtów lady Danbury?

— Myślę, że mam lepsze pojęcie o pieniądzach niż ty — odparła, jeżąc się z urazy. — A poza tym nagroda lady Danbury w najmniejszym stopniu nie naraża mojej tajemnicy.

— Sprawia jednak, że ludzie są bardziej zdeterminowani, a to stwarza zagrożenie. Nie wspominając już — dodał z ponurym uśmieszkiem na ustach — o sławie.

— Hiacynta? — zapytała.

Posępnie pokiwał głową, odkładając kartkę na siedzenie obok.

— A jeśli Hiacynta uważa, że sława, jaka stanie się udziałem osoby, która odkryje tożsamość lady Whistledown, jest godna pożądania, to możesz być pewna, że nie jest w tym osamotniona. Niewykluczone, że właśnie dlatego Cressida zdecydowała się na to głupie oszustwo.

— Cressida robi to dla pieniędzy — burknęła Penelopa. — Jestem tego pewna.

— Doskonale. Nie ma znaczenia, po co to robi. Ważne, że jest, a kiedy się jej pozbędziesz tym idiotycznym listem — uderzył dłonią w papier, aż Penelopa podskoczyła — ktoś inny zajmie jej miejsce.

— Nie mówisz mi niczego nowego — odparła, głównie dlatego, że nie chciała, aby do niego należało ostatnie słowo.

— Więc, na litość boską, kobieto, pozwól Cressidzie robić, co zechce — wybuchnął. — To odpowiedź na twoje modlitwy.

Penelopa wpiła się w niego wzrokiem.

— Nie wiesz, o co się modlę.

Coś w jej tonie sprawiło, że Colin poczuł ucisk w piersi. Nie zmieniła zamiaru, nie zamierzała ustąpić, a on nie umiał znaleźć właściwych słów, aby wypełnić to milczenie.

Spojrzał na nią, potem w okno, nieobecnym wzrokiem wpatrując się w kopułę katedry św. Pawła.

— Naprawdę jedziemy do domu dłuższą drogą — mruknął.

Nie odpowiedziała. Nie winił jej o to. Próbował jedynie przerwać dręczącą ciszę. Nic więcej.

— Gdybyś pozwoliła Cressidzie… — zaczął.

— Przestań — poprosiła. — Proszę, nie mów już nic więcej. Nie mogę jej na to pozwolić.

— Czy naprawdę przemyślałaś sobie, co zyskasz?

Spojrzała na niego bystro.

— Myślisz, że przez ostatnie kilka dni mogłam myśleć o czymkolwiek innym?

Postanowił zmienić taktykę.

— Czy to naprawdę takie ważne, aby ludzie wiedzieli, iż jesteś lady Whistledown? Ty sama wiesz, jaka byłaś sprytna i jak nas wszystkich przechytrzyłaś. Czy to nie wystarczy?

— Nie słuchasz mnie wcale! — Jej usta pozostały rozchylone w grymasie niedowierzania, jakby nie mogła pogodzić się z tym, że nie dotarł do niego sens jej słów. — Ludzie wcale nie muszą wiedzieć, że to ja. Chcę tylko, aby wiedzieli, że to nie ona.

— Ale przecież nie przeszkadza ci, kiedy ludzie myślą, że to ktoś inny jest lady Whistledown — upierał się. — Przecież od paru tygodni oskarżasz o to lady Danbury.

— Musiałam oskarżyć kogokolwiek — wyjaśniła. — Lady Danbury spytała mnie wprost, czy mam kogoś na myśli, a nie mogłam przecież powiedzieć, że ja to ja… Poza tym pomyślałam, że nie ma w tym nic złego, jeśli ludzie sądzą, że to lady Danbury. Przynajmniej ja ją lubię.

— Penelopo…

— Jak poczułbyś się, gdyby twoje dzienniki zostały opublikowane pod nazwiskiem Nigela Berbrooke’a? — zapytała.

— Nigel Berbrooke nie potrafi sklecić do kupy dwóch zdań — odparł z pogardliwym prychnięciem. — Nie sądzę, aby ktokolwiek uwierzył, że to on napisał moje dzienniki.

Po krótkiej chwili skłonił lekko głowę w geście przeprosin, ponieważ Berbrooke był jednak mężem jej siostry.

— Spróbuj to sobie wyobrazić — syknęła. — Albo podstaw kogokolwiek, kto jest podobny do Cressidy.

— Penelopo — westchnął. — Nie jestem tobą. Nie możesz tego porównywać. Gdybym to ja opublikował swoje dzienniki, nie skompromitowałyby mnie one w oczach towarzystwa. — Oparła się o poduszki siedzenia i westchnęła głęboko, a Bridgerton zrozumiał, że tym razem użył właściwego argumentu. — Dobrze — oznajmił. — Więc postanowione. Zniszczymy to. — Sięgnął po arkusik.

— Nie! — wrzasnęła, zrywając się z siedzenia. — Nie rób tego!

— Powiedziałaś przecież…

— Nic nie mówiłam — zaprotestowała piskliwie. — Westchnęłam tylko.

— Och, Penelopo, na litość boską! — odparł zirytowany. — Przecież się zgodziłaś…

Wytrzeszczyła oczy, zdumiona jego śmiałością.

— Kiedy udzieliłam ci pozwolenia na interpretowanie moich westchnień?

Colin spojrzał na niebezpieczny list, który wciąż trzymał w dłoniach, zastanawiając się, co, u diabła, ma z nim teraz zrobić.

— A poza tym — ciągnęła z takim gniewem i ogniem w oczach, że wydawała się niemal piękna — nie myśl sobie, że nie zapamiętałam tekstu słowo po słowie. Możesz zniszczyć papier, ale nie mnie.

— A szkoda — wymamrotał.

— Coś ty powiedział?

— Whistledown — syknął. — Chciałbym zniszczyć Whistledown. Ciebie oszczędzę z radością.

— Ale Whistledown to ja.

— Niech nas Bóg chroni.

Wtedy coś w niej pękło. Cała jej wściekłość i frustracja, każde negatywne uczucie, które tak starannie ukrywała przez tyle lat — wszystko to nagle runęło niczym lawina, kierując się przeciwko Colinowi, choć może on jeden w całym towarzystwie na to nie zasługiwał.

— Dlaczego tak się na mnie wściekasz? — wybuchnęła. — Co takiego odrażającego uczyniłam? Że byłam sprytniejsza od ciebie? Że dotrzymałam tajemnicy? Że śmiałam się w kułak kosztem towarzystwa?

— Penelopo, ale…

— Nie — przerwała mu z wysiłkiem. — Milcz. Teraz ja mówię.

Bridgerton otworzył usta i wytrzeszczył oczy, wstrząśnięty i pełen niedowierzania.

— Jestem dumna z tego, co zrobiłam — wykrztusiła drżącym ze wzruszenia głosem. — Nie obchodzi mnie, co o tym sądzisz. Nikt mi tego nie zabierze.

— Nie próbuję…

— Nie potrzebuję, aby ludzie znali prawdę — odparła, pomijając milczeniem jego niewczesny protest. — Ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli pozwolę Cressidzie Twombley, tej samej osobie, która… która… — Dygotała teraz na całym ciele, wspomnienia zalewały ją kolejnymi falami, jedno gorsze od drugiego.

Cressida, znana z wdzięku i zręczności, potyka się nagle, oblewając ponczem suknię Penelopy — jedyną w pierwszym roku jej obecności na salonach, która nie była żółta lub pomarańczowa.

Cressida błaga słodko młodych kawalerów, aby zapraszali pannę Featherington do tańca, a czyni to tak głośno i ostentacyjnie, że Penelopa ma ochotę zapaść się ze wstydu pod ziemię.

Cressida głośno użala się nad wyglądem Penelopy, dbając, aby wszyscy

dobrze słyszeli jej słowa.

— To po prostu niezdrowe, kochanie, żeby w tym wieku tyle ważyć.

Penelopa nie wiedziała, czy Cressida uśmiechnęła się wtedy ironicznie, czy nie. Uciekła z sali, oślepiona łzami, czując, jak jej biodra podskakują w rytm kroków.

Cressida zawsze doskonale wiedziała, gdzie uderzyć i jak skręcić ostrze, żeby zadać najwięcej bólu. Nieważne, że Eloise dzielnie broniła przyjaciółki, a lady Bridgerton starała się ją wesprzeć. Penelopa częściej zasypiała zmęczona płaczem, niż sama chciałaby pamiętać, a przyczyną łez była zawsze szpila, zręcznie wbita przez Cressidę Twombley.

Pozwoliła Cressidzie Twombley w przeszłości na tak wiele, ponieważ nie miała odwagi się przeciwstawić. Nie mogła jednak pozwolić, aby dostało jej się i to. Nie jej drugie życie, nie ten maleńki kącik duszy, który pozostawał silny, dumny i nieulękły.

Penelopa nie wiedziała, jak się obronić, ale, na Boga, lady Whistledown potrafiła to doskonale.

— Penelopo? — ostrożnie zagadnął ją Colin.

Spojrzała na niego pustym wzrokiem. Potrzebowała kilku sekund, żeby uprzytomnić sobie, że to rok 1824, a nie 1814, a ona siedzi w powozie z Colinem Bridgertonem, a nie kuli się w kącie sali balowej, usiłując uciec przed Cressidą Cowper.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

Skinęła głową. Chciała, żeby tak było.

Colin zamierzał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Przez dłuższą chwilę nie zamykał ust. Wreszcie położył rękę na jej dłoni i zapytał:

— Porozmawiamy o tym później?

Tym razem zdołała skinąć głową. Rzeczywiście, marzyła jedynie o tym,

aby to potworne popołudnie dobiegło końca. Musiała wyjaśnić tylko jeszcze jedną sprawę.

— Cressida nie została skompromitowana — wyszeptała.

Bridgerton odwrócił się ku niej z wyrazem lekkiego zmieszania w oczach.

— Słucham?

Podniosła nieco głos.

— Cressida powiedziała, że to ona jest lady Whistledown, a jakoś nie jest skompromitowana.

— Dlatego, że nikt jej nie uwierzył — odparł. — A poza tym — dodał bez namysłu — ona jest… inna.

Powoli, bardzo powoli Penelopa zwróciła ku niemu twarz. Oczy miała dziwnie nieruchome.

— W jakim sensie jest inna?

Colina ogarnęło uczucie zbliżone do paniki. Wiedział, że to nie są właściwe słowa, zanim jeszcze skończył je wymawiać. Jak jedno malutkie zdanie, kilka słów, może mieć tak niszczycielską moc?

Ona jest inna.

Wiedzieli oboje, co to oznacza. Cressida była popularna. Cressida była piękna. Cressida wszystko potrafiła znieść z imponującą godnością.

Penelopa zaś…

Była Penelopą. Penelopą Featherington. I nie miała ani powiązań, ani siły ducha, które uchroniłyby ją przed kompromitacją. Bridgertonowie mogli stanąć za nią murem, ofiarować pomoc, ale nawet oni nie byliby w stanie powstrzymać jej upadku. Każdy inny skandal zapewne udałoby się opanować, ale lady Whistledown przez te jedenaście lat zdążyła obrazić prawie każdą ważną osobę na Wyspach Brytyjskich. Kiedy ludzie ochłoną z zaskoczenia, przyjdzie czas na nieprzyjemne uwagi.

Penelopa nie będzie chwalona za spryt i inteligencję ani za odwagę.

Będzie nazywana złośliwą, podłą i zazdrosną.

Colin dobrze znał towarzystwo. Wiedział, jak się zachowują jego znajomi. Z osobna arystokratów stać było na pojedyncze akty wspaniałomyślności, ale w grupie przejawiali skłonność do schodzenia do najniższego poziomu. A ten poziom był doprawdy bardzo, bardzo niski.

— Rozumiem — Penelopa przerwała ciszę.

— Nie — zaprzeczył szybko. — Nie rozumiesz. Mnie…

— Nie, Colinie — odparła z bolesną niemal powagą. — Wiem. Po prostu chyba miałam nadzieję, że ty jesteś inny.

Pochwycił jej spojrzenie i nagle jego dłonie znów znalazły się na jej ramionach, ściskał ją z taką siłą, że nie mogła się odwrócić. Milczał, pozwolił, żeby to jego oczy zadawały pytania.

— Myślałam, że we mnie wierzysz — szepnęła. — Że widzisz coś poza brzydkim kaczątkiem.

Jej twarz była mu tak dobrze znana. Widział ją tysiące razy, a jednak do niedawna nie mógł powiedzieć, że przyjrzał jej się uważniej. Czy pamiętał, że ma mały pieprzyk za lewym uchem? Czy kiedykolwiek dostrzegł ciepły blask jej skóry? Czy odkrył maleńkie złote plamki wokół jej brązowych tęczówek?

Jak to możliwe, że tyle razy z nim tańczyła, a on nigdy nie zauważył jej pełnych, kształtnych ust, jakby stworzonych do pocałunków?

Oblizywała wargi, kiedy była zdenerwowana. Widział, jak to robiła tamtego dnia. Z pewnością nieraz powtarzała ten gest przez dwanaście lat ich znajomości, ale dopiero dziś widok jej języka sprawił, że serce boleśnie ścisnęło mu się tęsknotą.

— Nie jesteś brzydka — zapewnił niskim, rozgorączkowanym tonem.

Wytrzeszczyła oczy.

— Jesteś piękna — wyszeptał.

— Nie — odparła tak cicho, że ledwie słyszalnie. — Nie mów rzeczy, w które sam nie wierzysz.

Wbił palce w jej ramiona.

— Jesteś piękna — powtórzył. — Nie wiem jak… nie wiem, kiedy… — Dotknął jej ust, czując na koniuszkach palców jej gorący oddech. — …ale jesteś — dokończył.

Pochylił się i pocałował ją, powoli, z czcią niemal, już bez zaskoczenia, że tego pragnie, że jej całej pragnie tak bardzo. Wstrząs minął, pozostała prosta, pierwotna potrzeba naznaczenia jej, napiętnowania jako swojej własności.

Własność?

Cofnął się i spojrzał na Penelopę, uważnie badając wzrokiem jej twarz.

Dlaczego nie?

— Co się stało? — szepnęła.

— Jesteś piękna — odrzekł, potrząsając głową w zmieszaniu. — Nie rozumiem, dlaczego nikt inny tego nie dostrzega.

W piersi Penelopy rozkwitło nagle coś ciepłego. Nie potrafiła tego nazwać, ale czuła się tak, jakby ktoś rozgrzał jej krew. Ciepło promieniowało od jej serca, powoli rozprzestrzeniając się wzdłuż ramion, na brzuch, aż po koniuszki palców stóp.

Upoiło ją. Sprawiło, że odetchnęła. Nagle stała się kompletną ludzką istotą.

Nie była piękna. Wiedziała, że nie jest, wiedziała, że może uchodzić najwyżej za dość ładną, i to w lepszych dniach. Ale Colin uważał, że jest piękna, a kiedy na nią spoglądał…

Czuła się piękna. Czuła się tak po raz pierwszy w życiu.

Pocałował ją znowu, tym razem jego usta były natarczywe, zgłodniałe,

pieszczotliwe. Budziły jej ciało i zmysły. Miała wrażenie, jakby w jej żołądku fruwały motyle, a w miejscach, gdzie jego dłonie spoczywały na zielonym materiale sukni, skóra zaczęła ją piec pożądaniem.

Nie pomyślała ani przez chwilę, że źle czyni. Ten pocałunek był wszystkim, czego uczono ją unikać i obawiać się, ale ona wiedziała całą sobą, że nigdy w życiu nic nie było bardziej właściwe. Urodziła się dla tego mężczyzny i tyle lat próbowała zaakceptować bolesną prawdę, że on urodził się dla kogo innego.

Przyznanie się do błędu sprawiło jej niewyobrażalną rozkosz.

Pragnęła go, pragnęła tych pocałunków, tego szaleństwa. Chciała być piękna, choćby tylko w oczach tego jednego mężczyzny.

A kiedy Colin delikatnie ułożył ją na pluszowych poduszkach powozu, sennie pomyślała, że to jedyne oczy, które się liczą na tym świecie.

Kochała go. Zawsze go kochała. Nawet teraz, kiedy był na nią tak wściekły, że z trudem go rozpoznawała, kiedy tak się na nią gniewał, że nawet nie była pewna, czy go lubi… nawet teraz go kochała.

Chciała należeć do niego.

Kiedy pocałował ją po raz pierwszy, przyjęła jego awanse z pasywną przyjemnością, tym razem postanowiła, że będzie aktywną partnerką. Wciąż nie mogła uwierzyć, że jest tutaj, z nim, a z pewnością nie pozwoliłaby sobie nawet marzyć, że kiedykolwiek Colin pocałuje ją jeszcze raz.

To może się już nigdy więcej nie wydarzyć. Może już nigdy nie poczuje przygniatającego ją rozkosznego ciężaru jego ciała, nieprzyzwoitego łaskotania jego języka na ustach. Miała tę jedną jedyną szansę. Jedyną, aby przeżyć chwilę, której wspomnienie towarzyszyć jej będzie do grobu. Jedyną szansę, aby sięgnąć po niebiańską rozkosz.

Jutro będzie straszne, bo przyniesie świadomość, że znajdzie się inna

kobieta, z którą będzie żartował, śmiał się, którą poślubi, ale dzisiaj…

Dziś należało do niej.

I na Boga, sprawi, że Colin będzie pamiętał jej pocałunek.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego włosów. Początkowo z wahaniem — to, że chciała być aktywną, chętną partnerką, nie oznaczało, że wiedziała, co robić. Jego usta powoli wysysały z niej cały rozum, rozsądek i inteligencję, ale i tak stwierdziła ze zdumieniem, że jego włosy w dotyku przypominały włosy Eloise, które czesała niezliczoną ilość razy. I nieba…

Zachichotała.

Colin znieruchomiał, podniósł głowę. Jego usta wygięły się w lekkim uśmieszku.

— Słucham? — zapytał.

Pokręciła głową, usiłując opanować śmiech, ale już czuła, że przegrywa tę walkę.

— O nie, musisz mi powiedzieć — upierał się. — Nie mogę ciągnąć tego dalej, dopóki nie poznam powodu twojej wesołości.

Poczuła, że policzki jej płoną, i stwierdziła, że to cokolwiek nie w porę. Leżała na poduszkach powozu, zachowując się co najmniej nieprzyzwoicie i dopiero teraz się zarumieniła?

— Powiedz mi — mruknął, skubiąc wargami jej ucho.

Pokręciła głową.

Jego wargi spoczęły dokładnie w tym miejscu, gdzie pod cienką skórą jej szyi pulsowała żyła.

— Mów.

Ale ona tylko wygięła się z cichym jękiem.

Jej sukienka była już częściowo rozpięta, a teraz zsunęła się, odsłaniając obojczyk. Penelopa obserwowała zafascynowana, jak usta Colina zaczynają

powoli zsuwać się niżej, coraz niżej, aż znalazły się przerażająco blisko jej piersi.

— Powiesz? — wyszeptał, delikatnie skubiąc jej skórę zębami.

— Co ci mam powiedzieć? — jęknęła.

Jego usta były coraz bardziej przekorne, zdążały w konkretnym kierunku…

— Dlaczego się śmiałaś?

Penelopa przez chwilę nie mogła sobie nawet przypomnieć, o czym on mówi.

Położył jej dłoń na piersi, gładząc ją przez materiał sukni.

— Będę cię torturował, aż powiesz — zagroził.

W odpowiedzi Penelopa wygięła się, jeszcze mocniej wciskając pierś w jego dłoń. Podobały jej się te tortury.

— Rozumiem — mruknął, jednocześnie zsuwając jej gorset. Musnął dłonią nagą skórę. — Więc może… — znieruchomiał, uniósł dłoń — … przestanę?

— Nie — wyszeptała.

— Więc mów.

Jak zahipnotyzowana spoglądała na swoją obnażoną pierś.

— Powiedz — powtórzył cicho i dmuchnął. Ciepły powiew powietrza przemknął pieszczotliwie po jej skórze.

— Colinie, proszę — jęknęła.

Uśmiechnął się filuternie.

— Co: proszę?

— Dotknij mnie — szepnęła.

Przesunął palcem wskazującym wzdłuż jej ramienia.

— Tu?

Gwałtownie pokręciła głową.

Powoli powiódł palcem wzdłuż jej szyi.

— Jestem bliżej prawdy? — wymruczał.

Skinęła głową, nie odrywając wzroku od swojej piersi. Dotknął jej znowu, delikatnie, zataczając kręgi koniuszkami palców. Czuła, jak jej ciało napręża się coraz bardziej i bardziej…

Oddychała ciężko, szybko i nagle…

— Colinie! — Jego imię wymknęło jej się w jednym zdławionym westchnieniu. Przecież nie…

Jego wargi dotknęły jej skóry. Zaledwie poczuła ich gorąco, poderwała się zaskoczona i jeszcze mocniej przylgnęła do niego, bezwstydnie ocierając się biodrami, aż zmusił ją, by znów oparła się na poduszkach.

— Och, Colinie, Colinie… — jęczała, błądząc dłońmi po jego plecach, wbijając palce w jego naprężone mięśnie. Pragnęła go trzymać, tulić i nigdy nie wypuszczać z ramion.

Szarpnął koszulę, wyrywając ją z paska spodni, a ona wsunęła dłonie pod nią, gładząc rozgrzaną skórę jego pleców. Nigdy do tej pory nie dotykała mężczyzny w ten sposób, nigdy nie dotykała tak nikogo, może tylko siebie, ale i wówczas nie sięgała pleców.

Bridgerton jęknął pod jej dotknięciem, znieruchomiał w napięciu, gdy dłonie Penelopy zaczęły wędrować po jego plecach. Jej serce waliło mocno — spodobało mu się to, spodobał mu się sposób, w jaki go dotykała. Nie miała zielonego pojęcia, co ze sobą zrobić, ale i tak mu się to podobało…

— Jesteś wspaniała — wyszeptał z ustami wtulonymi w jej skórę, pozostawiając palące ślady wzdłuż jej ramion i szyi. Ponownie przywarł wargami do jej ust, tym razem namiętniej, a dłońmi objął biodra, ściskając i pieszcząc miękkie ciało. — Bogowie, jakże cię pragnę — wyszeptał. — Miałbym ochotę rozebrać cię, posiąść i nigdy nie wypuścić z ramion.

Penelopa jęknęła, nie wierząc, że tyle rozkoszy można czerpać z samych słów. Sprawiły one, że poczuła się zuchwała, rozwiązła i… godna pożądania. Pragnęła, aby to się nigdy nie skończyło.

— Och, Penelopo — jęknął Colin, a jego usta i dłonie stały się jeszcze bardziej rozgorączkowane i niespokojne. — Och, Penelopo, Penelopo, och… — Poderwał głowę. Zbyt nagle. — O Boże!

— Co się stało? — zapytała, usiłując podnieść głowę z poduszki.

— Stoimy.

Potrzebowała dłuższej chwili, aby zrozumieć. Skoro stoją, to znaczy, że najprawdopodobniej dotarli do celu, to znaczy… Do jej domu.

— O Boże! — Gorączkowo zaczęła szarpać gorset sukni. — Czy stangret nie może jechać dalej?

Skompromitowała się doszczętnie, więc określenie „bezwstydna” raczej nie mogło jej już zaszkodzić.

Colin chwycił cienki materiał i pomógł jej podciągnąć gorset.

— Jak sądzisz, czy twoja matka mogła przeoczyć mój powóz na podjeździe?

— Jest na to pewna szansa — odparła. — Ale nie Briarly.

— Twój lokaj rozpozna mój powóz? — zawołał z niedowierzaniem.

Skinęła głową.

— Przecież już tu byłeś. On zawsze pamięta takie rzeczy.

Bridgerton zacisnął usta z determinacją.

— Doskonale zatem — mruknął. — Zrób coś ze sobą.

— Pobiegnę do pokoju — odparła. — Nikt nie zauważy.

— Wątpię — odparł złowróżbnie, usiłując doprowadzić swój strój do porządku.

— Nie, zapewniam cię…

— A ja cię zapewniam — nie pozwolił jej dokończyć — że zostaniesz

dokładnie obejrzana. — Splunął na palce i przeczesał nimi włosy. — Może być?

— Tak — skłamała. W rzeczywistości był nazbyt zarumieniony, usta miał nabrzmiałe, a włosy nawet w przybliżeniu nie przypominały modnej fryzury.

— Świetnie. — Wyskoczył z powozu i podał jej dłoń.

— Idziesz ze mną? — zapytała.

Spojrzał na nią, jakby nagle postradała zmysły.

— Oczywiście.

Zdrętwiała, zbyt zdziwiona jego zachowaniem, aby zmusić nogi do ruchu. Z pewnością był jakiś powód, dla którego chciał jej towarzyszyć. Przyzwoitość tego nie wymagała, ale…

— Na litość boską, Penelopo — zawołał, chwytając ją za rękę i wyciągając z powozu. — Chcesz za mnie wyjść czy nie?

14

Upadła na bruk.

Penelopa, przynajmniej we własnej opinii, była zręczniejsza, niż większość ludzi podejrzewała. Była świetną tancerką, potrafiła grać na pianinie, pięknie wyginając palce, i zazwyczaj doskonale sobie radziła w zatłoczonym pokoju, nie wpadając na ludzi i sprzęty.

Kiedy jednak Colin złożył jej matrymonialną propozycję, jej stopa — zawieszona w powietrzu nad stopniami powozu — trafiła w pustkę, jej lewe biodro — na krawężnik, a głowa na but Colina.

— Boże, Penelopo! — zawołał, przykucając natychmiast obok. — Nic ci nie jest?

— Nic a nic. — Jakoś zdołała się podnieść i właśnie rozglądała się za szczeliną w ziemi, która mogłaby się otworzyć i ją pochłonąć.

— Jesteś pewna?

— Tak, całkowicie — odparła, rozcierając policzek, na którym — jak podejrzewała — widniał teraz wyraźny odcisk czubka męskiego buta. — Może tylko odrobinę zaskoczona.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzyła.

— Właśnie dlaczego?

Zamrugała. Raz. Drugi. I znowu.

— Eee… prawdopodobnie ma to coś wspólnego z tym, że wspomniałeś o małżeństwie.

Bridgerton bezceremonialnie postawił ją na nogi, przy okazji omal nie wyrywając jej ramienia ze stawu.

— A co według ciebie miałem powiedzieć?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Z pewnością nie to! — odparła szczerze.

— Nie jestem skończonym gburem — oświadczył.

Penelopa otrzepała pył i żwir z rękawów.

— Nie mówiłam, że jesteś, po prostu…

— Mogę cię zapewnić — dodał z miną śmiertelnie urażonego — że nie zachowuję się tak wobec kobiety z twojej sfery, nie składając jej propozycji małżeństwa.

Penelopa otwarła szeroko usta.

— Nic mi nie odpowiesz? — zapytał.

— Wciąż usiłuję zrozumieć, co właściwie chciałeś powiedzieć — przyznała.

Colin wsparł dłonie na biodrach i przyglądał się jej bez cienia zażenowania.

— Musisz przyznać — rzekła, opuszczając głowę, by móc patrzeć przez zasłonę rzęs — że zabrzmiało to tak, jakbyś… eee… jak to ładnie nazwałeś? Już wcześniej składał takie propozycje.

Bridgerton skrzywił się.

— Oczywiście, że nie składałem. A teraz weź mnie pod ramię, zanim zacznie lać.

Penelopa spojrzała w czyste błękitne niebo.

— Przy twojej szybkości myślenia możemy tu stać jeszcze tydzień — rzucił niecierpliwie.

— No cóż… — Odchrząknęła. — Z pewnością możesz mi wybaczyć konsternację wywołaną tak ogromną niespodzianką.

— I kto tu teraz krąży wokół tematu? — mruknął.

— Słucham?

Zacisnął dłoń na jej ramieniu.

— Idziemy.

— Colinie! — wrzasnęła prawie, potykając się o własne stopy, kiedy wciągał ją po schodach. — Czy jesteś pewien…?

— Albo teraz, albo nigdy — odparł niemal wesoło. Wydawał się bardzo zadowolony z siebie, co ją nieco dziwiło, gdyż postawiłaby całą swoją fortunę — a jako lady Whistledown zebrała pokaźną sumkę — że jeszcze na chwilę przed zatrzymaniem się powozu nie zamierzał jej prosić o rękę.

Może nawet przed wymówieniem tych słów.

Bridgerton spojrzał na nią.

— Czy mam zastukać?

— Nie, ja…

Zastukał jednak, a właściwie zaczął walić pięścią.

— Briarly. — Penelopa spróbowała się uśmiechnąć na widok lokaja, który otworzył im drzwi.

— Panienka — mruknął, unosząc brew z zaskoczeniem. — Pan Bridgerton.

— Czy pani Featherington jest w domu? — zapytał Colin oschle.

— Tak, ale…

— Doskonale. — Śmiałym krokiem Colin wszedł do holu, bezceremonialnie ciągnąc za sobą Penelopę. — Gdzie jest?

— W salonie, ale powinienem panu wyjaśnić, że…

On był już jednak w połowie holu, a Penelopa krok za nim (nie miała wielkiego wyboru, ponieważ wciąż mocno trzymał ją za ramię).

— Panie Bridgerton! — ryknął kamerdyner, z lekka przerażony.

Penelopa obejrzała się, ale jej stopy nadal podążały za Colinem. Briarly nigdy nie panikował. W żadnej sprawie. Jeśli uważał, że nie powinni teraz wchodzić do salonu, to miał widocznie powód.

Może nawet… O nie!

Wbiła obcasy w podłogę, ślizgając się po drewnianym parkiecie, gdyż jej towarzysz nie ustępował.

— Colinie! — zawołała, krztusząc się przy pierwszej sylabie. — Colinie!

— Co? — syknął, nie zatrzymując się.

— Myślę, że naprawdę… Aaaaj! — Jej ślizgające się obcasy zahaczyły o krawędź chodnika i całym ciałem poleciała do przodu.

Bridgerton chwycił ją zręcznie i pomógł odzyskać równowagę.

— Co się dzieje?

Spojrzała nerwowo na drzwi salonu. Były lekko uchylone, ale może w środku było na tyle głośno, że matka nie słyszała, co się dzieje w holu.

— Penelopo — niecierpliwił się Colin.

— Eee… — Wciąż jeszcze był czas na ucieczkę. Rozejrzała się gorączkowo wokół siebie, choć nie wierzyła, że w holu znajdzie jakieś rozwiązanie.

— Penelopo. — Colin nerwowo stukał butem o podłogę. — Co się dzieje, u diabła?

Obejrzała się na Briarly’ego, który tylko wzruszył ramionami.

— To naprawdę może nie być najlepsza chwila na rozmowę z moją matką.

Bridgerton uniósł brew, naśladując minę kamerdynera sprzed kilku sekund.

— Chyba nie planujesz dać mi kosza, co?

— Nie, naturalnie, że nie — odparła pospiesznie, choć jeszcze nie oswoiła się z myślą, że jej się oświadczył.

— Więc jest to najlepsza chwila z możliwych — odrzekł tonem ucinającym wszelkie protesty.

— Ale to…

— Co?

Wtorek, pomyślała z rozpaczą. A właśnie minęło południe, co oznacza, że…

— Idziemy — rzekł Colin i, zanim zdążyła go powstrzymać, pchnął drzwi.

Colin ruszył do salonu z myślą, że choć dzień nie potoczył się zgodnie z planami, jakie poczynił rankiem, niemniej sprawy przybierały zdecydowanie miły obrót. Poślubienie Penelopy wydawało się rozsądnym posunięciem, a jeśli brać pod uwagę niedawne wydarzenia w powozie, zaskakująco kuszącym.

Ledwie jednak przekroczył próg salonu, pomyślał, że trafił właśnie do swego najgorszego koszmaru.

Matka Penelopy nie była sama. Wraz z nią w pokoju znajdowali się wszyscy Featheringtonowie, obecni i byli, wraz z małżonkami i kotem.

Było to najbardziej przerażające zbiorowisko ludzi, jakie Colin widział w życiu. Rodzina Penelopy była… no cóż, jeśli nie liczyć Felicyty (do której zawsze miał nieco podejrzliwy stosunek, w końcu jak można zaufać komuś, kto się przyjaźni z Hiacyntą?)… zatem była to rodzina… Nie umiał znaleźć odpowiedniego słowa. Z pewnością nie było to nic pochlebnego (choć może udałoby mu się uniknąć naprawdę obraźliwych określeń). Ale czy istniało słowo, którym można by opisać lekką tępotę, nadmierną gadatliwość, wścibstwo, przerażającą nudę i… nie, nie można było o tym zapomnieć, zwłaszcza odkąd rodzinne grono powiększyło się o Roberta Huxleya — niewiarygodną hałaśliwość?

Dlatego Colin po prostu się uśmiechnął. Tym swoim szerokim, przyjacielskim, nieco złośliwym uśmiechem. Zwykle to wystarczało za wszystkie wyjaśnienia. Dzisiaj nie stało się inaczej. Featheringtonowie uśmiechnęli się również i — dzięki Bogu — nic nie powiedzieli.

A przynajmniej nie od razu.

— Colinie — odezwała się pani Featherington z widocznym zaskoczeniem. — Jak miło, że sprowadziłeś Penelopę na to rodzinne spotkanie.

— Rodzinne spotkanie? — powtórzył.

Spojrzał na Penelopę, która stała z boku z nieszczęśliwą miną.

— Co wtorek — odpowiedziała słabiutkim głosem. — Nigdy ci nie mówiłam?

— Nie — odparł, choć wiedział, że to pytanie padło głównie na użytek rodziny. — Nie mówiłaś.

— Bridgerton! — ryknął Robert Huxley, który poślubił najstarszą z sióstr Featherington, Prudencję.

— Huxley — uprzejmie przywitał go Colin, cofając się dyskretnie. Lepiej zawczasu zadbać o swoje bębenki, na wypadek gdyby szwagier Penelopy zamierzał opuścić swoje stanowisko przy oknie.

Huxley na szczęście nie ruszył się z miejsca, ale za to drugi ze szwagrów Penelopy, dobrotliwy, choć z lekka nieobecny duchem Nigel Berbrooke podszedł do gościa i powitał go potężnym klepnięciem w ramię.

— Nie spodziewałem się ciebie — zawołał jowialnie.

— Nie — mruknął Colin. — Też mi się tak zdaje.

— W końcu to tylko rodzina — zauważył Berbrooke. — A ty nie należysz do rodziny. Przynajmniej do mojej.

— Przynajmniej na razie — dopowiedział Colin, zerkając na Penelopę, która oblała się ciemnym rumieńcem.

Gdy przeniósł wzrok na panią Featherington, ta wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć z wrażenia. Colin jęknął, pomimo uśmiechu. Nie chciał, aby usłyszała ten komentarz. Poprosiwszy Penelopę o rękę, zamierzał zachować ów fakt jakiś czas w tajemnicy. Zależało mu bowiem

na zaskoczeniu. Gdyby Portia Featherington od razu poznała jego intencje, próbowałaby zapewne odwrócić kota ogonem (przynajmniej w myślach) i wmawiać wszystkim, że to ona zaaranżowała ten związek

A Colin z jakiegoś powodu uważał to za odrażający pomysł.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — zwrócił się do niej.

— Nie, oczywiście, że nie — odparła szybko. — Jesteśmy zachwyceni, że możemy gościć pana na naszym rodzinnym spotkaniu. — Wydawała się jednak mocno speszona, jakby nie wiedziała, czym tłumaczyć jego obecność, a co gorsza, jaki kolejny ruch wykonać. Przygryzła dolną wargę, a potem rzuciła szybkie spojrzenie na najmłodszą córkę.

Bridgerton również spojrzał na Felicytę, która z tajemniczym uśmieszkiem przyglądała się właśnie Penelopie. Ta z kolei mierzyła wzrokiem matkę, zaciskając usta w pełnym irytacji grymasie.

Colin wodził spojrzeniem od jednej damy do drugiej. Wyraźnie dało się wyczuć, że pod pozornym spokojem spotkania coś się kotłuje, i gdyby nie to, że (A) nie zamierzał wdawać się w konwersację z całą rodziną, nie zaniedbując wszakże (B) złożenia propozycji małżeństwa… zapewne zacząłby się zastanawiać nad przyczyną owych ukradkowych spojrzeń, jakie sobie rzucały panie Featherington.

Portia Featherington zlustrowała Felicytę po raz ostatni, wykonała dłonią gest, który — Colin był tego absolutnie pewien — oznaczał „Siedź prosto”, po czym znów spojrzała na gościa.

— Nie usiądziesz? — zapytała i zachęcająco poklepała siedzenie sofy obok siebie.

— Oczywiście — wymamrotał, ponieważ teraz już naprawdę nie miał wyjścia. Musiał poprosić o rękę Penelopy, a jeśli nawet niekoniecznie chciał to uczynić na oczach wszystkich Featheringtonów w komplecie (jak

również dwójki uroczych małżonków), to i tak utknął na dobre, przynajmniej do chwili, aż nadarzy się sposobność, aby wziąć nogi za pas.

Obejrzał się i podał ramię kobiecie, którą zamierzał uczynić swoją żoną.

— Penelopo?

— Eee… tak, oczywiście — wymamrotała, kładąc palce w zgięciu jego łokcia.

— Och, tak — odezwała się nagle pani Featherington, jakby całkiem zapomniała o obecności córki. — Przepraszam, Penelopo, nie zauważyłam cię. Możesz pójść i poprosić kucharkę, aby przygotowała więcej jedzenia? Przyjechał pan Bridgerton i z pewnością będziemy go potrzebować.

— Oczywiście — odparła Penelopa, ale kąciki jej ust zadrżały.

— A nie może zadzwonić po lokaja? — zaproponował Colin.

— Co? — z roztargnieniem zapytała pani domu. — A tak, zapewne może, lecz to zajmie więcej czasu, a Penelopie to chyba nie przeszkadza, nieprawdaż?

Jej córka leciutko pokręciła głową.

— Ale mnie to przeszkadza — oświadczył Bridgerton.

Pani Featherington jęknęła z zaskoczenia, po czym stwierdziła:

— Doskonale, Penelopo, może zatem usiądziesz tutaj? — Wskazała krzesło stojące z dala od kręgu rozmówców.

Felicyta, która zajmowała miejsce naprzeciw matki, teraz zerwała się na równe nogi.

— Penelopo, proszę, usiądź tutaj.

— Nie — stanowczo sprzeciwiła się pani Featherington. — Felicyto, ty się źle czujesz, musisz siedzieć.

Colin pomyślał, że Felicyta wygląda jak okaz zdrowia, ale dziewczyna i tak usłuchała.

— Penelopo — od strony okna odezwała się Prudencja — muszę z tobą

porozmawiać.

Penelopa spoglądała bezradnie — to na Colina, to na matkę, to na obie siostry.

Bridgerton szarpnięciem przyciągnął ją do siebie.

— Ja też z nią muszę porozmawiać — oznajmił.

— No cóż, niech będzie, chyba zmieścicie się oboje — rzekła zgodnie pani Featherington, przesuwając się na skraj sofy.

Colin znalazł się w potrzasku: nie potrafił zapomnieć dobrych manier, które wpajano mu od dziecka, a równocześnie zwalczyć przemożnej chęci uduszenia swej przyszłej teściowej. Nie miał pojęcia, dlaczego ta kobieta traktuje swą córkę jak ubogą pasierbicę, ale był najwyższy czas położyć temu kres.

— Co cię tu sprowadza? — ryknął Robert Huxley.

Colin położył dłonie na uszach — nie mógł się powstrzymać, po czym odrzekł:

— Zamierzałem…

— O nie. — Zatrzepotała rękami pani Featherington. — Nie będziemy przecież wypytywać naszego drogiego gościa, nieprawdaż?

Colin nie sądził, aby pytanie Huxleya stanowiło wstęp do przesłuchania, ale nie chciał obrazić gospodyni, więc tylko kiwnął głową i rzucił nic nieznaczące: „Jasne, tak, oczywiście”.

— Co oczywiście? — zapytała Philipa.

Philipa była żoną Nigela Berbrooke’a. Bridgerton zawsze uważał, że są dobraną parą, i chyba się nie mylił.

— Słucham? — zapytał.

— Powiedziałeś „oczywiście” — nalegała Philipa. — Co „oczywiście”?

— Nie wiem — poddał się.

— No tak, rozumiem. Skoro nie wiesz dlaczego…?

— Philipo — zwróciła się do niej matka — może powinnaś wybrać się do kuchni, skoro Penelopa zapomniała zadzwonić?

— O, przepraszam — szybko zawołała Penelopa, zrywając się na równe nogi.

— Spokojnie. — Z łagodnym uśmiechem Colin chwycił ją za rękę i jednym szarpnięciem ściągnął z powrotem na sofę. — Twoja mama powiedziała, że Prudencja może iść.

— Philipa — poprawiła go Penelopa.

— Co z Philipą?

— Powiedziała, że może iść Philipa, nie Prudencja.

Colin zaczął się zastanawiać, co się stało z jej mózgiem, bo odnosił wrażenie, że gdzieś go zgubiła w drodze z powozu do salonu.

— A co to ma za znaczenie? — zapytał.

— No nie, nie ma znaczenia, ale…

— Felicyto — weszła im w słowo pani Featherington — może opowiesz panu Bridgertonowi o swoich akwarelach?

Colin nigdy w życiu nie słyszał o nudniejszym temacie, może z wyjątkiem akwarel Philipy, ale uprzejmie zwrócił się do najmłodszej Featheringtonówny z zapytaniem:

— I jak się mają twoje akwarele?

Felicyta uśmiechnęła się do niego przyjaźnie i odparła:

— Chyba mają się nieźle, dziękuję.

Jej matka wyglądała, jakby właśnie połknęła żywego węgorza.

— Felicyto! — zawołała z oburzeniem.

— Tak? — słodziutko zapytała dziewczyna.

— Nie powiedziałaś, że dostałaś nagrodę. — Spojrzała na Colina. —

Akwarele Felicyty są unikatowe. — Znów zwróciła się ku córce. — Opowiedz panu Bridgertonowi o nagrodzie.

— O, nie sądzę, aby był tym zainteresowany.

— Oczywiście, że jest — warknęła pani Featherington.

W normalnych warunkach Colin podchwyciłby jej słowa, wołając: „Oczywiście, że tak”. Był w końcu bardzo miłym dżentelmenem. Tym samym jednak potwierdziłby słowa jej matki i — być może — zepsuł Felicycie dobrą zabawę.

A Felicyta wydawała się bawić znakomicie.

— Philipo — zagadnęła siostrę — nie wybierasz się przypadkiem do kuchni?

— O, właśnie. Całkiem o tym zapomniałam. Ciągle o czymś zapominam. Chodź, Nigelu, dotrzymasz mi towarzystwa.

— Jasneee — rozpromienił się Nigel, po czym oboje wybiegli z pokoju, chichocząc jak dzieci.

Colin powtórnie stwierdził, że małżeństwo Featherington-Berbrooke było znakomitym duetem.

— Chyba wyjdę do ogrodu — oznajmiła nagle Prudencja i chwyciła męża za ramię. — Penelopo, pójdziesz z nami?

Penelopa otwarła usta, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Wyglądała jak zakłopotana rybka (zdaniem Colina bardzo ładna rybka, jeśli w ogóle istnieje coś takiego). Ostatecznie zadarła brodę i odrzekła zdecydowanie:

— Nie sądzę.

— Penelopo! — wykrzyknęła pani Featherington.

— Chciałam, żebyś mi coś pokazała — wycedziła Prudencja.

— Naprawdę uważam, że tu będę bardziej potrzebna — oświadczyła Penelopa. — Możemy porozmawiać po południu, jeśli chcesz.

— Chcę teraz.

Penelopa spojrzała na siostrę zaskoczona, widocznie nie spodziewając się takiego oporu.

— Przykro mi, Prudencjo — odrzekła. — Sądzę, że jestem potrzebna tutaj.

— Nonsens — wtrąciła się pani Featherington. — Razem z Felicytą dotrzymamy towarzystwa panu Bridgertonowi.

Felicyta zerwała się na równe nogi.

— O nie! — zawołała, niewinnie wytrzeszczając oczy. — Zapomniałam o czymś!

— O czym jeszcze mogłaś zapomnieć? — wycedziła jej matka przez zęby.

— O… moich akwarelach… — Spojrzała na Colina z przekornym uśmieszkiem. — Chciałeś je zobaczyć, nieprawdaż?

— Oczywiście — odparł, stwierdzając nagle, że bardzo lubi młodszą siostrę Penelopy. — Chciałbym zobaczyć, jakie są unikatowe.

— Można powiedzieć, że są wyjątkowo, unikatowo zwyczajne — poinformowała go Felicyta.

— Penelopo — odezwała się pani Featherington, usiłując bezskutecznie ukryć zdenerwowanie — czy byłabyś tak uprzejma i przyniosła akwarele siostry?

— Penelopa nie wie, gdzie one są — szybko wtrąciła Felicyta.

— Możesz jej chyba powiedzieć?

— Na litość boską! — wybuchnął wreszcie Colin. — Niech Felicyta idzie po nie, chcę porozmawiać z panią sam na sam.

Zapanowało milczenie. Po raz pierwszy w historii Colin Bridgerton okazał publicznie irytację. Usłyszał za plecami ciche westchnienie Penelopy, ale kiedy na nią spojrzał, zakrywała dłonią lekki uśmieszek.

Poczuł się dziwnie szczęśliwy.

— Porozmawiać sam na sam? — powtórzyła pani Featherington, czując, że serce łomocze jej w piersi. Spojrzała na Prudencję i Roberta, którzy stali przy oknie, a teraz pospiesznie opuścili salon, choć nie bez protestów Prudencji.

— Penelopo — odezwała się pani Featherington — może powinnaś towarzyszyć Felicycie?

— Penelopa zostanie — warknął Colin.

— Penelopa? — powtórzyła ze zdumieniem jej matka.

— Tak — odparł powoli, na wypadek gdyby pani domu nadal nie rozumiała jego słów. — Penelopa.

— Ale…

Bridgerton obrzucił ją takim spojrzeniem, że cofnęła się i splotła ręce na kolanach.

— Już mnie nie ma! — zaszczebiotała Felicyta i wybiegła z salonu. Zanim jednak zamknęła za sobą drzwi, Colin zauważył, że puściła szelmowskie oko.

Penelopa uśmiechnęła się. Jej oczy lśniły miłością do młodszej siostry.

Colin odetchnął. Nie miał pojęcia, jak bardzo denerwowało go poniżanie Penelopy. A ona bez wątpienia była tutaj poniżana. Dobry Boże, nie mógł się już doczekać, kiedy wyrwie ją z tego groteskowego zbiorowiska.

Pani Featherington rozciągnęła usta w żałosnej próbie uśmiechu. Spoglądała to na Penelopę, to na Colina.

— Chciał pan ze mną rozmawiać? — zapytała wreszcie.

— Tak — potwierdził, pragnąc mieć to już za sobą. — Byłbym zaszczycony, jeśli oddałaby mi pani rękę swojej córki.

Przez moment pani Featherington nie reagowała. A potem jej oczy zrobiły się okrągłe, usta też, a ciało… ciało już od dawna było okrągłe.

Zaklaskała w dłonie, nie mogąc wykrztusić nic poza: „Och! Och!” A następnie:

— Felicyto! Felicyto! Felicyto?

Portia Featherington skoczyła na równe nogi, podbiegła do drzwi i rozdarła się jak prawdziwa handlarka ryb:

— Felicyto! Felicyto!

— Och, mamo — jęknęła Penelopa, przymykając oczy.

— Dlaczego woła pani Felicytę? — zapytał Colin, zrywając się z miejsca.

Gospodyni spojrzała na niego pytająco.

— Nie chce pan się żenić z Felicytą?

Colin pomyślał, że zaraz zwymiotuje.

— Nie, na litość boską, nie chcę się żenić z Felicytą — warknął. — Gdybym chciał się z nią żenić, raczej nie wysyłałbym jej na górę po te cholerne akwarele, czyż nie?

Portia Featherington niepewnie przełknęła ślinę.

— Panie Bridgerton — rzekła wreszcie, załamując ręce — nie rozumiem.

Przyglądał jej się z przerażeniem, które wkrótce zmieniło się w odrazę.

— Penelopa — rzekł, chwytając rzeczoną za rękę i przyciągając do siebie. — Chcę się ożenić z Penelopą.

— Penelopą? — powtórzyła jak echo jej matka. — Ale…

— Ale co? — przerwał jej z wyraźną groźbą w głosie.

— Ale… ale…

— W porządku, Colinie — pospiesznie wtrąciła Penelopa. — Ja…

— Nie, to nie jest w porządku — wybuchnął. — Nigdy nie sugerowałem, że jestem bodaj w najmniejszym stopniu zainteresowany Felicytą.

Felicyta, która właśnie stanęła w drzwiach, zakryła usta dłonią i szybko znikła, starannie zamykając za sobą drzwi.

— Tak — uspokajająco wtrąciła Penelopa, kątem oka spoglądając na matkę — ale Felicyta jest niezamężna, więc…

— Ty też — zauważył.

— Wiem, ale ja jestem stara i…

— A Felicyta to dziecko! — prychnął. — Boże, ożenić się z nią to tak, jakbym ożenił się z Hiacyntą!

— Ekhm, jeśli nie liczyć kazirodztwa — wtrąciła Penelopa. — Colin rzucił jej spojrzenie całkowicie pozbawione humoru. — Słusznie — powiedziała, głównie po to, żeby wypełnić ciszę, jaka zapadła. — To przecież jakieś okropne nieporozumienie, prawda? — Nikt nie odpowiedział. Penelopa spojrzała na Colina błagalnie. — Prawda?

— Z całą pewnością — mruknął.

Spojrzała na matkę.

— Mamo?

— Penelopo? — Było oczywiste, że matka nie zwróciła się do niej z pytaniem; raczej wyraziła niedowierzanie, że Colin chce się ożenić właśnie z nią.

To bolało, och, jak strasznie bolało. A myślałby kto, że już się do tego przyzwyczaiła.

— Chcę wyjść za pana Bridgertona — oświadczyła Penelopa z całą godnością, na jaką było ją stać. — Poprosił mnie, a ja się zgodziłam.

— Oczywiście, że się zgodziłaś — odparowała matka. — Byłabyś idiotką, gdybyś się nie zgodziła.

— Pani Featherington — wtrącił Bridgerton z napięciem w głosie — wolałbym, aby traktowała pani moją przyszłą żonę z nieco większym szacunkiem.

— Colinie, to nie jest konieczne — rzekła Penelopa, kładąc mu dłoń na ramieniu, a jej serce przepełniła radość. Może jej nie kochał, ale

z pewnością troszczył się o nią. Żaden mężczyzna nie odnosił się do kobiety tak opiekuńczo, jeśli choć trochę mu na niej nie zależało.

— To jest konieczne — odparł. — Na Boga, Penelopo, przyjechałem tu z tobą, dość jasno dałem wszystkim do zrozumienia, że twoja obecność jest mi niezbędna. Praktycznie wypchnąłem twoją siostrę za drzwi. Dlaczego ktoś miałby pomyśleć, że chciałem prosić o rękę Felicyty?

Pani Featherington kilkakrotnie otwarła i zamknęła usta, po czym wykrztusiła:

— Kocham Penelopę. Oczywiście, że ją kocham, ale…

— Ale zna ją pani? — odparował Colin. — Jest ładna i miła, i ma poczucie humoru. Kto nie chciałby się ożenić z taką kobietą?

Penelopa chyba odfrunęłaby, gdyby nie trzymała go mocno za rękę.

— Dzięki — szepnęła, nie dbając o to, czy matka ją słyszy, czy nie. Właściwie nie dbała nawet o to, czy Colin ją usłyszał. Musiała to powiedzieć dla samej siebie.

Była czymś więcej, niż sądziła.

Przed oczami zamajaczyła jej lady Danbury; życzliwy, nieco przebiegły wyraz twarzy starszej damy.

Coś więcej. Może Penelopa była czymś więcej, a może Colin był jedyną osobą, która to zrozumiała. Kochała go za to jeszcze bardziej.

Matka odchrząknęła, zrobiła krok do przodu i wyciągnęła ramiona do Penelopy. Objęły się niepewnie, z wahaniem; ostatecznie Portia uścisnęła serdecznie swoją trzecią córkę, a ta nie pozostała jej dłużna.

— Kocham cię, Penelopo, naprawdę — rzekła pani Featherington. — Bardzo się cieszę. — Odstąpiła, ocierając łzę z oka. — Bez ciebie będę się oczywiście czuła bardzo samotna. Już się przyzwyczaiłam do myśli, że zestarzejemy się razem, ale tak chyba będzie lepiej dla ciebie, a przecież na tym powinno zależeć matce.

Penelopa głośno pociągnęła nosem, na oślep sięgnęła po chusteczkę, którą Colin usłużnie jej podetknął.

— Kiedyś się dowiesz — dodała Portia, klepiąc ją po ramieniu. Przeniosła wzrok na Bridgertona. — Z radością witamy cię w rodzinie.

Skinął głową bez przesadnej uprzejmości, ale Penelopa uznała, że i tak bardzo się postarał. Wiedziała przecież, jak wściekły był jeszcze przed chwilą.

Uśmiechnęła się i ścisnęła jego dłoń, czując, że właśnie rozpoczęła przygodę swojego życia.

15

Wiesz co? — odezwała się Eloise w trzy dni po niespodziewanym ogłoszeniu zaręczyn Penelopy i Colina. — Wielka szkoda, że lady Whistledown odeszła, bo byłoby to wydarzenie dziesięciolecia.

— Z punktu widzenia lady Whistledown zapewne tak — zgodziła się Penelopa, unosząc filiżankę do ust i nie odrywając wzroku od zegara ściennego w saloniku lady Bridgerton. Lepiej było teraz nie patrzeć wprost na Eloise, która zawsze potrafiła wyczytać tajemnicę z oczu rozmówcy.

Zabawne. Przez tyle lat Penelopa nie obawiała się, że przyjaciółka odkryje, kto jest lady Whistledown. A przynajmniej nie bardzo. Teraz jednak, odkąd Colin wiedział, wydawało jej się, że tajemnica unosi się w powietrzu i tylko czeka, aż zostanie odkryta.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała ze zdziwieniem Eloise, przerywając nerwowy tok myśli przyjaciółki.

— Jeśli dobrze pamiętam — ostrożnie zaczęła Penelopa — kiedyś napisała, że wycofa się, jeśli wyjdę za mąż za Bridgertona.

— Naprawdę? — Eloise wytrzeszczyła oczy.

— Albo coś w tym rodzaju — dokończyła Penelopa.

— Żartujesz — prychnęła Eloise i lekceważąco machnęła ręką. — Nie byłaby aż tak okrutna.

Penelopa zakrztusiła się. Nie wierzyła, że zdoła w ten sposób zmienić niewygodny temat, ale mimo wszystko postanowiła spróbować.

— Nie, ale co ona naprawdę powiedziała? — nalegała Eloise.

— Nie pamiętam słowo w słowo.

— Przypomnij sobie.

Penelopa próbowała zyskać na czasie, odstawiając filiżankę i sięgając po kolejnego herbatnika. Siedziały przy herbacie tylko we dwie, co było dość nietypowe, lecz lady Bridgerton wyciągnęła Colina na zakupy w związku ze zbliżającym się ślubem. Towarzyszyły im Hiacynta i Felicyta, która wcześniej z wielkiej radości zarzuciła siostrze ramiona na szyję i piszczała tak długo, że przyszła panna młoda prawie ogłuchła.

— No cóż — mruknęła Penelopa, odgryzając kawałek ciastka. — Napisała chyba, że jeśli wyjdę za Bridgertona, będzie to koniec znanego jej świata, a ponieważ w tym odmienionym ona nie będzie umiała się odnaleźć, zmuszona będzie się wycofać.

Panna Bridgerton przez chwilę przyglądała się przyjaciółce ze zdumieniem.

— To nie jest słowo w słowo?

— Takich rzeczy łatwo się nie zapomina — odparła Penelopa.

— Hm. — Eloise zmarszczyła nos. — Rzeczywiście, to nie było miłe z jej strony. Ale i tak chciałabym, żeby znów zaczęła pisać, musiałaby odszczekać wszystkie te bzdury, które do tej pory nadrukowała.

— Myślisz, że umie szczekać?

— Nie wiem — lekko odparła Eloise. — Ale powinna.

— Jesteś bardzo dobrą przyjaciółką — cicho szepnęła Penelopa.

— Tak — odparła panna Bridgerton z afektowanym westchnieniem. — Wiem. Najlepszą.

Penelopa uśmiechnęła się. Eloise wydawała się w dobrym humorze. Doskonale. Na wszystko jest czas. Penelopa powiedziała to, co chciała powiedzieć, wiedziała też, że Eloise odwzajemnia jej przyjaźń, choć w tej chwili akurat wolała się drażnić i żartować.

— Muszę jednak przyznać — rzekła Eloise, sięgając po ciasteczko — że ty i Colin zaskoczyliście mnie.

— Mnie też — dodała Penelopa ponuro.

— Nie, to nie znaczy, że nie jestem zachwycona — pospiesznie wyjaśniła Eloise. — Jesteś najlepszą siostrą, jaką mogłabym sobie wymarzyć. Oczywiście oprócz tych, które już mam. Lecz gdybym choć podejrzewała, że macie się ku sobie, swatałabym was bez litości.

— Wiem — odparła panna Featherington z lekkim uśmieszkiem.

— No cóż — Eloise lekceważąco machnęła ręką — nie jestem znana z tego, że pilnuję własnego nosa.

— A co masz na palcach? — zaciekawiła się Penelopa, pochylając się, żeby się lepiej przyjrzeć.

— Co? A, to? To nic… — Przyjaciółka szybko splotła dłonie na podołku.

— To nie jest nic — odrzekła Penelopa. — Niech zobaczę… wygląda jak atrament.

— No jasne, że tak! Bo to jest atrament.

— Więc dlaczego nie odpowiedziałaś, jak spytałam?

— Ponieważ — zadziornie odparła Eloise — to nie twoja sprawa.

Penelopa cofnęła się zdumiona ostrym tonem głosu przyjaciółki.

— Przepraszam bardzo — powiedziała chłodno. — Nie miałam pojęcia, że to taki drażliwy temat.

— O, nic podobnego — szybko zaprzeczyła Eloise. — Nie bądź niemądra. Chodzi o to, że jestem bardzo niezdarna i nie umiem pisać tak, by nie wymazać się atramentem. Mogłabym wkładać rękawiczki, ale wtedy to one będą poplamione, a ja nieustannie będę je wymieniać. Zapewniam cię, że nie mam najmniejszej ochoty wydawać swego skromnego kieszonkowego na rękawiczki…

W trakcie całej tej przemowy Penelopa uważnie przyglądała się Eloise.

— Co pisałaś? — zapytała.

— Nic — rzuciła lekceważąco Eloise. — Listy.

Z oschłego tonu przyjaciółki Penelopa mogła wywnioskować, że nie ma ona ochoty zgłębiać tematu, ale ta jej niezwykła oszczędność w słowach sprawiła, że nie mogła się oprzeć.

— Do kogo piszesz?

— Listy?

— Tak — rzekła Penelopa, choć wydawało jej się, że dość jasno się wyraziła.

— O, do nikogo.

— No cóż, jeśli to nie pamiętnik, listy zawsze pisze się do kogoś — zauważyła Penelopa z lekkim zniecierpliwieniem. Panna Bridgerton obrzuciła ją nieco zirytowanym spojrzeniem.

— Bardzo jesteś dzisiaj wścibska.

— Tylko dlatego, że odpowiadasz wymijająco.

— Listy są do Franceski — odparła Eloise z lekkim prychnięciem.

— No to dlaczego od razu nie powiedziałaś?

Przyjaciółka skrzyżowała ramiona na piersi.

— Może nie spodobało mi się twoje wypytywanie?

Penelopa szeroko otwarła usta. Nie przypominała sobie, aby miały z Eloise kiedykolwiek jakąś sprzeczkę.

— Eloise? Co się dzieje?

— Nic się nie dzieje.

— Wiem, że to nieprawda.

Eloise zasznurowała usta i spojrzała w kierunku okna, wyraźnie dając do zrozumienia, że chce zakończyć tę rozmowę.

— Gniewasz się na mnie? — spytała Penelopa.

— A dlaczego miałabym się gniewać?

— Nie wiem, ale to widzę.

Eloise westchnęła lekko.

— Nie, nie gniewam się.

— Ale coś ci jest.

— Jestem tylko… jestem… — Pokręciła głową. — Nie wiem, co mi jest. Chyba mnie nosi. Coś w tym rodzaju.

Penelopa zamilkła, przetrawiając tę informację, po czym spytała cicho:

— Mogę ci jakoś pomóc?

— Nie — smutno odparła Eloise. — Gdybyś mogła, już bym cię o to poprosiła.

Penelopa poczuła, że ogarnia ją wesołość. Taki komentarz był wyjątkowo podobny do Eloise.

— Sądzę, że to przez… — zaczęła Eloise, unosząc w zadumie podbródek. — Nie, nieważne.

— Nie — zaoponowała Penelopa, sięgając do ręki przyjaciółki — Powiedz mi.

Eloise uwolniła dłoń i odwróciła wzrok.

— Pomyślisz, że jestem głupia.

— Może — zgodziła się Penelopa. — Jednak nadal pozostaniesz moją najbliższą przyjaciółką.

— Och, Penelopo, ale nie jestem tego warta — ze smutkiem odparła Eloise.

— Nie mów takich rzeczy. Bez ciebie nigdy nie byłabym w stanie odnaleźć się w Londynie i w towarzystwie.

Eloise uśmiechnęła się.

— Wesoło było, prawda?

— No cóż, naturalnie, kiedy byłam z tobą — przyznała Penelopa. — Bo przez resztę czasu byłam cholernie nieszczęśliwa.

— Penelopo! Nigdy do tej pory nie słyszałam, żebyś przeklinała.

Panna Featherington uśmiechnęła się z zażenowaniem.

— Wypsnęło mi się. A poza tym nie potrafię znaleźć lepszego przymiotnika na określenie życia palmy ozdobnej pośród towarzystwa.

Eloise zachichotała nieoczekiwanie.

— O, chciałabym przeczytać taką powieść *Palma ozdobna w towarzystwie*.

— Jeśli lubisz dramaty…

— O, daj spokój, to nie może być dramat. Z pewnością to romans. W końcu masz szczęśliwe zakończenie, prawda?

Penelopa uśmiechnęła się. Może to dziwne, ale istotnie miała swoje szczęśliwe zakończenie. Od trzech dni, to znaczy odkąd trwał ich związek, Colin był czułym i troskliwym narzeczonym. A nie było im łatwo — przyglądano im się uważniej, niż mogłaby przypuszczać.

Nie była jednak zaskoczona. Kiedy jeszcze jako lady Whistledown napisała, że znany jej świat skończyłby się, gdyby Featheringtonówna wyszła za Bridgertona, sądziła, że wyraża przekonanie ogółu.

Istotnie, reakcja towarzystwa na zaręczyny była co najmniej gwałtowna.

Pomimo przyjemności, jaką sprawiało jej rozważanie uroków stanu małżeńskiego, Penelopa była zbyt zaniepokojona dziwnym zachowaniem przyjaciółki, by pozwolić jej uciec od tematu.

— Eloise — rzekła poważnie — chcę wiedzieć, co cię tak zirytowało.

Panna Bridgerton westchnęła.

— Myślałam, że zapomnisz.

— Uporu uczyłam się od mistrzyni — zauważyła Penelopa. Eloise uśmiechnęła się przelotnie.

— Czuję się bardzo nielojalna — szepnęła.

— Co zrobiłaś?

— Och, nic. — Położyła dłoń na piersi. — To wszystko tkwi w środku. Ja… — urwała, wbijając wzrok w ozdobiony frędzlami róg dywanu. —

Jestem taka szczęśliwa z twojego powodu — wyrzuciła z siebie. — Uczciwie mogę powiedzieć, że naprawdę, naprawdę nie jestem zazdrosna. Ale jednocześnie…

Penelopa czekała, aż przyjaciółka zbierze myśli. Albo raczej odwagę.

— Ale jednocześnie — wyszeptała tak cicho, że ledwie było ją słychać — zawsze sądziłam, że obie będziemy starymi pannami. Wybrałam sobie takie życie. Mogłam wyjść za mąż.

— Wiem — wtrąciła cicho Penelopa.

— Ale nie wyszłam, ponieważ nigdy nie trafiłam na nikogo właściwego, a nie chciałam związać się z kimś gorszym niż moi bracia i siostry. A teraz również i Colin…

Penelopa nie wspomniała, że Colin nigdy nie mówił jej o miłości. Moment nie wydawał się odpowiedni, a zresztą nie było czym się chwalić. Poza tym, nawet jeśli jej nie kochał, wiedziała, że mu na niej zależy, i to jej wystarczało.

— To nie było tak, że chciałam żebyś nie wyszła za mąż — tłumaczyła dalej Eloise. — Po prostu nie sądziłam, że tak się stanie. — Przymknęła oczy, wyraźnie przerażona. — Wszystko mówię nie tak. Strasznie cię obraziłam.

— Nie, nieprawda — zaprzeczyła Penelopa. — Ja też nie przypuszczałam, że wyjdę za mąż.

Eloise smutno pokiwała głową.

— I to było jakoś… tak jak trzeba. Miałam prawie dwadzieścia osiem lat i byłam panną, a ty ponad dwadzieścia osiem i też byłaś panną. Ale miałyśmy siebie nawzajem. A teraz ty masz Colina.

— I ciebie też. Przynajmniej mam nadzieję, że tak jest.

— Oczywiście — zapewniła Eloise. — Ale to już nie to samo. Musisz stać u boku swego męża. A przynajmniej tak mówią — dodała ze złośliwym

błyskiem w oku. — Colin zawsze będzie ważniejszy, tak zresztą powinno być. A szczerze mówiąc — przybrała przekorną minę — zabiłabym cię, gdyby było inaczej. To mój ukochany brat. Nie chciałabym, żeby miał nielojalną żonę.

Penelopa zaśmiała się serdecznie.

— Bardzo mnie nienawidzisz? — zapytała Eloise.

— Nie — odrzekła Penelopa cicho. — Raczej kocham cię jeszcze bardziej, bo wiem, jak trudno było ci zdobyć się na to wyznanie.

— Cieszę się, że to powiedziałaś — rzekła Eloise z dramatycznym westchnieniem. — Obawiałam się, że zaraz każesz mi także poszukać sobie męża.

— Oczywiście, że nie — zaprzeczyła Penelopa gwałtownie, choć podobna myśl przemknęła jej przez głowę.

— To dobrze. Matka i tak wciąż mi to powtarza.

— Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej — posępnie mruknęła Penelopa.

— Witam moje panie!

Obie przyjaciółki podniosły wzrok na Colina, który właśnie wszedł do salonu. Serce Penelopy podskoczyło leciutko, z lekka zatamowało jej też oddech. Drgnienia serca na jego widok towarzyszyły jej od lat, lecz teraz wydawały się inne, silniejsze.

Może dlatego, że już wiedziała, jak to jest być z nim, czuć jego pożądanie.

Wiedziała po prostu, że to jej przyszły mąż. Serce podskoczyło jeszcze raz.

— Zjadłyście wszystko? — Colin jęknął głośno.

— Był tylko jeden mały talerzyk ciasteczek — zaprotestowała Eloise.

— A mnie powiedziano co innego — burknął jej brat.

Penelopa i Eloise wymieniły spojrzenia i parsknęły śmiechem.

— Co? — zapytał Colin i pochylił się, żeby musnąć ustami policzek narzeczonej.

— Miałeś taką groźną minę — wyjaśniła Eloise. — A przecież chodzi tylko o jedzenie.

— Nigdy nie chodzi tylko o jedzenie — odparł, opadając na fotel.

Penelopa tymczasem zastanawiała się, kiedy skóra na policzku przestanie ją piec.

— Doskonale — rzekł Colin, podkradając z talerza siostry nadgryzione ciasteczko. — O czym rozmawiałyście?

— O lady Whistledown — szybko odpowiedziała Eloise. Penelopa zakrztusiła się herbatą.

— Naprawdę? — cicho zapytał Colin; w jego głosie dało się wyczuć nutę gniewu.

— Tak — odparła Eloise. — Mówiłam właśnie Penelopie, jak to źle, że się wycofała. Wasze zaręczyny byłyby prawdziwą sensacją i najlepszym tematem do plotek, jaki mieliśmy od lat.

— Ciekawe, jak to się dzieje — mruknął Colin.

— Mhm — zgodziła się Eloise. — Z całą pewnością poświęciłaby całą szpaltę na opis samego balu zaręczynowego.

Penelopa na wszelki wypadek nie odrywała filiżanki od ust.

— Chcesz jeszcze herbaty?

Skinęła głową, podsuwając filiżankę, choć bardzo brakowało jej osłony. Domyślała się, że Eloise dlatego wspomniała o lady Whistledown, ponieważ nie chciała, aby brat dowiedział się, o czym rozmawiały, żałowała jednak, że przyjaciółka nie wymyśliła czegoś innego.

— Czemu nie zadzwonisz po jedzenie? — zapytała Eloise Colina.

— Zrobiłem to już — odparł. — Wickham spotkał mnie na schodach

i spytał, czy nie jestem głodny. — Wsunął do ust ostatni kawałek skradzionego ciastka. — Mądry z niego człowiek.

— Gdzie dzisiaj byłeś? — zapytała Penelopa, pragnąc zmienić temat rozmowy.

Colin potrząsnął głową.

— Nie mam zielonego pojęcia. Mama ciągnęła mnie od sklepu do sklepu.

— Czy nie skończyłeś trzydziestu trzech lat? — zapytała słodko Eloise.

Brat odpowiedział jej grymasem.

— No cóż, myślałam, że jesteś już po prostu za stary na to, żeby dać się ciągać mamie — zauważyła niewinnie.

— Mama będzie nas prowadzała, nawet jeśli będziemy zgrzybiałymi staruszkami, wiesz o tym — odrzekł. — Poza tym tak się cieszy z mojego ślubu, że doprawdy nie potrafię jej odmówić tej przyjemności.

Penelopa westchnęła. Dlatego właśnie go kochała. Ponadto ktoś, kto tak dobrze traktuje matkę, z pewnością będzie doskonałym mężem.

— Jak posuwają się przygotowania do ślubu? — zwrócił się do niej Colin.

Nie chciała się skrzywić, ale nie zdołała się powstrzymać.

— W życiu nie byłam tak wykończona — przyznała.

Colin wyciągnął rękę i porwał z jej talerzyka duży okruch.

— Powinniśmy zwiać.

— O, naprawdę sądzisz, że moglibyśmy? — zapytała Penelopa z niezrozumiałym nawet dla niej pośpiechem.

Bridgerton zamrugał.

— Właściwie żartowałem, ale w istocie to wspaniały pomysł.

— To ja się zajmę drabiną. — Eloise zaklaskała w dłonie. — Będziesz mógł wspiąć się do jej pokoju i dokonać porwania.

— Jest drzewo — wtrąciła Penelopa. — Poradzi sobie bez trudu.

— Boże! — zawołał Colin. — Chyba nie mówicie poważnie?

— Nie — westchnęła. — Ale mogłabym się nad tym zastanowić, gdybyś ty pomyślał o tym poważnie.

— Nie mogę. Wiesz, jak mama by to przeżyła? — Wzniósł oczy do sufitu. — O twojej już nie wspomnę.

— Wiem — jęknęła Penelopa.

— Wytropiłaby mnie i zabiła — dodał.

— Moja czy twoja?

— Obie. Połączyłyby siły. — Obejrzał się na drzwi. — No, gdzie to jedzenie?

— Ledwo wszedłeś — przypomniała mu Eloise. — Daj im czas.

— A ja myślałem, że Wickham to czarodziej i wyczaruje mi posiłek z rękawa — burknął.

— Ależ proszę uprzejmie, sir! — rozległ się głos lokaja, który właśnie wkroczył do pokoju z ogromną tacą wyładowaną jedzeniem.

— Widzisz? — rzekł Colin, unosząc brew. — Mówiłem.

— Dlaczego wydaje mi się, że te słowa usłyszę od ciebie w przyszłości jeszcze wiele, wiele razy? — zapytała Penelopa.

— Pewnie dlatego, że tak istotnie będzie — odparł. — Wkrótce się przekonasz — rzucił jej wyjątkowo bezczelny uśmiech — że ja prawie zawsze mam rację.

— Błagam… — stęknęła Eloise.

— Tym razem muszę się przyłączyć do Eloise — rzekła Penelopa.

— Przeciwko własnemu mężowi? — Położył dłoń na sercu (drugą jednocześnie sięgając po kanapkę). — Zraniłaś mnie!

— Jeszcze nie jesteś moim mężem.

Colin spojrzał na siostrę.

— Ta koteczka ma pazurki.

Eloise uniosła brew.

— Nie wiedziałeś o tym, zanim się oświadczyłeś?

— Wiedziałem — odparł, przeżuwając kęs kanapki. — Nie sądziłem tylko, że użyje ich przeciwko mnie. — Obrzucił przy tym Penelopę tak gorącym, namiętnym spojrzeniem, że zabrakło jej tchu.

— No cóż. — Eloise nagle zerwała się z miejsca. — Chyba zostawię narzeczonych przez chwilkę sam na sam.

— Jakaś ty rozsądna i przewidująca — mruknął Colin.

— Wszystko dla ciebie, mój braciszku. — Spojrzała na niego nieco złośliwie. — A raczej — dodała dość wyniośle — wszystko dla Penelopy.

Colin obejrzał się na narzeczoną.

— Zdaje się, że moja popularność spada — mruknął.

Penelopa uśmiechnęła się znad filiżanki.

— Nigdy nie wtrącam się do kłótni Bridgertonów.

— O, ho, ho — zachichotała Eloise. — Już niedługo, kochana przyszła pani Bridgerton. Poza tym — dodała ze złośliwym uśmiechem — jeśli sądzisz, że to jest kłótnia, powinnaś nas zobaczyć w pełni formy.

— Chcesz powiedzieć, że jeszcze nie widziałam? — Rodzeństwo jednocześnie potrząsnęło głowami w sposób, który uznała za przerażający. O nie. — Czy może jest coś, co powinnam wiedzieć? — zapytała.

— Za późno. — Colin uśmiechnął się drapieżnie.

Penelopa rzuciła przyjaciółce bezradne spojrzenie, ale ta tylko zaśmiała się i wybiegła, starannie zamykając za sobą drzwi.

— To bardzo miłe z jej strony — mruknął Colin.

— Co? — niewinnie spytała Penelopa. Oczy mu zalśniły.

— Drzwi.

— Drzwi? Och! — krzyknęła. — Drzwi!

Colin uśmiechnął się i usiadł obok niej na sofie. W to deszczowe popołudnie Penelopa miała w sobie coś uroczego. Od dnia zaręczyn prawie się nie widywali — przygotowania weselne często rozdzielały parę — ale ani na chwilę nie przestawał o niej myśleć, nawet we śnie.

Dziwne. Przez wiele lat prawie o niej nie myślał, o ile nie stała przed nim, a teraz pojawiała się we wszystkich jego myślach. Wszystkich pragnieniach. Jak to się mogło stać? Kiedy to się mogło stać? I czy to miało jakiekolwiek znaczenie? Może ważne było tylko to, że jej pragnął, a ona należała — a przynajmniej wkrótce będzie — do niego. Kiedy włoży jej obrączkę na palec, wszystkie jak, dlaczego i kiedy przestaną się liczyć, jeśli to szaleństwo, które w tej chwili odczuwa, nie zniknie.

Dotknął palcem podbródka narzeczonej, unosząc jej twarz ku światłu. Oczy błyszczały jej radością, a usta… Boże, jak to możliwe, że żaden mężczyzna w Londynie dotąd nie zauważył, jakie są doskonałe?

Colin uśmiechnął się. To szaleństwo miało wszelkie pozory trwałości. Bardzo się z tego cieszył.

Nigdy nic nie miał przeciwko małżeństwu. Nie chciał tylko nudnego związku. Nie był wybredny, chciał jedynie miłości i przyjaźni, nieco intelektualnych rozmów i dobrych żartów od czasu do czasu. Żony, od której nie chciałby uciekać. Ze zdumieniem stwierdził, że wszystko to znalazł w Penelopie.

Teraz musiał się tylko upewnić, że jej Wielka Tajemnica nie wyjdzie na jaw. Chyba nie zniósłby widoku cierpienia w jej oczach, gdyby towarzystwo wyrzuciło ją poza margines.

— Colinie? — szepnęła, a jej drżący oddech owiał mu twarz, sprawiając, że zapragnął ją pocałować.

Pochylił się.

— Hm?

— Nic nie mówisz.

— Myślę.

— O czym?

Uśmiechnął się pobłażliwie.

— Naprawdę zbyt dużo czasu spędzasz z moją siostrą.

— A co to oznacza? — zapytała.

Usta drżały jej lekko, wiedział, że nie ma ochoty na żarty. Ta kobieta umiała trzymać go w ryzach.

— Wydajesz się wykazywać pewne skłonności do uporu — wyjaśnił.

— Nieustępliwość?

— To też.

— Ale w tym nie ma nic złego.

Ich usta wciąż oddalone były o kilka cali od siebie, lecz on nie mógł oprzeć się pokusie, by kontynuować tę przekorną rozmowę.

— Jeśli uporczywie zachowujesz posłuszeństwo wobec męża — mruknął — to nawet bardzo dobrze.

— Och, doprawdy?

— A kiedy nieustępliwie wpijasz się w moje ramiona, gdy cię całuję, to także bardzo dobrze.

Ciemne oczy Penelopy rozszerzyły się z lekka.

— Mam rację?

W tym momencie zaskoczyła go.

— Tak? — zapytała, kładąc mu dłonie na ramionach. W jej głosie brzmiało wyzwanie, oczy lśniły zalotnie.

— Na początek — rzekł. — Musiałabyś — przykrył dłonią jej rękę i delikatnie przycisnął palce — trzymać mnie nieco bardziej nieustępliwie.

— Rozumiem — odparła. — Chcesz powiedzieć, że nigdy nie powinnam puścić?

Zadumał się na chwilę.

— Tak — odparł, wyczuwając w jej słowach głębszy sens, choć nie wiedział, czy zawarła go tam świadomie. — Właśnie to chciałem powiedzieć.

Nagle słowa przestały wystarczać. Colin opuścił głowę i zaczął Penelopę całować, początkowo łagodnie, potem coraz namiętniej, z pasją, o którą nawet sam siebie nie podejrzewał. Nie chodziło o pożądanie… a przynajmniej nie tylko.

Potrzeba.

To dziwne uczucie, palące go od środka, zmuszające, aby naznaczył ją jako swoją własność. Pragnął jej desperacko, nie wiedział, jak zdoła przetrwać miesiąc, jaki dzielił ich od ślubu.

— Colinie? — wyszeptała, kiedy układał ją na sofie. Muskał ustami jej podbródek, szyję. Usta miał zbyt zajęte, by odpowiadać.

— Mhm?

— Jesteśmy… och!

Uśmiechnął się, delikatnie chwytając zębami płatek jej ucha. Gdyby mogła dokończyć zdanie, oznaczałoby to, że nie pieści jej tak, jak powinien.

— Mówiłaś coś? — mruknął, po czym znów ją pocałował. Oderwał wargi, uwalniając ją na krótką chwilę, ale zaledwie zdążyła wyszeptać „ja tylko…”, zamknął jej usta kolejnym pocałunkiem. Ogarnęła go radość, kiedy usłyszał jej cichy jęk. — Przepraszam — rzekł, wsuwając dłonie pod rąbek jej sukni i wyczyniając różne nieprzyzwoite rzeczy z jej łydkami. — Mówiłaś coś?

— Taaak… — odparła.

Oczy miała przymglone. Przesunął dłonie wyżej, aż dotknął wewnętrznej strony jej kolan.

— Coś chciałaś powiedzieć — rzekł, tuląc ją do siebie z całej siły; miał wrażenie, że za chwilę spłonie. — Myślę — szepnął, przesuwając dłonią po gładkiej skórze jej uda — że chciałaś powiedzieć, abym dotknął cię tutaj…

Jęknęła, ale zdołała wykrztusić:

— Nie jestem pewna, że właśnie o to mi chodziło.

Zaśmiał się i wtulił usta w jej szyję.

— Jesteś pewna? — Skinęła głową. — Więc mam przestać? — Zaprzeczyła. Zdecydowanie.

Zrozumiał, że w tej chwili mógł z nią zrobić wszystko. Mógł kochać się z nią tu i teraz, w salonie swojej matki, a ona nie tylko by mu na to pozwoliła, lecz jeszcze dzieliłaby z nim każdą chwilę rozkoszy. To nie byłby podbój, nawet nie uwiedzenie. Byłoby to coś znacznie więcej. Może nawet… Miłość. Znieruchomiał.

— Colinie? — wyszeptała, otwierając oczy. Miłość? To niemożliwe. — Colinie? — A może jednak. — Co się stało?

Nie obawiał się miłości, wierzył w jej istnienie. Po prostu… nie spodziewał się jej.

Zawsze myślał, że miłość uderza w człowieka jak grom, ot, bawisz się na przyjęciu, znudzony do łez, a tu nagle widzisz kobietę i wiesz, że od tej chwili twoje życie zmieniło się na zawsze. Tak stało się z jego bratem. Bóg wie, jacy Benedict i Sophie są teraz szczęśliwi na tej swojej wsi.

Tymczasem jego uczucie podeszło ukradkiem, było powolne, wręcz letargiczne; a jeśli to miłość… Gdyby to była miłość, chyba wiedziałby o tym?

Uważnie przyjrzał się narzeczonej, ufając, że może znajdzie odpowiedź w jej oczach, pochyleniu głowy, nieco przekrzywionym gorsecie sukni… Może gdyby przypatrywał się jej dostatecznie długo, wiedziałby.

— Colinie? — wyszeptała z lekkim niepokojem.

Pocałował ją znowu, tym razem z pełną żaru determinacją. Czy miłość nie powinna się objawić właśnie poprzez pocałunki?

Jeśli jednak jego ciało i umysł działały niezależnie, pocałunek z całą pewnością należał do ciała, ponieważ zamieszanie w jego umyśle nie znikło, natomiast potrzeby cielesne przybrały na sile.

Teraz cierpiał naprawdę, lecz w salonie swej matki nie mógł nic na to poradzić, nawet gdyby Penelopa się zgodziła, dlatego sie odsunął.

— Nie możemy zrobić tego tutaj.

— Wiem — odparła z takim smutkiem, że znieruchomiał z palcami na jej kolanie. Omal nie zmienił zdania.

Myślał teraz szybko i gorączkowo.

— Kiedy jest ślub? — warknął.

— Za miesiąc.

— Co zrobić, żeby odbył się dwa tygodnie wcześniej?

Zamyśliła się.

— Przekupstwo lub szantaż. Albo i jedno, i drugie. Matki nie dadzą się łatwo zwieść z raz obranej drogi.

Jęknął, znów na długą, rozkoszną chwilę przytulił Penelopę, po czym wstał. Nie mógł jej teraz posiąść. Wkrótce będzie jego żoną i wtedy przyjdzie czas na igraszki w środku dnia na cudzych sofach. Pierwszy raz jednak powinien kochać się z nią w łożu. Był jej to winien.

— Colinie? — zapytała, obciągając suknię i poprawiając fryzurę, choć widać było, że bez lustra, szczotki, a może nawet pokojówki nie zdoła nic zrobić. — Coś nie w porządku?

— Pragnę cię — wyszeptał.

Podniosła na niego zdumione spojrzenie.

— Chciałem tylko, żebyś wiedziała — rzekł. — Nie chcę, abyś sądziła, że przerwałem, ponieważ mi się nie podobasz.

— Och! — Wydawało się, że chciała coś powiedzieć, widać było, że jego słowa ją uszczęśliwiły. — Dziękuję, że to powiedziałeś.

Uścisnął jej dłoń.

— Chyba wyglądam jak potwór — mruknęła.

Skinął głową.

— Ale jesteś moim potworem — wyszeptał. I bardzo się z tego cieszył.

16

Colin lubił spacerować i często właśnie tak spędzał czas. Nie było w tym więc nic dziwnego, że przez większą część następnego dnia przemierzał Bloomsbury i Fitzrovię, i Marylebone, i pozostałe sąsiadujące dzielnice, aż rozejrzał się i stwierdził, że stoi pośrodku Mayfair, na Grosvenor Square, przed Hastings House, który był miejską rezydencją księcia Hastingsa. Ostatni z książąt miał zaszczyt być mężem jego siostry Daphne.

Dawno już ze sobą nie rozmawiali, jeśli nie liczyć krótkich, rodzinnych pogawędek. Z całego rodzeństwa Daphne była mu najbliższa i zawsze łączyła ich szczególna więź, choć ostatnio nie widywali się często, głównie z powodu absorbującego życia rodzinnego księżnej oraz podróży Colina.

Hastings House był jednym z tych ogromnych gmaszysk, porozrzucanych po Mayfair i St. James. Wielki, kwadratowy, wybudowany z eleganckiego wapienia portlandzkiego, lśnił książęcym przepychem.

Colin pomyślał z melancholijnym uśmiechem, że nic dalszego od prawdy. Jego siostra nie miała w sobie nic z wyniosłości. W czasach, kiedy była jeszcze panną na wydaniu, miała wręcz trudności ze znalezieniem partnera z powodu bezpośredniego i miłego sposobu bycia. Dżentelmeni uważali ją za przyjaciółkę, a nie potencjalną kandydatkę na narzeczoną.

Wszystko to jednak uległo zmianie, kiedy Daphne spotkała Simona Bassetta, księcia Hastings, i stała się szacowną matroną z towarzystwa, matką czwórki dzieci w wieku dziesięciu, dziewięciu, ośmiu i siedmiu lat. Colin z trudem oswajał się z macierzyństwem siostry, zwłaszcza że sam wciąż wiódł beztroski żywot kawalera. Przy różnicy wieku zaledwie roku

wspólnie przechodzili kolejne etapy życia. Nawet po ślubie tryb życia jego siostry nie zmienił się aż tak bardzo — nadal wraz z Simonem uczestniczyła w tych samych przyjęciach co Colin, nadal oddawała się swoim zainteresowaniom.

Potem jednak na świat zaczęły przychodzić dzieci, a choć Colin z radością przyjmował pojawienie się kolejnego nowego siostrzeńca lub siostrzenicy, każde narodziny przypominały mu o tym, że Daphne poszła nieznaną mu drogą.

Ale to się wkrótce zmieni, pomyślał z uśmiechem, a przed oczami przemknęła mu twarz Penelopy.

Dzieci. Całkiem przyjemna myśl.

Nie zamierzał składać Daphne wizyty, ale skoro już tu się znalazł, uznał, że właściwie może zastukać do jej drzwi. Jeffries, kamerdyner, otworzył je prawie natychmiast.

— Pan Bridgerton — rzekł. — Siostra nie oczekiwała pana.

— Nie, chciałem jej zrobić niespodziankę. Czy jest w domu?

— Sprawdzę — odparł kamerdyner, choć obaj wiedzieli doskonale, że księżna nigdy nie odprawiłaby od drzwi członka rodziny.

Colin czekał w salonie, aż Jeffries poinformuje swą panią o jego obecności. Zbyt niespokojny, by usiąść czy nawet przystanąć, krążył po pokoju. Po kilku minutach w drzwiach pojawiła się Daphne, z lekka rozczochrana, ale jak zawsze uśmiechnięta.

Zawsze chciała być żoną i matką, rzeczywistość jednak przeszła jej najśmielsze marzenia.

— Witaj, siostrzyczko — rzekł Colin z uśmiechem i podszedł, żeby ją uściskać. — Masz…

Księżna spojrzała na ramię i zauważyła na różowej materii sukni dużą szarą smugę.

— Węgiel — wyjaśniła. — Usiłowałam nauczyć Caroline rysunku.

— Ty? — wyraził swe powątpiewanie Bridgerton.

— Wiem, wiem. Nie ma gorszego nauczyciela, ale Caroline wczoraj stwierdziła, że kocha sztukę, a tylko ja byłam w zasięgu ręki.

— Powinnaś ją wysłać do Benedicta — poradził. — Z pewnością chętnie udzieliłby jej paru lekcji.

— Przyszło mi to do głowy, ale jestem pewna, że zanim zdążyłabym poczynić przygotowania, jej upodobania już by się zmieniły. — Wskazała bratu sofę. — Siadaj. Miotasz się jak tygrys w klatce.

Usiadł, choć w dalszym ciągu odczuwał niepokój.

— I zanim cokolwiek powiesz — dodała — poprosiłam Jeffriesa, żeby przyniósł coś do jedzenia. Czy kanapki wystarczą?

— Czyżbyś z drugiego końca pokoju słyszała moje burczenie w brzuchu?

— Obawiam się, że nawet z drugiego końca miasta — odparła ze śmiechem. — Wiesz, że ilekroć grzmi, David mówi, że to twój żołądek?

— Dobry Boże — mruknął Colin, ale zachichotał.

Jego siostrzeniec był naprawdę sprytnym chłopczykiem.

Daphne uśmiechnęła się szeroko i rozsiadła na poduszkach sofy, splatając dłonie na kolanach.

— Co cię tu sprowadza, Colinie? Nie, oczywiście, nie potrzebujesz powodu, zawsze chętnie cię widzę.

Wzruszył ramionami.

— Przechodziłem.

— Odwiedziłeś Anthony’ego i Kate? — zapytała. Bridgerton House, gdzie mieszkał ich najstarszy brat wraz z rodziną, znajdował się po drugiej stronie placu. — Benedict i Sophie razem z dziećmi już tam są, żeby pomóc w przygotowaniu przyjęcia zaręczynowego.

Colin pokręcił głową.

— Nie, ciebie obrałem sobie na ofiarę.

Księżna uśmiechnęła się, a na jej twarzy pojawiło się zaciekawienie.

— Coś nie w porządku?

— Nie, skądże — zaprzeczył Colin szybko. — Dlaczego pytasz?

— Nie wiem. Wydajesz mi się dziwny, to wszystko.

— Po prostu zmęczony.

Pokiwała głową.

— Wesele, co?

— Tak — odrzekł, czepiając się tej wymówki, choć nie był nawet pewien, co właściwie stara się przed siostrą ukryć.

— Cóż, pamiętaj, że wszystko, przez co przechodzisz, jest dla Penelopy tysiąc razy gorsze — powiedziała księżna z nieco złośliwym uśmiechem. — Kobiety zawsze mają gorzej, wierz mi.

— Jeśli chodzi o ślub czy o wszystko inne? — zapytał łagodnie.

— Wszystko inne też — odparła szybko. — Wiem, że mężczyźni są przekonani, iż to oni właśnie rządzą, ale…

— Nawet nie śniło mi się pomyśleć, że rządzimy — oświadczył Colin, nie całkiem sarkastycznie.

Daphne skrzywiła się z irytacją.

— Kobiety mają o wiele więcej do roboty niż mężczyźni. Zwłaszcza przy ślubach. Biedna Penelopa, po tych wszystkich przymiarkach musi się czuć jak poduszeczka na szpilki.

— Zaproponowałem, że ją porwę, a ona chyba miała nadzieję, że mówię serio.

Jego siostra zachichotała.

— Cieszę się, że się z nią żenisz.

Colin skinął głową.

— Daff… — Nie miał zamiaru nic mówić, ale jej imię wyrwało mu się, zanim zdążył się pohamować.

— Tak?

— Nieważne.

— O nie, nie ma mowy — zaprotestowała. — Dopiero teraz mnie zaintrygowałeś.

Bridgerton zaczął bębnić palcami po poduszkach sofy.

— Sądzisz, że przyniosą zaraz coś do jedzenia?

— Czy ty zawsze jesteś głodny, czy próbujesz zmienić temat?

— Zawsze jestem głodny.

Księżna milczała przez dłuższą chwilę.

— Colinie — odezwała się łagodnie — co chciałeś mi powiedzieć?

Poderwał się na nogi, nie mogąc usiedzieć w miejscu. Zatrzymał się i popatrzył na zatroskaną twarz siostry.

— To nic… — zaczął. — Skąd człowiek wie? — wypalił nagle, nieświadom nawet, że nie dokończył zdania, dopóki Daphne go nie spytała:

— Skąd człowiek wie… co?

Zatrzymał się obok okna. Wyglądało na to, że zaraz zacznie padać. Będzie musiał pożyczyć książęcy powóz albo zmoknie w drodze do domu. Nie wiedział, czemu właściwie obchodzi go deszcz, skoro dręczyło go coś zupełnie innego.

— Skąd człowiek wie co, Colinie? — powtórzyła Daphne. Obejrzał się i już nie próbował pohamować słów.

— Skąd człowiek wie, że to miłość?

Przez chwilę księżna przyglądała mu się bez słowa, wytrzeszczając ze zdumienia brązowe oczy. Otwarła lekko usta, ale nic nie powiedziała.

— Zapomnij o tym pytaniu — zaproponował.

— Nie! — wykrzyknęła, zrywając się na nogi. — Cieszę się, że

zapytałeś. Bardzo się cieszę. Jestem tylko… zaskoczona, prawdę mówiąc.

Bridgerton przymknął oczy. Czuł do siebie wstręt.

— Nie wierzę, że cię o to zapytałem.

— Colinie, nie bądź niemądry. To w sumie… słodkie, że zapytałeś. A ja nawet nie potrafię wyrazić, jak mi to pochlebia, że przyszedłeś z tym do mnie…

— Daphne… — odezwał się ostrzegawczo. Jego siostra potrafiła krążyć wokół tematu, a on nie czuł się dziś na siłach, by podążać za jej myślami.

Impulsywnie objęła go i uściskała, a potem, nie zdejmując dłoni z jego ramion, powiedziała:

— Nie wiem.

— Słucham?

Pokręciła lekko głową.

— Nie wiem, skąd człowiek wie, że to miłość. Myślę, że każdy reaguje inaczej.

— Skąd ty wiedziałaś?

Księżna zagryzła wargę i milczała przez chwilę.

— Nie wiem — rzekła wreszcie.

— Co?

Bezradnie wzruszyła ramionami.

— Nie pamiętam. To było tak dawno. Ja po prostu… wiedziałam.

— Twierdzisz zatem — rzekł, opierając się o framugę okna i krzyżując ramiona na piersi — że jeśli człowiek nie wie, że jest zakochany, to prawdopodobnie nie jest.

— Tak — odparła stanowczo. — Nie! Nie to chciałam powiedzieć!

— A co chciałaś powiedzieć?

— Nie wiem — odparła słabym głosem.

Bridgerton wytrzeszczył oczy.

— Od jak dawna jesteś mężatką?

— Colinie, nie żartuj sobie. Próbuję pomóc.

— Doceniam dobre chęci, ale doprawdy, Daphne…

— Wiem, wiem — przerwała. — Jestem do niczego. Ale słuchaj, lubisz Penelopę? — Nagle jęknęła z przerażeniem. — Mówimy o Penelopie, prawda?

— Oczywiście — warknął.

Odetchnęła z ulgą.

— Dobrze, bo w przeciwnym przypadku nic bym ci nie poradziła.

— Pójdę już — rzekł nagle.

— Nie, nie pójdziesz — zaoponowała, kładąc mu dłoń na ramieniu. — Zostań, Colinie, proszę.

Spojrzał na nią i westchnął, pokonany.

— Posłuchaj… — Podprowadziła go do sofy i popchnęła, aż usiadł. — Miłość rośnie i zmienia się z każdym dniem. I nie przypomina gromu z jasnego nieba, który zmienia cię w innego człowieka. Wiem, że Benedict twierdzi, iż z nim było inaczej, to cudowne, ale wierz mi, on nie jest normalnym człowiekiem.

Colin bardzo chciał chwycić tę przynętę, ale nie potrafił się zmusić.

— Ze mną było inaczej — rzekła Daphne. — Nie sądzę też, aby Simon przeżył coś takiego. Przyznam jednak, że nigdy nie pytałam.

— A powinnaś.

Daphne urwała, ale jej usta już miały coś wyrzec, przez co wyglądała jak zaskoczony ptaszek.

— Czemu?

Colin wzruszył ramionami.

— Żebyś mogła mi powiedzieć.

— Myślisz, że u mężczyzn to wygląda inaczej?

— Podobnie jak wszystko inne.

Księżna skrzywiła się.

— Zaczynam współczuć Penelopie.

— O, z całą pewnością powinnaś — odparł Colin. — Będzie ze mnie bardzo kiepski mąż, bądź tego pewna.

— Na pewno nie! — zaprzeczyła, lekko uderzając go w ramię. — Dlaczego w ogóle tak mówisz? Przecież nigdy jej nie zdradzisz.

— Nie — zgodził się. Przez chwilę milczał, a kiedy znów się odezwał, jego głos był cichy i zmęczony. — Ale mogę jej nie kochać tak, jak na to zasługuje.

— Ale możesz też ją kochać! — Daphne uniosła ramiona w geście zniecierpliwienia. — Na litość boską, Colinie, sam fakt, że siedzisz tu teraz i pytasz własną siostrę o miłość, oznacza, że już jesteś przynajmniej w połowie drogi do celu.

— Tak sądzisz?

— Gdybym tak nie sądziła, nie mówiłabym tego. — Westchnęła. — Przestań tak dużo myśleć. Sam się przekonasz, że małżeństwo staje się łatwiejsze, jeśli pozwolisz mu się po prostu rozwijać.

Colin spojrzał na siostrę podejrzliwie.

— Odkąd to jesteś tak filozoficznie nastawiona do życia?

— Odkąd przyszedłeś do mnie i mnie do tego zmusiłeś — odparła szybko. — Żenisz się z właściwą osobą, przestań się zamartwiać.

— Nie zamartwiam się — odparł automatycznie, ale oczywiście mijał się z prawdą, toteż nie zdziwił się, kiedy Daphne rzuciła mu ironiczne spojrzenie. Nie martwiło go jednak to, czy żeni się z właściwą osobą. Tego akurat był pewien. Nie zastanawiał się również, czy ich małżeństwo będzie dobre. Tego także był pewien.

Nie, martwił się głupimi drobiazgami. Na przykład tym, czy ją kochał.

Nie dlatego, że gdyby tak było, świat by się zawalił (albo zawaliłby się, gdyby tak nie było), ale dlatego, że nie cierpiał nie wiedzieć, co właściwie czuje.

— Colinie?

Spojrzał na siostrę, która przyglądała mu się w zadumie. Wstał, pochylił się i ucałował ją w policzek, zamierzając wyjść, zanim się ostatecznie skompromituje.

— Dziękuję — rzekł.

Daphne zmrużyła oczy.

— Nie wiem, czy mówisz poważnie, czy mi dokuczasz, że ci nie pomogłam.

— Rzeczywiście, kompletnie mi nie pomogłaś — odparł. — Ale podziękowania są szczere.

— Punkty za wysiłek?

— Coś w tym rodzaju.

— Wybierasz się do Bridgerton House? — zapytała.

— Po co? Żebym skompromitował się teraz przed Anthonym?

— Albo Benedictem — dodała.

Największym problemem w przypadku dużych rodzin jest znaczne prawdopodobieństwo kompromitacji przed rodzeństwem.

— Nie — rzekł ze smutnym uśmiechem. — Chyba pójdę pieszo do domu.

— Pieszo? — powtórzyła księżna zaskoczona.

Skinął głową w kierunku okna.

— Myślisz, że będzie padać?

— Weź mój powóz — zaproponowała. — I proszę, poczekaj na kanapki. Na pewno będzie ich cała góra. Jeśli wyjdziesz, zanim się zjawią, zjem połowę i będę się nienawidzić przez resztę dnia.

Bridgerton skinął głową i usiadł.

Pożegnał siostrę bardzo zadowolony. Zawsze lubił wędzonego łososia. Jeden talerz z kanapkami zabrał nawet do powozu. Jadł i wpatrywał się w ściekający po szybach deszcz.

Kiedy Bridgertonowie wydawali przyjęcie, robili to z wielką pompą.

A kiedy wydawali bal zaręczynowy… no cóż, gdyby lady Whistledown wciąż jeszcze pisała, relacja z tego wydarzenia zajęłaby co najmniej trzy szpalty.

Mimo że przygotowany właściwie naprędce (głównie dlatego, że ani lady Bridgerton, ani lady Featherington nie zamierzały dać swoim dzieciom okazji do rozmyślenia się w czasie długiego narzeczeństwa), śmiało mógł kandydować do miana najlepszego balu sezonu.

Penelopa ze smutkiem stwierdziła, że wielka popularność balu nie miała wiele wspólnego z jego organizacją, wszystko zawdzięczała nieustającym spekulacjom, czemu Colin Bridgerton poślubia takie nic jak Penelopa Featherington. Tak źle nie było nawet wówczas, kiedy Anthony Bridgerton zaręczył się z Kate Sheffield, która również nie była uważana za brylant czystej wody. Kate jednak przynajmniej nie była stara. W ciągu ostatnich dni Penelopa niejeden raz słyszała określenie „stara panna” wypowiadane za jej plecami scenicznym szeptem.

Chociaż plotki były nieco męczące, nie przejmowała się nimi zanadto, ponieważ wciąż unosiła się na obłoku własnego szczęścia. Kobieta nie może przez całe życie być zakochana w jednym mężczyźnie, a potem nie oszaleć z radości, kiedy ten poprosi ją o rękę.

Nawet jeśli nie do końca rozumiała, jak to się mogło stać. Ale się stało. To najważniejsze.

A Colin był wymarzonym narzeczonym. Przez cały wieczór tkwił u jej boku jak przyklejony, ani przez chwilę nie sprawiając wrażenia, że chroni ją

przed złymi językami. Właściwie wydawał się całkiem nieświadom tego, że wokół nich aż wrze od plotek.

Było prawie tak jakby… Penelopa uśmiechnęła się, rozmarzona. Prawie tak, jakby pozostawał u jej boku, ponieważ tego pragnął.

— Widziałaś Cressidę Twombley? — syknęła jej Eloise do ucha, kiedy Colin poszedł zatańczyć z matką. — Jest zielona z zazdrości.

— To tylko ta sukienka — odparła Penelopa z absolutnie poważną miną.

Eloise zaśmiała się.

— Szkoda, że lady Whistledown już nie pisze. Zmiażdżyłaby ją.

— A ja myślałam, że lady Whistledown to ona — ostrożnie powiedziała Penelopa.

— Och, bzdury. Ani przez chwilę nie sądziłam, że ona jest lady Whistledown, nie mogę też uwierzyć, żebyś ty tak myślała.

— Bo pewnie nie jest — zgodziła się Penelopa. Wiedziała, że jej tajemnica będzie lepiej strzeżona, jeśli stwierdzi, że wierzy Cressidzie, ale każdy, kto ją znał, natychmiast zorientowałby się, że to zupełnie do niej nie pasuje, a to byłoby już doprawdy bardzo podejrzane.

— Cressida chciała położyć rękę na pieniądzach — ciągnęła z pogardą panna Bridgerton. — A może marzyła jej się popularność, albo i jedno, i drugie.

Penelopa obserwowała swoją nemesis, która brylowała po przeciwnej stronie sali. Otaczała ją zwykła grupa wielbicieli, ale teraz dołączyli do niej nowi ludzie, którzy zapewne również byli ciekawi plotek o lady Whistledown.

— Tak, jeśli chodzi o popularność, to dopięła celu.

— Nie mogę pojąć, po co ją zaproszono. Z pewnością nie łączy was nawet cień przyjaźni, nikt z nas też jej nie lubi.

— Colin nalegał.

Eloise szeroko otwarła usta.

— Dlaczego?

Penelopa podejrzewała, że główną przyczyną było niedawne oświadczenie Cressidy, że jest lady Whistledown. Większość towarzystwa skłonna była wprawdzie podejrzewać ją, że skłamała, ale nikt nie ośmieliłby się nie zaprosić jej na bal, ot tak, na wszelki wypadek, gdyby jednak mówiła prawdę.

A Colin i Penelopa nie mieli prawa wiedzieć, że jest inaczej.

Penelopa nie mogła jednak wyjawić tego przyjaciółce, zapoznała ją więc z oficjalną wersją wydarzeń.

— Twoja matka nie chciała dawać powodów do plotek. Colin też mówił, że… — Zarumieniła się. To doprawdy było miłe.

— Że co? — spytała Eloise.

— Chciał, żeby Cressida musiała obserwować mój triumf.

— O! Nie. Słowo daję. — Panna Bridgerton wyglądała, jakby potrzebowała krzesła. — Mój brat jest zakochany.

Rumieniec panny Featherington przybrał szkarłatną barwę.

— Jest! — zawołała Eloise. — Musi być. Och, musisz mi to opowiedzieć. Wyznał ci wszystko?

W słowach Eloise było coś cudownego, a jednocześnie przerażającego. Z jednej strony, zawsze miło dzielić najpiękniejsze chwile życia z drogą sercu przyjaciółką, zwłaszcza że jej radość i podniecenie były doprawdy zaraźliwe.

Z drugiej wszakże strony, nie były one całkiem uzasadnione, ponieważ Colin Penelopy nie kochał. A przynajmniej nie powiedział jej tego.

Zachowywał się jednak jak zakochany. Uczepiła się więc tej myśli i starała się nie zastanawiać nad tym, czego jej nigdy nie wyznał.

Czyny mówią więcej niż słowa, prawda?

A jego czyny sprawiały, że czuła się jak księżniczka.

— Panno Featherington! Panno Featherington!

Penelopa obejrzała się i uśmiechnęła. Ten głos mógł należeć tylko do lady Danbury.

Rozpędzając tłum laską, starsza dama dotarła w końcu do miejsca, w którym stały z Eloise.

— Lady Danbury, jak miło panią widzieć…

— He, he, he! — Uśmiech sprawił, że pomarszczona twarz hrabiny odmłodniała o kilkadziesiąt lat. — Zawsze miło jest mnie widzieć, nieważne, co mówią inni. I ciebie też, mała diablico. Patrz, co narobiłaś.

— Czy to nie genialne? — zapytała Eloise.

Penelopa spojrzała na przyjaciółkę. Mimo trudności z akceptacją jej zamążpójścia Eloise naprawdę szczerze cieszyła się z jej szczęścia. Nagle przestało mieć znaczenie to, że stoją pośrodku zatłoczonej sali balowej, gdzie wszyscy patrzą na nią jak na jakiś egzotyczny okaz. Obróciła się i gorąco uściskała Eloise, szepcząc jej do ucha:

— Naprawdę cię kocham.

— Wiem — odrzekła równie cicho Eloise.

Lady Danbury głośno zastukała laską w podłogę.

— Ja tu wciąż jestem, moje panie!

— Och, przepraszam — odparła Penelopa z zakłopotaną miną.

— Nie szkodzi — odparła lady Danbury z niezwykłą u niej pobłażliwością. — To miło widzieć, jak dwie dziewczyny się obejmują, zamiast szczypać, jeśli chcecie wiedzieć.

— Dziękuję, że pani przyszła — rzekła z uśmiechem Penelopa.

— Za skarby świata nie opuściłabym tej okazji — prychnęła staruszka. — He, he, he! Ci wszyscy głupcy, którzy się zastanawiają, jak go zmusiłaś do oświadczyn. A wystarczyło być jedynie sobą.

Panna Featherington otwarła usta, a oczy napełniły jej się łzami.

— Ależ, lady Danbury, to chyba najmilsze…

— Nie, nie — głośno przerwała jej hrabina. — Nic z tych rzeczy. Nie mam czasu i ochoty na sentymenty. — Przy czym dyskretnie wyjęła chusteczkę i musnęła nią oczy.

— Ach, lady Danbury — zawołał Colin, podchodząc i otaczając ramieniem talię Penelopy. — Miło panią widzieć.

— Przyszłam pogratulować pańskiej narzeczonej — nieco oschle odparła starsza dama.

— Ach, ale to ja jestem osobą, której należy gratulować.

— Hm… Prawda, święta prawda. — Pokiwała głową. — Chyba masz pan rację. Jest lepszym kąskiem, niż ktokolwiek sądzi.

— Ja o tym wiem — oświadczył Colin głosem tak przejmującym, że Penelopę przeszedł dreszcz. — A teraz pani wybaczy, muszę przedstawić narzeczoną bratu — dokończył łagodnie.

— Przecież znam twojego brata — zaprotestowała Penelopa.

— Nazwij to tradycją — rzekł. — Musimy cię oficjalnie powitać na łonie rodziny.

— Och! — Na myśl o tym, że zostanie panią Bridgerton, poczuła, jak oblewa ją fala gorąca. — Jak uroczo.

— Anthony pragnąłby wznieść toast — ciągnął Colin — a potem ja poprowadzę Penelopę do walca.

— Bardzo romantycznie — zgodziła się lady Danbury.

— Tak, ja jestem z tych romantycznych — lekko odparł Colin.

Eloise prychnęła głośno. Brat spiorunował ją wzrokiem.

— Jestem.

— Mam nadzieję — syknęła. — Dla Penelopy.

— Czy oni zawsze tak się kłócą? — Lady Danbury zwróciła się do

Penelopy.

— Zazwyczaj.

— To dobrze. Moje dzieci prawie się do siebie nie odzywają. Oczywiście nie ze złej woli. Po prostu nie mają wspólnych tematów. To smutne.

Colin zacisnął dłoń na ramieniu narzeczonej.

— Musimy już iść.

— Naturalnie — odrzekła, ale kiedy ruszyli w stronę Anthony'ego, który stał po drugiej stronie sali, obok podium dla orkiestry, nagle od strony drzwi dobiegły ich dziwne i niepokojące odgłosy.

— Uwaga! Uwaga!

Penelopa pobladła jak ściana.

— O nie…. — wyszeptała mimo woli. To się nie miało stać. Nie dzisiaj.

— Uwaga!

Poniedziałek! — wykrzyknęła w duchu. Powiedziała drukarzowi: w poniedziałek, na balu u Mottramów.

— Co się dzieje? — spytała lady Danbury.

Do sali wbiegło dziesięciu młodocianych uliczników. W dłoniach mieli stosy papierów, które rozrzucali niczym ogromne płatki konfetti.

— Ostatni artykuł lady Whistledown! — krzyczeli chórem. — Czytajcie! Poznajcie prawdę!

17

Colin Bridgerton znany był z wielu rzeczy. Znany był z urody, co nie było niespodzianką: wszyscy mężczyźni Bridgertonów byli przystojni. Słynny był jego lekko skrzywiony uśmiech, który roztapiał kobiece serca nawet z drugiego końca zatłoczonej sali balowej, a niejedną młodą damę przyprawił o omdlenie, a właściwie o delikatny zawrót głowy i upadek, który spowodował dopiero wyżej wspomniane omdlenie. Znany był ze swego uroku, umiejętności rozluźniania atmosfery uprzejmym uśmiechem i zabawnym komentarzem.

Nie był jednak znany z napadów gniewu. Wielu ludzi nie wiedziało nawet, że jest do gniewu zdolny.

W istocie, z powodu niezwykłego (praktycznie niewyczerpanego) opanowania nikt się nie zorientował, że właśnie był świadkiem jego napadu gniewu. Może z wyjątkiem przyszłej żony, która mogła obudzić się następnego poranka z potężnym sińcem na ramieniu.

— Colinie! — jęknęła, spoglądając na jego zaciśniętą dłoń. On jednak nie miał zamiaru puszczać. Wiedział, że sprawia jej ból, wiedział, że to raczej niełądnie z jego strony, ale w tym momencie był tak cholernie wściekły, a miał do wyboru: albo ściskać jej ramię, albo stracić panowanie nad sobą w obliczu pięciuset najmilszych i najbliższych im gości.

Uważał, że podjął słuszną decyzję.

Zabije ją. Skoro tylko znajdzie jakiś sposób, żeby wywlec ją z tej przeklętej sali balowej, zabije ją nieodwołalnie. Uzgodnili przecież, że lady Whistledown to przeszłość, że zapomną o wszystkim. To się nie miało zdarzyć. Sama się prosi o kłopoty!

— Bajeczne! — wykrzyknęła Eloise, chwytając w locie gazetkę. — Absolutnie, zdecydowanie niesamowite. Założę się, że wyszła z ukrycia, aby świętować twoje zaręczyny.

— Czy to nie urocze? — wycedził Colin.

Penelopa nie odezwała się, była bardzo, bardzo blada.

— O nieba!

Colin spojrzał na siostrę, która po przeczytaniu artykułu zamarła z szeroko otwartymi ustami.

— Niech pan złapie jedną dla mnie, panie Bridgerton! — rozkazała lady Danbury, uderzając go laską po nodze. — Nie wierzę, że wydała gazetkę w sobotę. To chyba coś mocnego. Colin pochylił się i podniósł z podłogi dwie kartki, jedną podał lady Danbury, a drugą zatrzymał dla siebie, choć właściwie wiedział, co zawiera.

> *Najbardziej gardzę mężczyznami, którzy uważają za zabawne pobłażliwe poklepanie damy po dłoni ze słowami:*
>
> *„Kobieta ma prawo zmienić zdanie”. Ponieważ uważam, że słowa zawsze należy popierać czynami, postaram się, aby moje opinie były szczere, a decyzje trwałe.*
>
> *Kiedy 19 kwietnia napisałam mój artykuł, byłam szczerze przekonana, Miły Czytelniku, że jest on ostatni. Jednakże pozostające poza moją kontrolą (a mówiąc szczerze i bez mojej zgody) wydarzenia zmusiły mnie, abym raz jeszcze wzięła pióro do ręki.*
>
> *Panie i Panowie, Autorka NIE jest lady Cressidą Twombley. Osoba ta jest przebiegłą oszustką i serce by mi pękło, gdyby lata mojej ciężkiej pracy przypisano właśnie jej.*
>
> „*Kronika Towarzyska Lady Whistledown*”,
> 24 kwietnia 1824

— To najlepszy dowcip, jaki czytałam — szepnęła Eloise z radością w głosie. — Może jestem bardzo złą osobą, ale nigdy dotąd nie byłam taka szczęśliwa z powodu porażki innej osoby.

— Bzdury! — prychnęła lady Danbury. — Wiem, że nie jestem złą osobą, a cieszę się jak diabli.

Colin milczał. Nie ufał swemu opanowaniu. Nie ufał sobie.

— Gdzie Cressida? — zapytała Eloise, wyciągając szyję. — Nikt jej nie widział? Założę się, że już uciekła! Na pewno jest przerażona. Przynajmniej ja na jej miejscu byłabym przerażona.

— Nigdy nie znajdziesz się na jej miejscu — odparła lady Danbury. — Jesteś zbyt przyzwoitą osobą.

Penelopa milczała.

— A jednak — ciągnęła Eloise — człowiek prawie jej żałuje.

— Ale tylko prawie — dodała lady Danbury.

Colin stał nieruchomo, zaciskając zęby tak mocno, jakby je chciał zetrzeć na proszek.

— A ja zatrzymam mój tysiąc funtów! — zachichotała lady Danbury.

— Penelopo! — wykrzyknęła Eloise, trącając przyjaciółkę łokciem. — Nic nie mówisz. Czy to nie cudowne?

Panna Featherington skinęła głową.

— Nie do wiary.

Colin mocniej zacisnął dłoń na jej ramieniu.

— Idzie twój brat — szepnęła.

Spojrzał w prawo. Anthony zbliżał się wielkimi krokami, matka i żona deptały mu po piętach.

— No cóż, zaręczyny odchodzą w cień — zauważył Anthony, podchodząc do brata. Skinął głową obecnym damom: — Eloise, Penelopo, lady Danbury.

— Teraz chyba nikt nie zechce słuchać toastu Anthony’ego — zauważyła wicehrabina Bridgerton, rozglądając się po sali.

W tłumie gości wrzało. Pojedyncze arkusiki wciąż unosiły się w powietrzu. Ludzie ślizgali się na tych, które już spadły na podłogę. Szum szeptów nie ustawał.

Colin czuł się tak, jakby czaszka miała mu za chwilę pęknąć. Musiał wyjść. Już teraz. A przynajmniej jak najszybciej. Dusił się we własnej skórze. Resztkami sił powstrzymywał się przed wybuchem. Nie potrafił przezwyciężyć tego strasznego, mrocznego uczucia, że został zdradzony przez jedyną osobę, która powinna była stać u jego boku.

Miał świadomość, że to Penelopa ma najwięcej do stracenia. Chodziło o nią, nie o niego.

Wiedział o tym, lecz to było nieistotne. Byli teraz parą, a ona zaczęła działać bez jego wiedzy. Nie miała prawa stawiać się w tak trudnej sytuacji bez konsultacji z nim. W końcu był jej narzeczonym, za chwilę będzie mężem i jego obowiązkiem będzie bronić jej i strzec nawet wbrew jej woli.

— Colinie? — usłyszał nagle głos matki. — Wszystko w porządku? Wyglądasz dziwnie.

— Wygłoś toast — poprosił Anthony’ego. — Penelopa nie czuje się dobrze, muszę ją zabrać do domu.

— Źle się czujesz? — zdziwiła się Eloise. — Co się dzieje? Nic nie mówiłaś?

Penelopa podjęła wyzwanie.

— Chyba trochę mnie boli głowa.

— Tak, tak, Anthony — zawołała lady Violetta. — Wygłoś toast teraz, żeby Colin i Penelopa mogli zatańczyć. Ona naprawdę nie może wyjść wcześniej.

Wicehrabia skinął głową, gestem zapraszając narzeczonych na środek

sali. Trębacz mocno zadął w swój instrument, nawołując towarzystwo, aby się uciszyło. Wszyscy usłuchali, prawdopodobnie przypuszczając, że ogłoszenie dotyczyć będzie lady Whistledown.

— Panie i panowie — głośno odezwał się Anthony, biorąc od lokaja wysoki kieliszek z szampanem. — Wiem, że wszystkich was intryguje ponowne pojawienie się lady Whistledown w waszym życiu, ale muszę poprosić, żebyście pamiętali, po co się tu zebraliśmy.

To miała być wspaniała chwila, pomyślał Colin. Noc triumfu Penelopy, podczas której miała zabłysnąć, pokazać światu, jaka jest piękna, miła i inteligentna.

To dzisiaj miał publicznie ogłosić swoje zamiary wobec niej, wszyscy mieli się dowiedzieć, że wybrał właśnie ją, i co równie ważne, że ona wybrała jego.

A teraz chciał tylko wziąć ją za ramiona i tak długo nią potrząsać, aż straci siły. Naraziła wszystko na ogromne ryzyko. Nawet własną przyszłość.

— Jako głowa rodziny Bridgertonów — ciągnął Anthony — z wielką radością przyjmuję do wiadomości, kiedy kolejna osoba z mojego rodzeństwa znajduje sobie narzeczoną. Lub narzeczonego — dodał z uśmiechem, skłaniając głowę w kierunku Daphne i Simona.

Colin spojrzał na Penelopę. Stała wyprostowana jak struna w sukni z lodowato błękitnej satyny. Nie uśmiechała się, co obserwującym ją gościom musiało wydać się dziwne. Może pomyślą, że się zdenerwowała. W końcu wpatrywały się w nią setki par oczu. Każdy byłby zdenerwowany.

Jeśli ktoś jednak przyjrzałby się jej z bliska, jak teraz Colin, dojrzałby w jej oczach panikę, zauważyłby falowanie piersi w nierównym, rwącym się oddechu.

Bała się.

Doskonale. Powinna się bać. Powinna bać się tego, co się wydarzy, jeśli jej tajemnica wyjdzie na jaw. I tego, co się stanie, kiedy będą mogli porozmawiać.

— Dlatego też — kończył Anthony — z wielką radością wznoszę kielich za zdrowie mojego brata Colina i jego narzeczoną, Penelopę Featherington. Za Colina i Penelopę!

Colin spojrzał na swoją rękę i stwierdził, że ktoś włożył mu w nią kieliszek szampana. Już zamierzał zbliżyć go do ust, gdy zrezygnował i podsunął kieliszek Penelopie. Tłum zaczął wiwatować, a Colin obserwował, jak jego narzeczona trochę z własnej woli, a trochę z przymusu wypija szampana; nie cofnął kieliszka, dopóki prawie nie skończyła. Dopiero wtedy jednak zorientował się, że jego dziecinny pokaz siły pozbawił go drinka, którego bardzo potrzebował. Wyjął zatem z dłoni Penelopy jej kieliszek i wypił resztkę jednym haustem.

Wiwaty przybrały na sile.

Bridgerton pochylił się i szepnął narzeczonej do ucha:

— Teraz pójdziemy tańczyć i pozostaniemy w sali tak długo, aż wszyscy inni pójdą w nasze ślady i przestaniemy być w centrum uwagi. Wtedy wymkniemy się na zewnątrz i porozmawiamy.

Ledwo dostrzegalnie skinęła głową.

Wziął ją za rękę i poprowadził na parkiet, drugim ramieniem obejmując ją w talii. Orkiestra zaczęła grać walca.

— Colinie — szepnęła Penelopa — nie chciałam, żeby to się stało.

Zmusił się do uśmiechu. W końcu to jego pierwszy oficjalny taniec z narzeczoną.

— Nie teraz — syknął.

— Ale…

— Za dziesięć minut. Mam ci bardzo wiele do powiedzenia, ale na razie

będziemy po prostu tańczyć.

— Chciałam tylko…

Zacisnął dłoń na jej palcach. Penelopa zagryzła wargi i przelotnie spojrzała mu w twarz, po czym odwróciła wzrok.

— Powinnam się uśmiechać — szepnęła, nie patrząc mu w oczy.

— No to się uśmiechnij.

— Ty też.

— Masz rację — odparł. — Powinienem. — Jednak nie uśmiechnął się.

Tak naprawdę Penelopa miała ochotę się rozpłakać, ale zdołała unieść kąciki ust w uśmiechu. Przecież patrzył na nią cały świat — przynajmniej jej cały świat, wiedziała, że każdy jej gest, każdy grymas jest uważnie obserwowany i wnikliwie analizowany.

Wiele lat przeżyła jako osoba niewidzialna i nienawidziła tego uczucia z całego serca. A teraz oddałaby wszystko za jedną krótką chwilę anonimowości.

Nie, nie wszystko. Nie oddałaby Colina. Jeśli bycie z nim oznaczało, że resztę życia spędzi pod baczną obserwacją towarzystwa, nie będzie się skarżyć. A jeśli znoszenie jego pogardy i gniewu w takich chwilach ma stanowić część ich małżeństwa, niech i tak będzie.

Wiedziała, że Colin wpadnie w furię, kiedy się dowie o wydaniu ostatniej gazetki. Drżącymi rękami odtworzyła tekst, z duszą na ramieniu odbyła podróż do kościoła St. Bride’s i z powrotem, a wszystko w strachu, że zaraz Colin wyskoczy znienacka i odwoła ślub, ponieważ nie zechce ożenić się z lady Whistledown.

Ale i tak postawiła na swoim.

Wiedziała, że jego zdaniem popełnia błąd, ale po prostu nie mogła pozwolić na to, aby Cressida Twombley zgarnęła owoce pracy jej całego życia. Zbyt trudno było jednak przekonać Colina, żeby spojrzał na to z jej

punktu widzenia. Trudno byłoby znieść kogokolwiek, kto zacząłby podszywać się pod lady Whistledown, ale lady Twombley była nie do zniesienia. Po pierwsze, Penelopa zbyt ciężko pracowała, a po drugie, zbyt wiele przeżyła z powodu złośliwości Cressidy.

W głębi serca wiedziała też, co nie było bez znaczenia, że kiedy ich zaręczyny zostaną już ogłoszone, Colin jej nie zostawi. Dlatego właśnie poinstruowała wydawcę, aby dostarczył gazetkę w poniedziałek, na bal u Mottramów. Drugim powodem, dla którego nie chciała uczynić tego na własnym balu zaręczynowym, był właśnie negatywny stosunek narzeczonego do tej kwestii.

Przeklęty pan Lacey! Z pewnością zrobił to, aby zwiększyć zainteresowanie i zbyt. Wiedział dość o towarzystwie z lektury gazetek, żeby się zorientować, że bal zaręczynowy u Bridgertonów będzie największym wydarzeniem sezonu. Tylko jakie to mogło mieć dla niego znaczenie, skoro zwiększone zainteresowanie „Kroniką” nie wpłynie raczej na strumień dochodu spływający do jego kieszeni. Whistledown naprawdę zakończyła swą działalność i ani panna Featherington, ani pan Lacey nie zarobią już na jej publikacjach ani funta. Chyba że… Penelopa zmarszczyła brwi i westchnęła. Pan Lacey widocznie ma nadzieję, że zmieni zdanie.

Ręka narzeczonego zacisnęła się na jej talii. Penelopa podniosła wzrok, napotykając spojrzenie Colina, dziwnie zielone w świetle świec. Skinął głową w kierunku innych tancerzy.

— Czas na ucieczkę — rzekł.

Potwierdziła ruchem głowy. Powiadomili już rodzinę o jej złym samopoczuciu, nic więc się nie stanie, jeśli teraz sami wrócą do domu. Surowe zasady towarzyskie często łagodzono dla młodych par, zwłaszcza w tak romantyczny wieczór. Penelopa zachichotała nerwowo. Zdaje się, że dla niej ten wieczór okaże się życiową porażką.

Colin spojrzał na nią ostro i pytająco uniósł brew.

— Nic takiego — odparła.

Uścisnął jej dłoń, choć bez szczególnej czułości.

— Chcę wiedzieć — rzekł, a następnie trzymając narzeczoną za rękę, poprowadził ją przez ciżbę, aż znaleźli się przy wyjściu na taras.

— Nie tu — zaprotestowała Penelopa, niespokojnie oglądając się na salę balową.

Colin nie zaszczycił jej odpowiedzią, tylko pociągnął w milczeniu w ciemną noc. Skręcili za róg i nagle zostali całkiem sami, nie zatrzymali się jednak. Bridgerton rozejrzał się szybko, aby się upewnić, że naprawdę są sami, po czym pchnął niewielkie, prawie niewidoczne boczne drzwi.

— Dokąd idziemy? — zapytała.

W odpowiedzi narzeczony pchnął ją lekko w plecy i po chwili oboje znaleźli się w ciemnym holu. Penelopa nie wiedziała, czy się bać, czy cieszyć. Weszła po schodach, czując na plecach niespokojny oddech Colina.

Minęli kilka pięter i Colin ostrożnie uchylił drzwi. Widocznie hol był pusty, bo Colin pociągnął ją za sobą i oboje pobiegli korytarzem, starając się zachowywać jak najciszej. Penelopa rozpoznała teraz prywatne apartamenty Bridgertonów. Zatrzymali się przed pokojem, w którym nigdy nie była.

Pokój Colina. Przez te wszystkie lata, kiedy odwiedzała Eloise, tylko raz końcami palców pogładziła ciężkie drewniane drzwi. Colin od wielu lat już nie mieszkał pod Numerem Piątym, ale matka nalegała, aby ten pokój pozostał do jego dyspozycji. „Nigdy nie wiadomo, kiedy jeszcze się przyda” — mawiała i okazało się, że miała rację, bo po powrocie z Cypru Colin nie miał gdzie mieszkać.

Bridgerton pchnął drzwi i wprowadził narzeczoną do środka. Pokój był ciemny i Penelopa potknęła się, ale nie upadła. Colin podtrzymał ją za

ramiona, lecz nie puścił, kiedy odzyskała równowagę. Tulił ją do siebie w ciemności. Właściwie nie była to pieszczota, choć ich ciała stykały się ze sobą. Penelopa nic nie widziała, czuła tylko jego dotyk i zapach, słyszała oddech, łagodnie muskający jej policzek.

Cóż za udręka! Cóż za ekstaza!

Jego dłonie powoli ześliznęły się po jej nagich ramionach, drażniąc zmysły słodką torturą, i nagle Colin odsunął się od niej.

Penelopa spodziewała się, że będzie na nią krzyczał, beształ, domagał się wyjaśnień. Tymczasem on tylko stał przed nią i czekał, zmuszając ją, by przemówiła pierwsza.

— Możesz… możesz zapalić świecę? — zapytała wreszcie.

— Nie lubisz ciemności? — wycedził.

— Nie teraz. Nie tak.

— Rozumiem — wymruczał. — Mówisz, że lubiłabyś ciemność, ale tak? — Jego palce nagle znalazły się na jej skórze, delikatnie przesuwając się wzdłuż krawędzi gorsetu, i równie niespodzianie znikły.

— Nie rób tak — wyszeptała drżącym głosem.

— Nie dotykać cię? — W jego głosie zabrzmiała drwina i Penelopa była szczęśliwa, że nie widzi jego twarzy. — Ale przecież jesteś moja, prawda?

— Jeszcze nie — przypomniała.

— Ależ jesteś. Dopilnowałaś tego. Sprytnie to sobie wymyśliłaś, ogłaszając ostatnie wieści dopiero na naszym balu zaręczynowym. Wiedziałaś, że nie chcę, abyś publikowała ten ostatni artykuł. Zabroniłem ci! Uzgodniliśmy…

— Nic nie uzgadnialiśmy!

Zignorował jej wybuch.

— Czekałaś do…

— Nie uzgadnialiśmy niczego — wykrzyknęła znowu Penelopa. Chciała

wyjaśnić, że nie złamała słowa. Robiła różne inne rzeczy, ale nie okłamała go. No, może poza ukrywaniem przed nim Whistledown przez prawie dwanaście lat, ale akurat w tym przypadku nie był jedyną ofiarą jej oszustwa. — I tak — przyznała, ponieważ nie chciała właśnie w tej chwili zacząć kłamać — wiedziałam, że mnie nie rzucisz. Ale miałam nadzieję… — urwała. Głos jej się załamał.

— Miałaś nadzieję, że co…? — zapytał Colin po bardzo długim milczeniu.

— Miałam nadzieję, że mi wybaczysz — wyszeptała. — A przynajmniej, że zrozumiesz. Zawsze myślałam, że jesteś takim człowiekiem…

— Jakim? — zapytał, tym razem po ledwie dostrzegalnej przerwie.

— To właściwie moja wina — odparła zmęczonym i smutnym tonem. — Postawiłam cię na piedestale. Byłeś przez te wszystkie lata taki miły. Chyba sądziłam, że nie potrafisz być inny.

— A co ja, u diabła, takiego zrobiłem, że teraz sądzisz inaczej? — zapytał. — Chroniłem cię, poprosiłem o twoją rękę…

— Ale nie próbowałeś mnie zrozumieć — przerwała mu.

— Bo zachowujesz się jak idiotka! — ryknął.

Po tych słowach nastąpiło milczenie. Z gatunku tych, od których bolą uszy i cierpią dusze.

— Nie wiem, co jeszcze można powiedzieć — rzekła wreszcie Penelopa.

Colin odwrócił wzrok. Nie wiedział dlaczego, przecież i tak nie mógł jej widzieć w ciemności. Jednak w jej głosie było coś, co sprawiło, że poczuł się zażenowany. Wydawała się zrezygnowana i zmęczona, a nawet zrozpaczona. Sprawiała, że chciał ją zrozumieć, a przynajmniej spróbować, choć wiedział, że popełniła straszny błąd. Każde delikatne zająknięcie tłumiło jego gniew. Wciąż był wściekły, ale jakoś przestał mieć ochotę to okazywać.

— Dowiedzą się o tobie, zobaczysz — powiedział cichym, opanowanym głosem. — Poniżyłaś Cressidę, a ona nie spocznie, dopóki nie wygrzebie lady Whistledown spod ziemi.

Penelopa odeszła na bok — słyszał szelest jej sukni.

— Cressida nie jest dość inteligentna, żeby mnie zdemaskować, poza tym nie zamierzam już nic więcej pisać. Nie będzie więcej szans na potknięcie i odkrycie… — Zapadło krótkie milczenie, po którym dodała: — Możesz mi wierzyć.

— Za późno — odparł.

— Nie jest za późno — zaprotestowała. — Nikt nie wie! Tylko ty, a ty się mnie tak wstydzisz, że ledwo mogę to znieść.

— Na miłość boską, Penelopo — warknął. — Nie wstydzę się ciebie.

— Proszę, czy możesz zapalić świecę? — jęknęła.

Colin przeszedł na drugą stronę pokoju i zaczął grzebać w szufladzie w poszukiwaniu świecy i czegoś, by ją zapalić.

— Nie wstydzę się ciebie — powtórzył. — Uważam jednak, że postępujesz niemądrze.

— Może masz rację — odparła. — Ale robię to, co uważam za właściwe.

— Nie myślisz — rzekł lekceważąco, obracając się ku niej. Światło krzesanego ognia wydobyło jego twarz z mroku. — Zapomnij, jeśli chcesz… choć ja tego nie potrafię… co się stanie, jeśli ludzie się dowiedzą, kim jesteś. Zapomnij, że się od ciebie odwrócą, że będą cię obmawiać za plecami.

— Ci ludzie nie są warci, aby się o nich troszczyć — odparła, sztywniejąc.

— Może i nie — odrzekł Colin, krzyżując ramiona i spoglądając na nią twardo. — Ale to będzie bolało. Nie spodoba ci się to, Penelopo. Mnie też nie.

Konwulsyjnie przełknęła ślinę. Dobrze. Może wreszcie do niej dotrze.

— Ale zapomnij o tym — rzekł. — Spędziłaś całe dziesięć lat na obrażaniu ludzi. Urażaniu ich.

— Mówiłam również wiele miłych rzeczy — zaprotestowała.

Jej oczy błyszczały od łez.

— Oczywiście, że tak, ale to nie są ludzie, o których się musisz martwić. Mówiłem o tych osobach, które obraziłaś, rozgniewanych. — Podszedł i chwycił ją za ramiona. — Penelopo — rzekł z naciskiem — będą tacy, którzy zechcą cię skrzywdzić. — Te słowa miały ją przerazić, ale to on poczuł lęk.

Usiłował sobie wyobrazić życie bez niej. Niemożliwe. Zaledwie parę tygodni temu była… Znieruchomiał, zamyślił się. Kimże była? Przyjaciółką? Znajomą? Kimś, kogo znał, ale nie zauważał? A teraz była jego narzeczoną, wkrótce zostanie żoną. I może… może łączy ich coś jeszcze. Coś głębszego. Cenniejszego.

— Chciałbym tylko wiedzieć — rzekł, umyślnie wracając do poprzedniego tematu, aby jego umysł nie wędrował po niebezpiecznych manowcach — dlaczego nie wykorzystujesz doskonałego alibi, jeśli chcesz pozostawać anonimowa?

— Bo nie o to chodzi! — krzyknęła.

— Chcesz, żeby cię zdemaskowano? — Wytrzeszczył oczy.

— Nie, oczywiście, że nie — odparła. — Ale to moja praca. Dzieło mojego życia. To wszystko, czym się mogę pochwalić, a skoro ja nie mogę zebrać jego owoców, to niech mnie piorun strzeli, jeśli pozwolę na to komuś innemu.

Bridgerton otwarł usta, aby odpowiedzieć, ale ku swemu zdziwieniu odkrył, że zabrakło mu słów.

Dzieło życia. Penelopa miała dzieło swojego życia. A on nie! Nie

mogłaby zapewne podpisać swej pracy, ale kiedy była sama w pokoju, mogła oglądać poprzednie wydania, mówiąc do siebie: „Oto moje dzieło”. Dla tego warto było żyć.

— Colinie? — wyszeptała, widocznie zdziwiona jego milczeniem.

Była niesamowita. Nie wiedział, dlaczego nie zauważył tego wcześniej, skoro wiedział, że jest inteligentna i miła, pomysłowa i dowcipna. Ale wszystkie te określenia, pomijając całą listę tych, na które do tej pory nie wpadł, nie były w stanie opisać jej we właściwy sposób. Była zdumiewająca.

A on… Dobry Boże, on był o nią zazdrosny!

— Pójdę już — rzekła cicho.

Odwróciła się i skierowała w stronę drzwi.

Przez chwilę nie reagował. Jego umysł był jak w hibernacji, pękał od nadmiaru odkryć. Kiedy jednak zobaczył jej rękę na klamce, zrozumiał, że nie może pozwolić jej odejść. Nie dziś. Nigdy.

— Nie — zaprotestował chrapliwie, trzema wielkimi krokami pokonując dzielącą ich odległość. — Nie. Chcę, żebyś została.

Podniosła na niego wzrok. Okrągłe, zdumione oczy.

— Ale powiedziałeś…

Czule ujął jej twarz w dłonie.

— Zapomnij, co powiedziałem.

Wtedy zrozumiał, jak mądra była Daphne. Jego miłość nie była gromem z jasnego nieba. Zaczęła się od uśmiechu, od słowa, żartobliwego spojrzenia. Narastała z każdą wspólnie spędzoną sekundą, aż dotarł do tego miejsca i do tej chwili. Teraz wiedział.

Kochał Penelopę.

Wciąż był na nią wściekły o publikację tej ostatniej gazetki, wstydził się swej zazdrości o to, że ona odnalazła cel swojego życia, ale i tak ją kochał.

A jeśli teraz pozwoliłby jej odejść, nie wybaczyłby sobie nigdy.

Może zatem to była definicja miłości. Kiedy kogoś potrzebujesz, kogoś pragniesz, podziwiasz i adorujesz, choć równocześnie jesteś wściekły i masz ochotę tę osobę przywiązać do łóżka tylko po to, żeby nie narobiła więcej kłopotów.

To była ta noc, ta chwila. Przepełniła go miłością, którą musiał wyznać, którą musiał okazać.

— Zostań — wyszeptał i przyciągnął Penelopę do siebie, bez przeprosin czy wyjaśnienia. — Zostań — rzekł znowu, prowadząc ją ku łożu. A kiedy nie odpowiedziała, powtórzył po raz trzeci: — Zostań.

Skinęła głową. Wziął ją w ramiona. To była Penelopa i to była miłość.

18

W chwili kiedy Penelopa skinęła głową — a właściwie nawet na ułamek sekundy wcześniej — wiedziała już, że zgadza się na coś więcej niż pocałunek. Nie była pewna, co sprawiło, że Colin zmienił zdanie — czemu w jednej chwili był tak wściekły, a w drugiej taki zakochany. Nie była pewna, lecz szczerze mówiąc, niewiele ją to obchodziło.

Wiedziała tylko, że nie całowałby jej tak gorąco, aby ją ukarać. Niektórzy mężczyźni mogliby wykorzystać pożądanie jako broń, pokusę lub zemstę, lecz Colin do nich nie należał.

Pomimo niesfornego, zawadiackiego zachowania, skłonności do złośliwych żartów i przekomarzań oraz ciętego języka, był godnym i szlachetnym człowiekiem. Będzie również godnym i szlachetnym małżonkiem.

Była o tym przekonana, mogła za to ręczyć jak za siebie. A jeśli całował ją namiętnie, układając ją na łożu, pochylając się nad nią, to tylko dlatego, że jej pragnął i troszczył się o nią na tyle, aby pohamować swój gniew.

Troszczył się o nią.

Penelopa ochoczo oddawała pocałunki, wkładając w nie całą swą duszę. Ośmielała ją miłość, którą od lat darzyła tego mężczyznę, i jeśli nawet nie miała doświadczenia w tej dziedzinie, nadrabiała to żarliwością. Wsunęła palce we włosy ukochanego i tuliła się do niego, zapominając o jakimkolwiek wstydzie.

Nie byli w powozie ani w salonie jej matki. Nie musieli się obawiać

odkrycia ani pamiętać, by w ciągu kilku minut doprowadzić się do porządku.

Tej nocy będzie mogła okazać mu wszystko, co do niego czuła. Odpowie pragnieniem na pragnienie, złoży milczące śluby poświęcenia, wierności i miłości.

A kiedy noc dobiegnie końca, Colin dowie się o jej miłości. Może nie usłyszy słów — może ona nie zdoła ich nawet wyszeptać — lecz będzie wiedział.

A może już wie. Zabawne, tak łatwo było zataić jej sekretne życie jako lady Whistledown, a tak niewiarygodnie trudno ukryć wyzierającą z jej oczu miłość.

— Kiedy zacząłem cię tak bardzo pragnąć? — wyszeptał, lekko unosząc głowę nad jej twarzą. Musnął nosem jej policzek, jego oczy, ciemne i przepastne w świetle świec, a w jej pamięci tak zielone, wpatrywały się w nią intensywnie. Gorący oddech, gorące spojrzenia sprawiły, że również Penelopa zapłonęła miłosnym żarem.

Colin przesunął dłonie na jej plecy i z wprawą począł rozpinać guziki sukni. Po chwili Penelopa poczuła, jak miękki materiał zsuwa się z jej ramion, gorsu, by ostatecznie opaść aż do talii.

— Boże — wyszeptał Colin niemal bezgłośnie — jakaś ty piękna.

Po raz pierwszy w życiu uwierzyła, że to może być prawda. Było coś niepokojącego i drażniącego w takim obnażeniu się przed drugą ludzką istotą, lecz Penelopa nie czuła wstydu. Colin spoglądał na nią tak czule, dotykał jej z takim szacunkiem, że nie miała wątpliwości, iż zdąża ku nieuniknionemu przeznaczeniu.

Jego palce prześliznęły się po wrażliwej skórze jej ramienia, delikatnie drażniąc ją paznokciami. Błąkały się przez chwilę, jakby szukając drogi, i znów spoczęły na jej szyi.

Penelopa nie umiałaby powiedzieć, co było tego przyczyną, czy sposób, w jaki Colin na nią patrzył, czy może jego dotyk, lecz jedno wiedziała — nie była już sobą.

Czuła się obco, dziwnie. Cudownie.

Colin klęczał obok niej na łóżku, wciąż całkiem ubrany, obejmując ją spojrzeniem pełnym dumy, uwielbienia i pożądania…

— Nie marzyłem, że będziesz tak wyglądać — wyszeptał, opuszkami palców muskając jej pierś. — Nie przypuszczałem, że będę cię pragnął w taki sposób.

Penelopa zadrżała. Coś niepokojącego było w tym wyznaniu i ta rozterka musiała odbić się w jej oczach.

— Co się dzieje? — spytał Colin.

„Nic”, chciała powiedzieć, ale się powstrzymała. Małżeństwo powinno opierać się na uczciwości, ukrywanie prawdy i tak nikomu nie pomoże.

— A jak miałam wyglądać? — zapytała cichutko. Wytrzeszczył oczy, wyraźnie nie rozumiejąc pytania. — Powiedziałeś, że nigdy nie marzyłeś, że będę tak wyglądać — wyjaśniła. — Więc jeśli nie tak, to jak?

— Nie wiem — przyznał. — Do niedawna chyba nie myślałem o tym w ogóle.

— A potem? — nalegała, niezupełnie pewna, czego oczekiwać.

W jednej chwili Colin znalazł się nad nią, pochylony tak nisko, że guziki jego kamizelki ocierały się o skórę jej brzucha i piersi, nos dotykał jej nosa, a gorący oddech rozpływał się po jej skórze.

— Potem — mruknął — myślałem o tej chwili tysiące razy, wyobrażałem sobie setki różnych ciał, wszystkie piękne, godne pożądania, domagające się mojej uwagi, ale nic, wierz mi, i powtórzę to jeszcze raz, gdybyś nie usłyszała, nic nie dorówna rzeczywistości.

— Och! — wyszeptała, niezdolna powiedzieć nic więcej.

Zdjął surdut i kamizelkę, pozostając jedynie w cieniutkiej koszuli i spodniach, i z przewrotnym uśmieszkiem błąkającym się w kącikach ust przyglądał się jej drżącemu z lęku i podniecenia ciału.

Powoli wyciągnął dłonie i nakrył nimi jej piersi. Westchnął głęboko, urywanie.

— Chciałbym, żebyś usiadła — szepnął. — Chcę cię oglądać, taką piękną, cudowną, rozkoszną… a potem stanąć za tobą i objąć cię ramionami. — Pochylił się do jej ucha i dodał: — I chciałbym to zrobić przed lustrem.

— Teraz? — wyjąkała.

Przez chwilę się zastanawiał, po czym pokręcił głową.

— Nie, nie teraz — odrzekł i dodał dość zdecydowanie: — Później.

Otwarła usta, zamierzając o coś zapytać — sama nie wiedziała o co — ale zanim wykrztusiła bodaj słowo, Colin mruknął: „Wszystko po kolei”, i pochylił się nad jej piersią, drażniąc jej koniuszek najpierw delikatnym dmuchnięciem, a następnie obejmując go ustami. Kiedy Penelopa krzyknęła zaskoczona i poderwała się na łóżku, jedynie zaśmiał się cicho i kontynuował słodką torturę.

Przesunąwszy się ku drugiej piersi, uwolnił jedną rękę, a ta nagle zdała się być wszędzie — drażniąc, kusząc, łaskocząc, by na koniec zapuścić się pod fałdy spódnicy.

— Colinie — jęknęła Penelopa, drżąc pod jego ciężarem, kiedy głaskał wrażliwą skórę pod jej kolanem.

— Próbujesz uciec czy się zbliżyć? — zapytał, nie odrywając ust od jej piersi.

— Nie wiem.

Podniósł głowę i uśmiechnął się triumfalnie.

— Znakomicie.

Zsunął się na bok i zdjął z siebie resztę ubrania — najpierw lnianą koszulę, potem buty i spodnie. Ani na chwilę nie odrywał oczu od Penelopy. Potem lekko uniósł jej biodra i pociągnął w dół suknię, już wcześniej okrywającą zaledwie talię.

Leżała teraz przed nim naga, jeśli nie liczyć przejrzystych, jedwabnych pończoch. Znieruchomiał, uśmiechnął się, niezdolny zrezygnować z podziwiania jej ciała, a potem powoli zsunął delikatną materię z jej nóg.

Drżała w chłodnym, nocnym powietrzu, więc położył się obok i przytulił całym ciałem, dzieląc się z nią własnym ciepłem i rozkoszując jedwabistą miękkością jej skóry.

Pragnął jej. Wstydził się przyznać sam przed sobą, jak bardzo jej pragnął.

Był tak owładnięty pożądaniem, że ledwie zachowywał rozsądek. Jego ciało wielkim głosem domagało się spełnienia, a jednocześnie czuł dziwny spokój. W jakiejś chwili on sam przestał się liczyć, a zaczęła się liczyć ona… nie, oni, to cudowne połączenie i nieoczekiwana miłość, którą właśnie uczył się doceniać.

Pragnął jej… wielki Boże, tak bardzo jej pragnął, ale chciał, aby drżała pod nim, krzyczała z pożądania, rzucała głową na boki, kiedy będzie ją wiódł ku wyżynom…

Chciał, żeby to pokochała, żeby pokochała jego; chciał mieć pewność, że kiedy już spoceni i znużeni będą odpoczywać w swych objęciach, Penelopa będzie należała do niego.

Wiedział już bowiem, że on należy do niej.

— Powiedz mi, jeśli zrobię coś, co ci się nie spodoba — poprosił, zaskoczony drżeniem własnego głosu.

— Nie mógłbyś — odparła, muskając palcami jego policzek.

Nie rozumiała. Prawie uśmiechnął się na tę myśl, uśmiechnąłby się, gdyby tak bardzo nie zależało mu, aby to pierwsze doświadczenie stało się

dla niej cudowne. Słowa „nie mógłbyś” świadczyły, że Penelopa nie ma pojęcia, co to znaczy kochać się z mężczyzną.

— Penelopo — rzekł cicho, nakrywając jej dłoń swoją. — Muszę ci coś wyjaśnić. Mogę sprawić ci ból. Nie chciałbym tego, ale to możliwe i…

Pokręciła głową.

— Nie, nie możesz — zaprzeczyła znów. — Znam cię. Nieraz wydaje mi się, że ciebie znam lepiej niż siebie. A ty nigdy nie zrobiłbyś czegoś, co mogłoby sprawić mi ból.

Zacisnął zęby, usiłując nie jęknąć.

— Nie umyślnie — rzekł z lekkim zniecierpliwieniem — ale mógłbym, a wtedy…

— Pozwól to mnie osądzić — odrzekła, ujmując go za rękę i składając na niej serdeczny pocałunek. — A co do tamtego…

— Jakiego tamtego?

Uśmiechnęła się i Colin musiał doznać chwilowego zaćmienia, bo wydawało mu się, że jego troska ją bawi.

— Chodzi o to, że mam ci powiedzieć, jeśli zrobisz coś, co mi się nie spodoba — wyjaśniła.

Przyglądał się jej z bardzo bliska, nagle zahipnotyzowany widokiem jej ust.

— Obiecuję ci — szepnęła — że wszystko będzie mi się podobać.

Wypełniła go ogromna radość. Nie wiedział, jaki to dobrotliwy bóg powierzył Penelopę jego pieczy, uznał jednak, że następnym razem w kościele będzie musiał bardziej uważać na to, co się dzieje.

— Będzie mi się podobać wszystko — ciągnęła — bo jestem z tobą.

Colin ujął jej twarz w dłonie i wpatrywał się w nią z takim zachwytem, jakby była najcudowniejszą istotą na świecie.

— Kocham cię — szepnęła. — Kochałam cię od lat.

— Wiem — odrzekł, zaskoczony własnym wyznaniem.

Wiedział, podejrzewał, ale wygnał tę pewność ze swego umysłu, bo go krępowała. Trudno było zaakceptować, że jest się kochanym przez kogoś szlachetnego i dobrego, kiedy się tej miłości nie odwzajemniało. Nie mógł Penelopy odepchnąć, za bardzo ją lubił i nigdy by sobie tego nie wybaczył, gdyby zdeptał jej uczucia. Ale flirtować też z nią nie mógł, z tego samego zresztą powodu.

Wmówił więc sobie, że jej uczucie nie jest prawdziwą miłością. Łatwiej było siebie przekonać, że z jej strony to tylko zadurzenie, że taka kobieta nie może wiedzieć, co to jest prawdziwa miłość (jakby on wiedział!), i że wkrótce znajdzie sobie kogoś, z kim będzie wieść pełne zadowolenia życie. A teraz sama myśl o tym, że mogłaby poślubić innego, wręcz go paraliżowała.

Leżeli obok siebie, Penelopa wznosiła ku niemu przepełnione miłością oczy, a jej twarz jaśniała szczęściem, jakby po tym wyznaniu wreszcie poczuła się wolna. Colin ze zdumieniem stwierdził, że w jej spojrzeniu nie było śladu wyczekiwania. Nie powiedziała mu, że go kocha, aby usłyszeć to samo od niego. Nie czekała na odpowiedź.

— Ja też cię kocham — szepnął i mocno pocałował ją w usta.

Dopiero po tym podniósł głowę, ciekawy jej reakcji.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała. Wreszcie przełknęła i szepnęła:

— Nie musisz tego mówić tylko dlatego, że usłyszałeś to ode mnie.

— Wiem — odparł z uśmiechem.

Spojrzała na niego, a jej oczy stawały się coraz większe.

— I to także wiesz — rzekł cicho. — Powiedziałaś, że znasz mnie lepiej niż ja sam. Wiem, że nigdy nie mówisz tego, co nie jest prawdą.

Nagle Penelopa zrozumiała, że on ma rację. Zrozumiała to, leżąc naga

w jego łóżku, w jego objęciach. Colin nie kłamał. Nigdy nie kłamał w ważnych sprawach, a ona nie potrafiła sobie wyobrazić nic ważniejszego niż ta chwila. Kochał ją. Nie spodziewała się tego, nie śmiała nawet mieć na to nadziei, a jednak zdarzył się cud.

— Jesteś pewien? — zapytała.

Skinął głową, przyciągając ją bliżej.

— Zrozumiałem to dopiero dzisiaj. Kiedy poprosiłem, żebyś została.

— Jak… — Nie dokończyła pytania. Nie była nawet pewna, jak miałoby ono brzmieć. Jak się zorientował, że ją kocha? Jak to się stało? Jak się z tym teraz czuł?

Colin zdawał się czytać w jej myślach.

— Nie wiem. Nie wiem kiedy, nie wiem jak, a szczerze mówiąc, niewiele mnie to też obchodzi. Wiem tylko, że kocham cię i nienawidzę siebie za to, że przez tyle lat nie dostrzegałem prawdy.

— Colinie, daj spokój. Nie obwiniaj się. Nie żałuj. Nie dzisiaj.

Uśmiechnął się i położył palec na jej ustach.

— Nie sądzę, abyś to ty się zmieniła — szepnął. — A przynajmniej niewiele. Pewnego dnia po prostu dotarło do mnie, że gdy patrzę na ciebie, widzę kogoś innego. — Wzruszył ramionami. — Może się zmieniłem? Może dorosłem?

Położyła mu palec na wargach, uciszając go tak samo, jak on ją wcześniej.

— Może ja też dorosłam?

— Kocham cię — rzekł, pochylając się w przód, by ją pocałować.

Tym razem nie mogła odpowiedzieć, ponieważ jego usta nie pozwoliły jej mówić — głodne, władcze, bardzo, bardzo uwodzicielskie.

Wydawał się dokładnie wiedzieć, co chce osiągnąć. Każde poruszenie jego języka, każde delikatne ukąszenie przyprawiało ją o drżenie. Penelopa

oddała się niezmąconej rozkoszy tej chwili, pozwoliła, by wszędobylskie dłonie ukochanego rozniecily w niej ogień pożądania.

Colin przyciągnął ją, przekręcił się na plecy i ułożył ją na sobie. Aż jęknęła, zdumiona tak intymną bliskością, lecz ten jęk stłumiły jego usta, wciąż całujące ją z wielką żarliwością.

I znów leżała na łóżku, a Colin pochylał się nad nią, wciskając swym ciężarem w materac, wytłaczając jej powietrze z płuc. Ustami dotknął jej ucha, potem szyi. Penelopa wygięła się w łuk, usiłując dokonać niemożliwego i znaleźć się jeszcze bliżej niego.

Nie wiedziała, co powinna robić, ale wiedziała, że musi się poruszyć. Matka wzięła ją już na „rozmowę” — jak to delikatnie ujęła — podczas której pouczyła ją, że kobieta powinna leżeć spokojnie pod mężem i czekać, aż ten się zaspokoi. Lecz ona w żaden sposób nie mogła pozostać nieruchoma, nie mogła powstrzymać falowania swoich bioder ani zaciskania się nóg wokół ukochanego. Nie chciała też czekać, aż Colin się zaspokoi — chciała w tym uczestniczyć, wpaść wraz z nim w ten wir.

To, co w niej narastało — napięcie, pożądanie — wymagało zaspokojenia, i Penelopa była pewna, że chwila, w której to nastąpi, będzie najpiękniejszą w jej życiu.

— Mów, co mam robić — wyszeptała chrapliwym głosem.

— Pozwól, że ja się tym zajmę — wydyszał, pieszcząc wewnętrzną stronę jej jedwabistych ud.

Chwyciła go za biodra i przyciągnęła ku sobie.

— Nie — nalegała — musisz mi powiedzieć.

Znieruchomiał na ułamek sekundy, obrzucając ją zdumionym spojrzeniem.

— Dotykaj mnie — rzekł wreszcie.

— Gdzie?

— Wszędzie.

Zwolniła kurczowy uchwyt.

— Dotykam cię przecież.

— Poruszaj — jęknął — poruszaj dłońmi.

Delikatnie zataczając koła, powoli przesuwała palce w kierunku pokrytych miękkimi, sprężystymi włoskami ud.

— Tak?

Skinął głową niepewnie.

Przesunęła dłonie nieco dalej, na brzuch, a potem zaczęła schodzić niżej…

— Tak?

Chwycił ją za rękę.

— Nie teraz — wyszeptał chrapliwie.

Spojrzała na niego zdezorientowana.

— Później zrozumiesz — jęknął i cofnął się lekko, by wsunąć dłoń pomiędzy ich ciała i dotknąć jej najintymniejszego miejsca.

— Colinie! — krzyknęła.

Zaśmiał się szatańsko.

— Myślałaś, że tak cię nie będę dotykał?

I jakby na potwierdzenie tych słów jego palce zatańczyły na jej delikatnej skórze. Ciało Penelopy wygięło się w łuk, unosząc ich oboje, by za chwilę opaść z powrotem, dygocząc z pożądania.

Colin musnął ustami jej ucho.

— To nie wszystko — wyszeptał.

Wolała nie pytać, co dalej. I tak już dowiedziała się wiele, o wiele więcej niż od matki.

Colin zaczął gładzić ją delikatnie, aż krzyknęła (a on zaśmiał się radośnie).

— Jesteś prawie gotowa na przyjęcie mnie — oznajmił, oddychając spazmatycznie. — Gotowa…

— Colinie, co ty…

Poruszył palcami, skutecznie odbierając jej zdolność myślenia.

Pokochała to uczucie od pierwszej chwili. Musiała być w duchu nierządnicą, skoro teraz pragnęła jedynie poczuć go w sobie. Pozwoliłaby mu w tej chwili na wszystko, zgodziłaby się na każdą, najśmielszą nawet pieszczotę.

Byle tylko nie przestawał.

— Nie mogę już dłużej — wyszeptał.

— Nie czekaj.

— Pragnę cię.

Wyciągnęła ręce i zbliżyła jego twarz ku swojej.

— Ja także cię pragnę.

Colin cofnął dłoń, a Penelopie zdało się, że nagle zabrakło jej całego świata. Po chwili jednak przeszył ją całkiem inny dreszcz.

— To może boleć — uprzedził Colin, zaciskając zęby, jakby sam oczekiwał bólu.

— Nie szkodzi.

Musiał sprawić, aby była szczęśliwa. Musiał.

— Będę delikatny — obiecał, choć jego podniecenie sięgało zenitu i nie miał pojęcia, jak długo jeszcze zdoła się powstrzymywać.

— Pragnę cię — odrzekła. — Pragnę ciebie i potrzebuję czegoś… sama nie wiem czego… — Nagle zamilkła. Ciszę przerywał tylko odgłos oddechu, spazmatycznie wydobywającego się z jej ust.

— Och, Penelopo — jęknął Colin, unosząc się na ramionach, by nie zmiażdżyć jej swym ciężarem. — Proszę, powiedz, że dobrze się czujesz, proszę…

Wiedział, że w obecnym stanie wycofanie się może kosztować go życie. Skinęła głową.

— Potrzebuję chwili — wyszeptała.

Przełknął ślinę, oddychając płytko i szybko. Tylko tak mógł się powstrzymać. Wiedział, czuł, że Penelopa nigdy wcześniej nie była z mężczyzną…

Nie mógł już czekać.

— O Boże — jęknął, kiedy rozluźniła się nieco w jego objęciach. Jej niewinność była niezaprzeczalna. — To będzie bolało…

— Skąd wiesz? — zapytała.

Zamknął oczy. Tylko ona w takim momencie mogła zadać takie pytanie.

— Wierz mi — odparł, unikając odpowiedzi, po czym jednym ruchem posiadł ją.

Penelopa jęknęła, szeroko otwierając oczy.

— Jak się czujesz?

— Chyba… dobrze — wyszeptała.

— Wszystko w porządku? — upewnił się, cofając się nieco.

Kiwnęła głową, ale widać było, że wciąż jest zdumiona i oszołomiona.

Colin nagle stracił kontrolę nad sobą. Penelopa była doskonałą kochanką, ciepłą i miękką, a kiedy się zorientował, że jej jęki i westchnienia nie są oznaką bólu, lecz podniecenia, pofolgował własnym pragnieniom.

Czuł pod sobą jej falujące ciało i pragnął tylko jednego — aby i ona doznała pełni rozkoszy. Jej oddech był szybki, parzył mu twarz, palce wbijały się w ramiona bez litości. Ogarnęło go szaleństwo.

I wtedy stało się. Z jej ust wydobył się jęk, piękniejszy dla jego uszu niż najdoskonalsza muzyka. Penelopa wykrzyknęła jego imię, a jej ciało wyprężyło się w ekstazie. Colin pomyślał, że przyjdzie taki dzień, w którym będzie mógł obserwować jej twarz w takiej właśnie chwili.

Ale nie dziś. Dziś i on wspinał się na najwyższe szczyty. Przymknął oczy, w ostatnim, niekontrolowanym spazmie wyszeptał imię Penelopy i opadł na nią, całkiem pozbawiony sił.

Przez ponad minutę panowało zupełne milczenie, przerywane jedynie odgłosem ich ciężkich oddechów. Czekali, aż ich ciała uspokoją się i odprężą w łagodnym cieple, jakiego doznaje się jedynie w ramionach ukochanej osoby.

A przynajmniej tak uważał Colin. Miał w życiu wiele kobiet, ale teraz już wiedział, że żadnej z nich nie kochał. Po raz pierwszy poznał miłość w ramionach Penelopy, od pierwszego pocałunku, jaki rozpoczął ich intymny taniec.

Nigdy wcześniej tak się nie czuł. To była miłość.

A on zamierzał trzymać się jej obiema rękami.

19

Nietrudno było przesunąć datę ślubu.

Wracając do domu w Bloomsbury (po drodze zdążył jeszcze odstawić do Mayfair okropnie rozczochraną Penelopę), Colin pomyślał, że może istnieje powód, aby przyspieszyć ślub.

Oczywiście nie można było oczekiwać, że po jednej upojnej nocy Penelopa zajdzie w ciążę. A nawet gdyby, to dziecko urodziłoby się najwyżej w ósmym miesiącu, co w świecie pełnym „wcześniaków", urodzonych ledwie w pół roku po ślubie, byłoby czymś zupełnie zwyczajnym. Pierwsze dzieci zwykle rodzą się później (Colin miał dość bratanków i bratanic, aby się zorientować, że to prawda), wystarczyłoby jednak, żeby ciąża trwała osiem i pół miesiąca, a nie nikt nie dopatrzyłby się niczego niestosownego. Nie było zatem szczególnych powodów, aby przyspieszać ceremonię.

Ale on tego pragnął.

Odbył zatem z matkami stosowną rozmowę, sugerując bardzo wiele, jednak nie mówiąc nic wyraźnie, w efekcie czego obie damy bez wahania zgodziły się na zmianę daty. Zwłaszcza że dziwnym trafem mogły go źle zrozumieć i pomyśleć, że jego intymne relacje z Penelopą miały miejsce o wiele wcześniej.

No cóż, drobne, niewinne kłamstewka nie były wielkim występkiem, jeśli służyły nadrzędnemu dobremu celowi.

A pospieszny ślub, przekonywał siebie Colin, kładąc się co wieczór do pustego łóżka i marząc, by Penelopa była u jego boku, zdecydowanie był nadrzędnym i dobrym celem.

Matki, które ostatnio stały się nierozłączne, początkowo protestowały, obawiając się niesmacznych plotek (które w tym przypadku byłyby absolutnie prawdziwe), lecz wtedy na pomoc młodym całkiem niespodziewanie przyszła lady Whistledown.

Cały Londyn żył plotkami dotyczącymi lady Whistledown i Cressidy Twombley. Szczerze mówiąc, miasto wrzało od nich, w związku z czym nikt nawet nie zwrócił uwagi na to, że ślub Featherington-Bridgerton został przyspieszony.

A to z kolei doskonale odpowiadało obu rodzinom.

Z wyjątkiem być może Colina i Penelopy, którzy z pewnym zakłopotaniem przyjęli kolejne sensacyjne doniesienia o lady Whistledown. Oczywiście Penelopa była już do nich przyzwyczajona, w końcu w ciągu ostatnich kilku lat nie było miesiąca, żeby ktoś w jej obecności nie zastanawiał się nad tożsamością lady Whistledown. Colin jednak wciąż był tak rozgniewany i zirytowany jej drugim życiem, że poczuła się niepewnie. Próbowała nawet go o to zagadnąć, jednak tylko zacisnął usta, po czym (nieswoim głosem zresztą) oznajmił, że nie chce na ten temat rozmawiać.

Mogła z tego wywnioskować jedynie tyle, że się jej wstydził. A właściwie nie tyle jej, ile jej pracy jako lady Whistledown. Czuła, że serce jej pęka, ponieważ pisanie było ważnym elementem jej życia i myślała o nim z wielką dumą. Dokonała czegoś. Nawet jeśli nie mogła sygnować prac własnym nazwiskiem, osiągnęła niewyobrażalny sukces. Ilu z jej współczesnych, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, mogło o sobie powiedzieć to samo?

Gotowa była na zawsze rozstać się z lady Whistledown i wieść życie jako pani Colinowa Bridgerton, żona i matka, ale wewnętrznie burzyła się przeciwko temu, że powinna się jej wstydzić.

Gdyby i Colin mógł odczuwać dumę z jej dokonań… Och, wierzyła,

wierzyła każdą cząstką swego ciała, że ją kochał. Nigdy by nie skłamał w takiej sprawie. Miał zawsze na podorędziu dość uśmiechów i gładkich słówek, aby kobieta poczuła się przy nim szczęśliwa i zadowolona, nie musiał już opowiadać jej o miłości, której nie żywił. Chyba że istniała taka możliwość — a zachowanie Colina przekonywało ją o tym coraz bardziej — że ukochana osoba mogła być równocześnie przyczyną jego niezadowolenia i wstydu. Penelopa nie przypuszczała tylko, że to może aż tak boleć.

Pewnego popołudnia, zaledwie na kilka dni przed ślubem, spacerowali z Colinem po Mayfair. Penelopa zdecydowała się raz jeszcze poruszyć zakazany temat. Wprawdzie wiedziała, że od poprzedniej rozmowy stosunek Colina do tej sprawy w żaden magiczny sposób się nie zmienił, nie potrafiła się jednak powstrzymać. Jej narzeczony będzie musiał z uśmiechem wysłuchać, co ma do powiedzenia.

Obliczyła sobie odległość do Numeru Piątego, gdzie mieli zjawić się na herbacie.

— Sądzę — zaczęła, pewna, że ma około pięciu minut, zanim Colin wprowadzi ją do swego rodzinnego domu i zmieni temat — że mamy niedokończone sprawy do przedyskutowania.

Jej narzeczony w zaciekawieniu uniósł brew i spojrzał na nią z wesołym uśmiechem. Wiedziała, co próbował zrobić — wykorzystać swój zniewalający urok, aby ją rozkojarzyć. Wkrótce ten uśmiech stanie się chłopięcy i psotny, Colin rzuci jakąś uwagę i zanim Penelopa się zorientuje…

— Dość poważny wstęp jak na taki słoneczny dzionek.

Zasznurowała wargi. Nie tego się spodziewała, ale mniej więcej o to samo chodziło.

— Colinie — ze wszystkich sił starała się zachować spokój —

chciałabym, żebyś nie próbował zmieniać tematu za każdym razem, kiedy wspominam imię lady Whistledown.

Jego głos nagle stracił barwę.

— Nie przypominam sobie, abyś wspominała jej imię, a raczej powinienem chyba powiedzieć twoje imię. A poza tym stwierdziłem jedynie, że jest ładna pogoda.

Penelopa miała wielką ochotę zaprzeć się nogami i zmusić go, żeby się zatrzymał, ale znajdowali się w miejscu publicznym (podejrzewała, że sama jest sobie winna, iż zaczęła rozmowę właśnie tutaj), szła więc dalej spokojnym, równym krokiem, choć dłonie zacisnęła w pięści.

— Wtedy, kiedy opublikowałam mój ostatni artykuł, byłeś wściekły — ciągnęła.

Wzruszył ramionami.

— Przeszło mi.

— Nie sądzę.

Spojrzał na nią z dość pogardliwym wyrazem twarzy.

— A teraz jeszcze będziesz mi mówić, co czuję?

Tak paskudny strzał nie mógł pozostać bez odpowiedzi.

— Czy to nie obowiązek małżonki?

— Jeszcze nią nie jesteś.

Penelopa policzyła do trzech… nie, jednak lepiej do dziesięciu… po czym odpowiedziała:

— Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałam, ale nie miałam wyboru.

— Miałaś wybór, jednak nie mam zamiaru rozmawiać na ten temat tutaj, pośrodku Bruton Street.

Rzeczywiście, byli na Bruton Street. Nie wzięła pod uwagę, że szli dość szybko. Miała jeszcze minutę, a może mniej, zanim wstąpią na schody wiodące do Numeru Piątego.

— Zapewniam cię — rzekła — że ta pani nigdy już nie powróci z emerytury.

— Nie posiadam się ze szczęścia.

— Wolałabym, żebyś nie był aż tak sarkastyczny.

Colin spojrzał na nią płonącym wzrokiem. Wyraz jego twarzy tak bardzo różnił się od spokojnej nudy, jaka gościła tam jeszcze przed chwilą, że Penelopa omal się nie cofnęła.

— Uważaj, czego sobie życzysz — ostrzegł. — Sarkazm to jedyne, co jeszcze trzyma niektóre moje uczucia w ryzach, a wierz mi, nie chciałabyś ich poznać do końca.

— Myślę, że chciałabym — odparła cichutko, ponieważ w istocie wcale nie była tego pewna.

— Nie ma dnia, żebym choć przez chwilę nie zastanawiał się, co powinienem uczynić, aby cię ochronić w razie ujawnienia twojego sekretu. Kocham cię, Penelopo. Niech mnie Bóg chroni, ale tak jest.

Penelopa doskonale obyłaby się bez modlitwy o boską pomoc, ale wyznanie miłości było bardzo miłe.

— W ciągu trzech dni — ciągnął — będę twoim mężem. Złożę uroczystą przysięgę, że będę cię chronił, póki śmierć nas nie rozłączy. Rozumiesz, co to oznacza?

— Będziesz mnie bronił przed zbłąkanymi minotaurami? — próbowała zażartować.

Z wyrazu twarzy narzeczonego poznała jednak, że on wcale nie uznał tego za zabawne.

— Wolałabym, żebyś nie był taki wściekły — mruknęła.

Spojrzał na nią, jakby nie dowierzał, że ośmieliła się go ofuknąć.

— Jeśli jestem wściekły, to dlatego, że nie podoba mi się, iż o twoim ostatnim artykule dowiedziałem się jednocześnie ze wszystkimi innymi.

Skinęła głową, przygryzając dolną wargę.

— Przepraszam za to. Z pewnością miałeś prawo wiedzieć wcześniej, ale jak miałam ci powiedzieć? Na pewno próbowałbyś mnie powstrzymać.

— Właśnie.

Znajdowali się teraz zaledwie o kilka domów od Numeru Piątego. Jeśli Penelopa miała jeszcze o cokolwiek zapytać, musiała to zrobić teraz.

— Jesteś pewien…? — zaczęła, ale urwała, obawiając się dokończyć zdanie.

— Czego?

Pokręciła głową.

— Nie, już nic.

— Widzę, że to nie jest nic.

— Zastanawiałam się tylko… — Spojrzała w bok, jakby widok londyńskiego krajobrazu mógł dodać jej odwagi. — Zastanawiałam się tylko…

— Wykrztuś to, Penelopo.

Tak ostry ton był niepodobny do Colina.

— Zastanawiałam się tylko, czy nie czujesz się źle z moim… eee…

— Tajemnym życiem? — podsunął.

— Jeśli tak chcesz to nazywać — zgodziła się. — Przyszło mi do głowy, że twoje zakłopotanie nie wynika wyłącznie z potrzeby ochrony mojej reputacji, gdyby prawda została odkryta.

— Właściwie co masz na myśli? — zapytał oschle. Zadała mu przecież konkretne pytanie, a mimo to zmuszał ją, aby wyłożyła kawę na ławę.

— Sądzę, że się mnie wstydzisz.

Zanim się odezwał, Colin przyglądał się jej przez pełne trzy sekundy.

— Nie wstydzę się. Mówiłem ci już.

— Więc co?

Colin zmylił krok i zanim się zorientował, stał już nieruchomo pod numerem trzecim przy Bruton Street. Dom jego matki znajdował się tylko o dwa numery dalej, był pewien, że za pięć minut są oczekiwani na herbacie, i…

I nie mógł oderwać stóp od podłoża.

— Nie wstydzę się ciebie — powtórzył, bo nie mógł zdobyć się na wyznanie prawdy. Był zazdrosny. Zazdrosny o jej osiągnięcia, o nią samą.

Cóż za ohydne uczucie, co za nieprzyjemne wrażenie! Pożerało go, przyprawiając o niejasne poczucie winy za każdym razem, kiedy ktoś wspomniał o lady Whistledown. A to, dzięki wyjątkowej skłonności londyńczyków do plotek, zdarzało się mniej więcej dziesięć razy dziennie. Nie wiedział, co powinien z tym zrobić.

Jego siostra Daphne stwierdziła kiedyś, że on zawsze wie, co powiedzieć i jak sprawić, by inni poczuli się swobodniej. Myślał o tym przez kilka dni, aż doszedł do wniosku, że ta jego zdolność wynika z szacunku dla siebie samego.

Zawsze doskonale czuł się we własnej skórze. Nie wiedział, skąd spłynęło na niego to błogosławieństwo — może to zasługa rodziców, może zwykłe szczęście. Teraz jednak czuł się niezręcznie i niepewnie, a to rzutowało na wszystkie aspekty jego życia. Warczał na Penelopę i ledwie odzywał się w czasie przyjęć.

A wszystko to spowodowane było znienawidzoną zazdrością i towarzyszącemu jej wstydowi.

A może nie?

Czy nie jest zazdrosny o Penelopę, dlatego że od dawna wyczuwał niedostatki własnego życia?

Interesujące pytanie psychologiczne. A właściwie byłoby interesujące, gdyby dotyczyło kogoś innego.

— Mama będzie się niecierpliwić — rzucił, wiedząc, że znów robi unik, nienawidząc się za to, ale będąc całkowicie niezdolny do innego zachowania. — A twoja mama też tam będzie, więc nie powinniśmy się spóźnić.

— Już jesteśmy spóźnieni — zauważyła Penelopa.

Wziął ją za ramię i pociągnął w kierunku Numeru Piątego.

— Jeszcze jeden powód, aby nie zwlekać.

— Unikasz mnie — odparła.

— Jak mogę cię unikać, skoro jesteś tutaj, u mojego boku?

Skrzywiła się.

— Unikasz odpowiedzi na moje pytanie.

— Porozmawiamy o tym później — odrzekł. — Kiedy już nie będziemy stali pośrodku Bruton Street, obserwowani przez nie wiadomo kogo.

A potem, żeby zademonstrować, że nie zniesie dalszych protestów, położył jej dłoń na plecach i niezbyt delikatnie pchnął ją w kierunku schodów wiodących do Numeru Piątego.

*

W tydzień później nic nie uległo zmianie, z wyjątkiem nazwiska Penelopy.

Ślub był magicznym wydarzeniem. Ceremonia była skromna, ku wielkiemu niezadowoleniu towarzystwa londyńskiego. A noc poślubna… tak, ona także była magiczna. Małżeństwo również. Colin był cudownym partnerem — żartobliwym, łagodnym, troskliwym…

Do chwili kiedy pojawiał się temat lady Whistledown. Wtedy stawał się… no cóż, Penelopa nie była pewna, kim się stawał, ale z pewnością nie był sobą. Znikał swobodny wdzięk, szybka riposta i wszystkie te cudowne rzeczy, za które go kochała.

Właściwie to nawet było śmieszne. Jej myśli od dawna krążyły wokół poślubienia tego człowieka. A w pewnym momencie zaczęła również marzyć, że powie mu o swym sekretnym życiu. A dlaczegóż by nie? W marzeniach Penelopy jej małżeństwo z Colinem było doskonałym związkiem, w którym panowała całkowita szczerość.

W marzeniach sadzała męża przy sobie i nieśmiało wyjawiała swój sekret. On reagował najpierw niedowierzaniem, a potem zachwytem i dumą. Pisanie tak zręcznych artykułów wymagało nie lada inteligencji. Podziwiał ją za pomysłowość, chwalił za sukces. W niektórych marzeniach sugerował nawet, że może zostać jej tajnym reporterem.

Wydawało się, że Colin mógłby polubić takie nieco przewrotne zajęcie.

Okazało się jednak, że jest inaczej.

Twierdził, że nie wstydzi się jej, może nawet sam był przekonany, że to prawda, ale ona jakoś nie mogła w to uwierzyć. Widziała jego twarz, kiedy mówił, że chce ją chronić, malowało się na niej szczere, gorące uczucie. Tymczasem kiedy mówił o lady Whistledown, jego oczy były puste i bez wyrazu. Usiłowała nie czuć rozczarowania. Usiłowała sobie wmówić, że nie ma prawa oczekiwać od Colina spełnienia wszystkich jej marzeń, że niepotrzebnie wyidealizowała sobie jego obraz, ale…

Ale wciąż chciała, by był tym człowiekiem, którego sobie wymarzyła.

Czuła się winna za każdym razem, kiedy ogarniało ją rozgoryczenie. To był przecież Colin! Colin, na litość boską! Colin, który był tak bliski doskonałości, jak tylko można sobie to wyobrazić. Nie miała prawa doszukiwać się w nim wad, a jednak…

A jednak to czyniła.

Chciała, aby był z niej dumny. Chciała tego bardziej niż czegokolwiek na świecie, bardziej niż pragnęła jego samego. Małżeństwo było dla niej czymś bardzo cennym. Pomijając niezręczne momenty, również i jej mąż

był dla niej kimś ważnym. Przestała zatem wspominać o lady Whistledown. Zmęczyły ją ponure miny Colina, nie chciała oglądać grymasu niezadowolenia wykrzywiającego jego usta.

Nie oczekiwała, że ten temat zniknie z ich życia już na zawsze. Praktycznie na każdym towarzyskim spotkaniu słyszeli wzmiankę o jej alter ego. Ale nie musiała rozmawiać o tym w domu.

Pewnego ranka siedzieli przy śniadaniu, oddając się lekturze porannej prasy. Penelopa szukała też tematu do rozmowy.

— Sądzisz, że powinniśmy wyjechać na miesiąc miodowy? — zapytała, rozsmarowując na bułeczce grubą warstwę konfitury malinowej. Może nie powinna tyle jeść, ale konfitura była smaczna, a ona niespokojna.

Zmarszczyła brwi, najpierw spojrzawszy na bułeczkę, a potem już bez szczególnego powodu. Nie miała pojęcia, że jest aż tak zdenerwowana. Myślała, że będzie w stanie zepchnąć problem lady Whistledown na dalszy plan.

— Może nieco później — odparł Colin, sięgając po konfiturę. — Możesz mi podać grzankę?

W milczeniu spełniła jego prośbę.

Podejrzewała, że powinna się cieszyć z tego, iż w ogóle potrafił oderwać się od jedzenia. Chyba że właśnie spoglądał na talerz ze śledziem, a ona sądziła, że na nią. Zdaje się, że właśnie tak było. Trudno było konkurować ze śniadaniem o uwagę Colina.

— Penelopo? — zagadnął ją mąż.

Zamrugała.

— Wyglądasz na rozczarowaną.

— Och! No tak, rzeczywiście, jestem rozczarowana. — Spojrzała na niego z bladym uśmiechem. — Nigdy nigdzie nie wyjeżdżałam, a ty zwiedziłeś pół świata. Myślę, że mógłbyś mnie zabrać gdzieś, gdzie ci się

najbardziej podobało. Może do Grecji? Albo do Italii? Zawsze chciałam zobaczyć Italię.

— Spodobałaby ci się — mruknął z roztargnieniem, skupiony bardziej na jajecznicy niż na temacie rozmowy. — Myślę, że zwłaszcza Wenecja.

— Dlaczego mnie zatem tam nie zabierzesz?

— Zabiorę — odparł, nadziewając na widelec kawałek bekonu i wkładając go do ust. — Ale nie teraz.

Penelopa zlizała kroplę konfitury z bułeczki i starała się nie wyglądać na zdruzgotaną.

— Jeśli musisz wiedzieć — rzekł Colin z westchnieniem — powodem, dla którego nie chcę wyjechać, jest… — Spojrzał na otwarte drzwi i skrzywił się ze złością. — Nie, nie mogę tu o tym mówić.

Wytrzeszczyła oczy.

— Masz na myśli… — Napisała palcem na obrusie dużą literę „W”.

— Właśnie.

Spojrzała na niego zaskoczona, że sam podjął ten temat, a jeszcze bardziej tym, że nie wyglądał na zdenerwowanego.

— Ale dlaczego? — zapytała wreszcie.

— Jeśli tajemnica się wyda — odrzekł enigmatycznie, na wypadek gdyby służba kręciła się w pobliżu, co o tej porze było normalne — muszę być w mieście, żeby zminimalizować szkody.

Penelopa załamała się. Nie cierpiała, kiedy mówił o niej jako o przyczynie szkód. A on robił to nieustannie, choć nie bezpośrednio. Znów spojrzała na bułeczkę, zastanawiając się, czy chce ją zjeść. Nie upierałaby się przy tym.

Ale i tak ją zjadła.

20

W kilka dni później, wróciwszy z zakupów w towarzystwie Eloise, Hiacynty i Felicyty, Penelopa zastała męża siedzącego za biurkiem w gabinecie, dziwnie zgarbionego, studiującego jakąś książkę czy dokument.

— Colinie?

Poderwał głowę. Chyba nie słyszał, jak wchodziła, co było dziwne, bo nie starała się go zaskoczyć.

— Penelopo… — Wstał z miejsca. — Jak tam… eee… to, co robiłaś w mieście?

— Zakupy — odparła z pełnym rozbawienia uśmiechem. — Poszłam na zakupy.

— Właśnie. Poszłaś. — Lekko zakołysał się na piętach. — Kupiłaś coś?

— Czepek — odparła.

Kusiło ją, żeby dodać „i trzy pierścionki z brylantami”, aby sprawdzić, czy w ogóle jej słucha.

— Dobrze, dobrze — mruknął.

Wyraźnie spieszyło mu się do przerwanego zajęcia.

— Co czytałeś? — zapytała.

— Nic — odparł i prawie odruchowo dodał: — właściwie czytałem jeden z moich dzienników. — Jego twarz przybrała dziwny wyraz, nieco onieśmielony, nieco zaczepny, jakby czuł się zakłopotany przyłapaniem na gorącym uczynku, a jednocześnie rzucał wyzwanie.

— Mogę spojrzeć? — zapytała, nie zmieniając tonu głosu.

Trudno jej było zaakceptować fakt, że Colin czuje się niepewnie.

Wzmianka o dziennikach sprawiła, że ujawniła się jego wrażliwość, co było zaskakujące i… zarazem wzruszające.

Penelopa zawsze uważała go za osobę szczęśliwą i zadowoloną z życia. Był pewny siebie, przystojny, lubiany i inteligentny.

Wielokrotnie — częściej, niż zdołałaby zliczyć — wracała z herbatki u Eloise, zwijała się w kłębek na łóżku i marzyła o tym, żeby urodzić się Bridgertonem. Dla nich życie było takie łatwe. Byli mądrzy, atrakcyjni, bogaci i wszyscy zdawali się ich lubić. A ona nie mogła ich nawet znienawidzić za to, ponieważ byli mili.

Teraz i ona należała do Bridgertonów, jeśli nie z urodzenia, to poprzez małżeństwo, i faktycznie jej życie stało się lepsze, choć może nie tyle wiązało się to z przybraniem nowego nazwiska, ile z szaloną miłością, jaką żywiła dla męża, a który jakimś cudem to uczucie odwzajemniał.

Życie jednak nie było doskonałe, nawet Bridgertonów. Nawet Colin — złoty młodzieniec, zawsze uśmiechnięty i obdarzony diabelskim poczuciem humoru, miał swoje czułe punkty. Prześladowały go niespełnione marzenia i ukryte lęki. Ocena Penelopy była zatem niewłaściwa, nie uwzględniała bowiem drobnych niedostatków.

— Nie muszę widzieć wszystkiego — powiedziała uspokajająco. — Może jeden lub dwa krótkie ustępy. Sam wybierz. Może coś, co najbardziej lubisz.

Colin spojrzał tępo w otwarty dziennik, jakby był zapisany po chińsku.

— Nie wiem, co mógłbym wybrać — wymamrotał. — Wszystko jest podobne.

— Na pewno nie. Rozumiem to lepiej niż ktokolwiek inny. — Rozejrzała się wokół i szybko podbiegła do drzwi, żeby je zamknąć. — Napisałam mnóstwo artykułów. Zapewniam cię, że wcale nie były podobne. Niektóre uwielbiałam. — Uśmiechnęła się nostalgicznie, wspominając zadowolenie

i dumę, które odczuwała za każdym razem, kiedy napisała coś, co uważała za szczególnie udane. — To było miłe, wiesz, o czym mówię?

Pokręcił głową.

— To uczucie, które cię ogarnia — próbowała wyjaśnić — kiedy wiesz, że użyłeś odpowiednich słów. A naprawdę potrafisz to docenić wówczas, kiedy pół dnia siedziałeś zgarbiony nad czystą kartką papieru, nie wiedząc, jak zacząć.

— To akurat znam.

Penelopa powstrzymała uśmiech.

— Wiem, że znasz także to pierwsze. Jesteś doskonałym pisarzem, Colinie. Czytałam twoje prace.

Podniósł wzrok, wyraźnie zaniepokojony.

— Ten kawałek, o którym wiesz — uspokoiła go. — Nie przeczytałabym twoich dzienników bez zezwolenia. — Zarumieniła się, przypominając sobie, że właśnie w taki sposób poznała relację z pobytu na Cyprze. — No, przynajmniej teraz — poprawiła się. — Ale to było dobre, Colinie. Prawie magiczne. Gdzieś w głębi duszy musisz o tym wiedzieć.

Spojrzał na nią, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Doskonale znała ten wyraz twarzy, lecz u Colina wydawał się dziwny i niezrozumiały. Miała ochotę się rozpłakać, a potem zarzucić mężowi ramiona na szyję. Jednak przede wszystkim czuła nieodpartą potrzebę przywrócenia uśmiechu na jego usta.

— Wiem, że ty też miewałeś takie dni — ciągnęła. — Kiedy wiedziałeś, że napisałeś coś naprawdę dobrego. — Spojrzała na niego z nadzieją. — Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

Nie odpowiedział.

— Wiesz — powtórzyła. — Wiem, że wiesz. Nie możesz być pisarzem i nie znać tego uczucia.

— Nie jestem pisarzem — sprostował.

— Jesteś. — Wskazała głową dziennik. — Proszę, oto dowód. Colinie, proszę, pozwól mi przeczytać jeszcze kawałek.

Po raz pierwszy się zawahał i Penelopa uznała to za małe zwycięstwo.

— Przeczytałeś przecież wszystko, co napisałam — zauważyła przekornie. — Naprawdę, uczciwość nakazuje… — Urwała, kiedy zobaczyła wyraz twarzy męża. Nagle wydał jej się daleki, zamknięty w sobie, całkowicie nieosiągalny. — Colinie? — szepnęła.

— Wolałbym to zachować dla siebie — odrzekł oschle. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Nie, oczywiście, że nie — odparła, ale oboje wiedzieli, że to nieprawda.

Colin wciąż stał nieruchomo. Penelopa nie miała innego wyboru, jak tylko wymówić się zajęciami i opuścić gabinet, pozostawiając męża bezmyślnie wpatrzonego w drzwi.

Zranił ją.

Nieważne, że nieumyślnie. Wyciągnęła do niego dłoń, a on nie chciał jej przyjąć.

A co najgorsze, wiedział, że ona go nie rozumie. Uważała, że on się jej wstydzi. Tłumaczył, że tak nie jest, ale skoro nie mógł się zdobyć na wyznanie prawdy — że jest zazdrosny — nie mógł oczekiwać, że mu uwierzy.

Sam by sobie nie uwierzył. Wydawało się, że kłamie, ponieważ w pewnym sensie tak było. Mijał się z prawdą, co wprawiało go w zakłopotanie.

A w chwili kiedy przypomniała mu, że czytał wszystkie jej prace, poczuł coś obrzydliwego.

Czytał wszystko, co napisała, ponieważ publikowała wszystko, co pisała.

Zaś jego gryzmoły pozostawały bez życia w dziennikach, ukryte tam, gdzie nikt ich nie mógł zobaczyć.

Jakie ma znaczenie, że człowiek pisze, skoro nikt tego nie czyta? Czy nigdy niesłyszane słowa mają jakiekolwiek znaczenie?

Nigdy nie brał pod uwagę publikowania swoich dzienników, dopóki Penelopa nie podsunęła mu tego kilka tygodni temu. Teraz myśl ta prześladowała go dniem i nocą (kiedy nie prześladowała go myśl o Penelopie oczywiście). Paraliżował go jednak strach. A jeśli nikt nie zechce opublikować jego prac? A jeśli ktoś je opublikuje, ale tylko przez wzgląd na jego nazwisko i pozycję? Colin chciał być przede wszystkim sobą, kimś znanym z dokonań, a nie z powiązań rodzinnych czy nawet czarującego uśmiechu.

I najgorsza ze wszystkich obawa — a jeśli opublikuje dzienniki i nikt nie będzie chciał ich czytać? Jak stawi czoło takiej sytuacji? Jak będzie mógł żyć jako przegrany?

A czy nie gorzej pozostać tym, czym jest w tej chwili — tchórzem?

Colin zjawił się w sypialni późnym wieczorem, kiedy Penelopa zdążyła już podnieść się z fotela, wypić filiżankę krzepiącej herbaty i po chwili kręcenia się po pokoju znów opaść na poduszki z książką w ręku, by udawać, że czyta.

Nie odezwał się ani słowem, stał tylko i uśmiechał się. Nie był to jednak jeden z jego zwykłych uśmiechów — rozświetlający go od środka i zmuszający otoczenie do rewanżu. Był to uśmiech bardzo delikatny i nieśmiały.

Przepraszający.

Penelopa odłożyła książkę na brzuch.

— Mogę? — zapytał, wskazując na kawałek pustego miejsca obok niej.

Przesunęła się odrobinę w prawo.

— Oczywiście — mruknęła, odkładając książkę na stolik.

— Zaznaczyłem kilka fragmentów — rzekł, podając jej dziennik. Przysiadł na skraju łóżka. — Jeśli zechcesz je przeczytać i… — odchrząknął — …wyrazić swoje zdanie, to będzie… — Odchrząknął znowu. — To będzie miłe z twojej strony.

Penelopa spojrzała na oprawiony w karmazynową skórę dziennik w jego ręku. Podniosła wzrok na męża. Był nad wyraz poważny, miał smutne oczy, a choć siedział całkiem nieruchomo, wiedziała, że się denerwuje.

Zdenerwowany Colin? Wydawało się to niewyobrażalne.

— Będę zaszczycona — odrzekła łagodnie, ostrożnie wyjmując mu dziennik z ręki. Zauważyła, że wybrane fragmenty pozaznaczał wstążkami, więc powoli otworzyła dziennik w jednym z takich miejsc.

14 marca 1819

Góry szkockie są dziwnie brązowe.

— To było wtedy, kiedy odwiedzałem Francescę w Szkocji — wyjaśnił.

Penelopa obdarowała go pobłażliwym uśmieszkiem, jakby chciała łagodnie skarcić za przeszkadzanie.

— Przepraszam — wymamrotał.

Przybysz z Anglii mógłby pomyśleć, że wzgórza i doliny będą się pyszniły zielenią. W końcu Szkocja leży na tej samej wyspie i wedle wszelkich oznak zlewają ją te same deszcze co Anglię.

Powiadano mi, że te dziwne wzgórza nazywa się stołowymi, że są one brunatne i opustoszałe. A jednak poruszają duszę.

— Wtedy znajdowałem się na dość dużej wysokości — wyjaśnił. — Kiedy schodzisz w dół, w okolice jezior, wygląda to całkiem inaczej.

Penelopa zgromiła go wzrokiem.

— Przepraszam — powtórzył.

— Może wygodniej by ci było, gdybyś nie czytał mi przez ramię. — Widząc jego tępe spojrzenie, dodała: — Nie będziesz musiał znów tego czytać. — Oczekiwała reakcji, ale się jej nie doczekała. — No, nie musisz mi wisieć nad głową — wypaliła.

— Och! — Odsunął się. — Przepraszam.

Obrzuciła go spojrzeniem pełnym powątpiewania.

— Zejdź z łóżka.

Ze skruszoną miną Colin wstał i przeniósł się na fotel w drugim końcu pokoju. Skrzyżował ramiona na piersi i zaczął postukiwać stopą. Tap, tap, tap. Tup tup, tap, tap, tap.

— Colinie!

Poderwał głowę, szczerze zaskoczony.

— Tak?

— Przestań stukać nogą!

Spojrzał na stopę, jakby była jakimś nieznanym obiektem.

— Naprawdę stukałem?

— Tak.

— Och! — Mocniej zacisnął ramiona. — Przepraszam. Penelopa skupiła się na dzienniku. Tap, tap, tap. Ponownie zgromiła męża wzrokiem.

— Colinie!

Przycisnął stopy do dywanu.

— Nie mogę się powstrzymać. Nawet nie wiedziałem, że to robię. — Położył ramiona na wyścielanych oparciach fotela, ale nie wydawał się zrelaksowany. Zacisnął palce, wbijając je w materiał.

Penelopa przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, chcąc sprawdzić, czy naprawdę potrafi usiedzieć spokojnie.

— Nie zrobię tego więcej — zapewnił ją. — Obiecuję.

Spojrzała na niego raz jeszcze i znów wróciła do lektury.

Jako naród Szkoci gardzą Anglikami. Wiele osób powiedziałoby, że słusznie. Jako ludzie są jednak mili i przyjacielscy, chętnie podzielą się szklanką whisky czy ciepłym posiłkiem, zaoferują wygodny nocleg. Grupa Anglików — a na pewno żaden Anglik w mundurze — nie spotka się z miłym przyjęciem w szkockiej wiosce. Jeśli jednak pojedynczy osobnik pojawi się na głównej ulicy, lokalna ludność powita go z uśmiechem i otwartymi ramionami.

Tak właśnie było ze mną, kiedy trafiłem do Inveraray, na brzegu Loch Fyne. To ładne miasteczko zostało zaprojektowane przez Roberta Adama, kiedy książę Argyll postanowił przenieść całą wioskę, aby zbudować sobie w jej miejscu zamek. Usytuowane na skraju brzegu białe budyneczki stoją w równych rzędach, wzdłuż przecinających się pod kątem prostym uliczek. Dziwne to uporządkowanie dla kogoś, kto wychował się w plątaninie londyńskich zaułków.

Spożywałem wieczorny posiłek w hotelu George, smakując doskonałą whisky zamiast zwykłego ale, *które pija się przy podobnych okazjach i w podobnych miejscach w Anglii, kiedy nagle zdałem sobie sprawę, że nie wiem, jak dotrzeć do kolejnego punktu mojej podróży. Nie miałem też pojęcia, ile czasu może mi to zająć. Podszedłem do właściciela (niejakiego Clarka) i wyjaśniłem, że noszę się z zamiarem zwiedzenia zamku Blair, a potem już tylko stałem i mrugałem oczami ze zdumienia, kiedy cała gospoda nagle rozbrzmiała życzliwymi radami i pomysłami.*

— Zamku Blair? — zagrzmiał pan Clark (był to typ człowieka, który nie mówił, tylko grzmiał). — Nooo, jeśli panicz chce się wybrać do zamku Blair, z pewnością musi pojechać w kierunku Pitlochry, a potem na północ.

Słowa te spotkały się z chórem głosów potakujących i równie głośno protestujących.

— O nie! — wykrzyknął drugi (później dowiedziałem się, że nazywał się MacBogel). — Musi przepłynąć Loch Tay, a to oznacza prosić się o katastrofę. Lepiej teraz pojechać na północ, a potem na zachód.

— Aye — wtrącił trzeci — ale wtedy będzie miał po drodze Ben Nevis. Uważasz, że góra jest mniejszą przeszkodą niż byle „loch”?

— Nazywasz Loch Tay byle „loch”? Powiem ci, że urodziłem się na brzegu Loch Tay i nikt w mojej obecności nie powie, że to byle co! — (Nie mam pojęcia, kto to powiedział, a potem wszystko inne, ale zostało to powiedziane z wielkim uczuciem i przekonaniem).

— Nie musi jechać aż do Ben Nevis, może skręcić na zachód w Glencoe.

— O, ho, ho, i butelka whisky. Nie ma ani jednej przyzwoitej drogi na zachód z Glencoe. Chcesz zabić tego biedaka?

I tak dalej, i tak dalej. Jeśli czytelnik już zauważył, że przestałem pisać, co kto powiedział… cóż, stało się tak dlatego, że szum głosów wciąż się wzmagał i trudno było rozróżnić pojedyncze osoby, a cała dyskusjja trwała ponad dziesięć minut. Wreszcie stary Angus Campbell, osiemdziesiątka na karku, przemówił, a wtedy sala ucichła, okazując szacunek dla starszyzny.

— On musi pojechać na południe do Kintyre, zawrócić na północ i przeciąć Firth of Lorne do wyspy Mull, a potem odbić do Iony, pożeglować do Skye, przejechać lądem do Ullapool, zawrócić do Inverness, złożyć uszanowanie Culloden, a stamtąd może pojechać na południe do zamku Blair, zatrzymując się w Grampian, jeśli chce zobaczyć, jak się robi uczciwą whisky.

Po tych słowach nastąpiła całkowita cisza. Wreszcie jeden z młodszych mężczyzn zauważył:

— To zajmie parę miesięcy.

— A kto mówi, że jest inaczej? — burknął stary Campbell z ledwie dostrzegalną nutą złości. — Sassenach jest tu po to, aby zwiedzić Szkocję.

Chcecie powiedzieć, że wystarczy mu pojechać stąd prościutko do Perthshire i będzie mógł twierdzić, że zna Szkocję?

Poczułem, że się uśmiecham, i natychmiast podjąłem decyzję. Pojadę dokładnie tą trasą, a kiedy wrócę do domu, będę wiedział, że znam Szkocję.

Colin obserwował czytającą Penelopę. Od czasu do czasu uśmiechała się, a jemu serce zamierało, a potem stwierdził, że uśmiech na stałe zagościł na jej twarzy. Chwilami sprawiała wręcz wrażenie, jakby wstrzymywała śmiech.

Poczuł, że i on się uśmiecha.

Był taki zaskoczony, kiedy po raz pierwszy skomentowała jego teksty: mówiła z taką pasją, a przy tym tak wnikliwie i rzeczowo. Teraz wszystko nabrało innego znaczenia. Ona sama też była pisarzem, zapewne lepszym od niego, i rozumiała słowa lepiej niż cokolwiek innego na świecie.

Trudno było uwierzyć, że aż tyle czasu potrzebował, aby spytać ją o radę. Podejrzewał, że to strach go powstrzymywał. Obawa i zazdrość, wszystkie te głupie uczucia, ponad które próbował się wznieść.

Kto by pomyślał, że zdanie jednej kobiety nabierze dla niego takiego znaczenia? Prowadził swoje dzienniki od lat, pieczołowicie spisując dzieje podróży, usiłując zawrzeć w słowach więcej niż to, co widział i robił. Próbował zapisać to, co czuł. Jednak nigdy przedtem nikomu tego nie pokazywał.

Zresztą nie było nikogo, komu chciałby je pokazać. Nie, nieprawda. W głębi ducha pragnął pokazać je wielu ludziom, ale nigdy się nie odważył. Obawiał się, że go okłamią i powiedzą, że to dobre, tylko po to, aby oszczędzić jego uczucia. Ale Penelopa była inna. Ona także była pisarką. I to cholernie dobrą. A skoro twierdziła, że jego dzienniki są dobre, prawie gotów był uwierzyć, że to prawda.

Odwróciła stronicę i lekko wydęła wargi, zmarszczyła czoło, kiedy

papier się nieco podniósł. Przytrzymała palcem nieposłuszną kartkę i znów się uśmiechnęła.

Colin odetchnął. Nawet nie zauważył, kiedy wstrzymał oddech.

Wreszcie odłożyła zeszyt na kolana, otwarty w miejscu, gdzie skończyła czytać, i podniosła wzrok.

— Rozumiem, że mam skończyć na tym zapisie?

Colin poczuł się dziwnie zbity z tropu, nie tego oczekiwał.

— No, jeśli chcesz — wymamrotał — bo gdybyś chciała poczytać więcej, to nie mam nic przeciwko temu.

Wydawało się, że od jej uśmiechu pojaśniało w pokoju.

— Oczywiście, że chcę czytać dalej! — zawołała. — Nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć, co się stało, kiedy pojechałeś do Kintyre i Mull i… — zmarszczyła brwi, zajrzała do zeszytu — i Skye, i Ullapool, i Culloden, i Grampian — znów zajrzała do tekstu. — O, i jeszcze do zamku Blair, oczywiście, jeśli w ogóle tam dotarłeś. Chyba miałeś zamiar odwiedzić przyjaciół.

Skinął głową.

— Murrayów — podpowiedział, wspominając kolegę ze szkoły, którego brat był księciem Atholl. — Ale muszę ci wyznać, że nie pojechałem trasą, którą zaproponował mi stary Angus Campbell. Po pierwsze, nie znalazłem dróg do połowy miejsc, o których wspominał.

— Może — rzekła Penelopa z sennym wyrazem oczu — może powinniśmy tam pojechać na miesiąc miodowy.

— Do Szkocji? — zdumiał się Colin. — Nie chcesz jechać w jakieś ciepłe i egzotyczne miejsce?

— Dla kogoś, kto nie wyjeżdżał z Londynu dalej niż na sto mil, Szkocja to egzotyka — odparła wesoło.

— Mogę cię zapewnić — rzekł z uśmiechem, przysiadając na skraju

łóżka — że Italia jest bardziej egzotyczna. I bardziej romantyczna.

Penelopa zarumieniła się, wprawiając go tym w zachwyt.

— Och! — szepnęła z lekkim zakłopotaniem.

Zastanawiał się, jak długo jeszcze rozmowy o romansach i miłości i te wszystkie cudowne rzeczy z nimi związane będą ją wprawiać w zakłopotanie.

— Pojedziemy do Szkocji kiedy indziej — obiecał. — Zazwyczaj co kilka lat wybieram się na północ, żeby odwiedzić Francescę.

— Byłam zaskoczona, że spytałeś mnie o zdanie — wyznała Penelopa po krótkim milczeniu.

— A kogo miałbym spytać?

— Nie wiem — odparła, nagle zainteresowana nitkami, które wyciągnęła z narzuty. — Może swoich braci?

Colin nakrył jej dłoń swoją.

— A co oni mogą wiedzieć na temat pisania?

Penelopa podniosła wzrok i spojrzała mężowi prosto w oczy.

— Wiem, że cenisz sobie ich opinię.

— To prawda — zgodził się. — Ale twoją cenię sobie bardziej. — Przyglądał jej się przez chwilę bardzo uważnie, obserwując zmieniający się wyraz jej twarzy.

— Ale nie podoba ci się moje pisanie — odrzekła z wahaniem i… nadzieją.

Colin położył jej dłoń na policzku i łagodnie skierował jej twarz ku światłu.

— Nie możesz mylić się bardziej — rzekł poważnie. — Jesteś wspaniałą pisarką. Rozgryzasz ludzkie charaktery i przedstawiasz je z niezrównaną wnikliwością. Przez dziesięć lat rozbawiałaś ludzi. Sprawiałaś, że się krzywili. Że myśleli!

W tydzień później, siedząc przy biurku w saloniku, Penelopa czytała dzienniki Colina i na osobnej kartce notowała pytania i komentarze. Mąż poprosił ją o pomoc w zredagowaniu zapisków i było to zajęcie doprawdy frapujące. Oczywiście cieszyła się z tego, że Colin powierzył jej tak ważne zadanie. Oznaczało to, że ufa jej osądowi i docenia jej umiejętności.

Była jednak szczęśliwa również z innego powodu. Potrzebowała zajęcia. Początkowo, gdy zrezygnowała z pisania „Kroniki", cieszyła się odzyskanym wolnym czasem. Czuła się jak na wakacjach — pierwszych od dziesięciu lat. Czytała jak szalona, wręcz pochłaniała książki, które kupiła kiedyś, a do których nawet nie zajrzała. Spacerowała, jeździła konno po parku, przesiadywała na małym dziedzińcu za domem na Mount Street, delektując się wspaniałą wiosenną pogodą i unosząc twarz ku słońcu — na minutę czy dwie, tyle tylko, by poczuć ciepło jego promieni.

A potem był ślub i miliony drobiazgów, które całkowicie zaprzątnęły jej uwagę. Nie miała okazji zorientować się, że w jej życiu zabrakło czegoś ważnego.

Redagowanie gazetki nigdy nie zajmowało jej wiele czasu, ale zawsze musiała zachowywać czujność, nasłuchiwać, rozglądać się. Kiedy zaś nie pisała artykułów, rozmyślała o nich, desperacko usiłując zapamiętać jakieś szczególnie udane sformułowania, aby po dotarciu do domu je zanotować. Dzięki temu jej umysł stale pozostawał zajęty.

Nie miała pojęcia, jak bardzo tęskniła za kolejnymi wyzwaniami dla niego, dopóki nie zajęła się nowym projektem.

Właśnie zapisywała pytanie dotyczące opisu willi toskańskiej na sto czterdziestej trzeciej stronie drugiego tomu dzienników Colina, kiedy lokaj delikatnie zastukał w otwarte drzwi, aby powiadomić ją o swej obecności.

Penelopa uśmiechnęła się z zażenowaniem. Pracując, zapominała

o całym świecie. Metodą prób i błędów Dunwoody doszedł wreszcie do tego, że aby zwrócić jej uwagę, musi narobić trochę hałasu.

— Ma pani gościa, pani Bridgerton — oznajmił.

Penelopa podniosła wzrok. Przypuszczalnie była to któraś z jej sióstr albo któreś z rodzeństwa Bridgertonów.

— Doprawdy? Któż to taki?

Lokaj podszedł i podał jej na tacy wizytówkę. Penelopa spojrzała i otwarła szeroko usta, najpierw w szoku, a potem z przerażenia. Na kremowym tle widniały dostojne czarne litery układające się w dwa słowa: „Lady Twombley”.

Cressida Twombley? A cóż ją tu sprowadza?

Ogarnęły ją złe przeczucia. Jeśli Cressida przyszła z wizytą, należało się spodziewać kłopotów. Cressida sprawiała wyłącznie kłopoty.

— Czy mam powiedzieć, że nie ma pani w domu? — zapytał Dunwoody.

— Nie — odparła z westchnieniem. Nie była tchórzem, a lady Twombley na pewno nie sprawi, że się nim stanie. — Przyjmę ją. Daj mi tylko chwilę, żebym zdążyła poskładać papiery. Ale…

Dunwoody zatrzymał się i lekko przekrzywił głowę, czekając, aż Penelopa dokończy zdanie.

— Nieważne — mruknęła.

— Jest pani pewna, pani Bridgerton?

— Tak. Nie — jęknęła. Właśnie zaczęła się wahać. Kolejny nieprzyjemny skutek wpływu Cressidy na Penelopę, która w obecności rywalki stawała się pozbawioną pewności siebie głuptaską. — Chodzi mi o to, że… jeśli lady Twombley pozostanie dłużej niż dziesięć minut… czy możesz wymyślić coś pilnego, co wymagałoby mojej natychmiastowej obecności? Natychmiastowej!

— Sądzę, że to możliwe.

— Doskonale, Dunwoody — odparła ze słabym uśmiechem. Być może było to pójście łatwiejszą drogą, ale obawiała się, czy zdoła tak poprowadzić rozmowę, aby w którymś momencie mogła Cressidzie pokazać drzwi, a nie miała najmniejszego zamiaru spędzać z nią całego popołudnia.

Lokaj skinął głową i wyszedł. Penelopa ułożyła papiery w równy stosik, zamknęła dziennik Colina i położyła na wierzchu, żeby wpadający przez otwarte okno wiatr nie zwiał arkuszy z biurka. Następnie podeszła do sofy i usiadła dokładnie pośrodku z nadzieją, że wygląda na opanowaną i odprężoną.

Jak gdyby wizyta Cressidy Twombley mogła ją odprężyć… W chwilę później w drzwiach salonu stanęła sama Cressida, zaledwie czekając, aż Dunwoody ją zaanonsuje. Jak zwykle wyglądała pięknie: każdy złocisty włos na swoim miejscu, nieskazitelna cera, błyszczące oczy, strój wedle najnowszej mody oraz doskonale dopasowana torebka.

— Cressido — odezwała się Penelopa — cóż za niespodzianka. — „Niespodzianka” było najgrzeczniejszym ze słów, jakimi mogła określić tę wizytę.

Usta przybyłej damy wygięły się w tajemniczym, nieco drapieżnym uśmiechu.

— O, z pewnością — odrzekła.

— Nie usiądziesz? — zapytała kurtuazyjnie Penelopa. Przez całe życie uczono ją dobrych manier, trudno więc jej było teraz o nich zapomnieć. Gestem wskazała najbliższy fotel, najmniej wygodny w pokoju.

Lady Twombley przysiadła na skraju, ale nawet jeśli jej było niewygodnie, nie dała tego po sobie poznać. Uśmiech nie znikał jej z twarzy, wydawała się chłodna i opanowana.

— Z pewnością zastanawiasz się, co tutaj robię — zagaiła. Niewiele było

powodów, aby zaprzeczać, więc Penelopa skinęła głową. — Jak ci się żyje w małżeństwie? — padło nieoczekiwane pytanie.

— Słucham? — Penelopa zamrugała zaskoczona.

— To chyba zdumiewająca zmiana tempa — zauważyła Cressida.

— Tak — ostrożnie odparła Penelopa. — Ale bardzo mile widziana.

— Mm, tak. Musisz teraz mieć strasznie dużo czasu, jestem pewna, że nie wiesz, co ze sobą zrobić.

Ciarki przebiegły Penelopie po skórze.

— Nie wiem, o czym mówisz — odparła.

— Doprawdy?

Wyczuła, że gość oczekuje odpowiedzi, więc dodała z lekką irytacją:

— Nie, nie wiem.

Cressida milczała przez moment, lecz jej przebiegła mina mówiła wiele. Rozejrzała się po pokoju, aż jej oczy spoczęły na biurku, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała gospodyni.

— Co to za papiery? — zapytała.

Oczy Penelopy powędrowały w kierunku równiutko ułożonych pod dziennikiem Colina arkuszy. Cressida nie mogła wiedzieć, że to coś ważnego, bo kiedy weszła do salonu, Penelopa siedziała już na sofie.

— Nie rozumiem, dlaczego interesują cię moje prywatne dokumenty — odrzekła.

— Och, nie obrażaj się — rzuciła Cressida z dźwięcznym śmieszkiem, który Penelopę nieco przeraził. — To tylko uprzejma konwersacja. Pytam o twoje zainteresowania.

— Rozumiem — odparła Penelopa, próbując wypełnić milczenie, jakie nastąpiło po tych słowach.

— Jestem bardzo spostrzegawcza — dodała lady Twombley.

Penelopa pytająco uniosła brwi.

— W istocie moje zdolności obserwacyjne są doskonale znane w najlepszych kręgach towarzyskich.

— Widocznie ja nie mam tam znajomych — odparła Penelopa.

Cressida była zbyt pochłonięta wsłuchiwaniem się we własne słowa, aby zareagować.

— Dlatego właśnie uważałam — mówiła w zamyśleniu — że będę w stanie przekonać towarzystwo, iż to ja jestem lady Whistledown.

Serce załomotało w piersi Penelopy.

— Więc przyznajesz, że nią nie jesteś? — zapytała ostrożnie.

— O, myślę, że doskonale o tym wiesz.

Penelopa miała wrażenie, jakby ktoś chwycił ją za gardło. Jakimś cudem… nie miała pojęcia jakim… zdołała zachować zimną krew.

— Słucham? — zapytała.

Cressida uśmiechnęła się, aby po chwili przemienić ten miły wyraz twarzy w złośliwy grymas.

— Kiedy to wymyśliłam, sądziłam, że nie mogę przegrać. Albo przekonam wszystkich, że jestem lady Whistledown, albo mi nie uwierzą, a ja wyjdę na bardzo sprytną, kiedy powiem, że w ten sposób próbowałam zmusić do ujawnienia się prawdziwą winowajczynię.

Penelopa siedziała sztywna i nieruchoma.

— Niestety, nie wszystko potoczyło się tak, jak planowałam. Lady Whistledown okazała się znacznie bardziej przewrotna i złośliwa, niż sądziłam. — Oczy Cressidy zwęziły się, a jej twarz, zwykle tak urocza, przybrała groźny wyraz. — Jej ostatni artykuł wystawił mnie na pośmiewisko.

Penelopa nadal milczała, ledwo odważając się oddychać.

— A potem ty… — ciągnęła Cressida, zniżając głos — a potem ty… Ty! Miałaś czelność obrazić mnie na oczach całego towarzystwa!

Penelopa odetchnęła z ulgą. Może Cressida nie znała jej tajemnicy. Może chodziło tylko o publiczną obrazę, kiedy oskarżyła ją o kłamstwo. Co ona takiego wtedy powiedziała… Boże drogi? Coś okrutnego, to pewne, ale w końcu Cressida na to zasłużyła.

— Może przebaczyłabym tę obrazę, gdyby pochodziła od kogo innego — kontynuowała lady Twombley. — Ale od kogoś takiego jak ty… nie, nie mogłam nie zareagować.

— Powinnaś dwa razy pomyśleć, zanim obrazisz mnie w moim własnym domu — cicho powiedziała Penelopa. A potem dodała, choć nie chciała ukrywać się za nazwiskiem męża: — Należę teraz do Bridgertonów i jestem pod ich ochroną.

Ostrzeżenie nie uczyniło najmniejszej rysy na okrywającej piękną twarz Cressidy masce zadowolenia.

— Radzę ci wysłuchać, co mam do powiedzenia, zanim zaczniesz rzucać groźby.

Penelopa wiedziała, że musi słuchać. Lepiej orientować się, co Cressida wie, niż zamknąć oczy i udawać, że nic się nie stało.

— Mów — rzekła umyślnie oschłym tonem.

— Popełniłaś kardynalny błąd — oznajmiła Cressida, celując w Penelopę wskazującym palcem. — Nigdy ci nie przyszło do głowy, że ja nie zapominam obrazy?

— Co próbujesz mi powiedzieć? — Penelopa żałowała, że nie potrafi nadać swemu głosowi dość siły, by zabrzmiał głośniej od szeptu.

Cressida wstała i powoli oddaliła się od sofy, lekko kołysząc biodrami, jakby w takt melodii.

— Zobaczmy, czy przypomnę sobie, co dokładnie powiedziałaś — rzekła, stukając się palcem w policzek. — O nie, nie, nie przypominaj mi. Jestem pewna, że zaraz samo przyjdzie. Aha, już pamiętam. — Spojrzała

uważnie na Penelopę. — Sądzę, że powiedziałaś, iż zawsze lubiłaś lady Whistledown. A potem… o, pamiętam dokładnie, to było takie piękne zdanie… powiedziałaś, że pękłoby ci serce, gdyby się okazało, że to ktoś w stylu lady Twombley. — Cressida uśmiechnęła się. — To znaczy mnie.

Penelopa poczuła, że zaschło jej w ustach. Palce zaczęły jej drżeć, ciało ogarnął lodowaty chłód. Nie pamiętała dokładnie, co powiedziała, obrażając Cressidę, jednak doskonale przypominała sobie wszystko, co napisała w gazetce, którą omyłkowo rozdawano na jej balu zaręczynowym. Tę samą, którą…

Którą teraz Cressida rzuciła na blat stołu tuż przed jej nosem.

„Panie i Panowie, Autorką NIE jest lady Cressida Twombley. Osoba ta jest przebiegłą oszustką i serce by mi pękło, gdyby lata mojej ciężkiej pracy przypisano właśnie jej”.

Penelopa wlepiła oczy w słowa, choć każde z nich znała na pamięć.

— Co masz na myśli? — zapytała, mimo iż doskonale wiedziała, że wszelkie próby udawania są daremne.

— Nie jesteś aż taka głupia, Penelopo Featherington. Wiesz, że ja wiem.

Penelopa nie odrywała wzroku od zdradzieckiego arkusika. Nieszczęsne słowa kłuły ją w oczy… Serce by mi pękło… Serce by pękło… Serce by pękło… Serce…

— I co, nic nie powiesz? — zapytała Cressida, a choć Penelopa nie widziała jej twarzy, bez trudu mogła sobie wyobrazić jej bezczelny uśmiech.

— Nikt ci nie uwierzy — szepnęła.

— Sama ledwo w to mogę uwierzyć — odparła Cressida z nieprzyjemnym śmieszkiem. — Ty, właśnie ty. Chyba jednak skrywasz trochę więcej rozumu, niż dajesz po sobie poznać. A z pewnością masz go

dość — dodała z wyraźnym naciskiem — aby wiedzieć, że jeśli zapalę iskierkę, plotka rozprzestrzeni się jak pożar lasu.

Myśli Penelopy wirowały w oszałamiającym, nieprzyjemnym tańcu. Boże, co powie teraz Colinowi? Jak mu to powie? Będzie musiała, to pewne, lecz jakich słów użyje?

— Z początku nikt w to nie uwierzy — ciągnęła Cressida. — W tym masz rację. Ale potem zaczną myśleć i powoli, nieubłaganie, elementy układanki zaczną wpadać na swoje miejsca. Ktoś sobie przypomni, że powiedział ci coś, co się znalazło w gazetce. Albo że byłaś na pewnym przyjęciu. Albo że widzieli węszącą wokół Eloise Bridgerton, a czy wszyscy nie wiedzą, że nie macie przed sobą tajemnic?

— Czego chcesz? — zapytała Penelopa stłumionym głosem, odważając się podnieść wzrok na przeciwniczkę.

— Ach, wreszcie pytanie, na które czekałam. — Cressida założyła ręce za plecami i zaczęła krążyć po salonie. — Długo i dokładnie się nad tym zastanawiałam. Odkładałam spotkanie z tobą prawie przez tydzień, żeby podjąć właściwą decyzję. — Penelopa przełknęła ślinę, niezadowolona, że Cressida znała jej najskrytszy sekret od ponad tygodnia, a ona żyła sobie w błogiej nieświadomości, nie wiedząc, że niebo zaraz spadnie jej na głowę. — Wiedziałam od samego początku, że chcę pieniędzy, to oczywiste — rzekła Cressida. — Pytanie tylko: ile? Twój mąż to Bridgerton i oczywiście powinien rozporządzać sporymi funduszami, ale z drugiej strony to młodszy syn i nie ma tak wypchanego portfela jak wicehrabia.

— Ile? — przerwała jej Penelopa.

Wiedziała, że Cressida przeciąga sprawę dla samej przyjemności torturowania jej, i nie miała nadziei, że padnie konkretna kwota, dopóki nie doprowadzi jej do odpowiedniego stanu.

— A potem zdałam sobie sprawę — ciągnęła Cressida, ignorując pytanie

(i tym samym udowadniając, że ma rację) — że musisz być dość bogata. O ile nie jesteś całkowitą idiotką, a nie możesz być, jeśli potrafiłaś tak długo ukrywać swoją tajemnicę. Przemyślałam swoją opinię na twój temat i doszłam do wniosku, że nie jesteś głupia. Musiałaś zebrać całkiem niezłą fortunkę, wydając gazetkę przez te wszystkie lata. A sądząc z pozorów — obrzuciła popołudniową suknię Penelopy pogardliwym spojrzeniem — nie wydajesz ich. Mogę zatem wnioskować, że wszystko znajduje się gdzieś na tajnym koncie bankowym i czeka tylko na pobranie.

— Ile, Cressido?

— Dziesięć tysięcy funtów.

— Oszalałaś! — krzyknęła Penelopa.

— Nie — uśmiechnęła się lady Twombley — jestem tylko bardzo, bardzo sprytna.

— Nie mam dziesięciu tysięcy funtów.

— Myślę, że kłamiesz.

— Zapewniam cię, że nie! — Istotnie, nie kłamała. Po raz ostatni, kiedy sprawdzała stan konta, było na nim osiem tysięcy dwieście czterdzieści sześć funtów, choć przypuszczała, że wraz z odsetkami mogło być teraz trochę więcej. Ogromna kwota, oczywiście. Rozsądna osoba mogłaby za to żyć spokojnie przez wiele lat. Ale nie dziesięć tysięcy i z pewnością nie tyle, żeby Penelopa miała zamiar jej cokolwiek oddawać.

Cressida uśmiechnęła się pogodnie.

— Jestem pewna, że sobie poradzisz. Twoje oszczędności i pieniądze twojego męża… dziesięć tysięcy to drobiazg.

— Dziesięć tysięcy nigdy nie jest drobiazgiem.

— Ile czasu potrzebujesz, żeby zebrać tę kwotę? — zapytała Cressida, kompletnie ignorując wybuch Penelopy. — Dzień? Dwa?

— Dwa dni? — wykrztusiła Penelopa. — Nie zbiorę tego przez dwa

tygodnie!

— A więc jednak masz pieniądze!

— Nie mam.

— Tydzień — rzuciła Cressida nieco ostrzejszym tonem. — Chcę pieniądze za tydzień.

— Nie dostaniesz ich — szepnęła Penelopa, bardziej do siebie niż do niej.

— Dostanę — odparła Cressida pewnie. — Bo jeśli nie, zrujnuję cię.

— Pani Bridgerton?

Penelopa podniosła wzrok i zobaczyła stojącego w drzwiach Dunwoody'ego.

— Jest pewna pilna sprawa, która wymaga pani obecności — rzekł lokaj. — Natychmiastowej.

— Nie szkodzi — rzuciła Cressida, kierując się w stronę drzwi. — Ja już tu skończyłam.

Zatrzymała się w przejściu, obracając się tak, aby Penelopa mogła ją oglądać w ramie portalu.

— Skontaktujemy się wkrótce, prawda? — zapytała niewinnym, słodkim głosem, jakby nie rozmawiały o niczym ważniejszym niż zaproszenie na wizytę albo spotkanie towarzystwa dobroczynnego.

Penelopa skinęła głową, byle tylko pozbyć się wroga.

To jednak nie miało znaczenia. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, Cressida znikła, ale kłopoty Penelopy jakoś nie chciały odejść w zapomnienie.

22

Trzy godziny później Penelopa nadal siedziała na sofie w salonie, wpatrzona w przestrzeń. Przez cały ten czas zastanawiała się, jak rozwiązać swoje problemy.

Poprawka — swój jeden, jedyny problem. Miała tylko jeden problem, ale takich rozmiarów, że starczył za tysiąc. Nie była osobą agresywną, nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz myślała o przemocy, lecz w tej chwili z przyjemnością skręciłaby kark Cressidzie Twombley.

Z posępnym fatalizmem wpatrywała się w drzwi, oczekując powrotu męża, wiedząc, że każda sekunda przybliża ją do chwili, kiedy będzie musiała mu wszystko wyznać.

Colin nie powie: „A nie mówiłem?”. Nigdy tego nie powie. Ale będzie tak myślał.

Nawet nie przyszło jej do głowy, choćby przez chwilę, że mogłaby to przed nim zataić. Groźby Cressidy nie były z rodzaju tych, które można ukryć przed mężem. Poza tym będzie potrzebowała jego pomocy. Jeszcze nie wiedziała, jak postąpi, ale była pewna, że sama sobie nie poradzi.

Co do jednego tylko nie miała wątpliwości — nie zamierzała płacić Cressidzie. Ona nigdy nie zadowoli się dziesięcioma tysiącami funtów, zwłaszcza jeśli zorientuje się, że może dostać więcej. Jeśli Penelopa teraz skapituluje, będzie jej płacić do końca życia.

Oznaczało to jednak, że po upływie tygodnia Cressida Twombley ogłosi całemu światu, że to Penelopa Bridgerton jest niesławną lady Whistledown.

Pozostawały jej tylko dwa wyjścia. Mogła skłamać i nazwać Cressidę

idiotką, w nadziei że jej uwierzą, albo spróbować wykorzystać słowa Cressidy dla swoich celów. Nie wiedziała jedynie, jak to zrobić.

— Penelopo?

Colin. Miała ochotę rzucić mu się na szyję, a jednocześnie zaledwie miała odwagę się obejrzeć.

— Penelopo? — W jego głosie zabrzmiała troska. Usłyszała odgłos jego zbliżających się kroków. — Dunwoody powiedział mi, że była tu Cressida.

Bridgerton usiadł obok żony i dotknął jej policzka. Penelopa obróciła głowę i spojrzała mu prosto w twarz. W kącikach oczu dostrzegła drobniutkie zmarszczki zmartwienia, gdy szeptał jej imię. Dopiero wtedy pozwoliła sobie na łzy.

To niesamowite, jak długo zachowywała spokój; dławiła w sobie wszystko, dopóki nie ujrzała Colina. Wreszcie mogła ukryć twarz w jego surducie i przytulić się, kiedy otoczył ją ramionami. Wydawało się, że wszelkie trudności nikną w jego obecności.

— Penelopo? — zapytał zaniepokojony. — Co się stało? Co się dzieje?

Pokręciła tylko głową, jakby ten gest miał wystarczyć, zanim znajdzie właściwe słowa, zbierze odwagę i powstrzyma łzy.

— Co ona ci zrobiła?

— Och, Colinie. — Zdołała na tyle zebrać siły, żeby spojrzeć mu w twarz — Ona wie.

Bridgerton pobladł jak ściana.

— Skąd? — Podał żonie chusteczkę, nie odrywając wzroku od jej twarzy. — To nie twoja wina — rzekł ostro.

Uśmiechnęła się smutno. Wiedziała, że ten ostry ton przeznaczony jest dla Cressidy, ale ona też na niego zasłużyła.

— Nie — powiedziała z lekką rezygnacją — to jest moja wina. Stało się

dokładnie tak, jak zapowiedziałeś. Nie uważałam, co piszę, i noga mi się powinęła.

— Co zrobiłaś?

Opowiedziała mu wszystko: od wstępu Cressidy aż po jej żądania finansowe. Przyznała, że przyczyną całego nieszczęścia był niewłaściwy dobór słów i że to ją zabije. Nie było w tym żadnej przesady, gdyż istotnie miała wrażenie, jakby serce miało jej zaraz pęknąć.

Czuła jednak, że im dłużej mówi, tym bardziej Colin oddala się od niej. Słuchał, ale myślami gdzieś błądził. Spojrzenie miał dziwnie nieobecne, a zarazem czaiło się w nich coś niepokojącego i groźnego.

Coś planował. Była tego prawie pewna. Była przerażona. I zachwycona.

Cokolwiek zamierzał, o czymkolwiek myślał, robił to dla niej. Była zła na siebie, że przez własną głupotę wpakowała go w kłopoty.

— Colinie? — zwróciła się do niego z wahaniem.

Skończyła mówić pełną minutę temu, a on wciąż milczał.

— Zajmę się wszystkim — rzekł wreszcie. — Nie powinnaś już sobie tym zawracać głowy.

— Niestety, to niemożliwe — odparła drżącym głosem.

— Bardzo poważnie podchodzę do przysięgi małżeńskiej — oświadczył przerażająco spokojnym tonem. — Chyba obiecałem cię szanować i bronić, o ile pamiętam. — Uniósł w uśmiechu kącik ust. — Masz jakiś pomysł?

Penelopa pokręciła głową.

— Nie… Myślałam przez cały dzień i nie wiem, choć… choć…

— Choć co? — zapytał.

Rozchyliła usta, ponownie je zacisnęła, a wreszcie wykrztusiła:

— A gdybym poprosiła o pomoc lady Danbury?

— Zamierzasz ją poprosić, aby zapłaciła Cressidzie?

— Nie — odparła, choć z tonu głosu Colina poznała, że nie pyta

poważnie. — Zamierzam ją poprosić, aby została mną.

— Słucham?

— Wszyscy i tak uważają, że to ona jest lady Whistledown — wyjaśniła, spoglądając na męża ogromnymi, błyszczącymi oczami. — Nie sprzeciwiłabym się lady Danbury w żadnej sprawie. Jeśli ona powie, że jest lady Whistledown, to sama w to prawdopodobnie uwierzę.

— Czemu sądzisz, że lady Danbury zechce dla ciebie skłamać?

— No cóż — odrzekła Penelopa, gryząc wargę — lubi mnie. Sądzę też, że zechce mi pomóc, ponieważ nienawidzi Cressidy równie mocno jak ja.

— Uważasz, że skoro cię lubi, to skłamie dla ciebie?

— Warto chyba zapytać.

Colin wstał raptownie i podszedł do okna.

— Obiecaj, że sama do niej nie pójdziesz.

— Ale…

— Obiecaj mi.

— Obiecuję. Ale…

— Żadnych „ale” — ostrzegł. — Jeśli będzie trzeba, skontaktujemy się z lady Danbury, najpierw jednak zorientujemy się, czy nie mamy innego wyjścia. — Przeczesał włosy dłonią. — Musi być coś innego.

— Mamy tydzień — rzekła cicho, ale nie poczuła się pokrzepiona. Trudno było sobie wyobrazić, że Colin zareaguje inaczej.

Odwrócił się zdecydowanie jak żołnierz podczas musztry.

— Zaraz wracam — oznajmił, ruszając w kierunku drzwi.

— Ale dokąd idziesz? — krzyknęła, zrywając się z sofy.

— Muszę pomyśleć — odparł, nieruchomiejąc z ręką na klamce.

— Nie możesz pomyśleć tutaj, ze mną? — zapytała.

Rysy jego twarzy złagodniały. Zawrócił i podszedł do niej. Wyszeptał jej imię, czule ujmując jej twarz w dłonie.

— Kocham cię — rzekł niskim, pełnym żaru głosem. — Kocham cię całym sobą, jakim byłem, jestem teraz i pragnę być.

— Colinie…

— Kocham cię moją przeszłością i kocham cię za przyszłość. — Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta. — Kocham cię za dzieci, które będziemy mieć, i za lata, które razem spędzimy. Kocham cię za każdy mój uśmiech i co więcej, za każdy twój uśmiech.

Penelopa opadła na sofę.

— Kocham cię — powtórzył. — Wiesz o tym, prawda?

Skinęła głową, przymykając oczy. Otarła się policzkiem o jego dłoń.

— Mam wiele spraw do załatwienia — rzekł. — Nie będę w stanie się skupić, jeśli zacznę myśleć o tobie, o tym, czy płaczesz, czy cierpisz…

— Nic mi nie będzie — odrzekła szeptem. — Teraz, kiedy już ci powiedziałam, wszystko jest w porządku.

— Ja to naprawię — obiecał solennie. — Tylko mi zaufaj.

— Całą sobą — odrzekła, otwierając oczy.

Uśmiechnął się i nagle zrozumiała, że mówi prawdę. Wszystko będzie dobrze. Może nie dzisiaj i nie jutro, ale będzie. Tragedia nie przeżyje spotkania z uśmiechem Colina.

— Nie sądzę, aby okazało się to konieczne — powiedział i pogładził ją czule po policzku. Ruszył do drzwi i jeszcze raz się obejrzał. — Nie zapomnij o dzisiejszym przyjęciu u mojej siostry.

Penelopa jęknęła.

— Musimy tam iść? Publiczne występy są ostatnią rzeczą, na jaką teraz mam ochotę.

— Musimy — odparł. — Daphne nieczęsto wydaje bale, będzie strasznie zawiedziona, jeśli się nie pojawimy.

— Wiem — przyznała Penelopa z westchnieniem. — Wiedziałam od

początku. Wybacz.

Uśmiechnął się smutno.

— Nie szkodzi. Dzisiaj masz prawo do odrobiny złego humoru.

— Tak. — Usiłowała odpowiedzieć mu uśmiechem. — Chyba mam.

— Wrócę niedługo — obiecał.

— Dokąd… — zaczęła, ale ugryzła się w język. Widać było, że Colin nie ma ochoty odpowiadać na pytania.

Ku jej zdumieniu odpowiedział jednak.

— Idę zobaczyć się z bratem.

— Z Anthonym?

— Tak.

Skinęła głową zachęcająco i mruknęła:

— Idź. Nic mi nie będzie.

Źródłem siły Bridgertonów zawsze była rodzina. Jeśli Colin czuł, że potrzebuje rady brata, powinien się do niego niezwłocznie udać.

— Nie zapomnij się przygotować do balu u Daphne — przypomniał jej.

Penelopa skinęła głową bez przekonania i odprowadziła go wzrokiem do drzwi.

Podeszła do okna. Czekała, aż Colin pojawi się na zewnątrz, ale nie zobaczyła go. Musiał pójść prosto do stajni. Westchnęła, przysiadając na parapecie. Nie miała pojęcia, że aż tak bardzo pragnęła zobaczyć go jeszcze raz.

Żałowała, że nie zna jego planów. Żałowała, że nie może być pewna, iż w ogóle je ma.

Jednocześnie jednak czuła się dziwnie spokojna. Colin wszystko naprawi. Powiedział, że tak będzie, a on nigdy nie kłamie.

Wiedziała, że wciąganie w spisek lady Danbury nie jest najlepszym

pomysłem, ale jeśli Colin nie wpadnie na nic mądrzejszego, czyż będą mieli inne wyjście?

Na razie spróbuje zapomnieć o wszystkim. Była tak znużona, że marzyła tylko o tym, aby przymknąć oczy i nie myśleć o niczym, co najwyżej o zielonych oczach męża i cieple jego uśmiechu.

Jutro pomoże Colinowi w rozwiązywaniu ich problemów. Dzisiaj będzie odpoczywać. Zdrzemnie się, a potem zastanowi, jak stawić czoło towarzystwu, zwłaszcza że na balu będzie też Cressida, obserwująca każdy jej ruch i czyhająca na pierwsze fałszywe posunięcie.

A wydawałoby się, że po prawie dwunastu latach udawania skromnej Penelopy Featherington bez wysiłku odegra swą rolę i zdoła ukryć prawdziwe „ja”. Przedtem jednak jej sekret był bezpieczny. Obecnie wszystko się zmieniło.

Penelopa zwinęła się w kłębek i przymknęła oczy. Teraz wszystko wyglądało inaczej, ale czy to oznacza, że musi być gorzej?

Wszystko będzie w porządku. Musi być. Koniecznie.

Colin zaczął żałować, że wziął powóz. Lepiej było się przejść — w szybkim marszu sprężystym krokiem dałby upust swej furii. Wiedział jednak, że czas ma ogromne znaczenie i mimo że ruch był obecnie największy, powozem dotrze do Mayfair znacznie szybciej niż pieszo.

Jednak ściany powozu wydawały się zamykać wokół niego, powietrze było zbyt gęste, by nim oddychać, i niech to piorun trzaśnie, przewrócony wóz mleczarza zablokował ulicę!

Bridgerton wystawił głowę przez drzwiczki i prawie wyskoczył z powozu, zanim ten się zatrzymał.

— Bogowie! — mruknął, obejmując wzrokiem scenę. Ulica zasłana była potłuczonym szkłem, wszędzie płynęły strumienie mleka, trudno było

zdecydować, kto hałasuje głośniej — konie, wciąż spętane uprzężą, czy kobiety na chodniku, których suknie zostały ochlapane.

Colin wysiadł z powozu, ale wkrótce okazało się, że z jego pomocą czy bez Oxford Street pozostanie nieprzejezdna przez co najmniej godzinę. Sprawdził zatem tylko, czy ktoś zaopiekował się końmi z zaprzęgu mleczarza, poinformował swego stangreta, że pójdzie piechotą, po czym ruszył przed siebie.

Groźnie patrzył w twarze mijanych przechodniów, czerpiąc przewrotną radość z faktu, że nie potrafili znieść jego spojrzenia. Prawie marzył, żeby któryś z nich się odezwał, bo wtedy on mógłby się na niego rzucić. Nieważne, że jedyną osobą, którą istotnie chciał zabić, była Cressida Twombley — w tej chwili każdy mógł posłużyć za cel.

Gniew sprawiał, że stawał się nierozsądny. Niepodobny do siebie.

Wciąż nie wiedział, co się z nim stało, kiedy Penelopa powiedziała mu o groźbach Cressidy. Było to coś więcej niż oburzenie, więcej niż irytacja. Było to coś fizycznego, co krążyło w jego żyłach i pulsowało pod skórą. Chciał kogoś uderzyć. Chciał kopać, walić pięściami w ścianę.

Był wściekły, kiedy Penelopa opublikowała ostatnią gazetkę. Nie sądził jednak, że wściekłość może się spotęgować.

A może był to po prostu inny rodzaj gniewu.

Ktoś próbował zranić osobę, którą kochał nade wszystko. Jak mógł to tolerować? Jak mógł do tego dopuścić? Odpowiedź była prosta — nie mógł. Musiał to powstrzymać. Musiał coś zrobić.

Po wielu latach radosnego marszu przez życie, wyśmiewania się z dziwactw innych, nadszedł czas, aby samemu wziąć się do dzieła.

Podniósł wzrok i zdumiał się, że stoi przed Bridgerton House. Dziwne, ale nie myślał już o nim jako o swoim domu. Wyrósł tutaj, a jednak w tej

chwili zdecydowanie był to dom jego brata. Jego domem było Bloomsbury. Bloomsbury i Penelopa. Dom był tam, gdzie była Penelopa.

— Colinie?

Obejrzał się raptownie. Za nim stał Anthony, widocznie wracał z miasta. Skinieniem głowy wskazał drzwi.

— Chciałeś zastukać?

Colin wbił w brata tępe spojrzenie i nagle zdał sobie sprawę, że stoi na tych schodkach już od dłuższego czasu.

— Colinie? — powtórzył Anthony, z troską marszcząc czoło.

— Potrzebuję twojej pomocy — rzekł Colin.

Nie musiał mówić nic więcej.

Penelopa była już ubrana na bal, kiedy pokojówka przyniosła jej liścik.

— Danwoody dostał to od posłańca — wyjaśniła dziewczyna, po czym z lekkim dygnięciem opuściła pokój, by pani mogła spokojnie przeczytać wiadomość.

Penelopa ostrożnie otworzyła kopertę i wyjęła pojedynczą kartkę papieru, pokrytą starannym pismem, które tak dobrze już poznała, odkąd zaczęła poprawiać dzienniki Colina.

Sam dojadę na dzisiejszy bal. Proszę, jedź do Numeru Piątego. Mama, Eloise i Hiacynta czekają, żeby towarzyszyć Ci do Hastings House.

Z wyrazami miłości

Colin

Jak na kogoś, kto pisał tak doskonałe relacje z podróży, Colin nie był zbyt wylewnym korespondentem — pomyślała Penelopa z melancholijnym uśmieszkiem.

Wstała i wygładziła spódnicę z delikatnego jedwabiu. Wybrała suknię

w swym ulubionym kolorze — zieleń szałwii — w nadziei, że doda jej odwagi. Matka zawsze twierdziła, że kobieta czuje się tak, jak wygląda, i w tej chwili Penelopa przyznawała jej rację. Bogowie, przez osiem lat czuła się fatalnie w sukienkach, które zdaniem jej matki wyglądały znakomicie. Włosy miała upięte luźno do góry, przedtem jednak pokojówka natarła długie pasma czymś (Penelopa bała się nawet spytać czym), co nadawało im miedziany połysk.

Rude włosy nie były zbyt modne, ale Colin powiedział kiedyś, że lubi, jak światło świec wydobywa ich barwę, więc Penelopa uznała, że w tym przypadku nie pójdzie za głosem mody.

Zanim zeszła na parter, powóz już na nią czekał, a stangret był pouczony, że ma ją zawieźć pod Numer Piąty.

Colin wyraźnie o wszystko zadbał. Penelopa nie była pewna, dlaczego ją to zaskakuje — nie był wszak człowiekiem, który zapomina o szczegółach. Ale dziś był wyjątkowo zaaferowany. Aż dziw, że zawracał sobie głowę przesyłaniem instrukcji służbie, skoro ona sama mogła wydać polecenie. Musiał coś zaplanować. Ale co? Czyżby zamierzał porwać Cressidę Twombley i wysłać do kolonii karnej? Nie, to zbyt melodramatyczne. Może poznał jakiś jej sekret i planował teraz odpowiedzieć szantażem na szantaż? Milczenie za milczenie. Penelopa z zadowoleniem pokiwała głową, gdy powóz toczył się po Oxford Street. Tylko Colin mógł wymyślić coś tak diabolicznego i sprytnego zarazem. Czego jednak mógł się dowiedzieć o Cressidzie? Przez wszystkie te lata lady Whistledown nie usłyszała ani jednej naprawdę skandalicznej plotki na jej temat.

Cressida była złośliwa, małostkowa, ale nigdy nie złamała zasad panujących w towarzystwie. Jedyny raz, kiedy była tego blisko, zdarzył się wtedy, gdy ogłosiła, że jest lady Whistledown.

Powóz skręcił na południe ku Mayfair, a kilka minut później zatrzymał

się przed Numerem Piątym. Eloise musiała stać w oknie, bo dosłownie sfrunęła ze schodów i omal nie zderzyła się z powozem. Uratował ją stangret, który właśnie zeskoczył z kozła i stanął na jej drodze.

Panna Bridgerton podskakiwała niecierpliwie, czekając, aż stangret otworzy drzwiczki. Penelopa była zdziwiona, że przyjaciółka nie przepchnęła się przed niego i sama ich nie otwarła. Wreszcie, ignorując pomoc stangreta, Eloise wskoczyła do powozu, po drodze zaplątując się we własną suknię. Zaledwie się pozbierała z podłogi, rozejrzała się na obie strony i z niezmiernie tajemniczym wyrazem twarzy zatrzasnęła drzwiczki, omal nie przycinając stangretowi nosa.

— Co się dzieje? — zapytała.

Penelopa wytrzeszczyła oczy.

— Mogłabym ciebie zapytać o to samo.

— Mogłabyś? Dlaczego?

— Ponieważ omal nie przewróciłaś powozu, tak ci się spieszyło z wsiadaniem!

— Och! — mruknęła Eloise niedbale — możesz winić o to wyłącznie siebie.

— Siebie?

— Tak, siebie! Chcę wiedzieć, co się dzieje, i to zaraz.

Penelopa była całkiem pewna, że Colin nie pisnął siostrze ani słowa o szantażu, chyba że zaplanował, iż to Eloise zamęczy Cressidę na śmierć.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Musisz wiedzieć! — upierała się Eloise, oglądając się na dom. Drzwi frontowe właśnie się otwierały. — O rany, mama i Hiacynta już tu idą. Mów!

— Co ci mam powiedzieć?

— Dlaczego Colin przysłał mi to tajemnicze polecenie, że przez cały bal

mam się ciebie trzymać jak mucha lepu.

— Co takiego?

— I czy mam dodawać, że słowo „lep” podkreślił dwa razy?

— A ja myślałam, że ten nacisk to twój pomysł — oschle zauważyła Penelopa.

Panna Bridgerton skrzywiła się lekko.

— Penelopo, to nie pora na żarty.

— A kiedy jest pora?

— Penelopo!

— Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać.

— Czy wiesz, o co chodziło w tym liściku?

Penelopa pokręciła głową. Nie było to zupełne kłamstwo. Naprawdę nie wiedziała, co jej mąż zaplanował na dzisiejszy wieczór.

W tej samej chwili drzwiczki się otwarły i do powozu wskoczyła Hiacynta.

— Penelopo! — zawołała podekscytowana. — Co się dzieje?

— Ona nie wie — wyjaśniła Eloise.

Hiacynta obrzuciła siostrę zirytowanym spojrzeniem.

— Widać, po co się spieszyłaś.

Wicehrabina wsadziła głowę do powozu.

— Kłócą się? — zapytała, zwracając się do synowej.

— Tylko troszkę — odparła Penelopa.

Lady Violetta usiadła obok Hiacynty, naprzeciwko Penelopy i Eloise.

— Doskonale, ja ich raczej nie powstrzymam. Powiedz mi jednak, co Colin miał na myśli, pisząc mi, że mam się trzymać ciebie jak mucha lepu?

— Zapewniam, że nie wiem.

Teściowa zmrużyła oczy, jakby chciała zbadać jej prawdomówność.

— Bardzo to podkreślał. Zwłaszcza słowo „lep”.

— Wiem — odparła Penelopa, a Eloise uzupełniła:

— Powiedziałam jej.

— Podkreślił to słowo dwa razy — dodała Hiacynta. — Aż miałam ochotę, bzycząc, wylecieć przez okno.

— Hiacynto! — zawołała wicehrabina.

Jej córka wzruszyła ramionami.

— To bardzo intrygujące.

— Właściwie — wtrąciła Penelopa, próbując skierować rozmowę na inne tory — zastanawiam się, w co on się ubierze? — Jej towarzyszki spojrzały na nią z nagłym zainteresowaniem. — Wyszedł w popołudniowym ubraniu — wyjaśniła — i nie wrócił do domu. Nie sądzę, aby księżna zaakceptowała cokolwiek innego aniżeli strój wieczorowy.

— Na pewno pożyczy coś od Anthony'ego — odparła niedbale Eloise. — Są dokładnie tego samego wzrostu i budowy. I Gregory też. Tylko Benedict jest inny.

— Dwa cale wyższy — dopowiedziała Hiacynta.

Penelopa skinęła głową, udając zainteresowanie. Właśnie zwolnili, widocznie stangret próbował przecisnąć się przez sznur powozów na Grosvenor Square.

— Ile osób przybędzie na bal? — zapytała Penelopa.

— Chyba zaproszono około pięciuset — odparła lady Violetta. — Daphne nieczęsto wydaje przyjęcia, ale za to nadrabia rozmachem.

— Nie da się ukryć — wtrąciła Hiacynta. — Nienawidzę tłumów. Nie będę dzisiaj w stanie swobodnie odetchnąć.

— Mam szczęście, że jesteś moim ostatnim dzieckiem — rzekła wicehrabina z lekko znużonym, ale czułym uśmiechem. — Nie miałabym sił na kolejne, jestem pewna.

— Wobec tego szkoda, że nie byłam pierwsza — odparła Hiacynta

z bezczelnym uśmiechem. — Pomyśl, jakim zainteresowaniem bym się cieszyła. O fortunie nie wspomnę.

— I tak całkiem niezła z ciebie dziedziczka — zauważyła lady Violetta.

— I zawsze potrafisz skupić na sobie uwagę — dodała żartobliwie Eloise.

Hiacynta zaśmiała się tylko.

— Wiedziałaś może — zapytała wicehrabina, zwracając się do Penelopy — że wszystkie moje dzieci będą dzisiaj obecne? Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni spotkaliśmy się w komplecie.

— A twoje przyjęcie urodzinowe? — przypomniała Eloise.

Matka pokręciła głową.

— Gregory nie zdołał się wyrwać z uczelni.

— Chyba jednak nie ustawisz nas według wzrostu i nie każesz śpiewać? — zapytała Hiacynta, tylko częściowo żartem. — Już nas widzę: „Śpiewający Bridgertonowie”. Zbijemy fortunę na scenie.

— Masz dzisiaj kiepski humor — zauważyła Penelopa.

Hiacynta wzruszyła ramionami.

— Po prostu przygotowuję się do transformacji w muchę.To jednak wymaga pewnego wysiłku psychicznego.

— Brzęczącego nastroju? — łagodnie zapytała Penelopa.

— Właśnie.

— Musimy ją szybko wydać za mąż — rzuciła Eloise pod adresem matki.

— Ty pierwsza — odparowała Hiacynta.

— Pracuję nad tym. — Eloise uśmiechnęła się tajemniczo.

— Co? — Słowo to zabrzmiało tym głośniej, że wyrwało się z trojga ust jednocześnie.

— Tylko tyle mogę powiedzieć — rzuciła Eloise takim tonem, że

wszystkie od razu jej uwierzyły.

— Już ja się temu dokładnie przyjrzę — zapewniła Hiacynta matkę i bratową.

— Jestem tego pewna — odparła lady Violetta. Penelopa spojrzała na przyjaciółkę.

— Nie masz szans.

Eloise uniosła podbródek i wyjrzała przez okno.

— No, jesteśmy na miejscu — oznajmiła.

Cztery panie zaczekały, aż stangret otworzy drzwiczki, i wysiadły.

— Bogowie! — szepnęła wicehrabina. — Daphne przeszła samą siebie.

Trudno było się nie zatrzymać, żeby popatrzeć. Cały Hastings House jarzył się światłami. Wszystkie okna ozdobiono świecami, w uchwytach paliły się pochodnie. Witający powozy lokaje również trzymali w rękach pochodnie.

— Szkoda, że lady Whistledown tu nie ma — mruknęła Hiacynta, po raz pierwszy porzucając zaczepny ton. — Byłaby zachwycona.

— A może jest — powiedziała Eloise. — Prawie na pewno tu jest.

— Czyżby Daphne zaprosiła Cressidę Twombley? — zapytała lady Violetta.

— Jestem tego pewna — odparła Eloise. — Ale wiem, że ona nie jest lady Whistledown.

— Chyba nikt już tak nie uważa — mruknęła wicehrabina, wstępując na schody. — Chodźcie, dziewczęta, to będzie nasz wieczór.

Hiacynta podeszła do matki, Eloise stanęła obok Penelopy.

— Magia wisi w powietrzu — zauważyła Eloise, rozglądając się tak, jakby po raz pierwszy znalazła się na balu. — Czujesz?

Penelopa tylko rzuciła na nią okiem, obawiając się, że jeśli otworzy usta, wyrzuci z siebie wszystkie tajemnice. Jej przyjaciółka miała rację. W tej

nocy było coś dziwnego, elektryzującego… jak przed burzą z piorunami. — Mam wrażenie, jakby to był punkt zwrotny w moim życiu — mruknęła Eloise. — Jakby w ciągu jednego wieczoru moje życie miało się całkowicie odmienić.

— Co ty mówisz? — zapytała Penelopa, zaniepokojona dziwnym błyskiem w oku przyjaciółki.

— Nic. — Panna Bridgerton wzruszyła ramionami. Po jej ustach błąkał się jednak tajemniczy uśmieszek, kiedy wzięła bratową pod ramię i mruknęła: — Chodźmy. Noc czeka.

23

Penelopa wiele razy była w Hastings House, zarówno na balach, jak i z wizytą, ale nigdy jeszcze to stare, dostojne gmaszysko nie wyglądało tak ładnie — i tak magicznie — jak dzisiaj.

Cztery panie Bridgerton przybyły jako jedne z pierwszych. Lady Bridgerton zawsze powiadała, że to nieelegancko, kiedy członkowie rodziny się spóźniają, nawet jeśli to akurat modne. Zresztą wcześniejsze przybycie miało też swoje zalety — Penelopa mogła swobodnie przyjrzeć się dekoracjom, bez przeciskania się wśród tłumów gości.

Daphne nie zdecydowała się na żaden motyw przewodni, nie zależało jej na przyćmieniu egipskiego balu z zeszłego tygodnia czy greckiego sprzed dwóch tygodni. Udekorowała dom z tą samą skromną elegancją, z jaką żyła na co dzień. Ściany i stoły ozdobione były setkami świec, których płomienie migotały i odbijały się od ogromnych kandelabrów zwisających ze sklepienia. Okna otulono lśniącą, lekko migoczącą tkaniną. Wróżki mogłyby nosić takie sukienki. Penelopa wiedziała, że służba Hastingsów nosiła błękitno-złotą liberię, lecz dziś u wszystkich złoto zastąpiono srebrem.

Można się było poczuć jak w samym środku baśni.

— Ciekawe, ile to wszystko kosztowało — wyszeptała Hiacynta z wytrzeszczonymi oczami.

— Hiacynto! — wykrzyknęła wicehrabina, delikatnie uderzając córkę w ramię. — Wiesz, że to nieelegancko pytać o takie rzeczy.

— Nie pytałam — oburzyła się Hiacynta. — Zastanawiałam się. A poza tym to tylko Daphne.

— Twoja siostra jest księżną Hastings — zwróciła jej uwagę matka. — Jako taka ma pewne obowiązki związane z pozycją. Mogłabyś o tym pamiętać.

— Ale czy nie zgodzisz się ze mną — ripostowała Hiacynta, biorąc matkę pod ramię i lekko ściskając jej dłoń — że najważniejsze to pamiętać, że jest moją siostrą?

— I tu cię ma — zaśmiała się Eloise.

Lady Violetta westchnęła.

— Hiacynto, kiedyś przez ciebie umrę.

— Nieprawda — odparowała córka. — Umrzesz przez Gregory’ego.

Penelopa z trudem pohamowała śmiech.

— Nie widzę nigdzie Colina — powiedziała Eloise, wyciągając szyję.

— Nie? — Penelopa rozejrzała się uważnie po sali. — Dziwne.

— Nie powiedział ci, że przyjedzie przed tobą?

— Nie. Ale sądziłam, że będzie tutaj.

Teściowa poklepała ją po ramieniu.

— Jestem pewna, że wkrótce się zjawi. A wtedy wszyscy się dowiemy, co to za wielki sekret ukrywa przed nami i dlaczego nakazał nam nie opuszczać cię ani na chwilę. Co nie znaczy — dodała pospiesznie, szeroko otwierając zaniepokojone oczy — że uważamy to za przykry obowiązek. Uwielbiamy twoje towarzystwo.

Penelopa uśmiechnęła się ciepło.

— Wiem. Wzajemnie.

W kolejce do gospodarzy stało już tylko kilkoro gości i wkrótce panie mogły przywitać się z Daphne i Simonem.

— Co się dzieje z Colinem? — zapytała księżna bez wstępów, skoro tylko pozostali goście usunęli się poza zasięg głosu.

Ponieważ pytanie wydawało się skierowane głównie do niej, Penelopa

udzieliła odpowiedzi.

— Nie wiem.

— Czy tobie też wysłał list? — zapytała Eloise.

Daphne skinęła głową.

— Tak, mamy ją mieć na oku, jak to określił.

— Mogło być gorzej — wtrąciła Hiacynta. — My mamy trzymać się jej jak mucha lepu. — Pochyliła się do przodu. — Podkreślił słowo „lep”.

— A ja myślałam, że nie jestem przykrym obowiązkiem do wypełnienia — zaśmiała się Penelopa.

— Ależ nie jesteś — lekko odparła Hiacynta. — Ale w słowie „mucha” jest coś bardzo specyficznego. Ulatuje z języka po prostu. Muchhhhhhaaa…

— Czy to ze mną coś jest nie tak, czy z nią? — zapytała Eloise.

Hiacynta skwitowała komentarz siostry wzruszeniem ramion.

— Nie mówiąc już o tym, jakie to dramatyczne. Czuję się jak w samym środku spisku.

— Spisek — jęknęła. — Niech nas niebiosa mają w opiece.

Daphne pochyliła się ku siostrze z dramatycznym wyrazem twarzy.

— A nam powiedział…

— To nie zawody, żono — upomniał ją Simon.

Księżna rzuciła mu pełne irytacji spojrzenie i zwróciła się do matki i sióstr:

— Polecił nam pilnować, aby trzymała się z dala od lady Danbury.

— Lady Danbury! — wykrzyknęły wszystkie panie Bridgerton.

Z wyjątkiem Penelopy, która doskonale wiedziała, co się kryje pod tym dziwnym zakazem. Widocznie Colin wymyślił coś lepszego od jej planu, by przekonać lady Danbury do kłamstwa. Chyba chodziło o podwójny szantaż.

O cóż bowiem innego? Widocznie Colin odkrył jakiś straszliwy sekret Cressidy. Penelopa szalała z radości.

— Myślałam, że przyjaźnicie się z lady Danbury — zauważyła wicehrabina.

— Ja tak — odparła Penelopa, udając zdziwienie.

— To bardzo dziwna sprawa — rzekła Hiacynta, stukając się palcem w policzek. — To naprawdę ciekawe.

— Eloise, jesteś dzisiaj wyjątkowo milcząca — zauważyła nagle Daphne.

— Raz tylko powiedziałaś, że coś jest ze mną nie tak — zauważyła Hiacynta.

— Hm? — Eloise wpatrywała się w przestrzeń, a może w coś za plecami siostry i szwagra, i nie słuchała, co się do niej mówi. — No cóż, nie mam chyba nic do powiedzenia.

— Ty? — zdumiała się Daphne.

— Wyjęłaś mi to z ust — dodała Hiacynta.

Penelopa zgadzała się z Hiacyntą, ale postanowiła to zachować dla siebie. Eloise rzeczywiście zachowywała się nieco inaczej niż zwykle, zwłaszcza dzisiaj, kiedy wieczór z każdą chwilą nabierał coraz bardziej tajemniczych i niezwykłych barw.

— Wszystkie tak dokładnie wyrażacie moje myśli — rzekła wreszcie — że nie mam nic więcej do dodania.

To wyznanie wydało się Penelopie cokolwiek zaskakujące. Taki delikatny sarkazm pasował do jej przyjaciółki, ale nie zdarzyło się jeszcze, żeby podczas konwersacji nie miała nic do powiedzenia.

Eloise wzruszyła ramionami.

— Powinnyśmy przejść dalej — zauważyła lady Violetta. — Blokujemy drogę innym gościom.

— Zobaczymy się później — obiecała Daphne. — I… Och! — Wszyscy zwrócili się ku niej. — Pewnie będziecie chciały wiedzieć — szepnęła — że lady Danbury jeszcze nie przybyła.

— To mi ułatwia zadanie — odparł Simon, wyraźnie znudzony intrygą.

— A mnie nie — wtrąciła Hiacynta. — Muszę się jej trzymać…

— Jak mucha lepu — dokończyli wszyscy chórem, z Penelopą włącznie.

— No to ja zaczynam — stwierdziła Hiacynta.

— A skoro mowa o muchach… — zaczęła Eloise, kiedy oddaliły się już od gospodarzy. — Czy nie wydaje ci się, Penelopo, że wystarczą ci na razie dwie? Muszę wyjść na chwilę.

— Pójdę z tobą — zawołała Hiacynta.

— Nie możecie iść obie — zaprotestowała lady Violetta. — Jestem pewna, że Colin nie chciał, aby Penelopa została tylko ze mną.

— A mogę wyjść, kiedy ona wróci? — skrzywiła się Hiacynta. — Nie mogę niestety tego uniknąć.

Wicehrabina spojrzała wyczekująco na córkę.

— Co takiego? — zapytała Eloise.

— Czekałam, aż powiesz to samo.

— Jestem zbyt dystyngowana. — Eloise siąknęła nosem.

— Och, proszę — wymamrotała Hiacynta.

Lady Violetta jęknęła.

— Jesteś pewna, Penelopo, że masz ochotę na nasze towarzystwo?

— Chyba nie mam wyboru — odparła Penelopa, rozbawiona dyskusją. — Idź — rzuciła do Eloise. — Tylko wracaj zaraz.

Panna Bridgerton skinęła głową i ku zdumieniu wszystkich szybko uściskała bratową.

— A to za co? — zapytała Penelopa z serdecznym uśmiechem.

— Bez powodu — odparła Eloise, odpowiadając jej uśmiechem

podobnym do uśmiechu Colina. — Myślę, że to będzie dla ciebie bardzo ważny wieczór.

— Tak sądzisz? — ostrożnie spytała Penelopa, niepewna, czego przyjaciółka może się domyślać.

— Widać przecież, że coś się dzieje — rzuciła Eloise. — Colin rzadko działa w takiej tajemnicy. A ja chciałam tylko pomóc.

— Wrócisz za kilka minut — zauważyła Penelopa. — Cokolwiek ma się zdarzyć, na pewno tego nie przegapisz.

Eloise wzruszyła ramionami.

— To był impuls. Impuls zrodzony z dwunastu lat przyjaźni.

— Eloise Bridgerton, czyżbyś przeze mnie stała się sentymentalna?

— Teraz? — zdziwiła się Eloise z udaną urazą. — Raczej nie.

— Pójdziesz wreszcie? — burknęła ze zniecierpliwieniem Hiacynta. — Nie mogę czekać przez całą noc.

W odpowiedzi siostra machnęła jej ręką i odbiegła. Przez następną godzinę Penelopa, Violetta i Hiacynta niczym jedna osoba spacerowały w tłumie, rozmawiając z gośćmi.

— Trzy głowy i sześć nóg — zauważyła Penelopa, podchodząc do okna.

Obie panie Bridgerton natychmiast stanęły obok niej.

— Słucham? — zapytała lady Violetta.

— Czy naprawdę chciałaś wyjrzeć przez okno, czy tylko nas sprawdzasz? — zapytała Hiacynta. — I gdzie jest Eloise?

— Sprawdzałam, ale tylko ciebie — przyznała Penelopa. — Jestem pewna, że Eloise zatrzymał któryś z gości. Wiesz, że jest tu sporo ludzi, z których szponów dość trudno się wyrwać.

— Hm — mruknęła Hiacynta. — Ktoś chyba musi sprawdzić, czy ona pamięta zależność między lepem a muchą.

— Jeśli musisz odejść na chwilkę, proszę, nie krępuj się. Nic mi nie

będzie. — Penelopa spojrzała na teściową. — Ty, mamo, także. Jeśli musisz, odejdź, obiecuję, że zostanę tu jak przykuta do ściany aż do waszego powrotu.

Wicehrabina spojrzała na nią ze zgrozą.

— I złamać słowo dane Colinowi?

— Dałaś mu słowo? — zdumiała się Penelopa.

— Nie, ale tego się właśnie domagał, jak mi się zdaje. Och, patrzcie! — zawołała nagle. — Jest już!

Penelopa próbowała dyskretnie zwrócić uwagę męża, ale wszelkie jej próby spełzły na niczym, gdy Hiacynta zaczęła gwałtownie wymachiwać rękami i wołać:

— Colinie!

Lady Bridgerton jęknęła.

— Wiem, wiem — rzekła Hiacynta bez cienia skruchy. — Muszę się zachowywać jak dama.

— Skoro o tym wiesz — odrzekła lady Violetta tonem wzorowej matki dzieciom — dlaczego tego nie robisz?

— Dobry wieczór, moje panie — przywitał się Colin i ucałował dłoń matki, po czym zajął miejsce obok żony, obejmując ją w talii.

— No i co? — zapytała Hiacynta. Jej brat uniósł brew. — Nie powiesz nam?

— Wszystko w swoim czasie, droga siostro.

— Jesteś wstrętny, po prostu wstrętny — burknęła Hiacynta.

— Chwileczkę — mruknął Colin, rozglądając się wokoło. — A gdzie jest Eloise?

— Bardzo dobre pytanie — wymamrotała Hiacynta, ale jej głos utonął w słowach Penelopy.

— Jestem pewna, że wkrótce wróci.

Colin skinął głową, nie okazując zbytniego zainteresowania.

— Mamo — zwrócił twarz ku wicehrabinie — jak się dziś miewasz?

— Rozsyłasz po całym mieście tajemnicze liściki — odparła Violetta — a pytasz mnie, jak się miewam?

— Tak. — Colin się uśmiechnął.

Lady Violetta już podniosła palec, żeby mu pogrozić, ale zmitygowała się natychmiast. Sama zabraniała dzieciom robić to publicznie.

— O nie, nie, nie, Colinie Bridgerton. Nie wywiniesz się bez tłumaczenia. Jestem twoją matką, twoją matką!

— Wiem, że łączą nas więzy krwi — mruknął.

— Nie będziesz mi tu tańczył wokół tematu i zwodził zręcznymi słówkami i czarującym uśmiechem!

— Uważasz, że mam czarujący uśmiech?

— Colinie!

— Ale masz rację — zgodził się. — Absolutną rację.

Wicehrabina zamrugała.

— Tak?

— Tak. Na temat tańca. — Lekko przechylił głowę na bok. — Zdaje się, że orkiestra właśnie zaczyna grać.

— Nic nie słyszę — odparła Hiacynta.

— Nie? Szkoda. — Colin chwycił Penelopę za rękę. — Chodź, małżonko. To chyba nasz taniec.

— Ale przecież nikt nie tańczy — syknęła Hiacynta.

Brat rzucił jej uśmiech pełen satysfakcji.

— Ale będą tańczyć. — I zanim ktokolwiek zdołał mu odpowiedzieć, pociągnął Penelopę za sobą w największe tłumy.

— Chyba chciałeś tańczyć? — wydyszała, kiedy minęli niewielkie podium dla orkiestry. Muzycy wydawali się mieć dłuższą przerwę.

— Nie, tylko uciec — wyjaśnił, przemykając przez boczne drzwi i pociągając ją za sobą.

W chwilę później znaleźli się na wąskich schodach, którymi dotarli do maleńkiego salonu, oświetlonego jedynie blaskiem pochodni wpadającym przez okna.

— Gdzie jesteśmy? — spytała Penelopa, rozglądając się wokoło.

Colin wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Miejsce dobre jak każde inne.

— Powiesz mi wreszcie, co się dzieje?

— Nie, najpierw cię pocałuję.

Zanim miała możliwość zareagować (choć daleka była od protestów!), nakrył ustami jej usta w czułym, a jednocześnie łapczywym i niecierpliwym pocałunku.

— Colinie! — jęknęła w ułamku sekundy, którego potrzebował, by zaczerpnąć tchu.

— Nie teraz — odrzekł, całując ją jeszcze raz.

— Ale… — Nie dokończyła, bo jego wargi znów stłumiły protest.

Penelopa poczuła, że kręci się jej w głowie. Zęby Colina delikatnie podgryzały jej język, dłonie błądziły po plecach. Był to pocałunek, od którego nogi jej miękły, a ciało ogarniało słodkie zniewolenie. Pozwoliłaby się teraz położyć na sofie i zrobić ze sobą wszystko, a im bardziej byłoby to perwersyjne, tym lepiej, choć byli zaledwie o kilka jardów od pięciuset gości z towarzystwa, ale…

— Colinie! — wykrzyknęła, jakimś cudem odrywając się od męża.

— Pssst!

— Musisz przestać!

Spojrzał na nią jak zbity pies.

— Muszę?

— Tak, musisz.

— Chodzi ci o tych wszystkich ludzi za drzwiami, co?

— Nie, choć to całkiem niezły powód, żeby pomyśleć nad opanowaniem się.

— Pomyśleć i zrezygnować? — zapytał z nadzieją.

— Nie! Colinie. — Wysunęła się z jego ramion i odeszła nieco, żeby nie prowokować go samą bliskością. — Colinie, musisz mi powiedzieć, co się dzieje…

— No cóż — rzekł powoli — całowałem cię i…

— Nie o to mi chodziło i dobrze o tym wiesz.

— Doskonale. — Odszedł w drugą stronę. Jego ciężkie kroki głośno rozbrzmiewały w ciszy pokoju. Po chwili zawrócił i w jego głosie nie było już wesołości. — Zdecydowałem, co zrobić w sprawie Cressidy.

— Tak? Co? Powiedz.

Uśmiechnął się z nieco zbolałym wyrazem twarzy.

— Właściwie wolałbym, żebyś o niczym nie wiedziała, dopóki nie zacznę realizować mojego planu.

Penelopa popatrzyła na męża z niedowierzaniem.

— Nie mówisz poważnie.

— No cóż… — Spojrzał tęsknie w kierunku drzwi, wyraźnie marząc o ucieczce.

— Powiedz — nalegała.

— Doskonale — westchnął.

Po chwili westchnął jeszcze raz.

— Colinie!

— Zamierzam coś ogłosić — rzekł, jakby to wszystko wyjaśniało.

Z początku Penelopa milczała, sądząc, że jeśli tylko odczeka chwilę

i dobrze się zastanowi, zrozumie. Niestety myliła się. Powoli, starannie dobierając słowa, zadała więc pytanie:

— Co zamierzasz ogłosić?

Jej mąż przybrał zdecydowany wyraz twarzy.

— Zamierzam powiedzieć prawdę.

Jęknęła.

— O mnie?

Skinął głową.

— Nie możesz!

— Uważam, że to najlepsze wyjście.

Penelopa poczuła, jak ogarnia ją panika. Zabrakło jej tchu.

— Nie, Colinie, nie możesz! Nie możesz tego zrobić! To nie twoja tajemnica!

— Chcesz płacić Cressidzie do końca życia?

— Nie, oczywiście, że nie, ale mogę poprosić lady Danbury…

— Nie poprosisz lady Danbury o to, żeby za ciebie kłamała! — warknął. — To niepodobne do ciebie i sama dobrze o tym wiesz.

Gniewny ton męża sprawił, że Penelopa aż jęknęła.

W głębi ducha wiedziała jednak, że Colin ma rację.

— Jeśli tak chętnie oddajesz swoją tożsamość innej osobie — rzekł — równie dobrze mogłaś pozwolić, aby to była Cressida.

— Nie mogłam — szepnęła. — Tylko nie ona.

— Dobrze. Więc najwyższy czas spojrzeć w twarz tłumom.

— Colinie, będę skompromitowana!

Wzruszył ramionami.

— Przeniesiemy się na wieś.

Penelopa pokręciła głową, desperacko próbując znaleźć właściwe słowa.

Colin ujął lekko jej dłonie.

— Czy to naprawdę ma takie znaczenie? — zapytał cicho. — Penelopo, kocham cię. Jak długo jesteśmy razem, będziemy szczęśliwi.

— Nie o to chodzi — odrzekła, bezskutecznie usiłując uwolnić dłoń, żeby otrzeć łzy.

— Więc o co chodzi? — zapytał.

— Colinie, ty też będziesz skompromitowany — szepnęła.

— Nie szkodzi.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Wydawał się taki swobodny, taki pewny siebie, kiedy mówił o czymś, co oznaczało nieodwracalne zmiany w ich życiu, zmiany, jakich sobie chyba nawet nie potrafił wyobrazić.

— Penelopo — odezwał się tak spokojnym i rozsądnym tonem, że ledwie mogła to znieść — to jedyne rozwiązanie: albo my powiemy światu, albo zrobi to Cressida.

— Zapłacimy jej — odparła.

— Naprawdę tego chcesz? — zapytał. — Dać jej te wszystkie pieniądze, zarobione z tak wielkim trudem? Równie dobrze mogłabyś pozwolić, aby powiedziała światu, że to ona jest lady Whistledown.

— Nie mogę ci na to pozwolić — odrzekła. — Nie wiem, czy rozumiesz, co to znaczy być wyrzutkiem społeczeństwa.

— A ty wiesz? — odparował.

— Lepiej od ciebie!

— Penelopo…

— Usiłujesz udawać, że to nieistotne, a ja wiem, że to nieprawda. Byłeś na mnie taki wściekły, kiedy opublikowałam ostatnią gazetkę, bo uważałeś, że nie powinnam tak ryzykować.

— I okazało się, że miałem rację — odparł.

— Widzisz? — zawołała. — Wciąż jeszcze jesteś na mnie o to wściekły.

Colin odetchnął głęboko. Rozmowa nie toczyła się w pożądanym przez

niego kierunku. To, że wcześniej nalegał na zachowanie wszystkiego w tajemnicy, nie miało już znaczenia.

— To prawda. Gdybyś nie wydała tej ostatniej gazetki, nie mielibyśmy teraz problemu — przyznał — ale wydaje mi się, że w tej chwili to daremne rozważania.

— Colinie — wyszeptała Penelopa — jeśli wyznamy światu, że to ja jestem lady Whistledown, a świat zareaguje tak, jak sądzimy, to twoje dzienniki nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Serce mu zamarło. Dopiero teraz naprawdę zrozumiał, o co jej chodzi.

Wcześniej już mówiła mu, że go kocha, okazywała mu swoją miłość na wszystkie sposoby, jakich się od niego nauczyła. Ale nigdy do tej pory nie widział tego tak jasno i wyraźnie. Przez cały czas, kiedy go błagała, aby nie wygłaszał oświadczenia, robiła to tylko dla niego. Przełknął ślinę, usiłując zwalczyć dławiący ucisk w gardle. Z trudem oddychał.

Penelopa wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Wzrok miała błagalny, na policzkach ślady łez.

— Nie wybaczyłabym sobie — rzekła. — Nie zniszczę twoich marzeń.

— Nigdy nie były moimi marzeniami, dopóki nie spotkałem ciebie — wyszeptał.

— Nie chcesz wydać swoich dzienników? — zapytała, mrugając w zmieszaniu. — Chciałeś to zrobić tylko dla mnie?

— Nie — odrzekł, ponieważ uznał, że winien jest Penelopie całkowitą szczerość. — Chcę tego. To naprawdę moje marzenie. Ale to ty mi je podarowałaś.

— To nie znaczy, że mogę je teraz zabrać.

— Nie zabierasz go.

— Tak…

— Nie — rzekł z naciskiem. — Nie zabierasz. A wydanie mojego

dzieła… no cóż, przestaje mieć większe znaczenie, kiedy pomyślę o moim prawdziwym celu: być z tobą na zawsze.

— O to możesz być spokojny — odparła łagodnie.

— Wiem. — Colin uśmiechnął się, a po chwili zaśmiał się łobuzersko. — Co zatem mamy do stracenia?

— Może więcej, niż sobie wyobrażasz.

— A może mniej — przypomniał jej. — Nie zapominaj, że jestem Bridgertonem. I ty też. Mamy w tym mieście pewną władzę.

Penelopa wytrzeszczyła oczy.

— O czym mówisz?

Colin lekko wzruszył ramionami.

— Anthony gotów jest poprzeć cię na całej linii.

— Powiedziałeś Anthony’emu? — jęknęła.

— Musiałem. Jest głową rodziny. Niewielu jest ludzi na tej ziemi, którzy mieliby odwagę go zdenerwować.

— Och! — Penelopa przygryzła wargę, rozważając to, co usłyszała. A potem spytała, ponieważ musiała to wiedzieć: — I co powiedział?

— Był zaskoczony.

— Spodziewałam się tego.

— I raczej zadowolony.

Rozpromieniła się.

— Naprawdę?

— I rozbawiony. Wyznał, że podziwia kogoś, kto potrafił dochować tajemnicy przez tyle lat. Stwierdził, że nie może się doczekać, kiedy powie Kate.

Penelopa skinęła głową.

— Wobec tego musisz to ogłosić. Już po sekrecie.

— Anthony nic nie powie, jeśli mu nie pozwolę — zapewnił Colin. —

Nie dlatego chcę wszystkim powiedzieć prawdę.

Penelopa spojrzała na męża wyczekująco.

— Prawda jest taka — przyciągnął ją do siebie — że jestem z ciebie bardzo dumny.

Uśmiechnęła się mimo woli, choć kilka chwil temu nie wierzyła, że jeszcze kiedykolwiek to zrobi.

Colin pochylił się, aż ich nosy zetknęły się czubkami.

— Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, jaki jestem z ciebie dumny. Zanim skończę mówić, nie będzie w Londynie ani jednej osoby, która by nie uważała cię za najmądrzejszą i najsprytniejszą w mieście.

— I tak mnie znienawidzą.

— Może — zgodził się. — Ale to ich problem, nie nasz.

— Och, Colinie — westchnęła. — Kocham cię. To naprawdę wspaniałe.

— Wiem — zaśmiał się.

— Nie, naprawdę. Przedtem też mi się wydawało, że cię kocham, jestem pewna, że tak było, ale to nic w porównaniu z uczuciem, jakie żywię do ciebie teraz.

— Dobrze — odparł, obejmując ją tkliwym spojrzeniem. — To mi się podoba. A teraz idziemy.

— Dokąd?

— Tam — rzekł i pchnął drzwi.

Ku swemu zdumieniu Penelopa znalazła się na niewielkim balkonie, z którego roztaczał się widok na salę balową.

— O Boże — jęknęła, usiłując wciągnąć męża z powrotem do ciemnego pokoju. Jeszcze nikt ich nie zauważył, wciąż mieli szansę na ucieczkę.

— Tsss, tsss! Odwagi, kochanie.

— Nie mógłbyś przesłać tego pocztą? — szepnęła niecierpliwie. — Albo po prostu rozpuścić plotkę, która rozejdzie się sama?

— Nie ma nic lepszego niż wielki gest, aby udowodnić swoje racje.

Penelopa konwulsyjnie przełknęła ślinę. To będzie naprawdę widowiskowy gest.

— Nie potrafię być w centrum uwagi — rzekła, usiłując przywrócić oddechowi normalny rytm.

Mąż ścisnął ją za rękę.

— Nie martw się, ja to umiem za nas dwoje.

Powiódł wzrokiem po zebranych, aż napotkał spojrzenie gospodarza, swego szwagra, księcia Hastings. Na skinienie głowy Colina książę ruszył w kierunku orkiestry.

— Simon też wie? — jęknęła Penelopa.

— Powiedziałem mu, kiedy przyjechałem — mruknął Colin lekko nieobecnym tonem. — Jak inaczej znalazłbym ten pokój z wyjściem na balkon?

W tym momencie wydarzyło się coś naprawdę niezwykłego. Jak spod ziemi wyłoniła się nagle cała rzeka lokajów z tacami pełnymi kieliszków szampana i rozlała się pośród gości.

— A tu są nasze — rzekł Colin, biorąc dwa kieliszki stojące na balustradzie. — Tak jak prosiłem.

Penelopa wzięła kieliszek bez słowa, wciąż nie rozumiejąc ciągu wydarzeń, który rozwijał się przed jej oczami.

— Pewnie jest już bez bąbelków — szepnął jej mąż konspiracyjnie. Wiedziała, że chce jej dodać otuchy. — Ale w tych okolicznościach trudno wymagać czegoś więcej.

Penelopa chwyciła Colina za rękę i uścisnęła z przerażeniem. Bezradnie obserwowała Simona, który uciszył orkiestrę i poprosił gości, aby zwrócili uwagę na jego brata i siostrę, stojących na balkonie.

Brat i siostra. Bridgertonów naprawdę łączyły silne więzy rodzinne.

Penelopa nie sądziła, że dożyje dnia, gdy książę nazwie ją siostrą.

— Panie i panowie! — zawołał Colin. Jego silny, dźwięczny głos niósł się echem po sali. — Pragnę wznieść toast za najbardziej niezwykłą kobietę na świecie.

Tłum zafalował, rozległ się szmer szeptów. Penelopa zamarła, czekając na to, co za chwilę miało nastąpić.

— Jestem świeżo upieczonym żonkosiem — ciągnął Colin, obdarzając gości swym czarującym uśmiechem — więc musicie mi wybaczyć, że wciąż jeszcze nie mogę się nacieszyć miłością.

Tłum zaśmiał się przyjaźnie.

— Wiem, że wielu z was było zaskoczonych, kiedy poprosiłem Penelopę Featherington, aby została moją żoną. Ja też. — Dało się słyszeć kilka złośliwych chichotów. Penelopa stała wyprostowana, nieruchoma, dumna. Colin powie to, co trzeba. Wiedziała, że tak się stanie. Colin zawsze mówił to, co trzeba. — Nie byłem zaskoczony, że się w niej zakochałem — podkreślił, obrzucając tłum wyzywającym spojrzeniem — ale że zajęło mi to tyle czasu. Znałem ją od tak wielu lat — ciągnął już łagodniejszym tonem — a jakoś nigdy nie przystanąłem, żeby dostrzec w niej tę piękną, inteligentną, błyskotliwą kobietę, jaką się stała.

Penelopa poczuła, że łzy spływają jej po policzkach, ale nie mogła wykonać najmniejszego ruchu. Ledwie miała odwagę odetchnąć. Spodziewała się, że wyjawi jej sekret, a tymczasem on ofiarowywał jej najpiękniejszy dar: poruszające do głębi wyznanie miłości.

— Zatem biorę was wszystkich na świadków — kontynuował — i mówię: Penelopo… — Zwrócił się ku niej, ujął ją za rękę. — …kocham cię. Uwielbiam cię. Czczę ziemię, po której stąpasz. — Znów zwrócił się do tłumu, unosząc kielich. — Za moją żonę!

— Za twoją żonę! — wykrzyknęli wszyscy, porwani magią tej

wspaniałej chwili.

Colin wypił, Penelopa też, choć wciąż zastanawiała się, kiedy jej małżonek ujawni prawdziwy powód tej przemowy.

— Odstaw kieliszek, skarbie — mruknął.

Wyjął kruche szkło z jej palców i odstawił na bok.

— Ale…

— Za często mi przerywasz — zganił ją i chwycił w ramiona, na oczach całej śmietanki londyńskiego towarzystwa zamykając jej usta namiętnym pocałunkiem.

— Colinie! — jęknęła, kiedy pozwolił jej odetchnąć.

Zaśmiał się zuchwale. Goście wiwatowali, zachwyceni sceną.

— Ach, jeszcze jedno! — krzyknął do nich.

Tłum zaczął tupać, ale słuchał uważnie każdego słowa.

— Opuszczam przyjęcie nieco wcześniej. Właściwie teraz. — Spojrzał z ukosa na żonę i uśmiechnął się. — Mam nadzieję, że rozumiecie.

Mężczyźni zaczęli pohukiwać i wrzeszczeć. Penelopa zalała się pąsowym rumieńcem.

— Zanim jednak wyjdziemy, mam do powiedzenia jeszcze słówko. Malutkie, ostatnie słóweczko, na wypadek gdybyście nie wierzyli, że moja żona naprawdę jest najmądrzejszą, najsprytniejszą, najbardziej czarującą kobietą w Londynie.

— Nieeeeeeeeee! — rozległ się głos z głębi sali i Penelopa wiedziała, że to Cressida.

Jednak nawet ona nie była w stanie pokonać tłumu, który nie chciał ani jej przepuścić, ani słuchać jej okrzyków rozpaczy.

— Można powiedzieć, że moja żona ma dwa nazwiska panieńskie — rzekł Colin w zadumie. — Oczywiście, wszyscy znacie ją jako Penelopę Featherington, tak samo jak ja. Ale nie wiedzieliście, a nawet ja nie byłem

dość sprytny, aby się tego domyślić, dopóki nie powiedziała mi tego sama…

Zawiesił głos, czekając, aż sala się uciszy.

— …że jest również błyskotliwą, inteligentną, zachwycająco wspaniałą… O, wiecie wszyscy, o kim mówię — rzekł, gestem ogarniając tłum. — Oto moja żona! — zawołał głosem przepełnionym miłością i dumą. — Lady Whistledown!

Przez chwilę panowała cisza. Wydawało się, że ludzie boją się odetchnąć.

A potem rozległy się pojedyncze oklaski. Klap, klap, klap. Powolne, lecz tak pełne siły i determinacji, że wszyscy musieli się obejrzeć i sprawdzić, kto ma odwagę przerwać to pełne zgrozy milczenie.

Lady Danbury.

Wcisnęła laskę w czyjeś ręce i podniosła wysoko ramiona, klaszcząc głośno i odważnie. Promieniała zachwytem i dumą. Ktoś jeszcze przyłączył się do oklasków. Penelopa obejrzała się szybko.

Anthony Bridgerton.

A potem Simon Basset, książę Hastings.

A potem panie Bridgerton, Featherington, potem kolejni i kolejni goście, aż wreszcie cała sala rozbrzmiała wiwatami.

Penelopa nie wierzyła własnym oczom.

Jutro może sobie przypomną, że powinni być na nią wściekli, zagniewani, że drażniła się z nimi przez tyle lat, ale dzisiaj… Dziś tylko ją podziwiali i wiwatowali na jej cześć.

Dla kobiety, która ukrywała swoją tajemnicę przez tyle lat, było to spełnienie marzeń.

Prawie.

Jej największe marzenie stało obok, z ramieniem wokół jej talii. A kiedy

podniosła wzrok na ukochaną twarz, Colin uśmiechnął się do niej z taką miłością i dumą, że zabrakło jej tchu ze wzruszenia.

— Gratuluję, lady Whistledown — szepnął.

— Wolę panią Bridgerton — odparła.

Zaśmiał się.

— Doskonały wybór.

— Możemy już pójść? — zapytała.

— Teraz?

Skinęła głową.

— O tak — odparł z entuzjazmem.

I nikt ich nie ujrzał przez najbliższe kilka dni.

Epilog

Bedford Square, Bloomsbury, Londyn,
1825

Jest! Jest!

Penelopa podniosła wzrok znad papierów, które zaścielały jej biurko. Colin stał w drzwiach, podskakując jak dziecko.

— Twoja książka! — wykrzyknęła, zrywając się na tyle szybko, na ile pozwalała jej na to mocno już zaokrąglona figura. — Och, pokaż, nie mogę się doczekać!

Colin nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy wręczał żonie książkę.

— Och! — szepnęła z czcią, ujmując w dłonie cienki, oprawny w skórę tomik. — Czy zapach nowych książek nie jest piękny?

— Popatrz, popatrz tu — zawołał Colin niecierpliwie, wskazując swoje nazwisko na okładce.

Penelopa rozpromieniła się.

— Patrz, jakie to eleganckie — przesunęła palcami po literach, odczytując: — *Anglik w Italii*, Colin Bridgerton. — Wydawało się, że zaraz pęknie z dumy.

— Świetnie wygląda, prawda?

— Lepiej niż świetnie, wspaniale! Kiedy wyjdzie *Anglik na Cyprze*?

— Wydawca mówi, że książki będą się ukazywać co pół roku. Potem wyjdzie *Anglik w Szkocji*.

— Jestem z ciebie taka dumna.

Colin objął Penelopę ramionami, opierając podbródek na czubku jej głowy.

— Nie dokonałbym tego bez ciebie.

— Ależ oczywiście, że tak — zaprzeczyła.

— Cicho siedź i przyjmuj wyrazy wdzięczności.

— Doskonale — odparła z uśmiechem, choć nie mógł widzieć jej twarzy. — Niech ci będzie. Z pewnością nic byś nie wydał bez tak zdolnego redaktora.

— Niestety, nie mogę się z tym nie zgodzić — rzekł łagodnie, całując żonę w czubek głowy. Powoli i niechętnie wypuścił ją z ramion. — Usiądź. Nie powinnaś tak długo stać.

— Nic mi nie będzie — zapewniła Penelopa, ale usiadła posłusznie. Był nadopiekuńczy od pierwszej chwili, kiedy mu powiedziała o dziecku. A teraz, miesiąc przed terminem rozwiązania, stał się nie do zniesienia.

— Co to za papiery? — zapytał, obrzucając wzrokiem biurko.

— To? Nic takiego. — Penelopa zaczęła składać je w stosiki. — Taki mój niewielki pomysł.

— Naprawdę? — Colin usiadł naprzeciwko niej. — Co to takiego?

— No cóż… właściwie…

— Co to jest, Penelopo? — zapytał, wyraźnie rozbawiony jej onieśmieleniem.

— Od kiedy skończyłam pracę nad twoimi dziennikami, stwierdziłam, że brakuje mi pisania — wyjaśniła.

Pochylił się ku niej z uśmiechem.

— Nad czym pracujesz?

Spłonęła rumieńcem, choć sama nie wiedziała dlaczego.

— Nad powieścią.

— Powieść? Penelopo, to wspaniały pomysł!

— Tak sądzisz?

— Oczywiście. Masz już tytuł?

— Cóż, napisałam dopiero dwanaście stron — wyznała — a wiele jeszcze przede mną. Jeśli jednak nie zdecyduję się na większe zmiany, nazwę ją chyba *Pod ścianą sali balowej*.

— Naprawdę? — Spojrzenie Colina nagle wypełniła tkliwość.

— To trochę autobiografia — przyznała Penelopa.

— Tylko trochę?

— Tylko trochę.

— Ale ze szczęśliwym zakończeniem?

— Och, tak — odparła Penelopa stanowczo. — Z całą pewnością.

— Z całą pewnością?

Wyciągnęła dłoń ponad blatem biurka i położyła na mężowskiej dłoni.

— Nie umiem pisać innych zakończeń — szepnęła. — Tylko szczęśliwe.

Drodzy Czytelnicy

Czy kiedykolwiek po zamknięciu książki zastanawialiście się, co się stało z waszymi ulubionymi bohaterami? Czy chcieliście przedłużyć swój pobyt w świecie ulubionej powieści? Ja owszem, a jeśli pytania moich czytelników stanowią jakąkolwiek wskazówkę, nie jestem osamotniona. Zatem po niezliczonych prośbach wielbicieli Bridgertonów postanowiłam spróbować czegoś innego — i napisałam „drugi epilog" każdej powieści. To opowiadania, których akcja rozgrywa się długo po wydarzeniach opisanych w powieści.

Początkowo drugie epilogi do powieści o Bridgertonach były dostępne tylko online; później zostały wydrukowane (razem z nowelą o Violetcie Bridgerton) w zbiorze pod tytułem The Bridgertons: Happily Ever After. *Teraz, po raz pierwszy, każdy drugi epilog zostaje włączony do powieści, którą zamyka. Mam nadzieję, że z radością spotkacie się znów z Colinem i Penelopą.*

Z serdecznymi pozdrowieniami
Julia Quinn

Miłosne tajemnice
Drugi epilog

Nie powiedziałeś jej?

Penelopa Bridgerton mówiłaby dalej, zamierzała powiedzieć nawet więcej, lecz trudno jej było wydobyć słowa z zaciśniętych ust. Mąż Penelopy i jego trzej bracia właśnie wrócili z szaleńczego pościgu przez całą południową Anglię; szukali swojej siostry Eloise, która według wszelkiego prawdopodobieństwa uciekła z domu, by wyjść za mąż za…

Och, dobry Boże.

— Jest mężatką? — zapytała gorączkowo Penelopa.

Colin drobnym, zręcznym ruchem nadgarstka rzucił kapelusz na krzesło; widząc, jak wirując, leci idealnie prosto na miejsce, uniósł kącik ust w pełnym satysfakcji uśmiechu.

— Jeszcze nie — odparł.

Zatem Eloise nie uciekła z kochankiem. Ale mimo wszystko uciekła. I to po kryjomu. Eloise, najbliższa przyjaciółka Penelopy. Eloise, która dotąd zawsze zwierzała się Penelopie ze wszystkiego. Eloise, która najwyraźniej jednak nie o wszystkim mówiła przyjaciółce, uciekła do domu mężczyzny, którego nie znał nikt z nich, zostawiając liścik zapewniający rodzinę, że wszystko się ułoży i żeby bliscy się nie martwili.

Nie martwili???

Wielki Boże, Eloise Bridgerton chyba za dobrze zna swoją rodzinę, żeby zostawiać im takie wiadomości. Rodzina — wszyscy razem i każdy z osobna — szalała z niepokoju. Penelopa została ze swoją nową teściową, podczas gdy mężczyźni ruszyli szukać Eloise. Violetta Bridgerton robiła

dobrą minę do złej gry, lecz twarz jej ostatnio poszarzała, a uwagi Penelopy nie uszedł fakt, że ręce teściowej drżały przy każdym ruchu.

Teraz zaś Colin wrócił i zachowywał się tak, jakby nic się nie stało, nie udzielił zadowalającej odpowiedzi na żadne pytanie, nade wszystko zaś…

— Dlaczego jej nie powiedziałeś? — zapytała ponownie, idąc w stronę męża.

Colin padł na fotel i rozłożył ręce.

— Nie znalazłem odpowiedniej chwili.

— Nie było was pięć dni!

— No tak, ale nie wszystkie spędziłem z Eloise. Odejmij po jednym dniu na podróż w jedną i drugą stronę.

— Ale… ale…

Colin zdobył się na wysiłek i rozejrzał wokół.

— Pewnie nie kazałaś przynieść herbaty?

— Oczywiście, że kazałam — odparła Penelopa z namysłem; już pierwszy tydzień małżeństwa nauczył ją, że jeśli chodzi o jej świeżo upieczonego męża, zawsze powinna mieć pod ręką herbatę i posiłek. — Tyle że Colinie…

— Wiesz, naprawdę się spieszyłem.

— Widzę — powiedziała, obrzucając wzrokiem jego wilgotne, rozwiane wiatrem włosy. — Jechałeś konno?

Colin pokiwał głową.

— Z Gloucestershire?

— Właściwie to z Wiltshire. Przyjechaliśmy do Benedicta.

— Ale…

Colin uśmiechnął się rozbrajająco.

— Tęskniłem za tobą.

Penelopie jeszcze nie spowszedniały te wyznania na tyle, by nie zareagowała rumieńcem.

— Też za tobą tęskniłam, lecz…

— Usiądź przy mnie.

„Gdzie?” — omal nie zapytała Penelopa; jedyną płaską powierzchnią były jego kolana.

Uśmiech Colina, dotąd uosobienie czaru, nabrał ognia.

— W tej chwili też za tobą tęsknię — zamruczał.

Ku swojemu ogromnemu zakłopotaniu Penelopa natychmiast przeniosła spojrzenie na przód jego bryczesów. Colin zaśmiał się, ona zaś skrzyżowała ramiona na piersiach.

— Nie rób tego, Colinie — ostrzegła.

— Czego? — zapytał z miną niewiniątka.

— Nawet gdybyśmy nie siedzieli w salonie, nawet gdyby okna nie były odsłonięte…

— Tę przeszkodę akurat łatwo ominąć — stwierdził Colin, rzucając spojrzenie na zasłony.

— Nawet — ciągnęła Penelopa głosem coraz głębszym, chociaż nie głośniejszym — gdyby za chwilę nie miała wejść pokojówka, zapewne uginając się pod ciężarem tacy z twoją kolacją, chodzi o to, że…

Colin westchnął.

— …nie odpowiedziałeś na moje pytanie!

Colin mrugnął.

— Całkowicie wyleciało mi z głowy, o co pytałaś.

Minęło pełnych dziesięć sekund ciszy. W końcu odezwała się Penelopa.

— Zabiję cię.

— Tego jestem pewny — odparł niedbale Colin. — Pozostaje jedynie pytanie, kiedy.

— Colinie!

— Może raczej wcześniej niż później — zamruczał. — Chociaż, szczerze mówiąc, spodziewałem się, że prędzej razi mnie apopleksja z powodu złego zachowania.

Penelopa wbiła w niego wzrok.

— Twojego zachowania — uściślił Colin.

— Zanim się poznaliśmy, nie zachowywałam się źle — odpaliła.

— O nie! — zachłysnął się. — To już przesada.

W tej chwili Penelopa musiała zamknąć usta. Do licha, niestety jej mąż miał rację. I właśnie o to teraz poszło. Po wejściu do domu Colin zrzucił z siebie płaszcz, dość namiętnie pocałował ją w usta (na oczach lokaja!), po czym beztrosko rzucił: „Och, przy okazji, nie powiedziałem jej, że to ty jesteś Whistledown”.

A jeśli cokolwiek można określić złym zachowaniem, to właśnie te dziesięć lat, kiedy Penelopa pisała owianą już złą sławą „Kronikę Towarzyską Lady Whistledown”. Przez ostatnie dziesięć lat udało się jej pod pseudonimem obrazić praktycznie całą londyńską socjetę, łącznie z sobą samą (przecież otoczenie nabrałoby podejrzeń, gdyby nie zadrwiła z siebie, poza tym w tych okropnych żółciach i pomarańczach, do noszenia których zmuszała ją matka, Penelopa naprawdę wyglądała jak przejrzały cytrus).

Tuż przed ślubem Penelopa zaprzestała pisania kroniki, lecz próba szantażu przekonała Colina, że najlepiej będzie w wielkim stylu ujawnić jej sekret — zatem odkrył podwójną tożsamość Penelopy na balu swojej siostry, Daphne. Była to scena bardzo romantyczna i… no dobrze, w wielkim stylu, lecz na koniec wieczoru stało się jasne, że Eloise zniknęła.

Nawet Eloise, od lat najbliższą przyjaciółka Penelopy, nie znała jej sekretu. Nadal go nie zna. Uciekła z przyjęcia, zanim Colin wygłosił swoje oświadczenie, on zaś najwidoczniej nie uznał za stosowne poinformować jej o tym fakcie, kiedy już odnalazł siostrę.

— Szczerze — odezwał się Colin, w którego głosie pojawił się nietypowy dla niego ton irytacji — i tak na to nie zasługuje, po tym, co przez nią przeszliśmy.

— Może i tak — zamruczała Penelopa, ale od razu uznała, że jest

nielojalna wobec przyjaciółki. Chociaż fakt, cały klan Bridgertonów szalał z niepokoju. Co prawda Eloise zostawiła list, lecz kartka zaplątała się w korespondencję jej matki, więc minął cały dzień, zanim rodzina zrozumiała, że Eloise nie została porwana. Nawet wtedy jednak nikt się nie uspokoił; Eloise odeszła z własnej woli, ale dopiero po kolejnym dniu, w czasie którego wywrócono jej sypialnię do góry nogami, znaleziono list od sir Phillipa Crane'a, czyli wskazówkę, dokąd mogła uciec.

Biorąc wszystko to pod uwagę, Colin miał nieco racji.

— Za kilka dni musimy tam wrócić na ślub — oznajmił. — Wtedy jej powiemy.

— Nie możemy!

Colin zamilkł, po czym uśmiechnął się.

— A to dlaczego? — zapytał, mierząc ją pełnym uznania wzrokiem.

— To będzie dzień jej ślubu! — wyjaśniła Penelopa, świadoma, że mąż miał nadzieję na bardziej szatańskie wyjaśnienie. — To jej dzień, ona ma być najważniejsza. Nie mogę oznajmić jej takiej nowiny.

— Powód nieco bardziej altruistyczny, niż bym sobie życzył — stwierdził Colin z namysłem — ale w ostatecznym rachunku wychodzi na to samo, zatem masz moją zgodę…

— Nie potrzebuję jej — wtrąciła Penelopa.

— Mimo wszystko ją masz — odparł gładko Colin. — A Eloise niech nadal trwa w nieświadomości — postukał złączonymi palcami i odetchnął z widoczną przyjemnością. — To będzie wspaniały ślub.

W tej chwili weszła pokojówka z wyładowaną po brzegi tacą. Penelopa próbowała nie zwracać uwagi na lekkie stęknięcie, z jakim kobieta postawiła swój ciężar na stole.

— Możesz zamknąć za sobą drzwi — odezwał się Colin, kiedy pokojówka podniosła się znad stołu.

Penelopa spojrzała na drzwi, potem na męża, który wstał i zaczął zasłaniać

okna.

— Colinie! — zachłysnęła się, kiedy ramiona męża nieoczekiwanie zamknęły się wokół niej, jego usta dotknęły jej szyi, a ona poczuła, jak mięknie w jego objęciach.

— Myślałam, że jesteś głodny — wydyszała.

— Owszem — zamruczał, pociągając za stanik jej sukni. — Ale ciebie pragnę bardziej.

Opadając na poduszki, które dziwnym trafem znalazły się na puszystym dywanie, Penelopa czuła się naprawdę bardzo kochana.

Kilka dni później Penelopa siedziała w powozie, wyglądała przez okno i rugała samą siebie.

Colin spał.

Co z niej za gąska, że tak boi się ponownego spotkania z Eloise. Przecież to Eloise, na miłość boską. Od ponad dziesięciu lat są sobie bliskie jak siostry. Nawet bliższe. Może tylko… nie aż tak bliskie, jak sądziły. Skrywały przed sobą sekrety, obie. Penelopa miała ochotę skręcić Eloise kark za to, że przyjaciółka nie wspomniała jej nic o zalotniku, jednak nie mogła mieć do niej o to pretensji. Kiedy Eloise dowie się, że Penelopa to lady Whisteldown…

Otrząsnęła się. Colin może i czeka na tę chwilę z niecierpliwością — jego radość była wręcz diaboliczna — lecz ją samą ta perspektywa przyprawiała o mdłości. Nie jadła nic przez cały dzień, a nie należała do osób, które zapominają o śniadaniu.

Splotła dłonie, wyciągnęła szyję, by lepiej widzieć krajobraz za oknem — jak przypuszczała, już skręcili na drogę do Romney Hall, ale nie była pewna — po czym znów spojrzała na Colina.

Ten wciąż spał.

Kopnęła go. Oczywiście delikatnie, nie chciała posuwać się do jawnej

agresji, ale przecież to niesprawiedliwe, że od chwili, kiedy powóz ruszył, jej mąż spał jak niemowlę. Usadowił się na siedzeniu, wypytał, czy jej wygodnie, po czym, nie czekając, aż Penelopa dopowie do końca swoje „dziękuję, tak” — przymknął oczy.

A po trzydziestu sekundach zachrapał.

To naprawdę niesprawiedliwe. W nocy też zawsze zasypiał pierwszy.

Penelopa kopnęła go ponownie, tym razem mocniej.

Colin wymamrotał coś przez sen, poprawił się lekko i ułożył w kącie powozu.

Penelopa przysunęła się do niego. Bliżej, jeszcze bliżej…

Po czym zgięła łokieć tak, by nadać mu odpowiednio ostry kąt — i szturchnęła męża w żebra.

— Co…? — Colin zbudził się gwałtownie, mrugając oczami i pokasłując. — Co? Co? Co?

— Chyba dojechaliśmy — wyjaśniła Penelopa.

Colin wyjrzał przez okno, po czym spojrzał na żonę.

— I musiałaś powiadomić mnie o tym za pomocą broni?

— To był mój łokieć.

Colin spojrzał na jej ramię.

— Kochana, twoje łokcie są wyjątkowo kościste.

Penelopa wiedziała dobrze, że jej łokcie — jak również wszelkie inne części ciała, jeśli już o to chodzi — z pewnością nie były kościste, lecz spierając się z Colinem niczego by nie osiągnęła, powtórzyła więc tylko:

— Chyba dojechaliśmy.

Colin zbliżył twarz do szyby, mrugając sennie.

— Chyba masz rację.

— Tu jest pięknie! — stwierdziła Penelopa, obejmując wzrokiem doskonale utrzymany teren. — Dlaczego mówiłeś, że posiadłość jest zaniedbana?

— Bo jest — odparł Colin, podając jej szal. — Proszę — dodał z szorstkim uśmiechem, jakby jeszcze nie przywykł do tego, że tak bardzo dba o samopoczucie drugiej osoby. — Jest chłodno.

Było dość wcześnie; gospoda, w której spędzili noc, znajdowała się ledwie o godzinę drogi. Większość rodziny zatrzymała się u Benedicta i Sophie, lecz ich dom nie pomieściłby wszystkich Bridgertonów. Poza tym, jak wyjaśnił Colin, są przecież świeżo po ślubie, więc potrzebują prywatności.

Penelopa otuliła się ciaśniej miękkim wełnianym szalem i oparła o męża, by więcej dojrzeć przez okno. Poza tym lubiła się o niego opierać.

— Według mnie wygląda ślicznie — stwierdziła. — Nigdy nie widziałam tak pięknych róż.

— Na zewnątrz jest ładniej niż w środku — wyjaśnił Colin, kiedy powóz się zatrzymał. — Ale Eloise zapewne to zmieni.

Sam otworzył drzwi, wyskoczył, po czym wyciągnął rękę, by pomóc wysiąść żonie.

— Zapraszam, lady Whistledown…

— Pani Bridgerton — poprawiła go Penelopa.

— Nazywaj się, jak chcesz — odparł z szerokim uśmiechem — i tak jesteś moja. A to twój łabędzi śpiew.

Przechodząc przez próg budynku, który miał zostać domem jego siostry, Colin poczuł nagle nieoczekiwaną ulgę. Pomimo całej irytacji kochał siostrę. Dorastając, nie byli bardzo zżyci, gdyż wiekiem znacznie bliżej było mu do Daphne, zaś Eloise często wydawała się uciążliwym, spóźnionym dodatkiem. Jednak w zeszłym roku zbliżyli się do siebie, a gdyby nie Eloise, Colin być może nigdy nie odkryłby Penelopy.

Bez niej zaś byłby…

Dziwne. Nie wyobrażał sobie, kim byłby bez niej.

Spojrzał na swoją świeżo poślubioną żonę. Penelopa rozglądała się po

hallu, starając się czynić to dyskretnie. Twarz miała obojętną, ale on wiedział, że dostrzega wszystko. Następnego dnia, kiedy będą omawiać wydarzenia dnia, okaże się, że Penelopa pamięta najdrobniejsze szczegóły.

Miała pamięć jak słoń. Uwielbiał to.

— Panie Bridgerton — odezwał się lokaj, witając ich lekkim skinieniem głowy — witamy znów w Romney Hall.

— Cała przyjemność po mojej stronie, Gunning — zamruczał Colin. — Bardzo mi przykro za to, co się zdarzyło poprzednim razem.

Penelopa rzuciła mężowi spojrzenie z ukosa.

— Wpadliśmy tu dość… nagle — wyjaśnił Colin.

Lokaj zapewne zauważył niepokój na twarzy Penelopy, gdyż pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Odsunąłem się na czas.

— Och… — zaczęła Penelopa. — Tak mi…

— Sir Phillip nie zdążył — wpadł jej w słowo Gunning.

— Och — Penelopa odchrząknęła z zakłopotaniem. — Nic mu nie będzie?

— Lekko spuchnięta szyja — wyjaśnił Colin niezmieszany. — Chyba już mu się poprawiło — przechwycił szybkie spojrzenie żony na swoje dłonie i zachichotał. — O, to nie ja — powiedział, ujął ją pod ramię i poprowadził przez hall. — Ja się tylko przyglądałem.

Penelopa skrzywiła się.

— Mogło być gorzej…

— Zdecydowanie — potwierdził radośnie. — A tak wszystko się ułożyło. Właściwie całkiem go lubię i raczej… o, mamo, jesteś!

Faktycznie, spieszyła ku nim Violetta Bridgerton.

— Spóźniliście się — powiedziała, chociaż Colin był przekonany, że to nieprawda. Pochylił się, pocałował ją w nadstawiony policzek, po czym odsunął się na bok, a matka podeszła do Penelopy i ujęła ją za obie ręce.

— Kochana, potrzebujemy cię. Jesteś w końcu honorową druhną.

Colinowi nagle stanęła przed oczami cała scena: grupa rozgadanych kobiet, jedna przez drugą paplających o szczególikach, których znaczenia nigdy nie będzie w stanie docenić, a tym bardziej pojąć. Opowiadały sobie o wszystkim i…

Odwrócił się gwałtownie.

— Ani słowa! — ostrzegł. — Nie mów im ani słowa.

— Słucham? — Penelopa prychnęła ze świętym oburzeniem. — To ja prosiłam, żeby jej tego nie mówić w dniu jej ślubu!

— Zwracałem się do mamy — wyjaśnił Colin.

Violetta pokręciła głową.

— Eloise nas pozabija.

— Już nas niemal zabiła tą swoją głupią ucieczką — odparł Colin z nietypowym jak dla niego porywem gniewu. — Innym też kazałem trzymać buzie na kłódkę.

— Nawet Hiacyncie? — zapytała Penelopa z niedowierzaniem.

— Zwłaszcza jej.

— Przekupiłeś ją? — zainteresowała się Violetta. — Bo inaczej nic z tego.

— Wielki Boże — wymamrotał Colin — myślałby kto, że wczoraj wszedłem do tej rodziny. Jasne, że ją przekupiłem — odwrócił się do Penelopy — bez urazy dla najnowszych członków klanu.

— Och, nie obraziłam się — odparła Penelopa. — Co jej dałeś?

Colin niemal się wzdrygnął na wspomnienie targów z najmłodszą siostrą.

— Dwadzieścia funtów.

— Dwadzieścia funtów! — zawołała Violetta. — Oszalałeś?

— Tobie zapewne poszłoby lepiej — odpalił. — To i tak połowa tego, czego żądała. Nie zaufałbym jej nawet tak daleko, ile byłbym w stanie nią rzucić. Ale jeśli faktycznie będzie siedziała cicho, to zbiednieję jeszcze o dziesięć funtów.

— Ciekawe, jak daleko byłbyś w stanie nią rzucić — zastanawiała się

Penelopa.

Colin odwrócił się do matki.

— Proponowałem jej dziesięć, ale nie chciała się zgodzić. — Po czym zwrócił się do żony: — Na pewno zdecydowanie za blisko.

Violetta westchnęła.

— Powinnam was za to zrugać.

— Ale tego nie zrobisz — Colin błysnął w uśmiechu zębami.

— Niebiosa, pomóżcie! — westchnęła tylko.

— Niebiosa lepiej niech pomogą temu wariatowi, który zdecyduje się z nią ożenić — zauważył Colin.

— A mnie się wydaje, że w Hiacyncie kryje się więcej, niż oboje podejrzewacie — wtrąciła Penelopa. — Nie doceniacie jej.

— Wielki Boże! — westchnął Colin — to akurat nie jest prawda.

— Jesteś przesłodka! — powiedziała Violetta, pochyliła się i spontanicznie objęła synową.

— Tylko szczęśliwym zrządzeniem losu nie przejęła panowania nad światem — wymamrotał Colin.

— Nie zwracaj na niego uwagi — powiedziała Violetta do Penelopy. — A ty — odwróciła się do syna — natychmiast maszeruj do kościoła. Reszta mężczyzn już poszła. To tylko pięć minut piechotą.

— A wy planujecie iść piechotą? — zapytał Colin z niedowierzaniem.

— Oczywiście, że nie — odparła niedbale matka. — Dlatego nie mamy dla ciebie powozu.

— Nawet mi się nie śniło, żeby o niego prosić — odparł Colin, uznawszy, że samotny spacer w rześkim porannym powietrzu to zdecydowanie lepsza perspektywa niż przejażdżka w zamkniętym powozie z damską częścią rodziny.

Pochylił się i pocałował żonę w policzek. Tuż przy uchu.

— Pamiętaj — wyszeptał — ani słowa.

— Umiem dochować tajemnicy — odparła.

— Znacznie łatwiej jej dochować tajemnicy przed tysiącem ludzi niż przed jedną osobą — odparł. — Ma się znacznie mniejsze poczucie winy.

Policzki Penelopy poróżowiały; Colin pocałował ją jeszcze raz obok ucha.

— Tak dobrze cię znam — zamruczał.

Wychodząc, niemal słyszał, jak żona zgrzyta zębami.

— Penelopo!

Eloise zaczęła się podnosić z krzesła na powitanie, lecz Hiacynta, która nadzorowała układanie jej fryzury, położyła rękę na ramieniu siostry i niskim, niemal groźnym tonem wypowiedziała jedno słowo:

— Siadaj!

A Eloise, która normalnie przebiłaby Hiacyntę morderczym spojrzeniem, pokornie opadła z powrotem na krzesło.

Penelopa zerknęła na Daphne, najwyraźniej nadzorującą Hiacyntę.

— To był ciężki poranek — westchnęła Daphne.

Penelopa weszła do pokoju, delikatnie przecisnęła się obok Hiacynty i objęła Eloise — ostrożnie, by nie zburzyć jej koafiury.

— Wyglądasz pięknie — odezwała się.

— Dziękuję — odparła Eloise, lecz usta jej drżały, a oczy były mokre i w każdej chwili mogły z nich spłynąć łzy.

Penelopa nade wszystko pragnęła wziąć przyjaciółkę na stronę, zapewnić ją, że wszystko się ułoży i że Eloise nie musi wychodzić za sir Phillipa, jeśli nie chce, jednak musiała przyznać, że przecież nie wie, czy wszystko się ułoży, podejrzewała też, że Eloise musi wyjść za sir Phillipa.

Dotarły do niej różne pogłoski. Eloise przez ponad tydzień przebywała w Romney Hall bez przyzwoitki. Jeśli się to wyda, a to na pewno nastąpi, reputacja przyjaciółki legnie w gruzach. Penelopa lepiej niż ktokolwiek inny

zdawała sobie sprawę z potęgi plotki. Poza tym, jak słyszała, Anthony i Eloise odbyli rozmowę.

Jak się wydaje, decyzja o ślubie była nieodwołalna.

— Tak się cieszę, że tu jesteś! — powiedziała Eloise.

— Przecież wiesz, że nigdy bym nie opuściła twojego ślubu.

— Wiem — wargi Eloise drżały; jej twarz przybrała wyraz kogoś, kto stara się zachować dzielnie i uważa, że nawet mu się to udaje. — Wiem — powtórzyła nieco spokojniej. — Oczywiście, że na pewno byś przyjechała na mój ślub. Tym niemniej bardzo się cieszę, że cię widzę.

Jak na Eloise było to dziwnie sztywne stwierdzenie; na moment Penelopa zapomniała o własnych tajemnicach, obawach i zmartwieniach. Eloise była jej najbliższą przyjaciółką. Colin to jej miłość, namiętność i dusza, lecz właśnie Eloise najbardziej ze wszystkich ukształtowała jej dorosłe życie. Penelopa nie wyobrażała sobie ostatnich dziesięciu lat bez uśmiechu i niezmordowanej pogody ducha przyjaciółki. Eloise kochała ją bardziej niż jej własna rodzina.

— Eloise — powiedziała Penelopa, przykucając przy niej, by móc otoczyć ją ramieniem. Odchrząknęła, przede wszystkim dlatego, że zamierzała zadać pytanie, które i tak nie miało w tej sytuacji znaczenia. — Eloise — powtórzyła ciszej, niemal szeptem — chcesz tego?

— Oczywiście — odparła Eloise.

Jednak Penelopa nie była pewna, czy jej wierzyć.

— A ko… — zaczęła, ale ugryzła się w język i wykrzywiła usta w grymasie, który miał być uśmiechem. — Lubisz go? Twojego sir Phillipa?

Eloise pokiwała głową.

— On jest… skomplikowany.

Na te słowa Penelopa usiadła.

— Żartujesz.

— W takiej chwili?

— Czy to nie ty zawsze twierdziłaś, że mężczyźni są prości?

Eloise spojrzała na przyjaciółkę z dziwnie bezradnym wyrazem twarzy.

— Bo tak uważałam.

Penelopa pochyliła się bliżej, świadoma, że Hiacynta ma słuch jak nietoperz.

— A on cię lubi?

— Uważa, że za dużo gadam.

— Naprawdę za dużo gadasz — przyznała Penelopa.

Eloise rzuciła jej spojrzenie.

— Mogłabyś się przynajmniej uśmiechnąć.

— Ale to prawda. Chociaż dla mnie to urocze.

— Dla niego chyba też — Eloise skrzywiła się. — Czasami.

— Eloise! — zawołała Violetta. — Naprawdę musimy iść!

— Nie chcemy, żeby pan młody pomyślał, że uciekłaś — wtrąciła Hiacynta.

Eloise wstała i wyprostowała się.

— Wystarczy na razie ucieczek, prawda? — z mądrym, tęsknym uśmiechem odwróciła się do przyjaciółki. — Czas już przestać uciekać od czegoś, a zacząć ku czemuś biec.

Penelopa spojrzała na nią z zaciekawieniem.

— Co powiedziałaś?

Jednak Eloise tylko pokręciła głową.

— Ostatnio to usłyszałam.

Było to zastanawiające stwierdzenie, lecz nie miały czasu, by je roztrząsać. Penelopa ruszyła, żeby dołączyć do reszty rodziny. Po kilku krokach zatrzymał ją jednak głos przyjaciółki.

— Penelopo!

Odwróciła się. Eloise stała w drzwiach, dobre dziesięć stóp za nią. Miała

dziwną minę, której Penelopa nie potrafiła rozszyfrować. Czekała, ale Eloise milczała.

— Eloise? — przemówiła Penelopa cicho, gdyż miała wrażenie, że przyjaciółka chce się odezwać, nie wie tylko, jak to powiedzieć. Albo co powiedzieć.

Wtedy odezwała się Eloise.

— Przepraszam! — wyrzuciła z siebie; słowa wyfrunęły jej z ust z prędkością zaskakującą nawet jak na nią.

— Ty przepraszasz? — powtórzyła Penelopa zaskoczona. Nie zastanawiała się nad tym, co Eloise chciała powiedzieć, lecz z pewnością nie oczekiwała przeprosin. — Za co?

— Za te tajemnice. To nie było w porządku.

Penelopa przełknęła ślinę. *Dobry Boże!*

— Wybaczysz mi? — zapytała Eloise cicho, patrząc błagalnie; Penelopa poczuła się jak ostatnia oszustka.

— Oczywiście — wyjąkała — to nic wielkiego.

I faktycznie w porównaniu z jej własnymi tajemnicami to nie było nic wielkiego.

— Powinnam była powiedzieć ci, że koresponduję z sir Phillipem. Nie wiem, dlaczego się do tego nie przyznałam — mówiła dalej Eloise. — Ale potem, kiedy ty i Colin się zakochaliście… chyba… chyba chciałam zachować coś dla siebie.

Penelopa pokiwała głową. Doskonale wiedziała, co to znaczy — chcieć czegoś własnego.

Eloise roześmiała się nerwowo.

— A teraz spójrz na mnie.

Penelopa uczyniła to, o co prosiła przyjaciółka.

— Wyglądasz pięknie.

I to była prawda. Eloise nie była pogodną panną młodą, lecz bił od niej

blask, a Penelopa poczuła, jak jej obawy słabną, a w końcu znikają. Wszystko będzie dobrze.

Nie wiedziała, czy przyjaciółka zazna tych samych uniesień w małżeństwie, jakie przypadły jej w udziale, ale przynajmniej będzie zadowolona i szczęśliwa.

I kimże ona jest, by twierdzić, że po ślubie para nie może się w sobie szaleńczo zakochać? Nie takie rzeczy się zdarzały.

Ujęła Eloise pod ramię i wyprowadziła ją do hallu, gdzie Violetta coraz bardziej podnosiła głos.

— Twoja mama chyba chce, żebyśmy się pośpieszyły — szepnęła Penelopa.

— Elooooiiiiiiiiiseee! — wrzasnęła Violetta ile sił w płucach. — Już!

Eloise uniosła brwi i z ukosa zerknęła na przyjaciółkę.

— Skąd ten wniosek?

Ruszyły, ale powoli. Ramię w ramię sunęły korytarzem, jakby już szły przez kościół.

— Kto by pomyślał, że wyjdziemy za mąż w odstępie kilku miesięcy — stwierdziła w zadumie Penelopa. — Czy nie miałyśmy wspólnie się zestarzeć i zostać wiedźmami?

— Ależ nadal możemy nimi zostać — odparła wesoło przyjaciółka. — Będziemy po prostu zamężnymi wiedźmami.

— To będzie świetne.

— Wspaniałe!

— Niesamowite!

— Zostaniemy wzorami mody dla wiedźm!

— Arbiterkami smaku wiedźm!

— Co wy wygadujecie? — zapytała Hiacynta, kładąc ręce na biodra.

Eloise uniosła nos i z góry spojrzała na siostrę.

— Jesteś o wiele za młoda, by to zrozumieć.

Po czym obie zgięły się wpół w ataku śmiechu.

— Mamo, one oszalały! — oznajmiła Hiacynta.

Violetta czule spojrzała na córkę i synową, które osiągnęły niemodny wiek dwudziestu ośmiu lat, zanim stanęły na ślubnym kobiercu.

— Zostaw je, Hiacynto — powiedziała, prowadząc najmłodszą córkę do czekającego powozu. — Zaraz do nas dołączą. — Po czym, jakby po namyśle, dodała: — Jesteś za młoda, by to zrozumieć.

Po ceremonii i po rozpoczęciu wesela, kiedy już Colin upewnił się, że sir Phillip Crane będzie odpowiednim mężem dla siostry, zdołał znaleźć ustronny zakątek, do którego zaciągnął żonę, by pomówić z nią w cztery oczy.

— Czy ona coś podejrzewa? — zapytał z szerokim uśmiechem.

— Jesteś okropny! — odparła Penelopa. — To jej wesele!

Nie była to powszechnie przyjęta odpowiedź na pytanie oferujące po prostu wybór między „tak” a „nie”. Colin powstrzymał niecierpliwe syknięcie, zamiast tego zapytał z wielkomiejską uprzejmością:

— A co przez to rozumiesz?

Penelopa świdrowała go wzrokiem przez pełne dziesięć sekund, po czym wymamrotała:

— Nie wiem, o czym mówiła Eloise. Mężczyźni to naprawdę beznadziejnie proste stworzenia.

— No… tak — przytaknął Colin, dla którego umysł kobiecy od dawna stanowił całkowicie niezrozumiałą zagadkę. — A co to ma wspólnego z moim pytaniem?

Penelopa rozejrzała się na boki, po czym zniżyła głos do ochrypłego szeptu.

— Przecież w takiej chwili nie będzie się zastanawiała nad Whistledown!

Colin z niechęcią musiał przyznać, że żona ma trochę racji. On sam

wyobrażał sobie, że Eloise w jakiś sposób jest świadoma faktu, iż jako jedyna nie zna sekretu tożsamości lady Whistledown.

Oczywiście było to wyobrażenie niedorzeczne, tym niemniej sprawiało mu radość.

— Hm… — powiedział.

Penelopa zerknęła na niego podejrzliwie.

— O czym myślisz?

— Na pewno nie możemy jej o tym powiedzieć w dniu jej ślubu?

— Colinie…

— Bo jeśli nie, to i tak dowie się od kogoś innego, a bardzo chciałbym zobaczyć jej minę.

— Colinie, nie!

— Po tym wszystkim co przeszłaś, nie zasługujesz na to, by zobaczyć jej reakcję?

— Nie — odparła powoli Penelopa. — Nie, nie zasługuję.

— Och, zbyt tanio się sprzedajesz, moja droga — odparł Colin, uśmiechając się do niej pobłażliwie. — Poza tym pomyśl o Eloise.

— A co niby robiłam przez całe przedpołudnie?

Colin pokręcił głową.

— Będzie zdruzgotana, kiedy usłyszy tę okropną prawdę od kogoś obcego.

— To nie jest okropna prawda — odpaliła Penelopa. — A w ogóle skąd wiesz, że powie jej o tym ktoś obcy?

— Bo cała moja rodzina poprzysięgła milczenie, a kogo jeszcze Eloise zna na tym pustkowiu?

— Mnie się Gloucestershire podoba — stwierdziła Penelopa, słodko zaciskając zęby. — Okolica jest urocza.

— Tak — przytaknął uprzejmie, obrzucając spojrzeniem jej zmarszczone brwi, zaciśnięte usta i zmrużone oczy. — Wyglądasz na zauroczoną.

— A czy to nie ty się upierałeś, żeby trzymać ją w nieświadomości, na ile

to w ludzkiej mocy?

— „W ludzkiej mocy”, w rzeczy samej — odparł Colin. — Tej ludzkiej istocie — dość niepotrzebnie wskazał na siebie — z ogromną trudnością przychodzi zachowanie milczenia.

— Zmieniłeś zdanie, niewiarygodne!

Colin wzruszył ramionami.

— Czyż to nie jest główna cecha mężczyzny?

Usta Penelopy rozchyliły się; Colin pożałował, że zakątek, który znalazł, jest tylko cichy, a nie odosobniony, gdyż w tej chwili żona — świadomie lub nie — aż prosiła się o pocałunek.

Był jednak cierpliwym człowiekiem, pamiętał o czekającym na nich wygodnym pokoju w gospodzie, za to tutaj, na weselu, mogli jeszcze sporo namieszać.

— Och, Penelopo — odezwał się ochryple, przysuwając się do niej bliżej, niż wypadało, nawet jeśli chodziło o własną żonę — nie chciałabyś się nieco zabawić?

Penelopa oblała się szkarłatem.

— Nie tutaj!

Colin roześmiał się głośno.

— Nie o to mi chodziło — wymamrotała Penelopa.

— Mnie właściwie też nie — odpalił, nie mogąc powstrzymać uśmiechu — jednak cieszę się, że tak od razu przychodzi ci to do głowy — udał, że rozgląda się wokół. — Jak myślisz, kiedy będzie nam wypadało wyjść?

— Z pewnością nie teraz.

Udał, że się zastanawia.

— Hm… chyba masz rację. Szkoda. Ale… — udał, że się rozjaśnia — mamy czas, żeby co nieco napsocić.

Penelopa znów straciła głos. Podobało mu się to.

— Dobrze? — zamruczał.

— Nie wiem, co z tobą zrobić.

— Musimy nad tym popracować — odparł, kręcąc głową. — Nie wiem, czy do końca pojmujesz, jak powinno się odpowiadać na pytanie zaczynające się od „czy”.

— A ty chyba powinieneś usiąść — stwierdziła Penelopa, w której oczach pojawił się błysk ostrożnego zmęczenia, zarezerwowany zwykle dla dzieci.

Lub wygłupiających się dorosłych.

— A potem — ciągnęła — powinieneś trochę sobie posiedzieć.

— Długo?

— Bardzo długo.

Usiadł, żeby się z nią poprzekomarzać, po czym…

— Nieee, chyba wolę psocić.

Zerwał się na równe nogi i odszedł, żeby dopaść Eloise, zanim Penelopa zerwie się do biegu i zechce go powstrzymać.

— Colinie, nie! — wrzasnęła; jej głos odbił się echem od ścian sali. Oczywiście udało się jej krzyknąć akurat w chwili, kiedy wszyscy pozostali goście na przyjęciu zrobili przerwę w rozmowach, by zaczerpnąć powietrza.

Sala pełna Bridgertonów. Jakżeby inaczej!

Dwadzieścia parę głów odwróciło się w jej kierunku; Penelopa przywołała na twarz uśmiech.

— Nic wielkiego — odezwała się dziwnie beztroskim tonem. — Bardzo przepraszam!

Najwyraźniej rodzina przywykła do tego, że Colin czyni coś, co wywołuje okrzyk: „Colinie, nie!”, gdyż niemal nie zwracając na niego uwagi, wrócili do swoich rozmów.

Oprócz Hiacynty.

— A niech to — wymamrotała pod nosem Penelopa i pospiesznie ruszyła przed siebie.

Hiacynta była jednak szybsza.

— Co się dzieje? — zapytała, z zadziwiającą zręcznością doganiając Penelopę i zrównując się z nią.

— Nic — odparła Penelopa, gdyż zdecydowanie nie potrzebowała jeszcze Hiacynty przy grożącej katastrofie.

— On jej wszystko powie, prawda? — wypytywała Hiacynta, przy okazji wydając zdławiony okrzyk i przeprosiny, kiedy przecisnęła się obok jednego z braci.

— Nie! — odparła stanowczo Penelopa, niemal biegiem okrążając dzieci Daphne. — Nie powie!

— Powie.

Penelopa przystanęła na moment i odwróciła się do dziewczyny.

— Czy ktokolwiek z was czasami słucha kogoś innego?

— Ja nie — odparła Hiacynta pogodnie.

Penelopa pokręciła głową i ruszyła znów przed siebie; Hiacynta deptała jej po piętach. Kiedy dotarła do Colina, ten stał przy parze młodej i trzymał Eloise pod rękę, uśmiechając się do niej, jakby nigdy w życiu nie zastanawiał się nad tym, by:

A. nauczyć ją pływać wrzucając do jeziora;

B. we śnie odciąć jej trzy cale włosów;

lub

C. przywiązać ją do drzewa, żeby nie poszła za nim do najbliższej gospody.

Chociaż w rzeczywistości poważnie rozważał wszystkie trzy możliwości, a dwie wprowadził w życie (nawet Colin nie odważyłby się na obcięcie włosów).

— Eloise — odezwała się Penelopa nieco zdyszana próbami ucieczki przed Hiacyntą.

— Penelopo — odparła Eloise, nieco zdziwiona. Nie zaskoczyło to

Penelopy, przecież Eloise nie była głupia i doskonale zdawała sobie sprawę, że normalne zachowanie brata nie obejmuje obdarzania ją błogimi uśmiechami.

— Eloise — dołączyła Hiacynta, chociaż Penelopa nie potrafiła domyślić się dlaczego.

— Hiacynto.

Penelopa odwróciła się do męża.

— Colinie.

Ten zrobił rozbawioną minę.

— Penelopo, Hiacynto…

Hiacynta wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— Colinie — powiedziała. I dodała: — Sir Phillipie.

— Panie — sir Phillip najwyraźniej faworyzował zwięzłość.

— Wystarczy! — wybuchnęła Eloise. — Co się dzieje?

— Jak się zdaje, wywołujemy się po imieniu — odparła Hiacynta.

— Penelopa ma ci coś do powiedzenia — odezwał się Colin.

— Nie mam.

— Owszem, ma.

— Mam — odparła Penelopa, myśląc gorączkowo. Podbiegła do Eloise i ujęła jej dłonie w ręce. — Gratulacje. Tak bardzo się cieszę!

— I to musiałaś mi powiedzieć? — zapytała Eloise.

— Tak.

— Nie!

— Bardzo dobrze się bawię — wtrąciła Hiacynta.

— E… miło to słyszeć — odparł sir Phillip, nieco zdziwiony jej nagłą potrzebą skomplementowania gospodarza.

Penelopa na moment zamknęła oczy i westchnęła ze znużeniem; chyba będzie musiała potem wziąć biedaka na bok i urządzić mu szkolenie

z bardziej delikatnych aspektów życia w klanie Bridgertonów dla tych, którzy się w niego wżenili.

A ponieważ tak dobrze znała swoją nową rodzinę, wiedziała też, że nie ma siły, by zdołała uniknąć ujawnienia swojej tajemnicy, odwróciła się więc do Eloise i zapytała:

— Mogę prosić o chwilę na osobności?

— Ze mną?

To wystarczyło, by Penelopa zapałała chęcią uduszenia kogoś. Kogokolwiek.

— Tak — odparła cierpliwie. — Z tobą.

— I ze mną — wtrącił Colin.

— I ze mną! — dodała Hiacynta.

— Z tobą nie — odparła Penelopa, nawet na nią nie patrząc.

— Ale ze mną tak — dodał Colin, wolną ręką ujmując pod ramię żonę.

— Czy ta sprawa nie może zaczekać? — zapytał uprzejmie sir Phillip. — To wesele Eloise, zapewne chciałaby w nim uczestniczyć.

— Wiem — odparła Penelopa ze znużeniem. — I bardzo przepraszam.

— Wszystko w porządku — odezwała się Eloise, uwalniając się z uścisku Colina i odwracając do świeżo poślubionego męża. Powiedziała do niego kilka słów tak cicho, że Penelopa ich nie dosłyszała. Następnie dodała głośniej: — Za tymi drzwiami jest salonik. Wejdziemy?

Poszła przodem, a Penelopa skorzystała z okazji i zwróciła się do Colina:

— Ty trzymasz buzię na kłódkę!

Zaskoczona zobaczyła, że kiwa głową, po czym, wciąż milczeniu, przytrzymał drzwi, kiedy przeszła przez nie za przyjaciółką.

— Zajmę ci tylko chwilę — powiedziała przepraszająco. — A przynajmniej taką mam nadzieję.

Eloise nie odezwała się, spoglądała tylko na nią z miną, jak Penelopa zdążyła zauważyć, nietypowo dla niej spokojną.

Małżeństwo chyba jej służy, uznała Penelopa, gdyż Eloise, którą ona znała, w tej chwili przebierałaby nogami z niecierpliwości. Wielka tajemnica, sekret, który za chwilę wyjdzie na jaw — Eloise uwielbiała takie rzeczy.

A jednak stała, czekając spokojnie, z lekkim uśmiechem na twarzy. Penelopa zdezorientowana spojrzała na Colina, on jednak najwyraźniej wziął sobie do serca jej polecenia i trzymał usta twardo zamknięte.

— Eloise… — zaczęła Penelopa.

Eloise uśmiechnęła się. Lekko. Tylko kącikami ust, jakby chciała uśmiechnąć się szerzej.

— Tak?

Penelopa odchrząknęła.

— Eloise — zaczęła znów — jest coś, co muszę ci powiedzieć.

— Czyżby?

Penelopa zmrużyła oczy; to nie była dobra chwila na sarkazm. Zaczerpnęła powietrza, tłumiąc chęć odpłacenia przyjaciółce równie ciętą ripostą, i odezwała się:

— Nie chciałam ci tego mówić na twoim weselu… — przy tych słowach obdarzyła męża gniewnym spojrzeniem — ale chyba nie mam wyboru.

Eloise zamrugała kilka razy, ale poza tym jej spokojna twarz nie zmieniła wyrazu.

— Nie umiem powiedzieć ci o tym w inny sposób — ciągnęła z wysiłkiem Penelopa, czując, jak robi się jej wręcz niedobrze — ale kiedy cię nie było… to znaczy dokładnie tego wieczoru, kiedy zniknęłaś…

Eloise pochyliła się do niej. Lekko, ale Penelopa zauważyła ten gest i przez chwilę myślała… właściwie nie myślała jasno, na pewno nie potrafiłaby złożyć myśli w sensowne zdanie. A jednak wyczuła niepokój — inny rodzaj niepokoju niż ten, który już czuła. Był to niepokój podejrzany, a…

— To ja jestem Whistledown — wyrzuciła z siebie jednym tchem, bo gdyby zaczekała jeszcze chwilę, mózg by się jej przegrzał.

— Wiem — odparła Eloise.

Penelopa usiadła na najbliższym odpowiednio mocnym sprzęcie, którym akurat okazał się stół.

— Wiesz!

— Wiem — wzruszyła ramionami Eloise.

— Skąd?

— Hiacynta mi powiedziała.

— Co? — zawołał Colin; sądząc z jego miny, nadawał się do tego, by go związać. Albo, dokładniej mówiąc, on gotów byłby związać Hiacyntę.

— Na pewno stoi za drzwiami — wymruczała Eloise, wskazując głową. — Tak na wypadek, jakbyś chciał…

Ale Colin wyprzedził ją o krok i z rozmachem otworzył drzwi saloniku. Faktycznie do środka wpadła Hiacynta.

— Hiacynto! — odezwała się Penelopa potępiająco.

— Dajcie spokój! — odpaliła dziewczyna, wygładzając spódnicę. — Chyba nie przypuszczaliście, że nie będę podsłuchiwać, co? Przecież mnie znacie!

— Skręcę ci kark — wydusił Colin. — Przecież się umówiliśmy!

Hiacynta wzruszyła ramionami.

— Właściwie nie potrzebuję dwudziestu funtów.

— Już ci dałem dziesięć!

— Wiem! — odparła Hiacynta z pogodnym uśmiechem.

— Hiacynto! — zawołała Eloise.

— Co nie oznacza — ciągnęła skromnie Hiacynta — że nie chcę drugiej dziesiątki.

— Powiedziała mi wczoraj wieczorem — wyjaśniła Eloise, niebezpiecznie mrużąc oczy — ale najpierw poinformowała mnie, że wie, kim jest lady Whistledown, że wszyscy o tym wiedzą, ale mnie ta wiedza będzie kosztować dwadzieścia pięć funtów!

— A nie przyszło ci do głowy — odezwała się Penelopa — że skoro wszyscy już wiedzą, to wystarczyłoby po prostu kogokolwiek zapytać?

— O drugiej nad ranem nie było w mojej sypialni nikogo z towarzystwa — oparła ostro Eloise.

— Chyba kupię sobie kapelusz — powiedziała z namysłem Hiacynta. — Albo kucyka…

Eloise rzuciła jej mordercze spojrzenie, po czym odwróciła się do Penelopy.

— Naprawdę jesteś Whistledown?

— Tak — przyznała Penelopa. — A przynajmniej… — zerknęła na Colina, nie do końca pewna, dlaczego, z wyjątkiem tego, że bardzo go kocha, a on zna ją tak dobrze, więc kiedy zobaczy jej niepewny, pełen wahania uśmiech, odpowie jej uśmiechem, niezależnie od tego, jak bardzo wścieka się na Hiacyntę.

I faktycznie się uśmiechnął. Jakimś sposobem w całym tym zamieszaniu wiedział, czego ona potrzebuje. Jak zawsze.

Penelopa odwróciła się z powrotem do Eloise.

— Byłam nią — poprawiła się. — Już nią nie jestem, skończyłam z tym.

Oczywiście i o tym Eloise wiedziała. Na długo przed jej wyjazdem z miasta list pożegnalny lady W. krążył po towarzystwie.

— Na dobre — dodała Penelopa. — Niektórzy mnie pytali, czy do tego wrócę, ale nie kusi mnie, by znów sięgnąć po pióro — przerwała, przypomniawszy sobie zapiski, które czyniła w domu. — A przynajmniej nie jako Whistledown — spojrzała na Eloise, która przysiadła na stole obok niej. Twarz miała pozbawioną wyrazu i, jak na siebie, od długiego czasu się nie odezwała.

Penelopa próbowała się uśmiechnąć.

— Szczerze mówiąc… rozważam napisanie powieści.

Eloise nadal się nie odzywała, chociaż mrugała szybko i zmarszczyła

czoło, jakby myślała nad czymś intensywnie.

Penelopa ujęła więc rękę przyjaciółki i powiedziała to, co naprawdę czuła:

— Eloise, przepraszam.

Eloise raczej tępo wpatrywała się w stół, lecz przy tych słowach odwróciła się do Penelopy i spojrzała jej w oczy.

— Przepraszasz? — powtórzyła tonem powątpiewania, jakby przeprosiny nie były właściwym słowem, a przynajmniej nie wyczerpywały wszystkiego.

Penelopa poczuła, jak serce jej się ściska.

— Tak mi przykro — powiedziała znów. — Powinnam ci się była przyznać. Powinnam…

— Zwariowałaś? — zapytała Eloise, jakby nagle wróciła do rzeczywistości. — Oczywiście, że nie powinnaś była mi się przyznawać. W życiu nie dochowałabym tajemnicy!

Penelopa uznała, że to niezwykłe wyznanie, jak na przyjaciółkę.

— Jestem z ciebie taka dumna! — ciągnęła Eloise. — Zapomnijmy na razie o pisaniu, nawet nie potrafię sobie wyobrazić, ile to wymagało organizacji, pracy. Będziesz musiała opowiedzieć mi wszystko ze szczegółami. Oczywiście nie teraz.

— Czyli zaskoczyło cię to? — zamruczała Penelopa.

Eloise rzuciła jej ironiczne spojrzenie.

— Delikatnie mówiąc.

— Musiałam podstawić jej krzesło — wtrąciła Hiacynta.

— Już siedziałam — wycedziła Eloise.

Hiacynta zbyła ją machnięciem ręki.

— Nieważne.

— Zignoruj ją — powiedziała Eloise, z rozmysłem skupiając całą uwagę na Penelopie. — Naprawdę, nie wyobrażasz sobie, jakie wrażenie zrobiła na mnie ta wiadomość… to znaczy, jak już otrząsnęłam się z szoku.

— Naprawdę? — aż do tej chwili Penelopa nie zdawała sobie sprawy, jak

bardzo pragnęła aprobaty przyjaciółki.

— Tak długo utrzymywałaś nas w nieświadomości — Eloise powoli, z podziwem pokręciła głową. — Mnie. I ją — dźgnęła palcem powietrze w kierunku Hiacynty. — Naprawdę godny podziwu wyczyn — po czym przechyliła się i objęła Penelopę ciepłym uściskiem.

— Nie gniewasz się na mnie?

Eloise wyprostowała się i otworzyła usta; Penelopa widziała, że ma zamiar powiedzieć „nie”, a potem być może jeszcze „oczywiście, że nie”.

Jednak te słowa nie wyszły z ust Eloise, która siedziała, jakby lekko zamyślona i zaskoczona, aż w końcu odezwała się:

— Nie.

Penelopa uniosła brwi.

— Na pewno?

Eloise nie wydawała się pewna. Szczerze mówiąc, w ogóle nie wydawała się sobą, brzmiała jak ktoś inny.

— Byłoby inaczej, gdybym wciąż była w Londynie — powiedziała cicho Eloise — i nie miała nic do roboty. To jednak… — rozejrzała się po pokoju i dość niejasnym ruchem ręki wskazała okno — tutaj… To nie to samo. To inne życie — mówiła cicho. — Jestem innym człowiekiem… przynajmniej trochę.

— Lady Crane — przypomniała jej Penelopa.

— Jak miło, że mi pani o tym przypomniała, pani Bridgerton — odparła z uśmiechem Eloise.

Penelopa omal się nie roześmiała.

— Dajesz wiarę temu, co się stało?

— Z tobą czy ze mną?

— Z nami obiema.

Colin, który dotąd zachowywał dyskretny dystans, jedną dłonią mocno

przytrzymując Hiacyntę, żeby ona też zachowała dyskretny dystans — przysunął się nieco bliżej.

— Powinniśmy chyba wracać — powiedział cicho, wyciągnął rękę i pomógł zejść ze stołu najpierw Penelopie, potem Eloise. — Przynajmniej ty — dodał, pochylając się i całując siostrę w policzek — z pewnością powinnaś wrócić.

Eloise uśmiechnęła się tęsknie, znów zamieniając się w zaróżowioną pannę młodą. Ostatni raz uścisnęła dłonie Penelopy, przecisnęła się obok Hiacynty, unosząc przy tym oczy do nieba, i poszła z powrotem do gości weselnych.

Penelopa odprowadziła ją wzrokiem, wsuwając ramię pod rękę Colina i opierając się lekko o niego. Oboje stali tak w zadowolonym milczeniu, leniwie obserwując puste wejście, wsłuchując się w odgłosy przyjęcia.

— Jak myślisz, uprzejmie byłoby teraz wyjść? — zamruczał Colin.

— Chyba nie.

— A Eloise by to przeszkadzało?

Penelopa pokręciła głową.

Colin otoczył ją mocniej ramionami; Penelopa poczuła jego usta delikatnie muskające jej ucho.

— Chodźmy — powiedział.

Nie zaprotestowała.

Dwudziestego piątego maja 1824 roku, dokładnie dzień po ślubie Eloise Bridgerton z sir Phillipem Crane’em do pokoju państwa Bridgertonów, przebywających w gospodzie „Pod Różą i Jeżyną”, niedaleko Tetbury w Gloucestershire, doręczono trzy wiadomości. Przybyły razem, wszystkie z Romney Hall.

— Którą otworzymy pierwszą? — zapytała Penelopa, rozkładając listy przed sobą na łóżku.

Colin zerwał z siebie koszulę, którą nałożył, by otworzyć drzwi.

— Jak zawsze, zdaję się na twój osąd.

— Jak zawsze?

Wczołgał się na łóżko obok żony. Kiedy Penelopa przybierała ton sarkazmu, stawała się wyjątkowo urocza. Nie znał innej osoby, która potrafiłaby tego dokonać.

— Jak zawsze, kiedy mi to na rękę — uściślił.

— Zatem list od twojej matki — zdecydowała Penelopa, podnosząc jedną kartkę z pościeli. Złamała pieczęć i ostrożnie rozłożyła kartkę.

Colin przyglądał się jej, kiedy czytała. Oczy otworzyły się jej szerzej, potem brwi podjechały do góry, w końcu kąciki ust uniosły się lekko, jakby Penelopa uśmiechała się mimowolnie.

— I co ma nam do powiedzenia? — zapytał.

— Wybacza nam.

— Jak się zdaje, nie ma sensu pytanie, co mianowicie nam wybacza.

Penelopa rzuciła mu surowe spojrzenie.

— Wczesne wyjście z wesela.

— Mówiłaś, że Eloise nie będzie miała nic przeciwko temu.

— I na pewno nie miała. Ale to twoja matka.

— Odpisz jej i przekaż ode mnie, że jeśli kiedykolwiek wyjdzie znów za mąż, pozostanę na jej weselu do samego końca.

— Z pewnością tego nie zrobię — Penelopa przewróciła oczami. — Zresztą ona chyba i tak nie oczekuje odpowiedzi.

— Naprawdę? — teraz Colin się zainteresował, gdyż jego matka zawsze oczekiwała odpowiedzi na swoje wiadomości. — A to czym zasłużyliśmy na jej wybaczenie?

— Hm… wspomniała coś o punktualnym pojawieniu się wnuków.

Colin wyszczerzył zęby.

— Czy ty się czerwienisz?

— Nie.

— Tak!

Penelopa dała mu sójkę w bok.

— Nie. Proszę, przeczytaj sam, jeśli masz ochotę. Ja zabieram się za list od Hiacynty.

— Pewnie nie odsyła moich dziesięciu funtów — burknął Colin.

Penelopa rozłożyła kartkę i potrząsnęła nią; nic nie wypadło.

— Ta kreatura ma szczęście, że jest moją siostrą — wymamrotał.

— Nie umiesz pogodzić się z porażką — zgromiła go Penelopa. — Wystrychnęła cię na dudka, okazała się znacznie sprytniejsza.

— Proszę! — parsknął. — Wczoraj po południu jakoś nie zachwycałaś się jej sprytem.

Penelopa machnięciem ręki zbyła jego protesty.

— No tak, ale niektóre sprawy widać wyraźniej z perspektywy czasu.

— I co ona pisze? — zapytał Colin, przechylając się nad jej ramieniem. Znając Hiacyntę, mógł się spodziewać kolejnego spisku, by wyciągnąć od niego pieniądze.

— Właściwie to słodkie — stwierdziła Penelopa. — Żadnych podstępów.

— Przeczytałaś obie strony? — zapytał Colin z powątpiewaniem.

— Napisała tylko jedną.

— Dziwnie skromnie jak na nią — stwierdził podejrzliwie.

— Boże, Colinie, Hiacynta opisała tylko, co się działo na weselu po naszym wyjściu. Muszę przyznać, że ma doskonałe oko do szczegółów i poczucie humoru. Byłaby z niej doskonała Whistledown.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece!

Ostatni list pochodził od Eloise i, w przeciwieństwie do pozostałych dwóch, był adresowany tylko do Penelopy. Colin oczywiście był ciekawy. Kto by nie był? Odsunął się jednak, żeby zapewnić żonie prywatność. Jej przyjaźń z jego siostrą traktował zarówno z bojaźnią, jak i szacunkiem.

Bracia byli mu wyjątkowo bliscy, ale nigdy nie widział tak głębokiej więzi jak ta, która łączyła Penelopę z Eloise.

— Och! — zawołała Penelopa, odwracając kartkę. List od Eloise był znacznie dłuższy niż pozostałe dwa; siostra zdołała zapisać dwie kartki, każdą po obu stronach. — A niech ją!

— Co zrobiła? — zapytał Colin.

— Nic takiego — odparła Penelopa, chociaż minę miała raczej poirytowaną. — Nie było cię tutaj, ale rano przed ślubem Eloise wciąż przepraszała za to, że miała przede mną tajemnice; w ogóle nie przyszło mi do głowy, że w ten sposób starała się mnie nakłonić do przyznania, że ja też skrywam sekrety. Za to sprawiła, że poczułam się winna.

Ucichła, gdyż zajęła się czytaniem kolejnej strony. Colin oparł się o miękkie poduszki i wpatrzył w twarz żony. Lubił obserwować, jak jej oczy przesuwają się spojrzeniem po linijkach od lewej do prawej. Lubił patrzeć, jak jej usta się poruszają, kiedy Penelopa uśmiecha się lub marszczy. To właściwie niesamowite, że obserwacja czytającej żony sprawiała mu taką radość.

Trwało to, dopóki Penelopa nie krzyknęła lekko i nie zbladła gwałtownie.

Colin uniósł się na łokciach.

— Co tam?

Penelopa z jękiem pokręciła głową.

— Co za diablica!

Do licha z prywatnością; Colin chwycił list.

— Co pisze?

— Tam na dole — odparła Penelopa, z nieszczęśliwą miną wskazując dół strony. — Na końcu.

Colin odsunął jej palec i zaczął czytać.

— Dobry Boże, jak ona się rozpisuje — wymamrotał. — W ogóle nie mogę się zorientować, o co jej chodzi.

— O zemstę — podpowiedziała Penelopa. — Pisze, że moja tajemnica była większa niż jej.

— Bo była.

— I dodaje, że zasługuje na fory.

Colin zastanowił się.

— Chyba tak.

— Żeby wyrównać rachunki.

Pogłaskał ją po ręce.

— Niestety to jest sposób myślenia Bridgertonów. Nigdy w nic z nami nie grałaś, prawda?

Penelopa jęknęła.

— Napisała, że skonsultuje się z Hiacyntą!

Colin poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

— Właśnie — Penelopa pokręciła głową. — Już nigdy nie będziemy bezpieczni.

Colin otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

— Czy nie chcieliśmy pojechać do Włoch?

— Albo do Indii.

Uśmiechnął się i pocałował ją w nos.

— Możemy po prostu zostać tutaj.

— W gospodzie?

— Jutro rano mieliśmy wyjeżdżać; to ostatnie miejsce, w którym Hiacynta będzie nas szukać.

Penelopa zerknęła na niego; w jej oczach pojawił się ciepły i nieco łobuzerski błysk.

— Przez najbliższe dwa tygodnie nie mam w Londynie żadnych pilnych spraw do załatwienia.

Colin przetoczył się nad nią i pociągnął w dół tak, że padła płasko na plecy.

— Matka napisała, że wybaczy nam dopiero wtedy, kiedy spłodzimy jej wnuka.

— Nie ujęła tego tak bezwzględnie.

Colin pocałował Penelopę prosto we wrażliwe miejsce za płatkiem ucha; wtedy Penelopa zawsze zaczynała się wić.

— Udawajmy, że jednak tak się wyraziła.

— No to w takim wypadku… och!

Jego usta zsunęły się na jej brzuch.

— Och? — wymamrotał.

— Lepiej zabierzmy się do… och!

Colin uniósł wzrok.

— Mówiłaś coś?

— Do pracy — wykrztusiła z trudem Penelopa.

Colin uśmiechnął się z ustami przy jej skórze.

— Uniżony sługa, pani Bridgerton. Zawsze.

Drzewo genealogiczne Bridgertonów

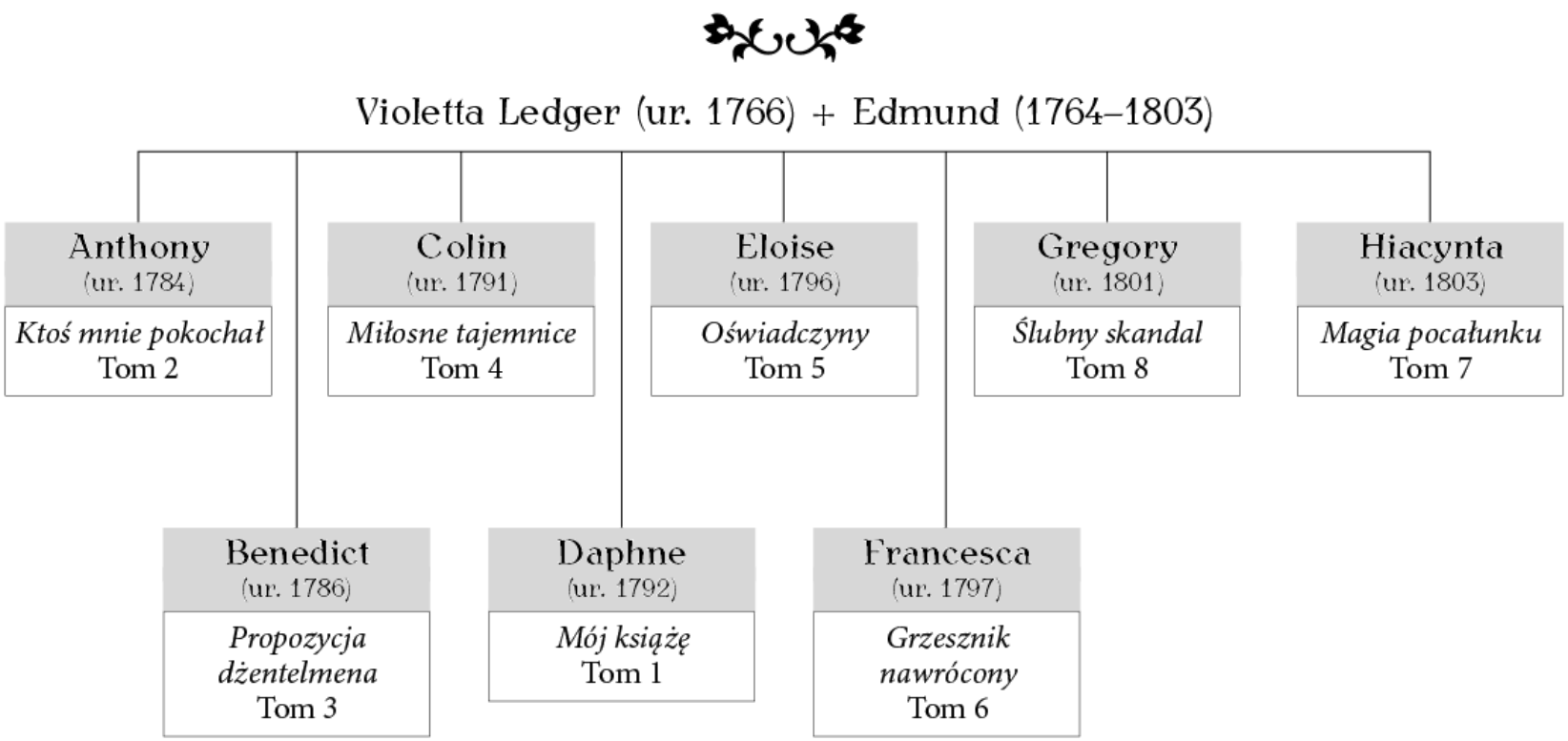

Więcej informacji na www.juliaquinn.com